

Melanie George

Mroczny anioł

Z angielskiego przełożyła
Magdalena Jędrzejak

scandalous

Mojemu synowi, Andrew... jesteś najlepszy.
Nie zmieniaj się nigdy.

Pragnę podziękować trzem cudownym kobietom, które
cierpliwie wysłuchiwały moich warsztatowych wynurzeń,
choć pochłaniały mnie one tak bardzo, że nie mówiłam
o niczym innym.

Mojej matce Barbarze, mojej serdecznej przyjaciółce i rów-
nie wielkiej jak ja miłośniczce psów Carze oraz mojej te-
ściowej Dorothy. Was wszystkie powinno się kanonizować
z racji Waszej bezprzykładnej wyrozumiałości.

1

Dzielnica biedoty, Boston, 1880

- Jezus, Maryja, Józefie święty! Goluśka jak w dniu swoich narodzin! O, moja głowa... Mroczki mi latajom przed oczami. Trzymaj mnie, mężu, bo chyba zaraz zemgleję.

- No już, już, mamuśku - uspokajał Joseph Delaney angielszczyzną zabarwioną silnym irlandzkim akcentem. Objął pulchnym ramieniem obwisłe ramiona żony. - Pewnikiem wcale nie jest aż tak źle, jak sobie myślisz. - Mąż i żona równocześnie zwrócili pełne nadziei spojrzenia ku córce, a w gęstym, upalnym powietrzu popołudnia zawisło nieznośne wręcz napięcie. - Prawda, serdeńko?

Sheridan Delaney, imigrantka z hrabstwa Kerry w Irlandii, postrzelona i kapryśna, jak powiedzieliby niektórzy, ale na pewno nie nudna, posłała rodzicom słaby uśmiech.

- Nie jest tak źle, tatulu. Majtek nie zdjęłam.

Matka Sheridan zachwiała się teatralnie.

- Nie do wiary! Oby Pan Bóg w mądrości swojej wyciągnął ku mnie opiekuńcze ramiona, bo zaraz padnę trupem.

- Nikt tutaj nie będzie padał trupem, Mary Margaret - obruszyła się ciotka Aggie, z trudem windując bujną pierś na blat stołu, by posłużyć się nim jak podpórka. Następnie wydobyła z otchłani dekoltu brudną chustkę do nosa i otarła nią spoczone czoło. - To mnie przyjdzie nasamprzód żegnać się z tym światem i byłabym wdzięczna, gdybyście raczyli o tym nie zapominać. - Zwróciła się twarzą w kierunku stojącego nieopo-

dal siostrzeńca i przemówiła tonem, który Sheridan ochrzciła „głosem-stojącej-jedną-nogą-w-grobie”. - Bądź dobrym dzieckiem i przyprowadź do mnie ojca Donovana. Czuję, że opadam z sił. Serce mi tłucze jak werbel dragonów królowej.

Jak zawsze, ilekroć wygłaszała wzmiankę o „jej króleskiej wysokości”, ciotka Aggie dodała swój ulubiony komentarz:

- Oby czarna dżuma spadła na jej zwiędłe czoło.

Ciotka wachlowała się chusteczką, tymczasem druga krag-ła jak pulpet ręka zacisnęła się na kieszeni fartucha, w której ukryta była mała srebrna flaszeczka zawierająca ciocine „lekarstwo”. „Oto jest esencja irlandzkiego ducha” - mawiała Aggie nabożnym tonem przed pociągnięciem łyka, po którym większość mężczyzn wylądowałaby na czterech literach.

Ojciec Sheridan podprowadził żonę do stojącego przy stoliku rozchwianego krzesła.

- No już, mamusku, nie wzywaj Jego imienia tylko dlatego, że ta dzierlatka znowu coś spsociła. Przecież takie wybryki to dla niej nic nowego.

Wobec męzowskiego przypomnienia, iż podobne figle miały ją prześladować do końca życia, kobieta ciężko opadła na krzesło. Drewno zajęczało pod jej ciężarem, choć bynajmniej do wielkich się nie zaliczało. Po prostu mebel pamiętał lepsze czasy, podobnie jak reszta mizernych sprzętów w posiadaniu rodziny Delaneyów.

Sheridan, jej rodzice, brat Shane, siostry Shannon, Shawna i mała Sara, a także ciotka Aggie i wujek Finny dzielili dwa pokoje w przepełnionym pensjonacie, który zdaniem Sheridan najprawdopodobniej „lepszych czasów” nie pamiętał, bo takowych zwyczajnie nie przeżywał. Przez cienkie ściany słychać było kłótnię mieszkających po sąsiedzku państwa Danihy.

Pani Danihy klęła w żywy kamień, pomstując na zgubne upodobanie małżonka do grogu. Pan Danihy ripostował, że sam nie wie, po co żenił się z dwugłową harpią i że w każdej z dwóch paszczek spodziewa się ujrzyć rozwidlony jęzor. Potem nieodmiennie rozlegało się trzaśnięcie drzwiami,

a zmatowiałe ołowiane talerze i powyginane widelce zaczynały podskakiwać na porysowanym, byle jak skleconym stole, przy którym siedziała matka Sheridan.

Na dworze ze spelunki o nazwie Wubble Dhiskey* gruchnęła burdelowa muzyczka, po czym rozległy się piskliwe pijackie śmiechy. Sheridan zdążyła przywyknąć do ustawicznego zgiełku. Przynajmniej hałas zagłuszał szczury buszujące pod drewnianą podłogą.

- No, moja mała? - ponaglił ojciec. - Co ci strzeliło do głowy, co by zrobić cosik takiego?

Sheridan zwiesiła głowę i westchnęła, czując, jak materiał bluzki klei się do wilgotnego po kąpieli ciała.

- Jam się ino chciała ochłodzić. Nikogo nie widziałam, tom myślała, że jestem sama.

Sheridan dobrze wiedziała, jakimi słowami jej matka powita to wyjaśnienie. Znała je na pamięć. Recytowała bezgłośnie równocześnie z matką.

- Oby litościwi święci mieli mnie w opiece. Już sama nie wiem, co z tym dzieciakiem począć.

Sheridan westchnęła w duchu. Dlaczego kłopoty nie odstępowały jej ani na chwilę? Gdziekolwiek szła, katastrofa ciągnęła za nią, nieuchronna i nieodłączna jak cień.

Starała się zachowywać należycie, ale przyrodzone jej siostronom skromność i powściągliwość po prostu nie leżały w jej naturze. Wprawdzie jej bliscy byli *tymi przeklętymi Irlandczykami*, jak z pogardą mawiali inni, ale pokonując ocean, wzięli ze sobą tradycję.

Co znaczyło ni mniej, ni więcej jak to, że pobożna młoda katoliczka powinna przez cały czas być zakryta po same uszy, a nie rozebrana prawie do rosołu, żeby ochłodzić się w kuszących wodach bostońskiej zatoki.

* „Wubble Dhiskey” - w jęz. angielskim gra słów, po przestawieniu pierwszych liter nazwa zmienia się w „Double Whiskey”, „podwójną whisky” (wszystkie przypisy - od tłumacza).

Rozumiał ją tylko ojciec. Twierdził, że wstąpił w nią psotny duszek, jeden z tej skrzydlatej czeredki niestrudzenie pływającej ludziom figle. „To, co siedzi w szpiku kości, trudniej wyjąć niż samą kość” - powtarzał z przekonaniem.

Sheridan zastanawiała się, czy z ust ojca padłoby to samo rozgrzeszające stwierdzenie, gdyby się dowiedział, że przed dwoma tygodniami wymknęła się do salonu tatuażu we włoskiej części miasta i zapłaciła Dużemu Johnowi McGurkowi za wykonanie maciupieńkiego tatuażu w miejscu, które oglądać miał prawo jedynie Bóg i jej przyszły mąż - jeśli kiedykolwiek znajdzie sobie męża.

Czy była ciekawa reakcji ojca?

Może jednak lepiej nie dolewać oliwy do ognia.

Ojciec klapnął na krzesło obok żony i zatopił palce w gęstych, siwych włosach - posiwiałych przedwcześnie, jak często powtarzali Sheridan rodzice.

Drobna rączka odnalazła jej palce i uściśnęła je pocieszająco. Sheridan opuściła wzrok: najmłodsza siostrzyczka Sara wpatrywała się w nią ze szczerbatym uśmiechem na piegawatej twarzyczce, a jej zielone jak szmaragdy oczy spoziierały z rozbajającym wdziękiem najprawdziwszego elfa.

Jak zawsze Sara wspierała starszą siostrę w czarnej godzinie, która przydarzała się Sheridan, jak się wydawało, z grubszą co drugi dzień.

- No i co my z tą dziewczyną zrobimy, mężu? - lamentowała matka.

- Powinien tatusiek złoić jej skórę - wtrąciła piskliwie Shannon, śląc siostrze nienawistne spojrzenie.

W dwudziestej trzeciej wiosnie życia najstarsza z rodzeństwa Shannon nadal była niezamężna, za co winę w całości przypisywała Sheridan. Shannon chciała wyjść za mąż. Twierdziła jednak, że żaden mężczyzna nie spojrzy na nią dwa razy, bo wszyscy boją się, że okaże się równie niepokromiona jak Sheridan.

Kiedy Sheridan zerknęła na drugą siostrę, zrozumiała, że

w Shawnie także nie znajdzie sprzymierzeńca. Podobnie jak Shannon, Shawna marzyła o mężu i marudziła, że w wieku dwudziestu jeden lat jest już osobą niemal doszczętnie zgrzybiałą.

Siostry przy każdej okazji użalały się nad swoim losem, i to tak długo, aż z ojca zostawał cienki jak włos strzępek człowieka. Sytuacji nie poprawiał także fakt, że przekorny brat, Shane, dokuczał im niemiłosiernie w związku z ich „staropanieństwem”.

Sheridan ponownie powiodła spojrzeniem ku ojcu, który ze znekąną miną drapał się po podbródku pokrytym kilkuniedniowym zarostem, marząc o tym, jak podejrzewała, żeby porządnie łyknąć sobie z poobijanej piersiówki, która zgoła wypalała mu teraz dziurę w kieszeni płaszcza. Płyn, który chlupotał w piersiówce, nie był jednak „esencją ducha Irlandii”, jak to miało się z flaszeczką cioci Aggie, a czystą, nierozcieńczoną księżycówką.

Pozyskaną domowym sposobem najprawdziwszą irlandzką whisky.

Sheridan raz pociągnęła łyka. Oczy niemal wyszły jej z orbit i nie mogła złapać tchu, zupełnie jakby przez jej przełyk przetoczyły się ognie piekielne. Nigdy więcej!

Widząc wlepione w siebie pełne wyczekiwania oczy rodziców i siostr, Sheridan modliła się, żeby podłoga rozstąpiła się pod nią i pochłonęła ją ze szczerem, albo żeby archanioł Gabriel sfrunął z niebios na białej błyskawicy i uniósł ją ze sobą w siną dal.

Zamknęła oczy i wzniosła modły do Pana Wszchemogącego. Odemknęła jedno i stwierdziła, że gniewne twarze bliskich nadal zwrócone są w jej kierunku, z czego wywnioskowała, iż Pan Bóg pozostał na jej błagania głuchy. Zresztą, czego innego się spodziewała?

- Tak, tatuśku. Może jak jej złoisz skórę, wreszcie się czegoś nauczy. Wszystkich nas doprowadzi do ruiny, jeśli nie przestanie się zachowywać jak dzikuska.

Jakże Sheridan marzyła, by móc odpowiedzieć kąśliwą uwagą. Powstrzymała się tylko dlatego, że i tak tkwiła już w kłopotach po samą szyję. Szyderczy błysk w oczach Shawny zapowiadał, że siostra zamierzała w pełni tę sytuację wykorzystać.

Ojciec zwrócił wzrok ku Shawnie.

- A kiedy to, bardzo ciekaw, któremuś z was złoilem skórę? Znaczą się, oprócz waszego brata. Ale jemu trzeba raz na jakiś czas natrzeć uszu, bo to chłopaczysko. Jak mus, to mus, a przecie nie chcemy, coby zaczął skakać z kwiatka na kwiatek, jeśli mnie pojmujecie. Ale dziewczęta, widzicie, trza traktować jak delikatne pączki, jeśli majom potem rozkwitnąć jak róże.

- Danny nie jest żadną różyczką, tatuśku - zachnęła się Shannon. - Ona to same kolce.

Sheridan zacisnęła pięści.

- Tak, i kolę jak osa, żebyś się nie zdziwiła.

- Nie chcę od was słyszeć takich słów, dziewczynki. Zrozumiano? - Poczekał, aż każda z jego córek kiwnie głową. - Co to ja... no tak, jestem przekonany, że dobry Bóg nam pobłogosławi i podpowie, co robić. Trzeba ino mieć wiarę.

Ojciec podpierał się tą kwestią od tak dawna, jak Sheridan sięgała pamięcią, jednak Pan Bóg nie kwapił się zbytnio z wybawieniem.

Wybawienie...

Uśmiechnęła się, gdy zaświtała jej w głowie pewna myśl.

- Zawsze zostaje Jules, tatuśku.

Jules Sinclair zaprzyjaźniła się z Sheridan, kiedy rodzina De-laneyów stanęła wobec chmary problemów w pierwszych miesiącach po ucieczce spod brytyjskiej tyranii do równie niegościnniej, jak się okazało, Ameryki. Na każdym kroku natykali się na tabliczki z napisem: *Irlandczycy mogą się nie fatygować*.

W Bostonie roiło się od imigrantów podobnych do Sheridan i jej rodziny. Znalezienie pracy graniczyło z cudem, toteż w nowym domu najpewniej umarliby z głodu tak samo, jak to im groziło w ojczyźnie, gdyby nie Jules.

Wystarała się o posady dla matki i siostr Sheridan; zatrudniły się jako podkuchenne w domu jej przyjaciółki. Dla Sheridan załatwiła pracę w kuchni Bainbridge Academy for Females, prestiżowej szkoły dla panien, do której Jules uczęszczała przez dwa cudowne, pełne radości lata.

Ależ się dobrze razem bawiły, jakież wyczyniały figle. Po dziś dzień dyrektorka podskakiwała, słysząc żabie kumkanie, gdyż przed oczami natychmiast stawały jej dziesiątki oślizgłych stworzeń wypuszczonych przez Jules i Sheridan w jadalni.

Sheridan zdążyła się mocno stęsknić za Jules od czasu, gdy nauka w Bainbridge dobiegła końca i przyjaciółka powróciła do Anglii.

Dla rodziny Sheridan fakt, że Jules jest Angielką, był źródłem nieustającego pasma zarzutów pod jej adresem. Co gorsza, Jules należała do utytułowanej elity - tak samo jak ziemianie, właściciele większości gruntów w Irlandii, zmuszający swoich dzierżawców do pracy, po której krwawiły im ręce... i serca.

I to właśnie przez posiadaczy ziemskich rodzina Delaneyów musiała uciekać z Irlandii. Ojciec Sheridan i jego brat zostali uznani za przestępców, gdyż śmieli protestować przeciwko nieludzkiemu traktowaniu i nieuczciwym praktykom stosowanym przez majątnych ziemian. Domagali się sprawiedliwości od brytyjskiego tyrana, jak tysiące ich rodaków wcześniej. I jak owe tysiące, ponieśli klęskę. Gdyby zdecydowali się na pozostanie w kraju, obaj trafiliby na szubienicę.

- Bożiczku! - Matka wyprostowała plecy. - Dziecko, nie zaczynaj znów z tą samą śpiewką, jak to chcesz popłynąć do kraju wroga.

- Jules nie jest naszym wrogiem, mamusku. - Sheridan ściągnęła brwi. - A ja nie jestem dzieckiem. Niedługo skończę osiemnaście lat.

- Niedługo skończy osiemnaście lat, mężu. Czyś ty to słyszał, mężu? Komuś tu się zdaje, że wszystkie rozумы zjadł.

- No cóż, ona rzeczywiście dorasta, żono.

Mary Margaret zacisnęła pięści i podparła się pod boki.

Jej mina jasno mówiła, że inny „ktoś” spędzi noc na zimnej podłodze, jeśli natychmiast nie przyzna jej racji.

- Och, dorasta, co? Czyżbyś chciał powiedzieć, Josephie Fitzpatricku Erasmusie - w pokoju rozległy się zdławione śmiechy - Delaney, że zła ze mnie matka, że nie wiem, co najlepsze dla krwi z mojej krwi, kości z mojej kości, dla rodzonnego dziecka, wypchniętego z mego udręczonego łona w deszczową noc bez choćby jednej tylko akuszerki, jak sięgnąć okiem? - Lubiła „zapominać”, że wydarzenie to nastąpiło w samym środku popołudnia w asyście nie mniej niż dziesięciu krewniaczek. - Czy to właśnie chcesz powiedzieć, mężu?

Ojciec przełknął ślinę; wiedział, że kiedy żona zwracała się do niego w ten sposób, nie wróżyło to nic dobrego.

- No już, już, pączusiu. Nie unos się niepotrzebnie.

Matka podniosła się powoli; brwi ściągnęła tak mocno, że złały się w jedną kreskę.

- Niepotrzebnie? No to piknie. - Założyła ręce na piersi. - Zachowujcie się, jakby mnie tu nie było. Będę w krainie nie-szczęśliwości.

Och, dopiero teraz ojciec znalazł się w poważnych tarapatkach. „Kraina nieszczęśliwości” w wydaniu Mary Margaret Delaney była miejscem tak przerażającym, że nawet aniołowie lękali się stąpać po jej grząskim gruncie, a co dopiero czyjś brzuchaty małżonek.

- Mamo - odezwała się Sheridan, a ojciec mało nie osunął się na podłogę, tak bardzo mu ulżyło, że żona zdjęła z niego ołowiane spojrzenie. - Dlaczego jesteś przeciwna mojemu spotkaniu z Jules? Sama wiesz, że to złoto, nie dziewczyna. Uczynna i tak dalej.

Matka parsknęła wyniośle.

- Jak na Angolkę - przyznała zrzędliwie.

Sheridan zadarła nos.

- To moja przyjaciółka. I była dla nas bardzo dobra.

- Co to, to tak - odważył się ją poprzeć ojciec, za co żona natychmiast go nagrodziła mrozącym krew w żyłach spojrzeniem.

Matka zaczęła krzątać się po małym pokoiku, jak to robiła często, kiedy nie życzyła sobie, by ktokolwiek rozszfrował wyraz jej twarzy.

- Ano, nie przeczę, że ta mała Angielka była dla nas dobra, ale to nie znaczy, że chcę, co byś się wdawała w konaszchy z całą tą pogańską zgrają.

- Och, matuś - wtrąciła melodyjnie Shannon - na nic innego ci Anglicy nie zasługują. Wyślij Sheridan między nich, a gorzko pożałują, że postawili stopę na irlandzkiej ziemi.

Oczy Shawny rozbłysły na tę myśl.

- Wyobraźcie sobie tylko te spustoszenia!

- I wyobraźcie sobie święty spokój, jaki mielibyśmy my, oby dobry Pan Bóg zachował nas w opiece - uzupełnił z diabelskim uśmiechem Shane i mrugnął do Sheridan.

W przeciwieństwie do sióstr, Sheridan była świadoma, że brat starał się jej na swój sposób dopomóc. Wiedział, że chciała pojechać do Anglii i zobaczyć się z Jules, widział łzy złości, którymi za każdym razem witała zdecydowaną odmowę rodziców.

Brytyjska tyrania zabiła pięciu braci ojca. Trzech kolejnych wykończył głód. Jeden zginął w walkach wyzwolenicznych pod Ballengary, jeszcze inny został wcielony do sześćdziesiątej dziewiątej Brygady Irlandzkiej*, ledwie wysiadł ze statku, i zmuszony do tego, by walczyć w obronie kraju, który był mu obcy i w którym obcy był on sam.

Prócz ojca przy życiu pozostał jedynie wuj Finny, a i on nie był już taki sam od czasu, gdy muł kopnął go w głowę. Teraz zaś uznał, że czas najwyższy podzielić się z rodziną swoimi przemyśleniami - które, rzecz jasna, nie miały z tematem rozmowy żadnego związku.

- Biada, o biada... Słoneczny to był i bezchmurny poranek, kiedy odbyła się bitwa nad Boyne - rozpoczął tyradę,

* Wielu irlandzkich imigrantów brało udział w amerykańskiej wojnie secesyjnej. Walcząca po stronie Północy 69 Brygada Irlandzka była szóstą co do liczby poniesionych ofiar.

łypiąc okiem niezakrytym czarną klapką, która zależnie od dnia lądowała na lewym bądź prawym. - My z jakobitami zajęliśmy pozycję na południowym brzegu rzeki. Przeklęte oddziały Williama okupowały północny. Naprzód, panowie, takem rzekł, oto wasi prześladowcy! Och! - Chwycił się za stopę. - Szybkom oberwał kulkę, aż w bucie dziura się ostała. - Potrząsnął pięścią, jakby komuś wygrażał. - O żesz wy zaszkorbuciali jankesi!

Sheridan i reszta rodziny dawno już przestali przypominać kochanemu, aczkolwiek nie zrównoważonemu krewniakowi, że stuknęłoby mu prawie dwieście latek, gdyby istotnie walczył pod Boyne. Wystarczająco męczące było spamiętanie wszystkich wojen, w których, jak twierdził, brał udział - okazjonalnie walcząc po przeciwnej stronie. Innym razem zaklinał się, że kiedyś był papieżem i nad rzeką Shannon chrzczył nawróconych.

Jedyną cechą Finny'ego Delaneya, która uzewnętrzniała się regularnie, była skłonność do podszczypywania niczego niespodziewających się pań w okolicę pośladków, w związku z czym Sheridan zastanawiała się nieraz, czy aby na pewno wuj był tak szalony, jak w rodzinie uważano.

Kiedy wuj Finny ponownie opadł na krzesło i niemal natychmiast przysnął, rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

Ojciec chrząknął niepewnie i przeniósł wzrok z ostatniego pozostałego przy życiu brata na Sheridan.

- Na czym to myśmy skończyli? A, tak! Matka miała wapor, a ciotka Aggie szykowała się do oddania ducha. Znowu. Twoje siostry żądały twojej głowy, a twojemu biednemu ojcu huczało w mózgu, jakby dostał młotem prosto w czaszkę. - Następnie wymierzył w córkę zakrzywiony palec. - A ty, serce moje, paradowałaś w ledwie osłoniętej nagości.

Słowo „przepraszam” w jej ustach zaczynało bezsprzecznie powszednieć, toteż Sheridan ograniczyła się do błędego uśmiechu.

Ojciec wstał i przemierzył całą długość pokoju, co spowodowało się do wykonania czterech kroków i obrotu. Zatrzymał się i spojrzał na córkę.

- Anglia, e?

Sheridan podniosła na niego pełne nadziei oczy.

- Tak, tatuśku.

Matka przestała się miotać po pokoju i spojrzała na męża z góry, wyczyn zgoła zadziwiający, zważywszy, że była od niego niższa o dobrą stopę.

- Wybij to sobie z głowy, mężu.

- Ale mamuśku...

- Nie mamuśkuj mi tutaj. Nie pozwolę, żeby mi córeczkę zdeprawowali ci grubianie.

- Tylko pomyśl, mamó. - Shannon wzięła matkę za rękę. - Może wreszcie bym sobie kogoś znalazła, gdybym nie musiała się bać, że Danny zaraz narobi mi wstydu.

Ponura twarz Shawny rozchmurzyła się wyraźnie.

- Tak, i ja też, mamó.

- Proszę, pozwól jej jechać - błagała Shannon.

Shawna podeszła, oparła twarz na ramieniu matki i podniosła na nią proszący wzrok.

- Tak, mamuśku. Niech jedzie. Ostatnio uśmiechnął się do mnie Micky O'Flannagan. Jest taki przystojny, że ojej. No i załatwił sobie dobrą pracę w fabryce drobiu. Słyszałam, że spodziewa się awansu. Może zamiast skubać te małe beastyjki, przeniesie się do pracy przy kontenerach. Och, strasznie mi się podoba. Może i ja wpadłabym mu w oko, gdyby nic mu nie przypominało, że mam Danny za siostrę.

Matka sapnęła głośno.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam tego chłopaka w kościele.

- Kościół? - Wuj Finny poderwał głowę, dotychczas zwieszoną na pierś. - Niech będzie błogosławiona święta monstrancja. - Gestykulował zakrzywionym haczykowato palcem.

- Za mojego papieżostwa rozgrzeszyłem wielu grzeszników, kładłem ino ręce, co mają uzdrawiającom moc, na ich wątłych ramionach. „Wasza świętobliwość papieżu” - oni na to - „oby światło twego miłosierdzia opromieniało królestwo niebieskie

po wieki wieków". Ach, ale to było piękne, oj, **było**. - **Potem** głowa znów mu opadła.

Prośby i błagania rozpoczęły się na nowo.

- Och, mamó, czy nie mogłabyś się jeszcze zastanowić nad wyjazdem Danny? - Po policzku Shannon popłynęła łza wielkości ziarnka grochu. - Proszę. To by tak wiele znaczyło dla Shawny i dla mnie.

- Ale co z biednym Johnnym Sullivanem? - wtrącił przekornie brat. - Dosłownie kona z miłości do naszej Danny ten głupi niedźwiedź z gór.

- Nie wypowiadałabym tych słów w jego obecności, chłopcze - zagrzmiała ciotka Aggie, wyciągnięta na plecach na wąskim łóżku w rogu pokoju. - Zaraz by cię wysłał na spotkanie ze Stwórcą.

- Ejże, ciociu Aggie, jestem bratem jego ukochanej. Na pewno będzie mnie traktował, jakbym był rzadką i kruchą figurką z porcelany, żeby nie podpaść Danny.

Sheridan spiorunowała go wzrokiem, ale tylko uśmiechnęła się szerzej i z miną wyrażającą czystą chochlikowatą przekorę zabawnie poruszył brwiami.

John Sullivan, znany w mieście jako Bostoński Siłacz, był powszechnie lubiany i stanowił chlubę irlandzkiej społeczności z racji tego, iż pozostawał niepokonany w walce na gołe pięści. Wszystkie jego dotychczasowe walki kończyły się znokautowaniem przeciwnika. Wiele osób twierdziło, że zostanie kiedyś mistrzem świata.

Sheridan nie mogła zaprzeczyć, że w zmaganiach, w których liczyła się czysta siła fizyczna, krył się pewien powab, że oglądanie dwóch muskularnych mężczyzn, w ferworze walki zwartych w mocarnym uścisku, nie było pozbawione swoistego uroku. Nigdy jednak nie poślubiłaby człowieka o ospałym umyśle, człowieka, który nie potrafiłby jej dorównać w ukochaniu życia i żądzy wiedzy.

Chciała kogoś z fantazją i poczuciem humoru... i kto nie miałby jej za złe sporadycznych wybuchów złości i skłonno-

ści do popadania w tarapaty. I gdzieś na tym wielkim świecie taki mężczyzna od dawna czekał na nią.

Taką przynajmniej żywiła nadzieję.

- Coś mi mówi, że biedaczysko Johnny już wie, że trafił z naszą Danny jak kosa na kamień - zaśmiał się Shane. - Postawić ich przeciwko sobie i założę się z wami, że Danny znokautuje go na cacy.

Sheridan zmrużyła gniewnie powieki i spojrzała na niego groźnie.

- Żebyś ja ciebie nie znokautowała na cacy, ty niedojdo! Mam nadzieję, że Johnny da ci w ucho... a ja się będę z tego cieszyła!

Shane zachichotał.

- Och, a oto i ogień, który on tak uwielbia. Próbowałem chłopakowi wytłumaczyć, że to nie ogień, ale czysty jad płynnie w twoich żyłach, siostruniu. Ale biedny sukinkot nie chciał mnie słuchać.

Jeszcze chwila i osławiona porywczosć Sheridan dałaby o sobie znać. Nie uszło to uwagi jej ojca, który zręcznie wsunął się między rozżłoszczoną córkę a syna.

- Burdy zostawmy lepiej Johnny'emu, jeśli łaska.

Shawna i Shannon zaczęły na wyścigi przymilać się do matki, przekonywać, że przyszłość całego klanu Delaneyów wisi na wyjątkowo cienkim włosku. Jak miałyby dać rodzicom małuśkie wnuczeta, żeby je mogli kochać i rozpieszczać, jeśli nie znajdą sobie mężów? Gdyby jednak posłać Sheridan do Anglii, wszystko mogłoby się jeszcze zmienić - na lepsze, rzecz jasna.

- Ja nie chcę, żeby Dany jechała! - Mała Sara mocno objęła Sheridan w tali, ciskając Shawnie i Shannon gniewne spojrzenia. - A wy dwie jesteście po prostu okropne, że chcecie, żeby nasza rodzina się rozdzieliła.

Sheridan przyklęknęła przed Sarą i uśmiechnęła się.

- Niezłe z ciebie ziółko, Saro Delaney. Przecież wiesz, że nawet jak gdzieś pojedę, zawsze będziemy rodziną, a ty najlepszą młodszą siostrzyczką, o jakiej może marzyć starsza siostra.

Sara zarzuciła jej drobne rączki na szyję.

Zapadła cisza - na całe trzy sekundy. Potem matka ucięła sprawę.

- Dość już się tego nasłuchiwałam. Nikt do Anglii nie jedzie, koniec i kropka.

Ojciec chrząknął głośno, po czym wstał i wbił w żonę stalo-
we spojrzenie, pełne stanowczości, jakiej Sheridan dotych-
czas nigdy u niego nie widziała.

- Basta, kobieto, to ja jestem mężczyzną w tej rodzinie i ja
tu będę decydował.

Matka przyglądała mu się z ironicznym grymasem.

- Och? Co ty nie powiesz?

- Owszem, powiem. - Kiwnął głową.

Sheridan wstała powoli; błysnęła jej nadzieja. Ledwie jed-
nak kątem oka złowiła minę matki, wszystkie jej nadzieje
rozwiąły się i uleciały jak dym.

Zaraz się zacznie, pomyślała i westchnęła w duchu.

- Przez prawie osiemset lat ci przekłęci Anglicy deptali
naszą godność. Ale my, Delaneyowie, przetrwaliśmy. - Mat-
ka uniosła twarz, a w jej oczach zabłysła dzika, nieokiełzna-
na duma. - Przetrwaliśmy pełne goryczy lata, wszystkie te
zimne noce, kiedy brakowało torfu na opał i małośmy nie
pozamarzali, kiedy nie było dość jedzenia, żeby nakarmić
świnie. Przetrwaliśmy wygnanie z ojczyzny do tej ciemnej
ziemi obiecanej.

Sheridan sądziła, że perora matki dobiegła końca.

Powinna była wiedzieć lepiej.

- A teraz moja rodzona córka chce pożeglować na łono
źmii. Nie chcę nawet o tym słyszeć, zrozumiano, mężu?

Sheridan przypuszczała, że ojciec się ugnie. Jednak, o dzi-
wo, nie uczynił tego.

- Musisz pozwolić dziewczynie rozwinąć skrzydła, ma-
muśku. Jules Sinclair to słodka dziewczyna. Powiedziała, że
nie pozwoli, co by naszej córce stało się coś złego, i ja jej wie-
rzę. - Powoli, ze znużeniem podszedł do żony i delikatnie

wsparł ręce na jej ramionach. - Możemy wysłać z nią Aggie i Finny'ego, coby nie było, że nie ma przyzwoitki.

Sheridan jęknęła w duchu na myśl o towarzystwie ciotki i wuja. Kochała ich całym sercem, ale wspólna wyprawa skończyłaby się tak, że przez cały czas musiałyby pilnować, żeby któreś z jej opiekunów nie wpakowało się w kłopoty, a nie odwrotnie.

- A co z ojcem Donovanem? - spytała Sheridan z nadzieją. - Ciocia Aggie nie lubi się z nim rozstawać.

- Ano, dobrze mała gada - stwierdziła ciotka i skrzyżowała ręce na piersi, jakby zawczasu ćwiczyła pozycję wiecznego spoczynku. - Nigdzie się nie ruszę bez mojego dobrego duszpasterza. Kto udzieliłby mi ostatniej posługi, kiedy nadejdzie mój czas?

Ojciec zmarszczył czoło. Sheridan znakomicie wiedziała, jakie myśli krążyły mu w tej chwili po głowie. Ciotka Aggie była okazem zdrowia i bardziej prawdopodobną przyczyną jej śmierci byłoby zderzenie z wykolejonym pociągiem niż przegrana walka z chorobą. Jednak, podobnie jak w przypadku wuja Finny'ego, spieranie się z Aggie nie zdawało się absolutnie na nic.

- Na pewno na pokładzie będzie jakiś ksiądz, a w Anglii to już całe mnóstwo - przekonywał ojciec.

- Protestantów, mogę się założyć - sapnęła ciotka i zatrzęsła się z odrazy.

- Oj, Aggie, ojciec Donovan pewnikiem ci kogoś poleci.

Zdjęta rozpaczą Sheridan wpadła mu w słowo:

- A ja myślę, że najlepiej by było, cobym pojechała sama, tatuśku. Widać, że ciocia Aggie narobiłoby to tylko kłopotów, w dodatku na pewno potrzebujecie tutaj wujka Finny'ego, żeby... cóż...

Przygryzła wargę. Wiedziała, że wuj nie robił nic oprócz picia, snucia opowieści nie z tej ziemi i obłąpywania kobiet, które nie częstowały go porządnym policzkiem jedynie przez wzgląd na sławetny cios w głowę.

- Sama nigdzie nie pojedziesz - zapowiedziała matka stanow-

czo, ze srogą miną. - Wybij to sobie z głowy. Poza tym jeszcze nie powiedziałam, że zgadzam się na ten wyjazd, prawda?

Ojciec odwrócił małżonkę w taki sposób, by stanęła twarzą do niego.

- Daj się dziewczynie wyszaleć. Może po powrocie mniej ją będzie ciągnęło do nieprzystojnych psot.

Sheridan wątpiła, by znalazł się ktoś na tyle naiwny, by ze wstrzymanym oddechem czekać, aż spełnią się przepowiednie ojca; musiałyby nastąpić cud.

Wydawało się, że cały świat umilkł w oczekiwaniu na odpowiedź matki.

Ta westchnęła ciężko i mruknęła:

- No... niech będzie. - Po czym dodała zrzędlwym tonem: - Ale ciotka i wuj też jadą, nie chcę słyszeć żadnych ale.

- Zabiorę mój bagniet. - Wuj Finny poderwał się z krzesła. - Zrobię z tych nędzników szaszłyk, nim zdążą mrugnąć okiem!

Sheridan promieniała, zbyt szczęśliwa, by myśleć o dalszych protestach. Podbiegła do matki i uściskała ją mocno.

- Och, dziękuję ci, mammo!

W swój zwykły szorstki, lecz pełen miłości sposób matka odpowiedziała jej tym samym.

- Tylko zachowuj się jak trza, serdeńko. Nie będzie ci do śmiechu, jeśli zmusisz starą matkę do tego, żeby posłała po ciebie i sprowadziła cię do domu.

- Będę grzeczna, obiecuję.

- Miej się na baczności, Anglio - odezwał się Shane. Uśmiechnął się do siostry i mrugnął szelmowsko okiem. - Oto nadchodzi dzika irlandzka róża. Z kolcami i ze wszystkim.

2

Londyn, Anglia

- Wielmożna pani księżna Davenport pragnie się zobaczyć z jaśnie panem!

Grzmiący anons kamerdynera sprawił, że głowa Nicholasa, spoczywająca dotąd na blacie biurka, poderwała się gwałtownie. Potrząsnął nią, żeby pozbyć się przykrego dźwięczenia w uszach, i czekał, aż oczy przestanie mu przesłaniać mgiełka.

Cóż, sam sobie zgotował taki los, zatrudniając niemal całkowicie głuchego lokaja, na domiar złego nieświadomego faktu, iż jego wąta krtań emituje dźwięki o sile wystrzału armatniego, ilekroć otwierał usta. Nicholas nosił się nawet z pomysłem, by przyczepić do butów lokaja dzwoneczki, tak aby ich brzęk ostrzegał go zawczasu, że służący się zbliża.

Do pokoju tanecznym krokiem wpadła drobna, ciemnowłosa kuzynka Nicholasa; zjawisko w sukni daytimej z różowego jedwabiu, której głęboki dekolot kolidował z niewinnym, panińskim kolorem materiału. Zatrzymała się w progu, śliczna, z promiennym uśmiechem na twarzy.

Nicholas odepchnął się od biurka i podszedł, żeby się z nią przywitać ciepłym, niedźwiedziowatym uściskiem.

- Witaj w domu, kokietko. Tęskniłem za tobą.

Zareagowała wielkopańskim, pełnym niedowierzania funkcjonieciem.

- Pewnie nawet nie zauważyłaś, że mnie nie ma.

Odsunął się i spojrzał w jej uniesioną twarz, oczy okolone

gęstą firaną czarnych rzęs - znak rozpoznawczy Sinclairów.

- Nieprawda. Kiedy wyjechałaś, czułem się, jakbym dryfował po bezkresnym oceanie. Jakbym spadał na głowę do bezdennej Gehenny. Roniłem rześiste łyżki w koniakówkę pełną napoleona podczas każdej karcianej partyjki, którą zaliczyłem pod twoją nieobecność.

W zielonych oczach kobiety, tak podobnych do jego własnych, zabłysło rozbawienie.

- Jestem dziwnie spokojna, że udało ci się znaleźć kogoś, kto ukoiłby twój ból. - Kuzynka znała go aż nadto dobrze.

- Cokolwiek słyszałaś, nie wierz, bo to stek wierutnych kłamstw.

- Och? - Jules przypatrywała mu się z żartobliwą powagą. - Słyszałam, że przez ostatnie miesiące był z ciebie prawdziwy święty.

- Poważnie...? Chciałem powiedzieć, co innego miałabyś słyszeć. To by wyjaśniało, skąd u mnie te dziwne ciagotki do chodzenia po wodzie.

Pokręciła głową.

- Nic się nie zmieniłeś.

- Ranisz mnie, kiciu. - Nicholas położył rękę na sercu. - Dzień w dzień chodziłem do kościoła i modliłem się o siłę, by dalej żyć.

- Och, proszę! - roześmiała się Jules. - Wiesz, że pewne osoby zakładały się, czy ty, Damien i Gray pojawicie się w kościele chociażby w dniu mojego ślubu. Chodziły słuchy, że na samym progu obrócicie się w kupkę popiołu. - Przyglądała mu się chwilę z czułym uśmiechem. - Ale patrzę, a tu wy, z wyzywającymi uśmieszkami na ustach, patrzycie z góry na oniemiałych gości, wręcz onieśmielacie ich swoim splendorem... i tacy jesteście z siebie dumni, że o mało nie popękacie, pozwolę sobie dodać.

Z wyrazu twarzy kuzynki Nicholas wyczytał, że pamiętała każdy, najdrobniejszy nawet szczegół owego dnia i że pozostaną one w jej pamięci na długie lata.

- Diabelnie przystojnie prezentowaliście się w tych gołę-
bich garniturach, reszta panów mogła wam tylko pozazdro-
ścić... oprócz mojego Williama, oczywiście - poprawiła się
pośpiesznie Jules.

Nicholas parsknął śmiechem.

- Oczywiście.

- A jednak, rzecz dziwna, ty, Gray i Damien przez cały
czas zachowywaliście się bez zarzutu.

- Tylko przez wzgląd na ciebie byliśmy skłonni się poha-
mować.

Jules wspięła się na palce i złożyła na jego policzku sio-
strzany pocałunek.

- Dziękuję ci za to - szepnęła.

- Nie ma za co - odpowiedział szeptem Nicholas.

Widząc szczęście malujące się w oczach kuzynki, Nicholas
poczuł, że gdzieś w jego wnętrzu swój szpetny łeb podnosi
osobliwe uczucie ni to tęsknoty, ni żalu. Jules, zapatrzona nie-
gdyś tylko w niego i jego braci, miała nowego bohatera.

Wszyscy trzej marzyli o młodszej siostrze, ale nigdy się
jej nie doczekali, a rola ta samoistnie przypadła w udziale Jul-
es. Oni zaś nie mogliby poważniej podchodzić do braters-
kiego obowiązku dbania o jej dobro.

Jules często im powtarzała, że są nadopiekuńczy - tylko
dlatego, że stłukli kilku jej co gorliwszych adoratorów do
nieprzytomności, a najlepszemu przyjacielowi grozili boles-
ną kastracją na wypadek, gdyby pozwolił sobie na cokolwiek
niestosownego przed dniem ślubu.

Jules wydawała się nie pojmować, że mężczyźni są z natu-
ry lubieżni i trzeba im wyraźnie wytyczać pewne podstawo-
we zasady - jak również okazjonalnie o nich przypominać.

A jeśli owo „przypomnienie” sprowadzało się zwykle do
ciosu w brzuch popartego prawym hakiem, cóż, widać tak
już musiało być.

Wprawdzie Nicholas nigdy by się do tego głośno nie przy-
znał, ale tęsknił za czasami, kiedy był najbardziej zaufanym

powiernikiem Jules, kiedy to do niego spieszyła w trudnych chwilach. Twierdziła zawsze, że był najwrażliwszym spośród wszystkich Sinclairów.

Naturalnie Nicholas żartował sobie z tego „zarzutu”. Bądź co bądź był Sinclairem, a to - biorąc pod uwagę reputację jego i jego braci - obligowało do wszystkiego oprócz wrażliwości

- Kiedy wróciłaś? - spytał.

- Wróciliśmy z Williamem do Sussex w zeszłym tygodniu. Do miasta przyjechałam wczoraj wieczorem.

- Dobrze, że już jesteś w domu. Pół roku to szmat czasu. Zdjęła rękawiczki.

- Wiesz, że William niczego nie robi na pół gwizdka. Obiecał mi najwspanialszy miesiąc poślubny, jaki mąż może sprawić żonie. Moje stopy zaświadcza, że zwiedziliśmy Włochy, Francję, Szkocję i kilka innych miejsc, których jeszcze nie naniesiono na mapy.

Nicholas roześmiał się znowu, myśląc o swoim przyjacielu, Williamie Thorntonie, ósmym księciu Davenport. Nicholas, Damien, Gray i William dorastali razem i niejednego wspólnie spletanego figla mieli na sumieniu.

Jules uwielbiała Williama od tak dawna, jak Nicholas sięgał pamięcią. William jednak zawsze traktował ją jak siostrę - aż do dnia, kiedy wróciła z Bainbridge Academy for Females w Ameryce, już nie dziecko, a w pełni rozkwitła kobieta, w dodatku kobieta piękną i ponętą.

Wtedy role się odwróciły. William uganiał się za Jules jak zakochany pies, a ona kazała mu się porządnie za sobą nabiegać. Niech to diabli, jeśli dziewczyna nie była prawdziwą Sinclairówną!

Jules zwróciła się do Emery'ego, który nadal czał się w holu, uśmiechnięta czarująco:

- Nie przypominam sobie, byśmy mieli przyjemność się poznać, kiedy ostatnio tu bawiłam.

- To Emery, kiciu - przedstawił lokaja Nicholas. - Emery, moja kuzynka, Jules Sinclair.

Jules zakasłała znacząco.

- Thornton.

Nicholas mrugnął do niej.

- Zwykłe przejęzyczenie, zapewniam cię.

Jules podała lokajowi rękę, doskonale obojętna wobec faktu, że jest księżną, a Emery zwykłym służącym. Trudno było o bardziej życzliwą wobec świata osobę i mniej zaprzatającą sobie głowę niewidzialnymi granicami nazywanymi podziałem klasowym. W oczach Jules wszyscy byli równi. Gdyby tylko było więcej takich kobiet jak Jules, pomyślał smętnie Nicholas.

Jules zagadnęła Emery'ego żartobliwie:

- Współczuję panu, że musi pan pracować dla takiego irytującego draba.

Emery jak stary puchacz łypnął oczami zza okularów o grubych szklach.

- Podagra? Nie, proszę jaśnie pani, podagry na szczęście nie mam. Ale dziękuję za troskę.

Jules zerknęła na Nicholasa ze zdumieniem.

- Obawiam się, że Emery nie słyszy najlepiej - odpowiedział Nicholas na jej nieme pytanie.

Emery'emu dawno już stuknęła osiemdziesiątka. Biedaczysko ostał się na tym świecie sam jak palec, bez rodziny. Nicholas przyjął go do siebie i dokładał wszelkich starań, by staruszek nigdy nie poczuł się tak, jakby znalazł się tu z czyjejś łaski. Był niezwykle dumnym człowiekiem.

Poza tym pojawił się ze znakomitymi referencjami - nawet jeśli wypisane były na pożółkłej ze starości kartce i pochodziły sprzed blisko trzydziestu lat.

Ale Nicholas nie narzekał. Większość dobrych lokajów nie chciała pracować u Sinclaira, a co dopiero u Sinclaira nie-utytułowanego. Równało się to zawodowemu samobójstwu.

Nicholas wskazał przedmiot, który Emery dzierżył w ręce.

- Użyj tuby. - Przyrząd przypominający kształtem łosie rogi wzmacniał dochodzące z zewnątrz dźwięki. Nicholas zakupił to urządzenie, ratując się przed popadnięciem w cał-

kowity obłąd. Najczęściej jednak Emery porzucał je gdzie popadnie i natychmiast o nim zapominał.

Pewnego razu staruszkowi zdarzyło się nawet zdrzemnąć w łóżku Nicholas'a. Ale czy Nicholas obudził Emery'ego z jego słodkich snów i odesłał zbesztanego z powrotem do jego pokoju? Nie. Zamiast tego Nicholas rozbił obozowisko na fotelu koło łóżka na wypadek, gdyby leciwy lokaj zaczął lunatykować i próbował się przy tej okazji zabić. Nicholas ocknął się rankiem ze skurczem szyi, który utrzymywał się przez najbliższe trzy dni.

Emery przyłożył tubę do ucha, a Jules powtórzyła swoją ostatnią uwagę, zaśmiewając się serdecznie.

- Nie, jaśnie pani. Panicz nie jest irytującym drabem. Traktuje mnie nad wyraz dobrze.

Nicholas trącił kuzynkę łokciem.

- Widzisz? Jestem uosobieniem ludzkiej życzliwości - powiedział z kamienną twarzą, a Jules przewróciła tylko oczami.

- Czy jaśnie pan będzie mnie jeszcze potrzebował? - spytał Emery, usiłując wyprostować swoje permanentnie przygarbione plecy. Nicholas byłby przysiągł, że słyszał, jak pocziwemu staruszkowi zatrzęszczały przy tym kości.

- Nie, dziękuję ci, Emery. To wszystko.

- Tak, proszę pana. - Mężczyzna zgiął się w tak niskim ukłonie, że Nicholas miał okazję obejrzeć sobie łysinę na czubku głowy sędziwego lokaja. Przestał już, z czego Nicholas ogromnie się cieszył, nosić idiotyczną upudrowaną peruczkę, w której wyglądał jak żywcem przeniesiony z ubiegłego stulecia. Kiedy w niej paradował, Gray żartobliwie przezywał go „Ojcem Czasem”.

Jules zaśmiała się cicho, wracając spojrzeniem od oddalającej się postaci Emery'ego do Nicholas'a.

- Wydaje się ogromnie sympatyczny.

- Kiedy nie śpi, jest dość sympatyczny.

Przez dłuższy czas przyglądała się kuzynowi z tak wyęzowaną uwagą, jakby na środku czoła wyrosło mu trzecie oko.

- Muszę jednak przyznać, że jestem zaskoczona.

- Zaskoczona? Czym? Że jeszcze wyprzystojniałem od twojego wyjazdu?

- Nigdy nie ulegało wątpliwości, że jesteś przystojny. Zbyt przystojny, by mogło ci to wyjść na dobre. Współczuję wszystkim biedactwom, które zakochują się w braciach Sinclair.

- W takim razie odwiedź Damiena i spytaj jego żonę, czy potrzeba jej litości. Upominek w postaci tabliczki z napisem „nie przeszkadzać” byłby bardziej na miejscu. Jak byliśmy razem na kolacji, przez cały czas gapili się na siebie jak para zakochanych nastolatków i dosłownie dyszeli z pożądania. Szczerze mówiąc, aż się od tego niedobrze robi. Ręce mi się poca, kiedy ta parka jest gdzieś w pobliżu.

Jules wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami i z osłupiałą miną - Nicholas miał okazję oglądać identyczny wyraz zdumienia na twarzach wszystkich, którzy dowiadywali się, że Damien wrócił, holując za sobą żonę - i to jaką... Dziewczynę, która miała zostać zakonnica.

Diabeł został nawrócony. I wnioskując z tego, czego Nicholas był świadkiem do tej pory, brat żył sobie jak w raj. Brakowało mu tylko ślicznych białych skrzydełek i harfy, żeby dopełnić ten idylliczny obrazek.

Nicholas nadal miał mieszane uczucia. Jego mentor - mistrz rozpusty, który często mawiał: „Mężczyzna potrzebuje żony jak szyja skurczu” - dał sobie przykuć do nogi kulę zwaną kobietą.

Nicholas dorastał, ucząc się, że istnieją trzy istotne rzeczy niezbędne do przetrwania, i nie było to czytanie, pisanie i arytmetyka, lecz wiedza, że nie powinno się nigdy próbować zrozumieć: życia pszczoł, zjawiska przypływów i odpływów oraz umysłu kobiety. Te wskazówki dobrze mu służyły od lat.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - wykrztusiła Jules, kiedy odzyskała głos. - Damien... żonaty.

- Wiem, dziewczyno. Damien i małżeństwo to słowa, które zupełnie nie idą w parze, prawda? To raczej jak niebo i pie-

kło. Czerń i biel. Woda i ogień. Groszek i marchewka. - Nicholas zmarszczył czoło. - Zaraz, groszek i marchewka niosą w sobie jakąś harmonię, więc je pomińmy.

Jules nie słuchała. Oczy nadal miała szkliste, a minę zdumioną, zupełnie jakby Nicholas poinformował ją właśnie, że Jezus wpadnie do nich na kolację.

Potem zamruwała oczami i wróciła jej zdolność trzeźwego myślenia.

- Kiedy? Gdzie? Jak? - Pytania, które często padały w ostatnim miesiącu.

- W klasztorze. Nie dalej niż miesiąc temu. I Bóg jeden wie, jak. Zdumiewające, nieprawdaz? A naukowcy twierdzą, że jest tylko siedem cudów świata. Przekłete niedowiarki

Jules pokręciła głową.

- Tak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie.

- Nie tylko u Damiena, jak widzę. - Nicholas spojrzął z uśmiechem na zaokrąglony brzuch kuzynki. - William nie dał ci próżnować.

Z czułością kobiety oczekującej pierwszego dziecka Jules położyła rękę na ukrytej pod suknią wypukłości. Z jej twarzy biło wewnętrzne światło.

- Oj, nie dał - powiedziała cicho, pełna sekretnego zadowolenia.

- Będę musiał nauczyć kolejne pokolenie, co znaczy być Sinclairem. - Nicholas promieniał. - To nazwisko niesie ze sobą pewną odpowiedzialność, jak sama wiesz.

Posłała mu spojrzenie, które jasno mówiło, że piekielne furie to pestka w porównaniu z gniewem kobiety podejrzewającej, że z umysłem jej dziecka chce sobie igrać zbłąkany kawaler. Wydawała się zaskakująco rozszokowana jak na przyszlą matkę. Rumieńce na jej policzkach nie miały nic wspólnego z zaawansowaną ciążą, raczej z pragnieniem, by dać Nicholasowi po głowie pierwszym przedmiotem, który nawinie się jej pod rękę.

- William każe sobie podać twoje serce na srebrnej tacy, jeśli ośmielisz się deprawować jego syna lub córkę.

Można było odnieść wrażenie, że William nie był jedyny.

- Staruszek William tak się ostatnio posunął, że nazbyt łatwo popada w złość - zazartował Nicholas. - Szczerze mówiąc, to dziwię się, że w ogóle wiedział, jak powołać na ten świat potomka.

- Wiedział, wiedział. Już ty się o to nie bój. - Usta Jules rozciągnęły się w lekkim uśmiechu. - Nie sądzę jednak, żeby zachwyciły go twoje komentarze na temat jego sędziwego wieku, zwłaszcza że jest od ciebie starszy zaledwie o pięć lat.

- Tylko pięć? Myślałem, że co najmniej dwadzieścia.

Jules wzięła się pod boki i wbiła w kuzyna gniewny wzrok. Jej oczy ciskały błyskawice zdolne w każdej chwili na miejscu go przepołowić.

- Nie powtórzę mu tego, co powiedziałeś. Mógłby uznać, że taka zniewaga woła o pomstę, a osobiście wolałabym, żeby moje dziecko nie musiało krzyczeć ze strachu na widok kogoś z rodziny.

Nicholas przekrzywił głowę i parsknął śmiechem.

- Kiciu, wszystko ci się pomyliło.

- Czyżby? - Jules ironicznie uniosła wąską brew. - Przysięgłabym, że to William wyszedł górą z waszej ostatniej barbarzyńskiej męskiej próby sił.

Nicholas skrzywił się.

- Dałem łobuzowi wygrać - mruknął zrzędlwym tonem, zirytowany tym przytykiem.

- Męskie ego to taka delikatna rzecz. - Jules ze śmiechem ominęła Nicholasa, który chmurne miny mógł teraz słać jedynie pod adresem ściany. - Co porabiałeś od mojego wyjazdu? Chyba nie ściągnąłeś na siebie zbyt wielu kłopotów?

- Całe mnóstwo. - Obrócił się twarzą do niej i precyzyjnie poruszył brwiami.

- Jesteś beznadziejny. - Kobieta próbowała wygodnie umościć się na sofie; zadanie wcale nie takie łatwe, biorąc pod uwagę rozmiary jej brzucha.

Nicholas doskoczył do sofy, by pomóc Jules, po czym usiadł obok niej.

- No cóż, teraz, kiedy wróciłaś, możesz mieć mnie na oku. Pod warunkiem, że ten poganiacz niewolników, twój mąż, sam spuści cię z oka na dość długo, żebyś mogła stać się moim drugim cieniem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele przykazań dobrego Pana Boga nieumyślnie nagiąłem, czy raczej złamałem, pozbawiony gwiazdy przewodniej w twojej osobie, światełka zdolnego wyciągnąć mnie z czarnej otchłani.

Jules z czułością odgarnęła mu niesforny kosmyk z czoła.

- Pewnego pięknego dnia, drogi kuzynku Nicky, dostaniesz za swoje. I mam nadzieję, że stanie się to na moich oczach.

- To nie zabrzmiało szczególnie życzliwie, dziewczyno.

- Oj, cicho bądź! Prosisz się o solidnego kopniaka w cztery litery.

- Widzę - zauważył Nicholas ze śmiechem - że małżeństwo nie złagodziło twojego charakteru. Dalej mówisz, co myślisz, i to prosto z mostu.

Jules energicznie pokiwała głową.

- I to się nie zmieni, toteż wy mężczyźni lepiej się do tego przyzwyczajajcie.

Nicholas zasalutował jej dziarsko.

- Tak, psze pani. Czy to wszystko, psze pani? A może wyglansować pani buty? Wypolerować guziki? Potrzytać torebkę? A może tylko paść do ślicznych nóżek?

- Lepiej, żebyś nie... *och!* - Oczy zrobiły się jej okrągłe jak spodki. Jedna dłoń wbiła się w poręcz sofy, druga spoczęła łagodnie na szczycie krągłego brzucha.

Na widok pobladłej twarzy kuzynki Nicholas poczuł się tak, jakby na jego szyi zacisnęło się imadło. Zerwał się z kanapy i przyklęknął przy nogach Jules.

- Co się stało, skarbie? Boli cię coś? Chcesz się położyć? Wezwać doktora?

Jules położyła rękę kuzyna na swoim brzuchu.

- Kopnęło.

Nicholas przełknął ślinę.

- To ono... tak może?

- Ci mężczyźni! - westchnęła Jules i przewróciła oczami.

Gospodarz uśmiechnął się nerwowo: zdecydowanie nie czuł się w swoim żywiole. Dzieci przyprawiały go o gęsią skórkę, podobnie jak brzemiennie. Jedne i drugie miały w sobie coś ewidentnie kruchego, co sprawiało, że czuł się jak niezdarne niedźwiedź. Tym bardziej dziwił fakt, iż sam także myślał o ustatkowaniu się i założeniu rodziny - bo przecież nie wierzył już, że dzieci przychodzą na ten świat tak, jak to w dzieciństwie wmawiał mu Gray.

Nicholas miał dziesięć lat, kiedy Gray, w jego oczach czternastoletni światowiec, powiedział mu, iż zdaniem Damiana - najstarszego z braci, a zatem najmądrzejszego - że aby kobieta zaszła w ciążę, trzeba w nią włożyć nasienie.

Nicholas wpatrywał się rozszerzonymi ze strachu oczami w leżące na jego dłoni nasiona słonecznika, swój ulubiony smakołyk. Ogarnięty paniką, rozmyślał gorączkowo, czy częstował słonecznikiem śliczną małą blondyneczkę, córkę jednego z dzierżawców.

Przez wiele następných tygodni drżał na myśl o dniu, kiedy dziewczynka oznajmi mu, że spodziewa się dziecka. Perspektywa zostania ojcem sprawiała, że pot lal się mu po plecach strumieniami - reakcja, która prześladowała Nicholasa po dziś dzień, choć był już przecież dorosły.

Zastanawiał się, co też powiedzą rodzice, kiedy sprawa się wyda, dumał, czy każą mu opuścić dom, czy będzie mógł zabrać ze sobą kucharkę, Marthę. Martha bowiem przyrządzała pudding tak, jak lubił - na mleku zamiast na wodzie.

Potem zaś pojawiło się zasadnicze pytanie: Czy jego przyszła żona będzie się kładła spać o tej samej porze, co on? A co, jeśli pozwalają jej kłaść się później? Ta możliwość przepajała jego dziesięcioletnie serce prawdziwą rozpaczą. Chwała Bogu, że jednak nie zaszła w ciążę.

Nie powinno zatem dziwić, iż od owego dnia Nicholas

przestał zajadać się nasionami słonecznika - i nie tknął ich do dziś.

Początkowo Nicholas winą za własne niewytłumaczalne pragnienie, by wyrzec się błogiego żywota rozpustnika i awanturnika, obarczał Damiena oraz fakt, iż brat złamał zawarty przed laty układ, na mocy którego mieli nigdy nie ugiąć się przed jarzmem małżeństwa. Pokusa, by skazać się na ten sam los, wypływała, jak przypuszczał, z dziecinnej ambicji czynienia dokładnie tego samego, co brat, na zasadzie „jak-ty-możesz-to-ja-też”.

Nie tu jednak był pies pogrzebany.

Potrzeba znalezienia swojej drugiej połowy w osobie kobiety, którą nazywał w myślach żoną, zaczęła kiełkować w Nicholasie na długo przed ślubem Damiena. Tyle że się do tego nie przyznawał. Ale tylko dlatego, że koniec końców przyznać się musiał, iż nie zamierzał rzucać się na łeb, na szyję do mętnego bajora domowych obowiązków. Wystarczyło, by to sobie wyobraził, a zaczynał się trząść jak pijak po trzech dniach rozłaki z butelką.

Jedyną decyzją, jaką Nicholas podjął, było to, że kiedy się ożeni, jego wybranką będzie kobieta o nieskazitelnym charakterze: subtelna, posłuszna, niewinna.

Wierna.

Inna niż jego matka. Ledwie o niej pomyślał, poczuł skurcz w żołądku.

- Dobrze się czujesz? - zatroskała się Jules. Nakryła ciepłą dłonią rękę kuzyna.

Nicholas otrząsnął się z niepokojących myśli i uśmiechnął się.

- Świetnie. Dlaczego pytasz?

- Zaciskasz zęby.

- Myślałem o bólu w plecach.

- A bolą cię? Co się stało?

- Na razie nic, ale kiedy spróbuję podnieść cię z tej sofy, będzie jak z Mahometem i górą.

- Ty potworze! - fuknęła, ale usta jej drgały. Po chwili razem z kuzynem śmiali się w najlepsze.

Kiedy Nicholas się uspokoił, spytał poważniejszym tonem:

- To boli?

Jules pogłaskała się po brzuchu.

- Nie. - Pokręciła głową. - To cudowne uczucie. Tuż pod moim sercem tkwi piękny mały człowieczek, którego powołaaliśmy do życia wspólnie z Williamem. To budzi we mnie uczucia, których nie potrafię nazwać.

Pod ręką Nicholasa coś się poruszyło. Następnie poczuł coś, co można było określić jedynie jako słałbiuteńki kopniak. Serce w nim zamarło.

- Boże słodki - wyszeptał. Świadomy tego, że wygląda jak zdziwiony uczeń, wpatrywał się w kuzynkę nabożnym wzrokiem. - A niech mnie. Rusza się!

- Ja myślę. Ten bezczelny brzdąc jest ostatnio niezwykle żywy.

Z oczu Jules biła miłość do nienarodzonego jeszcze dziecka, a Nicholas poczuł w piersi dziwne ukłucie bólu, który co pewien czas wdzierał się w jego duszę niczym szare, natrętne czułki niewidzialnego pasożyta.

Powoli zabrał dłoń.

- Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem.

- Zdenerwowałeś? Nie bądź głuptasem.

- Tak czy siak... - Nicholas wstał gwałtownie i przeganiał palcami włosy. - Czy... czegoś ci potrzeba?

Nim zdążyła odpowiedzieć, przyciągnął stolik koktajlowy do sofy, nie zważając na to, że rysuje podłogę, po czym podniósł nogi kuzynki i oparł je na blacie.

- Co ty wyprawiasz?

- Chcę, żeby ci było wygodnie.

Ramiona jej zadrgały od bezgłośnego śmiechu.

- Wolałabym, żebyś raczej usiadł koło mnie. Mam do ciebie prośbę...

Nicholas usiadł obok kuzynki i powiedział tonem zachęty:

- Wal śmiało.

- Pamiętasz list, który wysłałam do ciebie mniej więcej przed miesiącem?

Szukał w pamięci, lecz niczego się nie doszukał. Gdy szło o jego ukochane konie, pamiętał wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, wręcz był z tego znany. Cała reszta jednak tonęła w ogólnym chaosie.

- Wszystko, co pochodzi od ciebie, przechowuję jak bezcenny skarb.

Przyglądała mu się z uniesioną brwią i niemalże sceptycznym wyrazem twarzy.

- Zapomniałeś, prawda?

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Tymczasowy zanik pamięci, zapewniam cię. Odśwież moją pamięć.

- No tak, wspominałam, że spodziewam się wizyty miłego sercu gościa.

- Dla twojego dobra mam nadzieję, że ów gość nie ma tubalnego głosu i włochatych nóg, zwłaszcza jeśli William wciąż nie pozbył się tamtego starego muszkietu, który wisi u niego w biurze.

- Mój William jest prawdziwym dżentelmenem i zazdrość jest mu obca.

Nicholas parsknął śmiechem - tak energicznie, że był wręcz zdziwiony, iż stojący po drugiej stronie pokoju wielki fotel z zagłówkiem nie podjechał pod ścianę.

- Mówimy o tym samym Williamie? O tym, który trzymał koniuszego nogami do góry nad dziurą pełną węży tylko dlatego, że się biedaczysko do ciebie uśmiechnął?

- Nie zrobił nic podobnego! - Jules mówiła autorytatywnie jak mały generał. - Tam nie było żadnych węży.

- Czy twój mąż wie, jak namiętnie go bronisz?

- Mam nadzieję! Chociaż... - Uśmiech Jules przybladł.

- Chociaż?

- Nie był szczególnie zachwycony moim przyjazdem do

miasta w tym stanie. Powiedziałabym wręcz, że odrobinę się poprzytykaliśmy, zanim wreszcie wyruszyłam.

- Ale oto i jesteś. Przeczucie mi podpowiada, że nadal stawiasz na swoim, tyranie.

Jules leciutko wydeła usta - wystarczająco jednak, by rozmiękczyć serce każdego mężczyzny.

- Zapowiedział mi, że jeśli uprę się przy przenosinach do miasta, to on pojedzie ze mną. Ale miał kilka spraw do omówienia z ekonomem, poza tym jego uwagi wymagało kilka kwestii związanych z parlamentem, toteż zaproponowałam, żeby został. I uwierzysz, że on na mnie najzwyczajniej zawarzał? Warczał! Na litość boską, próbowałam tylko zachowywać się jak troskliwa żona. Czy ten wielki głuptas naprawdę sądził, że wolę jechać sama?

Nicholas nie potrafił sobie wyobrazić tej sceny. William z wysokości sześciu stóp i pięciu cali piorunuje wzrokiem drobniutką żonę, która grozi mu palcem i tupie elfią stópką, za wszelką cenę starając się postawić na swoim. I, rzecz oczywista, w końcu się to jej udało. William ugiął się i skłęśł w sobie jak za szybko wyjęte z pieca ciasto drożdżowe.

Jakże Nicholas cieszyłby się, oglądając to na własne oczy! Dobrze, że przynajmniej wiedział, kto w *jego własnym* domu będzie ustalał zasady, kiedy sam pozwoli zakuć się w matrymonialne kajdany. Żadne chuchro nie będzie mu niczego dyktować, na Boga.

- To samo przecucie mówi mi, że twój mąż pokaże się tutaj, zanim się zdążymy obejrzeć. Ale wróćmy lepiej do twojego gościa.

Jules na to przypomnienie natychmiast poprawił się nastrój.

- Nazywa się Sheridan Delaney. To moja znajoma z Bostonu.

- Ach, z uświęconych dni w Bainbridge Academy, instytucji, która miała uczynić z ciebie prawdziwą damę. Co zrobili nie tak, zastanawiam się?

Z miny kuzynki wywnioskował, że kobiety w ciąży mają

o wiele mniej cierpliwości od swych niebrzemiennych odpowiedniczek.

- Jak wspominałam w liście, Sheridan przyjeżdża z wizytą. Spodziewam się jej lada dzień. Pokochasz ją, zobaczysz.

- Z pewnością pokuszę się o próbę. - Nicholas mrugnął znacząco.

Jules wymierzyła mu żartobliwego klapsa.

- Och, przestań, dobrze?

Nicholas położył dłoń na sercu.

- Przysięgam, że będę grzeczny. - Drugą schował za plecami i skrzyżował dwa palce. - A zresztą, skoro to dziewczyna z bostońskiego towarzystwa, najpewniej jest równie sztywna jak gnaty Emery'ego, a nos nosi tak wysoko, że przez cały rok robią się na nim sople. Nie narzekamy na brak osób tego typu tutaj u nas, toteż nie wątpię, że zdołam nad sobą zapanować.

Niepokoili go tylko mina kuzynki. Gdyby nie znał jej tak dobrze, dałby głowę, że natrzęsała się z niego w duchu.

- Pięknie - powiedziała podejrzenie zdławionym głosem. - W takim razie zgaduję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy zatrzymały się u ciebie.

- Tutaj? Ty i ona?

- Nawet nas nie zauważysz, tym bardziej że zamierzasz panować nad sobą. - I znów ta mina.

- Wiesz, że cię uwielbiam, kiciu, ale dlaczego miałybyście chcieć przeprowadzić się do mnie? -I jak on sam miałby odgrywać rolę beztroskiego kawalera, mając pod dachem dwie kobiety? - A twój dom?

Jules skrzywiła się.

- Teściowa zarekwirowała go na cały sezon.

Nicholas nie potrzebował dłuższych wyjaśnień. Starsza pani Thornton nie była szczególnie zachwycona, gdy jej jedyny syn, którego gotowa była z miłości zadusić, poślubił dziewczynę z tych „obmierzłych Sinclairów”. Wprawdzie Jules była na swoim, niemniej teściowa z pewnością uprzykrzyłaby jej czas spędzany ze znajomą.

- No dobrze, kiciu. Przywieź tu tę swoją przyjaciółkę. Postaram się być grzeczny, ale sama wiesz, jak kłopoty mnie lubią.

Usta kuzynki rozciągnęły się w nieznacznym uśmiechu, na którego widok tknęło go przelotne, aczkolwiek nad wyraz niepokojące przeczucie.

- Nie tylko ciebie.

3

- Nie powinien jaśnie pan spacerować po nocy... i w pańskim stanie.

Odpowiedzią Nicholasa na uwagę stangreta był gest symbolizujący brak szacunku dla rozmówcy - którego nie zdarzyło się Nicholasowi stosować od dzieciństwa, a który wymagał użycia języka oraz ust i częstokroć kończył się opryskaniem niczego nie spodziewającej się, a przede wszystkim stojącej zbyt blisko osoby płynem, który nie miał nic wspólnego z deszczem.

Tym razem niczego nie spodziewającą się osobą okazał się stangret.

- Cz... czy chcesz mi zafugerować, ehem, zasugerować, że jestem podmielony, Nash?

Dziwne, pomyślał Nicholas. Bez problemu poruszał szczęką, ale język leżał w ustach nieruchomo jak filet z makreli, słowa spływały z niego jak gęsta, lepka melasa po lodzie. Nawet w jego własnych uszach brzmiało to tak, jakby mówił, mając usta pełne szklanych kulek.

- Podmielony, proszę pana?

- Znaczy się, podchocholony. - Z ust Nicholasa wyrwał się dziwny odgłos, w zamyśle śmiech, w praktyce o wiele bardziej przypominający czkawkę. - Hmm... Podgolony?

Potknął się, wysiadając z powozu; kołysało nim jak marynarzem w czasie sztormu, choć stapał po stałym lądzie.

- A, pal sześć. Na cyku, zalany, zawiany jak się patrzy.

- Otóż to, jaśnie panie. Lepiej bym tego nie ujął.

- Uraziłeś mnie do żywego, Nasz. Ja tylko... ee... - Nicholas podrapał się po podbródku. - Co to ja mówiłem?

Nash podtrzymał go, nim zdążył upaść na twarz.

- Jaśnie pan mówił, że najlepiej będzie, coby pan zaraz wrócił do domu i trochę się przespał. - Mówiąc to, Nash starał się popchnąć go w kierunku powozu.

- Do domu? - Nicholas poczuł neodpartą ochotę, by usztywnieniem postawy zmanifestować swoje oburzenie, jednak jego ciało nie zdobyło się na nic ponad dziwny, konwulsyjny podryg. - Noc jest jeszcze młoda, a mnie jest piekielnie wesoło.

- Piekielnie, owszem, ale coś mi mówi, że „wesoło” to jaśnie panu jutro rano nie będzie.

- Bzdura... ee...?

- Nash.

- A, tak. Nash! - Nicholas klepnął stangreta w plecy. - Zaczny z ciebie chłop i... co ty robisz na ziemi?

Nash podniósł się z trudem, wyprostował plecy i skrzywił się z bólu.

- Powóz jest tam, jaśnie panie.

Nicholas gwałtownie przechylił głowę, aż niemal zetknęła się z ramieniem.

- Faktycznie, tam właśnie jest, a na dodatek jaki ładny! Czerń zawsze była jednym z moich ulubionych kolorów, wiesz. - Ściszonym, choć tylko w zamyśle, głosem dodał: - Ale o tym ani mru-mru. To tajemnica. Ciii. - Przycisnął palec do ust

- Nikomu nie powiem. - Nash wziął Nicholasa pod rękę i próbował zawrócić z nim w kierunku powozu. - A teraz idziemy do domu.

- Co ty masz za hysia z tym domem? - Nicholas wyszarpał się z uchwytu stangreta i obrócił na pięcie. Potem zrobił

głęboki wdech. - Ach, nic nie pachnie tak jak morze, prze-
można woń soli, lekki zapach ziemi. - Węszył głośno. -
Hmm, a co to za inny aromat?

- Zdechłe ryby - mruknął Nash.

Nicholas uniósł znacząco brew, a przynajmniej tak mu się
zdawało. Czoło, podobnie jak reszta jego ciała, popadła
w stan całkowitego odrętwienia.

- I co się tak gapisz z nosem na kwintę, Nash? Jak to tam...
z kwintą na nosie...? - Dumał przez sekundę, ale zaraz zapo-
mniał, nad czym. - Taka z tobą zabawa jak z dziurą w zębie
i muszę powiedzieć, że psujesz mi humor. Powinienem się
weselić. Żenię się, wiesz?

Wydatna grdyka Nasha zadrgała, a Nicholasowi przypo-
mniał się jeden z jego szpetnych, aczkolwiek skutecznych
spławików.

- Jaśnie pan się żeni? Kiedy?

- Pewnego dnia. Pewnie szybciej, niż byś przypuszczał. Zde-
cydowanie za tego życia. - Wzruszył ramionami. - Tak myślę.

- Moje gratulacje. - Nash drapał się po głowie. - Tak myślę.

- Dziękuję ci, mój dobry człowieku. Kobietkę już sobie
rozebrałem, ehem, wybrałem.

- Oo? I kim jest ta szczęśliwa wybranka, jaśnie panie?

- Lady Jessica... - Nicholas urwał i zmarszczył czoło. - Szlag,
zapomniałem nazwisko. Jakoś tak mi się kojarzy z zadkiem.

Nash wydał taki odgłos, jakby się czymś dławił.

- Z zadkiem, jaśnie panie?

- No z siedzeniem, człowieku. Tyłkiem. Już mam!

- Tyłek...?

Nicholas prychnął, a Nash gwałtownie odsunął się z za-
sięgu jego śliny.

- Nie, człowieku. Podała mi nazwisko *chyłkiem*. Reardon.
Jessica Reardon. Zrobiłem wywiad na jej temat i myślę so-
bie, że zda egzamin jako następna pani... - Ściągnął brwi.

- Sinclair - litościwie uzupełnił Nash. - Jaśnie pan zrobił
wywiad?

- Oczywiście. Musiałem się upewnić, że wiem, co mi się dostanie, prawda? - Chwiejąc się na miękkich nogach, Nicholas wychylił się do przodu i dodał konspiracyjnym szeptem: - Trzeba mi uległej istotki, która zna swoje miejsce i będzie robić, jak jej każę. Nie życzę sobie żadnych niespodzianek Piękne dzięki za niespodzianki, proszę pana. - Następnie oparł się o Nasha, by odzyskać równowagę, i odrzucił niesforne włosy z czoła; niemal natychmiast zsunęły się na nie z powrotem.

- No to zmykam. Muszę odszukać mojego przesiewnego... prześwieśniego... - Hmm... Może rzeczywiście za dużo wypiłem. - Uniósł rękę na wysokość twarzy, wyprostował dwa palce, ale doliczył się czterech. Ciekawostka. - Muszę znaleźć brata. Muszę przekazać mu dobrą nowinę.

- Czy nic, co powiem, nie przekona jaśnie pana, żeby odłożył to na później? - Najwyraźniej Nashowi ten koncept nie mieścił się po prostu w głowie.

- Nic a nic. Jestem człowiekiem, który wie, o co mu chodzi, panem swego losu, samotnym statkiem żeglującym ku wspaniałemu zachodowi słońca podczas wyprawy odkrywczej - i tak dalej.

Po tym pompatycznym - w większej części - oświadczeniu Nicholas ruszył przed siebie.

- Jaśnie pan żegluje w niewłaściwym kierunku - zauważył Nash. - Statek brata jaśnie pana stoi na drugim końcu doku.

Nicholas odwrócił się na pięcie, demonstrując przy tym niewiarygodny wręcz zmysł równowagi, i zmroził stangreta wzrokiem.

- Przemądrzalec - wymamrotał, po czym chwiejnie pomaszerował przez dok w poszukiwaniu statku brata, „The Lucky Lady”, ku szczerzej rozpaczliwej stangreta.

Blisko tydzień upłynął od spotkania Nicholasa z Jules i późniejszego jego odkrycia, że w duchu uległ prośbie kuzynki o udzielenie schronienia jej i jej przyjaciółce o wiele wcześniej, niż głośno się do tego przyznał. Co znaczyło, że poprosiła go o zgodę tylko dlatego, żeby zachować pozory.

Czy by się zgodził, czy nie, Jules dopięłaby swego. Toteż niebawem w jego domu pojawiły się bagaże Jules, a znikła jego kawalerska swoboda.

Co gorsza, pojawiły się także kwiaty.

Kwiaty w domu mężczyzny! To wbrew obyczajom.

Te kolorowe, mdląco pachnące zielska zaczęły się panoszyć we wszelkich możliwych zakamarkach jego siedziby.

Jakby samo to nie było wystarczająco okropne, jego służba szybko zapomniała, kto płaci im pensję, i zamiast do jego poleceń zaczęła stosować się do instrukcji lady Jules, co Nicholas obserwował, zgrzytając zębami z bezsilnej złości. We własnym domu stał się intruzem. A niech to szlag, dom mężczyzny powinien być jego twierdzą.

- Ale nie wtedy, kiedy patałęta się po nim jakaś baba - mruknął z rozdrażnieniem.

Miara goryczy przebrała się, kiedy Jules wymierzyła mu lekkiego klapsa w rękę w chwili, gdy chciał skubnąć jednego z dań przeznaczonych na kolację, i dodała, że zachowywał się nie lepiej niż rozpieszczony dzieciak. Wściekł się. Ona się wściekła. W tym momencie postanowił podkreślić swój status mężczyzny.

Toteż czmychnął z domu jak zbity pies, któremu zdarzyło się pozostawić niemile widziany prezencik na bezcennym, ręcznie tkanym dywanie.

Można by przypuszczać, że Nicholas zaprotestuje, tupnie nogą... albo przynajmniej zacznie skomleć. Czy tak jednak uczynił? Nie.

- Tchórz. - Wcisnął ręce do kieszeni i, powłócząc nogami, człapał przez dok jak naburmuszone dziecko.

Można by również przypuszczać, że zmieni zdanie na temat założenia rodziny. Ta perspektywa jednak zamiast ciążyć mu niczym blok granitu pływakowi, który ma pod sobą pięćdziesiąt stóp wody, sprawiła, że czuł się rozochocony i podniesiony na duchu. Jego żonie nie ujdzie płazem wyczy--anie podobnych brewerii, choć uchodziło jego kuzynce.

Z jego wybranką to będzie zupełnie inna historia. Nicholas będzie dla niej bogiem.

- Otóż to, do ciężkiego diabła. - Kiwnął głową, przyznając rację samemu sobie, skoro nikt inny nie chciał tego zrobić. - Moja żonka, jakakolwiek by była, będzie posłuszna. Jeśli będę chciał uszczknąć kęs z kolacji, to sobie uszczknę, jeśli przyjdzie mi fantazja zostawić mokry ręcznik na łóżku i rozrzucić brudne ciuchy po całym pokoju, to tak właśnie zrobię, psiakrew, a jeśli będę chciał paradować po domu na golasa i śpiewać zbeżne piosenki, *niechaj tak będzie*. Żadna baba nie będzie mi...

Nicholas zatrzymał się w pół kroku, gdy do mglistych zakamarków jego mózgu przedarła się muzyka, przerywając tę jednostronną dyskusję. Ktoś wygrywał na skrzypcach skoczną melodyjkę, słycać było rytmiczne klaskanie. Nicholas zmrużył oczy i rozejrzał się. Widok, jaki ujrzał, zaparł mu dech w piersi.

W złocistym blasku lampki na pokładzie statku tańczyła dziewczyna. Długie do pasa miedziane włosy kołysały się przy każdym ruchu, zwiewne ciało przykuwało wzrok. Uniesiona na wysokości kolan spódnica ukazywała nogi, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, stopy poruszały się cudownie zsynchronizowane z każdą nutą gigi*.

Nicholas zamrugał oczami w przeświadczeniu, że wyobrażenia splątała mu figła. Ale nie. Dziewczyna istniała naprawdę.

Boże, była wspaniała. Poruszała się z idealnym wycuciem rytmu i niewinną zmysłowością. Prawdziwa uczta dla oczu. Zawisły na niej spojrzenia wszystkich obecnych na pomoście osób, w większości mężczyzn, jak odnotował Nicholas z niejaką irytacją. Zmrużył powieki, żeby zawęzić pole widzenia, wymazać wszystko oprócz niej.

Imperatyw zobaczenia się z bratem stał się odległym wspomnieniem. Nicholas bez tchu obserwował dziewczynę,

*Giga - irlandzki taniec o skocznym tempie.

a jego ciało odpowiedziało huraganowym wręcz - o dotychczas niespotykanej mocy - przypływem żądy.

Muzyka przebrzmiała. Rozległ się gromki aplauz, oklaski i gwizdy, głosy żebrzące o jeszcze jeden taniec. Odpowiedział im srebrzysty śmiech, dźwięczny jak kurant i pełen słodyczy, który przepoił lędźwie Nicholasa nieznośnym bólem.

Dziewczyna z uśmiechem potrząsnęła głową, odmawiając prośbom, a jej włosy zalśniły jak płynny ogień. Odpowiedział jej zbiorowy jęk rozczarowania; mężczyźni wyglądali na przegnębionych, część zaczęła się niechętnie rozchodzić.

Nicholas nie mógł oderwać od niej oczu. Wachlując się dłonią, odgarnęła kaskadę włosów na plecy, potem objęła grubę pasma palcami i uniosła je z karku, skutkiem czego materiał bluzki mocno napiął się na jej pełnych piersiach. Miała piękną szyję, o eleganckiej linii, szyję, która stworzona była do tego, by ją całować. Nicholasowi zaschło w ustach.

Rudowłosa zjawa strzepnęła spódnice i podeszła na skraj pomostu. Oparła lekko dłonie na poręczy i zapatrzyła się w noc, pozwalając, by wiatr igrał z jej włosami. Była jak żywoł, a z całej jej postaci emanowała pasja życia.

Obejrzała się przez ramię. Nicholas wstrzymał oddech, sądził bowiem, że zaraz zniknie mu pod pokładem z grupą mężczyzn. Jej wzrok pobłądził w stronę trapu i zauważyła go. Przez chwilę patrzyła tylko, przygryzając wargę. Potem strzeżiła oczami i wbiegła na trap. Nicholas przyglądał się jej jak we śnie. Czuł się tak, jakby za sprawą złych czarów mógł jedynie patrzeć beczynn timer, wykluczony z uczestnictwa.

Kiedy była już na chodniku, zawahała się; być może uświadomiła sobie, że jest późno, a w dokach panują ciemności.

Następnie obróciła się przodem do Nicholasa. Gdy ich spojrzenia spotkały się, wydała bezgłówny okrzyk, a przez jej twarz przebiegł wyraz lęku. Przestrach minął jednak równie szybko, jak się pojawił, ustępując uczuciu o wiele bardziej pierwotnemu.

Dziewczyna, która nie wstydzi się swoich uczuć, wszyst-

ko robi z takim samym zapamiętaniem, z jakim tańczyła, i od świata oczekiwała dokładnie tego samego.

Kątem oka Nichols złowił jakieś poruszenie, jakby głęb-
szy cień sunący wzdłuż trapu. W tej samej chwili dostrzegł
krępa postać, której kroki zagłuszał szum fal uderzających
o kadłub statku. Dziewczyna najwyraźniej niczego nie sły-
szała. Jej czujne spojrzenie ogniskowało się na Nicholasie.

Jak zza mgły Nicholas usiłował wykrzyknąć ostrzeżenie,
spóźnił się jednak. Mężczyzna, należący najpewniej do zało-
gi statku, chwycił rudowłosą od tyłu. Zanim zdążyła krzyk-
nąć, zacisnął palce na jej ustach.

Nicholas sam nie wiedział, kiedy się poruszył, ale w cią-
gu następnej sekundy pokonał dystans, jaki dzielił go od sza-
mocącej się pary, i z impetem wpadł na potężnie zbudowa-
nego napastnika.

Alkohol spowolnił pięści Nicholasa. Żelazne knykcie
przywitały się z jego twarzą. Obuta stopa w podobny spo-
sób przywitała się z jego żebrami. Przez alkoholowe znieczu-
lenie przedarł się ból. Mętne zakamarki jego mózgu odnoto-
wały jeszcze pełen oburzenia krzyk dziewczyny, po którym
popłynął strumień fantazyjnych wyzwisk wypowiedzianych
śpiewnym, melodyjnym głosem anioła.

Brzęk tłuczonego szkła, po nim bolesny jęk, w końcu ło-
skot towarzyszący upadającemu na ziemię ciału, które legło
u stóp Nicholasa.

W tej samej chwili przyklękała przy nim rudowłosa dziew-
czyna.

- Całyś?

Mówiła z dziwnym akcentem, ale nie potrafił go z niczym
skojarzyć, ponieważ nie wszystkie trybiki w jego mózgu
funkcjonowały jak należy, a żebra protestowały tak dobit-
nie, jakby Nicholas postawił na nich własny powóz.

Spróbował usiąść. Drobna dłoń spoczęła na jego ramie-
niu, przytrzymując go.

- Leż spokojnie. Jesteś ranny.

Rzucił dziewczynie ukradkowe spojrzenie i poczuł się tak, jakby niewidzialna stopa wymierzyła mu kolejny kopniak w żołądek. Ta dziewczyna była chodzącym dziełem sztuki.

Szukał w myśli dwornej odpowiedzi. Skończyło się to pytaniem:

- Uratowałem cię?

Roześmiała się; był to dźwięk pełen tak przejmującej słodyczy, że nawet i słowik ślubowałby sobie na wieki pożegnać się ze śpiewem.

- Ano. Uratowałeś jak się patrzy. Wielce to szlachetnie z twojej strony, żeś pozwolił, coby ten łajdak sprzął cię na kwaśne jabłko, bo mogłam przyłożyć mu po głowie butelką po winie. Aleś ty przebiegły, naprawdę.

Nicholas spojrział na jej przekorną minę i uśmiechnął się.

- Od początku tak to sobie zaplanowałem.

Panie Boże, z bliska była jeszcze bardziej oszałamiająca. Jej twarz wyglądała tak, jakby wyszła spod ręki rzeźbiarza: delikatny, lekko zadarty nosek, wydatne kości policzkowe, zdecydowana linia podbródka, pełne usta i oczy o niespotykanym odcieniu fioletołu zupełnie jak wisteria, która bujnie rośnie wokół jego rodzinnej siedziby, Silver Hills, albo kwiat lawendy.

Zafascynowany patrzył, jak dziewczyna rozpina kilka guzików swojej białej bluzki i sięga ręką za dekolot. Ślina wyszła mu w ustach szybciej, niż w pełnym słońcu paruje płyciutka kałużka, językiem szorstkim jak papier ścierny przesunął po spierzchniętych wargach. Piękna zjawa wyciągnęła spod bluzki niewielki prostokątny kawałek płótna.

- Krwawisz. - Gdy owiała go oddechem, pomyślał, że pachnie jak miętowy cukierek, i wiedział już, jak wielką ochotę można mieć na miętówki. Dziewczyna łagodnie odgarnęła mu włosy z twarzy. - W moim kraju mówi się, że ten, co ratuje komuś życie, staje się częścią tej osoby już na zawsze. Dwie dusze splatają się na wieki wieków.

Dwie dusze splecione na wieki. Nicholasowi spodobała się ta myśl.

- A wiesz, co mówią tutaj, w starej dobrej Anglii?
Niewinna ciekawość zabłysła w niezwykłych oczach rudowłosej.

- Co?

- Mówią, że jeśli ktoś ratuje ci życie, jesteś temu komuś winna dowód wdzięczności... cokolwiek sobie ta osoba życzy.

Przyglądała się mu przez chwilę, błędząc wzrokiem po jego włosach, twarzy, szyi, nim w końcu spojrzała mu prosto w oczy.

- A czego sobie życzysz? - spytała szeptem.

Długie, kręcone pasmo zawisło tuż przy jego twarzy. Palce go świerzbiły, by dotknąć jej włosów, przekonać się, czy istotnie są tak gładkie i miękkie, jak to sobie wyobrażał.

Nicholas oplótł wokół palca jedwabisty kosmyk i delikatnie pociągnął dziewczynę ku sobie.

- Całusa. Oto czego sobie życzę.

Spodziewał się wybuchu oburzenia, ewentualnie udzielonej z miejsca odmowy popartej siarczystym policzkiem, po którym szczeka wypadłaby mu z żuchwy. Tymczasem w oczach dziewczyny pojawił się błysk zainteresowania, a jej wzrok powędrował ku wargom Nicholasa.

- Zatem to właśnie dostaniesz. Całusa.

Zanim zdążył się bodaj przelotnie zdziwić swemu szczęściu, przysłoniła rzesami oczy i przycisnęła do jego ust różane, miękkie wargi. Musnęła przy tym piersiami jego tors i zapragnął przygarnąć ją do siebie, zmiażdżyć ramionami.

Jęknął, gdy usta dziewczyny przesunęły się ku kącikowi jego własnych, delikatnie dotykając pękniętej wargi, kojąc, uśmierzając ból. Niemniej był to niewinny pocałunek; usta miała ledwie rozchylone, jakby witała się z kimś z rodziny - ze starym, brzydkim krewnym. Nie do przyjęcia.

Przechylił głowę, by ich wargi w pełni się zetknęły. Leciutko przyciągnął do siebie jej głowę tak, by nie mogła uciec przed pocałunkiem, i zręcznie wsunął język do jej ust, badając ich miękkie wnętrze. Doznanie poraziło ją tak, jak sekundę później Nicholasa.

Wyrwała się, lecz nie pozwolił jej się odsunąć za daleko.

- Nie - wyszeptała, ale nie brzmiało w tym przekonanie.

Nicholas uniósł się nieznacznie, by wygodniej sięgnąć jej ust. Usłyszał jakby westchnienie, płytki oddech. Uśmiechnął się w duchu. Zastanawiał go tylko wyraz zdumienia w jej oczach.

Niemożliwe, żeby nikt jej wcześniej nie całował. Przemawiał za tym sposób, w jaki tańczyła, pełen zmysłowości, prowokujący, oraz fakt, że pocałowała go bez cienia panieńskich oporów czy wahania. Ta jej udawana niewinność odurzała go, a kiedy poczuł, że niepewnie dotknęła językiem jego języka, rześisty pot wystąpił mu na czole.

Leżący u jego stóp mężczyzna zajęczał. Ocknąłby się porządnie zbolały, toteż Nicholas uspił go ponownie kopniakiem, nie tracąc przy tym kontaktu wzrokowego z rudowłosym słowiczkiem.

Ramieniem opasał jej talię i przygarnął ją do siebie, równocześnie plądrując językiem wnętrze jej ust.

Jedwabiste włosy dziewczyny otuliły ich oboje, spowiły w odrębnym świecie i zmaciły mu w głowie skuteczniej, niż mógł to uczynić najmocniejszy trunek.

Nagle wyszarpnęła mu się, a on niczego nie pragnął goręcej jak tego, by ponownie uwięzić ją w ramionach. Fioletowe oczy były zamglone, usta dziewczyny obrzmiałe od pocałunku. Zdawało się, że czas stanął w miejscu, gdy patrzyła Nicholasowi prosto w oczy. Bawił się kosmykiem włosów, których kędzierzawa masa była równie dzika i nieokiełznana jak ich właścicielka.

Odetchnęła głęboko i odsunęła się.

- Toć j... jesteś r... ranny - wyjąkała wstrząśnięta pocałunkiem.

Nicholas nadal bawił się kosmykiem jej włosów.

- No to wróć i ulżyj mi w moim cierpieniu.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby rozważała jego propozycję. Koniuszkiem języka powiodła po dolnej wardze. Czyżby ciepłe wspomnienie chwili, kiedy robił to on? Był

ciekaw, czy zdawała sobie sprawę, jak na niego działała - lub też raczej jak działał na niego ten gest.

Spoważniała i potrząsnęła głową.

- Ktoś tu obiecywał się zachowywać - rzuciła pod nosem. Zabrzmiało to jak wyrzut.

- Słucham...?

- Co? - Zatrzepotała długimi, gęstymi rękami.

- Mówiłaś coś o zachowywaniu się. - Miał nadzieję, że Bóg nie pozwoli, by dziewczyna kierowała te słowa pod adresem jego skromnej osoby. W chwili obecnej „zachowywanie się”, w domyśle „przywzwoicie”, wydawało mu się większą sztuką od poőknięcia własnego języka.

- Ja tylko tak, sama do siebie. Okropny zwyczaj, jak ma-
wia moja mama.

- Nie zgodziłbym się.

Posłała mu krzywy uśmiešek, pod którego wpływem za-
wstydziliby się nawet święty.

- Ino czemu mnie wcale to nie dziwi?

- Co w tym złego, skoro to, co mówisz, skłania do głębo-
kiej refleksji?

Wyraz twarzy dziewczyny zdradzał, że z miejsca przejrza-
ła pochlebstwo.

- Gadać to ty potrafisz. Z twoim drygiem do gładkich słó-
wek to pewnie nawet do nieba by cię wpuścili.

- A kto mówi, że nie dostałem oficjalnego zaproszenia?

- Od razu widać, że tylko figle ci w głowie. Wystarczy
spojrzeć na ten błysk w oku i tyci dołeczek w brodzie.

„Tyci dołeczek w brodzie”? Nicholasem zatrząsł bezgłoś-
ny śmiech. Żebra pulsujące w rytmie dwukrotnie szybszym
od bicia serca przyjęły to z niechęcią.

- To mam błysk w oku, tak?

- Ano. A oczy takie, że wszystko z nich można wyczytać.
Zielone tysiácem odcieni zielonego. - Przygryzła wargę. -
Och, muszę się nauczyć trzymać język za zębami.

- Myślisz, że mogłabyś trzymać go później? Bo teraz przydał-

by mi się jeszcze jeden pocałunek... żeby złagodzić ból, no wiesz.

- Zbereznik z ciebie.

- Zbereznik? - Pokręcił głową; ten nieznaczny ruch sprawił, że ból targnął jego kręgosłupem. - Ja jestem aniołem. Sama powiedziałaś coś w tym duchu.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Ano, i widać, że majaczyłam, coby palnąć takie głupstwo. - Delikatnie wysunęła pasmo włosów z opornych palców Nicholasa. - Pomóc ci się podnieść?

Nicholasowi w głowie nawet nie powstało, że mógłby odrzucić tę propozycję, skoro chciał pozostać jak najbliżej dziewczyny. Toteż kiwnął głową, podnosząc na nią oczy, w których, jak miał nadzieję, malowała się bezradność.

- Czuję się słaby jak nowo narodzony żrebak.

- Phi - zachnęła się i uniosła brew - jakbym nie widziała, jak szybko te małe wstają na swoje chwiejne nogi.

Podparła mu głowę i pomogła podnieść się do pozycji siedzącej. Jej usta znalazły się przy tym tak blisko, że z najwyższym jedynie trudem oparł się pokusie, by ponownie ich skosztować.

- Znasz się na koniach? - spytał, walcząc z tym odruchem.

Spojrzała mu w twarz. W jej przepastnych oczach nie było cienia sztuczności, wyrachowania czy nieśmiałości. Tylko ciekawość i szczerłość.

- O tyle, o ile.

Nicholas zastanowił się bezwiednie, na czym jeszcze się znała piękna nieznajoma. Wprawdzie jego przesiąknięty alkoholem mózg przetrawiał dostępne poszlaki w żółtym tempie, ale Nicholas usiłował skojarzyć jej akcent z określonym regionem i dumał, czy zamierzała zostać w Anglii, czy też powróci zaraz na statek płynący tam, skądkolwiek przybyła. Trzymał kciuki, by to pierwsze, a nie drugie okazało się prawdą. Była to bowiem kobieta, którą chciał poznać lepiej - o wiele lepiej. A to się wcześniej nie zdarzało.

Z jej stroju, prostego i praktycznego, wnioskował, że ma

do czynienia ze służącą. Pracowała na statku, może jako kucharka, albo usługiwała załodze?

Tej ostatniej myśli towarzyszył przypływ irytacji, który - gdyby Nicholas nie miał więcej rozumu - byłby skłonny określić mianem zazdrości, jakkolwiek idiotycznie to brzmiało. Dopiero co tę dziewczynę poznał. Na dodatek mężczyźni z rodu Sinclairów dawno już wyzbyli się takich uczuć, toteż o zazdrości nie mogło być mowy. Raczej o zaborczości. Bądź co bądź dusze ich dwojga splotły się za zawsze.

Nicholas został wytracony z owych rozważań w chwili, gdy dziewczyna ujęła go pod pachy i delikatnie pociągnęła w górę. Podniósł się, udając wielkie cierpienie; nie chciał, by się zorientowała, że nie zdołałaby go poruszyć choćby o cal, gdyby naprawdę był ranny. Im mniej słów, tym lepiej.

Dopiero w pozycji stojącej Nicholas zauważył to, co wcześniej uszło jakoś jego uwagi; dziewczyna była niska. Drobna. Głową ledwie sięgała mu do piersi. Najwyraźniej w swojej wyobraźni podniósł ją do rangi amazonki, gdy obserwował ją tańczącą na statku. Gdyby nie wdzięki, w które szczerze wypożyczył ją Bóg, Nicholas przysięgłby, że to jeszcze dziecko.

- Ile masz lat?

Przekrzywiła głowę, śląc Nicholasowi imponujące groźne spojrzenia.

- A ty? - odparowała.

- Spytałem pierwszy.

- A ja sobie myślę, że nie powinieneś być pytać.

Wzruszył ramionami - kolejny rodzaj ruchu, który nie przypadł do gustu jego żebrom.

- Zapominasz o czymś. Uratowałem cię. Dwie dusze, pamiętasz? A teraz moja dusza życzy sobie poznać wiek twojej.

- Dusze nie majom wieku.

- Próbujesz się wymigać od odpowiedzi?

- Aleś ty bezczelny.

- Istotnie, to krzyż, jaki dźwigam. To mówiłaś, że ile masz lat?

Zawahała się, ale odpowiedziała:

- Dwadzieścia cztery, oto ile. - Zdradziły ją oczy i lekkie drgnięcie ust.

- Poważnie? Bo ja tyle samo.

Parsknęła.

- A co, nie wierzysz mi? - Udał zdziwienie.

- Ano nie. Ani trochę.

- Ach, tak? A ile byś mi dała?

Odsunęła się tanecznym krokiem. Wyglądała jak elf.

- Dość dużo, cobyś mógł być moim ojcem.

- Twoim... - Nicholas chciał ją złapać, ale z chichotem wycofała się poza zasięg jego rąk. Kiedy ponownie się przysunęła, błyskawicznie złapał ją wpół i przyciągnął do siebie, aż przywarła do niego całym ciałem. - Ale ze mnie staruszek, co?

Wydała okrzyk zaskoczenia, Nicholas jednak uniemożliwił jej dalsze protesty, przywierając ustami do jej warg, świadomy, że czekał tylko na pretekst, by ponownie ją pocałować, poczuć przy sobie jej miękkie ciało o łagodnych konturach.

Szczerząc zęby w uśmiechu godnym satyra, puścił ją w końcu. Zatoczyła się do tyłu, wpatrując się w niego szeroko otwartymi, świetlistymi oczami, zaróżowiona na policzkach. Boże, jakież to był widok.

- Dalej uważasz mnie za staruszkę?

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła drżącą rękę i dotknęła delikatnie kącika jego ust w miejscu, gdzie skórę miał przeciętą od uderzenia.

A potem spoliczkowała go otwartą dłonią.

- Cholera jasna, kobieto! Za co to było, u diabła?

Wpatrywała się w niego niczym miniatura wojownika, wsparta pięściami o szczupłutką talię.

- O pierwszego całusa poprosiłeś. Drugiego wzięłeś sobie sam. Nie jestem ladacnicą, żeby mnie tak traktować. - Pomimo wzburzenia widać było, jakie wrażenie wywarł na niej drugi skradziony pocałunek. I to spostrzeżenie warte było niejednego policzka.

Zadarła nos i wyprostowana przemknęła **obok niego**. Nie mógł pozwolić, by odeszła.

Przytrzymał ją za rękę i powiedział:

- Proszę... nie idź. - Odniósł wrażenie, że gotowa była przyłożyć mu w drugi policzek gałązką oliwną, którą do niej wyciągał, i dodał szybko: - Jestem ranny. - Pompatyczne, ale skuteczne.

Lodowaty chłód, z jakim się do niego odnosiła, zelżał nieznacznie.

- Jak nie będziesz uważał, gdzie się pchasz z tymi ustami, to zaraz oberwiesz jeszcze bardziej.

Siląc się na skruszoną i zbolałą minę, przysuwał się do niej cał po calu, aż czubek jego buta zetknął się niemal z czubkiem jej pantofla.

- Wdzięku toś ty się chyba uczył u samego diabła. - Jej głos, a raczej ochryply szept, podziałał na niego jak rozgrzane do białości ostrze na masło. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i odsunęła się o krok. - Tu zaraz jest oberża. Zaprowadzę cię tam i przypilnuję, coby ci dali wygodny pokój. Ale nawet nie myśl, żeby popробować tych swoich sztuczek, słyszysz?

Nicholas rozważył szybko, czy powinien poinformować tę piękną zjawę, że pojęcie „sztuczek” jest dość szerokie, on zaś należał do typu osób, którym obca jest niechęć do przekraczania ustalonych granic. Po cóż jednak psuć plan wdawaniem się w szczegóły? Skoro była tak miła, że zaproponowała, iż zatroszczy się o jego potrzeby, na jakiego człowieka by wyszedł, gdyby odrzucił tak miłą ofertę? Z pewnością nietaktem byłoby się przechwalać, że w dokach, kawałek drogi stąd, czeka na niego własny stangret. W dodatku Nicholas był pijany. Nikt nie miał prawa żądać od niego logiki.

Choć żebra dopominały się zmiłowania, skłonił się dziewczynie i kiwnął ręką, by poszła przodem. Z zaskoczoną miną zawahała się, po czym ruszyła przed siebie, pozwalając, by włókł się za nią, pojękując, ilekroć jej kształtne pośladki kołysały się zmysłowo.

4

Oberża okazała się nie tyle oberżą, co małym, obskurnym saloonem, który ściągał, jak się wydawało, wszystkie ciemne typki zamieszkałe w promieniu wielu mil.

Druga myśl Sheridan dotyczyła tego, że lepiej nie pozwalać, aby wuj Finny rzucił okiem na ten przybytek, w przeciwnym bowiem razie nigdy nie zdołałaby go z niego wyciągnąć; gdyby zamiast wody święconej używano whisky, dzień w dzień chodziłby do kościoła.

Ostrożnie przestąpiła najeżony drzazgami próg. Przemknęło jej przez myśl, że musiało się o niego potknąć wielu gości oberży, a że byli zbyt pijani, żeby się podnieść, przespali się najpewniej przed drzwiami, gotowi z nadejściem ranka na nowo rozpocząć hulankę.

Ledwie Sheridan znalazła się w środku, powitała ją salwa grubiańskich okrzyków i gwizdów. Zamarła w pół kroku i spiorunowała wzrokiem każdego bez wyjątku mężczyznę, który gapił się na nią obleśnie albo sypał komentarzami, za które matka Sheridan wymyłaby mu usta szarym mydłem i jeszcze poprawiła chłostą.

Większość zaszurała niepewnie nogami pod porysowanymi blatami stołów, przy których siedzieli, po czym wbiła wzrok w zawartość brudnych kufli. Kilku w dalszym ciągu przyglądało się jej, ale widząc, że nie spuściła oczu, uciekło spojrzeniem.

Sheridan wyczuła za sobą czyjaś obecność i obejrzała się, po czym wpatrzyła się w profil ciemnowłosego mężczyzny, który zrzędzeniem przypadku stał się jej samozwańczym

„wybawicielem”. Był brudny, ubranie miał w nieładzie, ale wyglądał rozbijając.

Nawet w takim stanie bił na głowę każdego z obecnych w obojętności mężczyźni. I, sądząc z kroju jego odzieży, nie narzekał na brak pieniędzy. Każdy element garderoby leżał na nim jak ulał, poczynając od obcisłych czarnych spodni po niegdyś śnieżnobiałą koszulę.

Większość guzików stracił podczas walki z człowiekiem, który zaatakował Sheridan, toteż połę koszuli były mocno rozchylone, odsłaniając szeroki, muskularny tors, jakiego Sheridan w życiu nie widziała.

Widok napiętych płaszczyzn wyraźnie zarysowanych mięśni sprawił, że nabrała ochoty, by dotknąć ich ręką, obwieść palcami ich kontury. Mignęły jej ciemne brązowe sutki i skrawek umięśnionego brzucha.

Od samego patrzenia na tego mężczyznę robiło się Sheridan dziwnie gorąco. Być może wyjaśniało to jej gwałtowną reakcję, kiedy ujrzała go po raz pierwszy, zastygłego w bezruchu na drugim końcu doku.

A kiedy ją pocałował, serce rozdzwoniło się w niej jak dzwony katedry Maryi Panny.

Do tej pory nikt nigdy nie całował jej w taki sposób! Prawdę mówiąc, to był pierwszy pocałunek w jej życiu. Naturalnie dość często wyobrażała sobie, jak to by wyglądało, w marzeniach jednak twarz mężczyzny, który przywierał wargami do jej ust, pozostawała zawsze cieniem, tajemnicą.

- I co, podoba ci się to, co widzisz?

Sheridan wzdrgnęła się, gdy jej wzrok zderzył się ze spojrzeniem zielonookiego nieznajomego, którego zaczęła nazywać w myśli swoim mrocznym aniołem, i uzmysłowiła sobie, że jak za sprawą czarów mężczyzna jej marzeń stał się człowiekiem z krwi i kości.

Zadarła nos i odpowiedziała szybko:

- Sprawdziałam tylko, czy nie przeoczyłam jakichś zadrapań.

Posłał jej zabójczy uśmieszek.

- Może powinienem zrobić to samo i poszukać zadrapań na tobie.

- Dalej z ciebie wcielony diabeł, jak widzę.

- We własnej osobie.

Właściciel, zauważywszy wreszcie gościa zdolnego za siebie zapłacić, podreptał w jego kierunku, kołysząc się jak kaczką. Brzuch mężczyzny dotarł do pochłoniętej sobą pary, nim zdążyła to uczynić reszta jego ciała, a zaraz za nią specyficzny zapasek.

- Witamy wielmożnego pana „U Puddlebych”. Zaprowadzić do stolika? Właśnie zwolniło się przytulne miejsce przy kominku.

Sheridan zauważyła tęgą kobietę, prawdopodobnie żonę właściciela, szarpiącą za rękę jakiegoś człowieka, który drzemał z głową opartą na stole obok talerza pełnego ciemnej, zastygłej brei.

Mężczyzna został bezceremonialnie zrzucony na ziemię. Bez mrugnięcia okiem pozwolił zawlec się w róg sali, gdzie skulił się na drewnianej podłodze jak dziecko na kolanach matki. Chwilę później chrapał z taką siłą, że zagrzecgotały nadgniłe deski.

- Nie, dziękujemy. Chcemy ino wynająć pokój - odpowiedziała Sheridan.

Mętne oczy barwy błotka, malutkie na tle pucołowatej twarzy, błyskawicznie zwróciły się w jej kierunku.

- Ty jesteś... *Irlandką*. - Ledwie echo tych słów przebiło się przez panujący w saloonie zgiełk, mężczyźni na powrót wybałuszili na nią oczy, tym razem jednak z pogardą.

- Ano. Jestem. I co z tego?

Mężczyzna skrzywił się i wydał wargi.

- My tu nie obsługujemy Irlandczyków.

Chociaż Sheridan zdążyła przywyknąć do podobnych uwag, zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyjdzie taki czas, by mogła ich słuchać bez przykrości.

- Coś ty powiedział?! - warknął mroczny anioł.

Sheridan zerknęła w jego kierunku i przekonała się, że znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w pucołowatego mężczyznę, a z całej jego postaci emanuje gniew.

Z bezmyślną brawurą mężczyzna odpalił:

- Powiedziałem, że nie obsługujemy tu Irlandczyków.

Obrońca Sheridan doskoczył do niego i pochylił się groźnie. Mięśnie na jego policzkach drgały.

- Ostrzegam, że pałam wielką niechęcią do półgłówków. A teraz rób, jak pani sobie zażyczyła, i daj nam jakiś pokój. I to szybko.

Mężczyzna przełknął ślinę.

- Tak, psze pana. - Ze strachu piszczał jak akordeon, do którego dorwała się małpa. - Już się robi, psze pana. - Odwrócił się na pięcie.

- Najpierw prześroś pania.

Oberżysta posłał Sheridan pełne irytacji spojrzenie. Najwyraźniej nie miał zbyt chęci kajać się przed byle irlandzką dziewczuchą.

- Przepraszam - wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

Piękne kruczoczarne włosy opadły obrońcy Sheridan na twarz, gdy potrząsnął głową, nieustępliwy.

- Nie wysiliłeś się, tłuściochu.

Właścicielowi saloonu z oburzenia zadrgała szczęka, lecz to uczucie szybko przerodziło się w obawę o własne życie i zdrowie wobec pełnego groźby spojrzenia, które gość rzucił w jego kierunku, spojrzenia, które zdawało się ostrzegać, że jeszcze chwila i wyląduje na rożnie z jabłkiem w ustach, obracany nad paleniskiem tak długo, aż mięso na nim wystarczająco zmięknie.

- Powiedz: „Przepraszam, że się tak do panienki odezwałem. Jestem grubaśnym chamem i umysłowym pigmejem. Prowadzę żalostną egzystencję. Matka biła mnie, kiedy byłem mały, i przez to wyrosłem na nietolerancyjnego, wrednego kundla”.

Właściciel poczerwieniał na twarzy jak burak.

- Nie powiem!

Obrońca Sheridan pochylił się nad nim tak, że mężczyzna w ostatniej chwili zdążył gwałtownie odsunąć głowę, i tylko ogromne brzuszysko ocaliło go przed utratą równowagi-

- Powiesz, jeśli chcesz oglądać jutrzejszy wschód słońca nad tą szczurzą norą. Wyduś to wreszcie.

Właściciel coraz bardziej wyciągał szyję, aż w końcu zaczęło wyglądać na to, że miał jeden podbródek, a nie cztery, po czym wykrztusił:

- Przepraszam, żem się tak do panienki odezwał. Jestem...

- ... grubaśnym chamem - padła uprzejma podpowiedź.

Mężczyzna zacisnął usta tak, że ledwie je było widać.

- Jestem grubaśnym chamem i - ściszył głos do ledwie słyszalnego szmeru - umysłowym pigmejem. - Przez słabo oświetloną salę przetoczyły się ciche śmiechy.

- Dobrze, tłuściochu. Dalej.

Sheridan potrzebowała całej siły woli, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Na policzkach tęgiego mężczyzny pojawiły się fioletowe plamy.

- Wiodę żalostną egzystencję. - Sapnął ze złością. - Matka biła mnie, kiedy byłem mały, i dlatego wyrosłem na nietolerancyjnego, wrednego kundla. - Wpatrując się z wściekłością w gościa, wycedził: - Zadowolony?

- Póki co, tak. A teraz prowadź do pokoju.

Zgnębiony właściciel przestąpił z nogi na nogę, odwrócił się i podreptał w kierunku schodów. Kiedy wchodził na górę, stopnie wydawały pod jego stopami łącie potępieńcze jęki. Podeszedł do drzwi na samym końcu krótkiego korytarza. Otworzył je i wprowadził milczącą parę do małego pokoiku.

- Ten tutaj to najlepszy, jaki mamy.

Na oknach wisiały przetarte do osnowy zasłony, na łóżku, które przytulało się do ściany, jakby dwie nogi miało krótsze, leżała kapa, która mogła niegdyś mieć wzór kwiatow-

wy, teraz jednak wydawała się przedstawiać ogród pełen przedziwnych chwastów.

Sheridan widywała gorsze.

- Weźmiemy go.

- Należy się dwa funty. - Właściciel wyciągnął brudną rękę, która kształtem przywodziła na myśl rękawicę kuchenną.

W Sheridan zawrzało; żywiła wrodzony wstręt do drobnych naciągaczy.

- Dwa funty?! Toż ten pokój nie jest wart dwupensówki, ty nadęty...

Zielonooki wybawiciel Sheridan wcisnął mężczyźnie w rękę żadaną kwotę. Właściciel odpowiedział obleśnym uśmiechem. Wargi uniosły mu się nieznacznie, a w kąciku ust ukazały poczerwiałe zęby. Odwrócił się, szykując się do wyjścia, w czym gość dopomógł mu kopniakiem w siedzenie i szybkim zatrzasknięciem drzwi.

- Dupek - mruknął. Następnie obrócił się przodem do dziewczyny, szelmowski jak zawsze.

Swobodnie oparł się ramieniem o framugę, Sheridan zaś przyglądała się mu i dumiała, czy z chwilą, gdy zostali sami, nie powziął aby niecznych zamiarów względem jej osoby. Ale, co gorsza, dlaczego ta perspektywa szczególnie jej nie martwiła?

Być może dlatego, że miał w sobie coś, co z niewiadomych powodów do niej przemawiało. I nie była to sprawa jego nieziemskiej urody - choć nie dało się odmówić powabu tym szmaragdowym oczom o czystym odcieniu zieleni, takim samym jak ten, który pokrywał wzgórza i doliny jej ojczyzny. Ani też wyraźnie zarysowanej szczęki, która prosiła się wręcz o delikatne pocałunki, czy długich do ramion włosów, czarnych jak heban i miękkich jak jedwab, czekających, by przegarnąć je palcami.

Nie, to raczej fakt, iż w tych szmaragdowych oczach płonęło wyzwanie, które tylekroć widywała w lustrze, twarz o wyraźnej szczęce zdradzała taką samą zaciętość i upór, jak jej własna, półdługie zaś włosy oznajmiały, że ich właściciel

nie dbał o konwenanse, czemu Sheridan także niejednokrotnie dawała dowody.

Byli jak dwie strony tej samej monety.

Przyglądał się jej jak jastrząb i czekał, żeby się odezwała.

– Cóż mi się widzi, żeś po raz drugi wyratował mnie z opaków - stwierdziła zamiast zażądać, żeby odsunął się od drzwi.

- Hmm. Na to wygląda. Trudno się nie zastanawiać, czy czeka mnie jakaś nagroda.

Porywczy charakter Sheridan natychmiast o sobie przypomniał.

- Jeśliś sobie ubrdał w tej twojej śliczniutkiej, ale podstępnej łepetynie, że cię tu ściągnęłam, co by się z tobą potarzać w pościeli, to jeszcze się zastanów. A teraz odsuń się.

Nicholas nawet nie drgnął.

- Ktoś tu się lubi szarogęsić. Od razu wiedziałem.

Pięści same się Sheridan zacisnęły. Nie bała się tego przystojnego nicponia. W razie czego da mu w ucho, a potem jeszcze poprawi!

- Powiedziałam, odsuń się! Bo aż mnie świerzbi, żeby zapoznać z twoim siedzeniem podeszwę mojego buta! Ja swoje zrobiłam. Teraz jesteśmy kwita.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że zatroszczysz się o moją wygodę. Cóż - Nicholas uśmiechnął się jak sam diabeł. - Jeszcze mi nie jest wygodnie.

W fioletowych oczach dziewczyny zapłonął ogień, a Nicholas pomyślał, że w złości jest jeszcze piękniejsza. Zastanowił się, ile ma przed sobą czasu, zanim drobna pięść wymierzy mu cios prosto w obolały po wcześniejszej bójce bok, skoro dziewczyna była zbyt niska, żeby sięgnąć do jego twarzy.

Oczywiście mógłby zdobyć się na tę uprzejmość, żeby się pochylić, ale dlaczego miałyby jej cokolwiek ułatwiać? Przeczucie mu podpowiadało, że należała do tego typu osób, które zadają cios jedną ręką, a poprawiają drugą. Może mimo wszystko przetestować tę teorię?

- Nie jestem twoją niańką.

- A chciałybyś?

Zmrużyła oczy i zamachnęła się. Jej lewy sierpowy chybił celu. Jednak dobrze wymierzony prawy prosty trafił precyzyjnie w tę część Nicholasowego ciała, która pulsowała boleśnie od chwili, w której jego oczy po raz pierwszy spoczęły na tej rudowłosej diablicy.

Nicholas zgiął się wpół i zrobił zeza.

- Nigdy... nie będę... miał dzieci - wyjęczał.

- I dobrze ci tak. Trza było tak nie gadać.

Przypuszczał, że wypadnie z pokoju jak burza, ale tego nie zrobiła. Zaległo milczenie przerywane jedynie żalonym pojękiwaniem Nicholasa, z dołu zaś dobiegały stłumione okrzyki niedomytej klienteli saloonu. Bolesne jęki najwyraźniej odnosiły pożądaný skutek Nicholas widział, że dziewczynie robi się przykro.

- Bardzo cię boli?

Słabo kiwnął głową.

- Mama zawsze mi powtarza, że muszę nad sobą panować. Nie przystoi, powiada, coby kobieta biła mężczyznę.

Nie zmieniając pozycji, która pozwalała mu cieszyć się rozkosznym widokiem, jaki wyzierał spod skrawka jej halki, odezwał się łamiącym głosem:

- Mądra kobieta z twojej matki.

Dziewczyna westchnęła ze smutkiem.

- Ano. Tylko że jestem taka porywczą...

Wyglądała na tak zdegustowaną, że Nicholas z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- To pewnie przez te rude włosy. Ach, czy mogłabyś mnie zaprowadzić do... - Do krzesła czy do łóżka? - ... do łóżka?

- Ranny to może i był, ale jeszcze nie wyzionął ducha.

Zawahała się. Po chwili delikatnie opasała go ramieniem w pasie i podtrzymała, żeby łatwiej mu było wyprostować plecy. Nicholas starał się zachowywać tak, jakby ledwie trzymał się na nogach. Objął dziewczynę przez plecy i pozwolił poprowadzić się do stojącego ukośnie łóżka. Położyła go,

jakby miała do czynienia z nowo narodzonym kotkiem, Przed oczami stanęły mu wizje różowego języczka wylizującego go do czysta.

Odsunęła się od łóżka i przyjrzała się Nicholasowi z uwagą.

- Do bitki to ty nie jesteś stworzony.

Ta uwaga powinna z pewnością urazić jego męską dumę, tym bardziej że nie był w najlepszej formie. Niemniej pochlebiał sobie, że lepiej sobie radzi w miłości niż w walce.

- Mówiono mi, że w innych dziedzinach jestem znakomity.

Uniosła kształtną brew; na twarzy o dziecinnych rysach malowało się niedowierzenie.

- O? A jakie to dziedziny, koguciku?

Nieżłe z niej było ziółko.

- Mnie się nie krępuj, nie musisz ukrywać tego, co czujesz.

- A to już coś, o co w życiu mnie nikt nie oskarżył.

Nicholas potrząsnął głową i mruknął:

- Kogucik, też coś.

- Ano, kogucik z ciebie. Taki jesteś pewny swojej przystojnej gęby i wielgachnych mięśni, że paradujesz i stroszysz piórka jak kogut angielskiej królowej o świcie.

Zignorował uwagę o kogucie o świcie i przeszedł od razu do sedna sprawy.

- O których wielgachnych mięśniach mówisz?

Korciło go, żeby przewrócić się na bok i napiąć któryś, ale te cholerne żebra nadal mu dokuczały i plan z pewnością spaliłby na panewce. Zastanowił się, jaka inna poza mogłaby się okazać wystarczająco uwodzicielska, doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, co nim kieruje: chciał uwieść dziewczynę. Był tak podniecony, że odczuwał fizyczny ból. Jego kogucik nie był zainteresowany czekaniem do świtu, żeby zapać swoje „kukuryku!”.

Kiedy zmarszczyła brwi, Nicholas odniósł wrażenie, że sama przystojna gęba i wielgachne mięśnie bynajmniej nie wystarczą. Czy leżąc na ziemi powalony ciosem, tylko wyobrażał sobie dotyk jej słodkich ust na swoich? Błysk pożądania,

który dostrzegął w jej oczach? Czyżby wyglądał aż tak źle? Popatrzył po sobie. Nieco brudny, ale pod innymi względami niezwykle męski. A zresztą pot i brud były dla mężczyzny tym, czym medal dla żołnierza.

- Muszę już wracać, bo moja rodzina zauważy, że gdzieś się wymknęłam.

Oto na co zdał się brud i pot.

- A ja?

- Co ty? - rzuciła przez ramię.

- Co jeśli zemrę wskutek odniesionych ran? - Że też nie potrafił pluć krwią na życzenie. - Nie mogłabyś zostać? Proszę. Tylko na chwilę.

Sheridan zatrzymała się, powtarzając sobie w duchu, że błędem byłoby spojrzeć na tego mężczyznę choćby jeszcze raz. Najmądrzej postąpiłaby, uciekając stąd tak szybko, jak- by u stóp wyrosły jej małe skrzydełka.

Tyle co do zdrowego rozsądku.

Odrzuciła się i omal nie parsknęła śmiechem. Miał minę zbitego psiaka i to było niemal ponad jej siły. Jej podopieczny z przypadku - niech Bóg ją ma w swojej opiece - aż nadto zagroził spokojowi jej duszy; leżał z koszulą szeroko rozchyloną na piersi, ukazującą trójkąt opalanej skóry, ze zmierzwi- onymi włosami, z zielonymi oczami, które zdawały się wołać ją do siebie, z roslym ciałem zajmującym większą część łóżka.

- Niech ci będzie. Ale na parę chwil, zapamiętaj to sobie. - I tak zebrało się wystarczająco wiele powodów, żebym poszła rano do spowiedzi.

Zmysłowe usta rozchyliły się w dyskretnym uśmiechu zwycięstwa. Mężczyzna poklepał pościel przy swoim boku, bez słów zapraszając, by usiadła obok niego. Wybrała krzesło. Rozczarowanie w jego oczach sprawiło, że teraz to ona uśmiechnęła się zwycięsko. To go nauczy, diabła jednego!

Zajęczał, próbując się przewrócić z boku na bok.

- Do czorta, przydałby się łyk czegoś mocniejszego, może przestałbym się czuć taki obolały. Gdybym nie podejrzewał, że

ten stary tłuścioch z dołu otrułby mnie z rozkoszą, poszedłbym po coś do picia. Chociażby omszała butelkę soku ze zmiążdżonych wczoraj winogron. Wyborny, szlachetny rocznik.

Ten komentarz przypomniał Sheridan o piersiówce, którą schowała wcześniej do kieszeni spódnicy. Wysunęła ją z palców wujka zaciśniętych w zgoła śmiertelnym chwycie, kiedy stracił przytomność, recytując zasady, które rzekomo zastosował podczas irlandzkiego powstania z 1798 roku jako działacz ruchu Zjednoczonych Irlandczyków.

Widocznie miał zapasową flaszkę czy butelczynę, schowaną na wszelki wypadek, skoro udało mu się tak skutecznie upić, ponieważ tamtego południa, kiedy statek czekał w porcie na miejsce do zacumowania, chyłkiem wylała z piersiówki whisky i zastąpiła ją rozcieńczonym winem.

Chociaż Jules o to nie dbała, Sheridan zależało na tym, by wyrzucić na niej dobre wrażenie, a w tym pojęciu nie mieściła się wizja wuja powalającego jej przyjaciółkę na kolana oparami swej stuprocentowej „wody kolońskiej”.

Sheridan cieszyła się na myśl o tym, że sprawi Jules niespodziankę. Statek przyplłynął dwa dni przed wyznaczonym terminem. Kapitan - o czym wiedziała z przypadkowo zasłyszanych rozmów kilku osób z załogi - dowiedział się, że pod jego nieobecność jego kochanka przyjmowała u siebie gacha, toteż drogę powrotną pokonał w rekordowym czasie.

Sheridan wyjęła z kieszeni srebrną piersiówkę. Może mały łyżeczek faktycznie pomógłby złagodzić ból. Bo zaszkodzić przecież nie mógł. Przecież to tylko wino.

- Czyżby to właśnie to, co podejrzewam? - spytał Nicholas, wskazując piersiówkę.

- Cóżby innego. Chcesz trochę?

- Jak dziecko matczynego mleka. - Podała mu flaszeczkę. Spojrzał na nią tak, jakby objawił mu się Bóg, by oznajmić, że postanowił zachować go przy życiu. Później zasalutował Sheridan.

- Twoje zdrowie.

Pierwszy haust Nicholas odczuł jak poryw huraganowego wiatru znad bieguna polarnego. Gdyby stał, wylądowałby na plecach. Trunek spłynął mu przez gardło, a Nicholas poczuł się, jakby coś go wessało, zakręciło nim jak wir, a w końcu wypluło. Pod przymkniętymi powiekami Nicholasa błysnęły białka oczu. Gorzała była jak piorun w butelce.

- Lepiej? - spytała Sheridan.

Przemocą rozwarł powieki i wykrztusił:

- O niebo. - I, o dziwno, ból istotnie zelżał. Nicholas pociągnął kolejnego łyka, choć gardło nadal go paliło. Potem coś się w duszy Nicholasa rozśpiewało.

Z westchnieniem przewrócił się na bok; dokuczliwy ból zeber zmienił się w przyjemne łaskotanie.

- Czyli jesteś Irlandką - rzucił zniecierpliwiony.

Dziewczyna zeszywniała; whisky najwyraźniej nie uczyniła z Nicholasa krasomówcy.

- Nie ma się co jeżyć, moja panno. Starłem się tylko nawiązać rozmowę.

Zadarła nos i wysunęła wróżący skłonność do uporu podbródek.

- Wcale się nie jeżę.

Udał, że wyciąga coś wbitego w okolice siedzenia, po czym wysunął rękę w kierunku dziewczyny.

- Proszę, to chyba należy do ciebie. Jeden z twoich kolców. Teraz jeży się od nich cały mój zadek.

Skrzyżowała ręce na piersi i zmierzyła go wzrokiem.

- Rozmawiać ci się chce, tak? To ja powiem, że jesteś Anglikiem.

- Wcale nie - odpowiedział, czy raczej wymamrotał w odpowiedzi, język bowiem zaczynał mu drętwieć pod wpływem trunku. - W dzieciństwie porwali mnie Cyganie i sprzedali Anglikom. Nie możesz chyba mieć mi tego za złe.

Wbiła w niego spojrzenie godne rozgniewanej nauczycielki, szukającej się do rozprawy z wyjątkowo niegrzecznym uczniem. Trudny był z niej orzech do zgryzienia, oj, trudny.

Nicholas westchnął.

- No dobrze. Faktycznie jestem Anglikiem. Ale co to znaczy? - Pociągnął zdrową dawkę ognistego trunku z flaszeczki. - Oprócz tego, że gustuję w rożkach z bitą śmietaną i herbacie zamiast w tej ohydnej kawie, za którą szaleją Amerykanie. - Wykrzywił twarz. - Smakuje jak gotowana woda z kurzem.

- Niektórzy powiadają ni mniej, ni więcej jak tyle, że powinniśmy być wrogami - odparła zimno; z jej twarzy nie zniknął wyraz wyzwania.

Skłaniająca do refleksji riposta, dumał Nicholas, jednak wojna między nimi najwyraźniej była niemożliwa. On już podniósł białą flagę.

- No cóż, trudna rada. Nasze dusze splotły się ze sobą, pamiętasz? - Mrugnął do Sheridan i kolejny raz przywitał się z zawartością butelki. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? - I dlaczego raptem tak się od niego oddaliła... i rozmyła?

- Bo tak sobie myślę, że gorzałka zaczyna ci uderzać do głowy. Widać, że nie jesteś człowiekiem nawykłym do trunków, skoro działa na ciebie taki cienkusz.

Cienkusz? Co oni pijają w tej Irlandii? Lawę?

Wzruszył ramionami, zbyt senny, by bawić się w protesty.

- Nie gustuję ani w biciu, ani w picciu. - Choć, prawdę powiedziawszy, cenił sobie oba te zajęcia. - Podobają ci się tacy, którzy biją i piją?

- Czy ja wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Ale cośik mi się zdaje, że wszyscy mężczyźni, których znam, robią jedno i drugie. To część ich dziedzictwa.

Nicholas nie dosłyszał końcówki, toteż skoncentrował się na pierwszej części wypowiedzi.

- A znasz ich tak wielu?

- Ano. - Powiedziała to bez cienia wahania. Była to dla niego gorzka pigułka do przełknięcia.

Przycisnął szyjkę piersiówki do ust i wysączył resztę jej zawartości. Trunek zawładnął jego ciałem, rozmiękczył

mózg, aż stał się półpłynny jak zupa, a ostatnią w miarę trzeźwą myślą było: mój elf okazał się zwykłą dziwką.

- Jesteś bardzo ładna.

Sheridan poruszyła się niespokojnie, widząc, jakie spojrzenie mężczyzna posłał jej spod półprzymkniętych powiek. Pijany czy trzeźwy, sprawiał, że serce zaczynało jej bić w dziwnym, gorączkowym rytmie i nie mogła złapać tchu.

- Pewnie, a tyś chyba pocałował kiedyś kamień z Blarney, że nigdy nie zapominasz języka w gębie.

Czubek jego języka przesunął się między mocnymi białymi zębami i zastygł w bezruchu - przekornie, nęcąco niczym wąż, który kusił w raj u Ewę. Sheridan zapragnęła nagle go pocałować.

Powoli, zmysłowo Nicholas zamknął usta; wąż zniknął w swojej jamie.

- Ja tylko mówię prawdę. Jesteś tak piękna, że brakuje mi słów, by to opisać. Masz jakieś imię, piękna druidko?

Przez sekundę Sheridan nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Bliskość zielonookiego mężczyzny uniemożliwiała jej myślenie.

- Danny - wykrztusiła w końcu.

Kącik jego ust uniósł się w beztróskim uśmiechu, a na policzku pojawił dołeczek.

- Niezwykle. Tak jak i ty.

Prawda poraziła Sheridan jak błyskawica, choć dotychczas nieświadomie się przed tym broniła: Nie mogła się równać z tym mężczyzną, a zawsze wierzyła, że żaden mężczyzna nie zdoła dorównać jej.

Zwykle potrafiła sobie poradzić z samcami, którym krążyły po głowie lubieżne zamiary. Albo kilka zręcznie dobranych słów natychmiast przypominało im, gdzie ich miejsce, albo ten sam skutek, w wypadku bardziej opornych, odnosił kopniak w pachwinę.

Jednak przeczucie jej podpowiadało, że nie istnieją słowa zdolne powstrzymać tego przystojnego zielonookiego dia-

bła, a ostrzegawczy kopniak, gdyby w ogóle się na podobne zachowanie zdobyła, obróciłby się na jej niekorzyść. Ten mężczyzna uosabiał po prostu nieodparty wdzięk.

Wyjść stąd, natychmiast.

Podniosła się gwałtownie i wyjąkała:

- M... muszę iść.

Mężczyzna złapał ją za rękę.

- Nie idź... Proszę.

Drżąca patrzyła, jak gładził kciukiem wierzch jej dłoni.

- Muszę - rzuciła, przeklinając swój brak stanowczości.

Zielonooki diabeł skrzywił się, uważnie dobierając słowa.

- Ten łajdak ze statku, który na ciebie napadł, może nadal kręcić się w okolicy. Zostań. Ja cię obronię. - Przesunął się, zerkając to na nią, to na wolne miejsce na łóżku.

Sheridan potrafiła sobie wyobrazić, co rozumiał przez propozycję obrony. Co gorsza, był pijany. A z pewnością nie miał żołądka z żelaza, skoro zwykły cienkusz tak bardzo uderzył mu do głowy.

Zaintrygowana wyjęła flaszeczkę z jego luźnego chwytu i podsunęła ją pod nos. Powąchała i jęknęła w duchu. Słodki Boże w niebiesiech, to nie było żadne wino, ale whisky wyrobu jej wuja, dość silna, by ożywić trupa - albo zmienić w trupa niczego nie przeczuwającego amatora napitku. Wuj musiał przejrzeć jej podstęp i bez jej wiedzy wylać wino, po czym ponownie napełnić piersiówkę whisky.

A jej mroczny anioł, mężczyzna nienawykły do przemożnych skutków wujowej mikstury, opróżnił butelkę do dna.

Och, co też ona zrobiła? Nie powinna go zostawiać w takim stanie. Przecież byłby całkowicie bezradny. Z drugiej strony z pewnością nie mógł wpakować się w żadne kłopoty, prawda? Nie, zwyczajnie sobie przyśnie. Kiedy jednak Sheridan przyjrzała się badawczo jego twarzy, nasunęła się jej inna myśl: Ten człowiek uwielbiał kłopoty.

Chwytał Sheridan za rękę, jakby podjął za nią decyzję.

Chciała usiąść na krześle, ale pociągnął ją w stronę łóżka.

- Nie czuję się najlepiej - mruknął.

Na miły Bóg, ależ on przystojny, pomyślała i natychmiast skarciła się w duchu.

- Połóż się obok mnie - poprosił przymilnym tonem. Włosy miał potargane, taki zagubiony mały chłopczyk o ciele dużego chłopca.

W głowie Sheridan rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Nic dobrego nie mogło wynikać ze spełnienia jego prośby. Ale jak zawsze, ilekroć nadarzała się okazja uczynienia czegoś zakazanego, Sheridan czuła przymus, by chwycić się jej obie-
ma rękami. Matka często powtarzała, że Sheridan składała się z trzech ćwierci ryzykanctwa i jednej ćwierci żalu za grzechy.

Bezgłośnie modląc się, by wybaczył jej zarówno „Pam Bóg”, jak i matka, Sheridan ostrożnie ułożyła się na łóżku. Wmawiała sobie, że czyni to tylko w tym celu, by ukołysać do snu pięknego anioła, że jej czyny nie wiążą się w żadnej mierze z pragnieniem, by dowiedzieć się, jakie to uczucie leżeć blisko mężczyzny, czuć ciepło jego ciała, jego zapach.

Ale nie każdego mężczyzny. Tego i tylko tego.

- Wygodnie ci? - wymruczał Sheridan do ucha, owiewając jej policzek gorącym oddechem. Dostała gęziej skórki, w brzuchu się jej ścisnęło. - Drżysz. - Wziął ją za rękę. - Zimno ci?

Zimno i gorąco, chciała już odpowiedzieć, ale Nicholas przewrócił się na bok i przywarł do niej całym ciałem. Kruczoczarne włosy opadły mu na czoło, gdy podparł się na łokciu i skupił na jej twarzy spojrzenie pałających szmaragdowych oczu, jakby chciał nauczyć się jej na pamięć. Pobłądziła spojrzeniem ku jego ustom. Chciała, by ją pocałował.

- N... nie. Czuję się dobrze - skłamała.

- Ale ja nie - powiedział ochrypłym szeptem. - Chyba umieram.

- To tylko whisky buzuje ci we krwi. To przejdzie. Słowo.

Ujął rękę Sheridan i przycisnął ją do piersi. Ciało miał ciepłe, gładkie i twarde jak skała. Czując pod palcami przyspieszone bicie serca, powoli uniosła wzrok i odwzajemniła jego

spojrzenie. To, co dostrzegła w szmaragdowych oczach, poraziło ją jak błyskawica, poraziło do szpiku kości.

- Ocal mnie, Irlandko - wymruczał jeszcze, pochylając głowę. - Ty jedna możesz to zrobić.

Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach dziewczyny, gdy musnęła jej usta w delikatnym pocałunku; poczuła się tak, jakby jej ciało stanęło w ogniu, ale zarazem nigdy pełniej nie odczuwała tego, że żyje. Wspomnienie wszystkich tych chwil, kiedy klęczała przed krzyżem, słuchając srogiego księdza przestrzegającego przed występnością ciała, wstyd i poczucie winy, jakimi powinny każdą katoliczkę napawać myśli, które krążyły jej teraz po głowie - a ściślej rzecz biorąc, od chwili, w której po raz pierwszy ujrzała tego zielonookiego Anglika - zaczęły odpływać w dal, ulatywać jak na skrzydłach gołębia.

- Jestem przyzwoitą dziewczyną - wyszeptała z ustami tuż przy jego ustach. Napawała się słodyczą jego ust, jego żarem, uczyła się go na pamięć. Czuła się pijana, choć niczego nie piła. Wystarczała sama jego fizyczna bliskość.

- Wiem - odpowiedział szeptem. Obwiódł językiem kontur jej ust, po czym wsunął go do ich wnętrza. Silne, potężnie zbudowane ciało przywarło do niej, zawładnęło jej zmysłami, i było to uczucie wspanialsze, niż w jej najśmielszych marzeniach.

Tajemniczy człowiek z jej snów zyskał konkretną twarz.

I w głębi serca Sheridan wiedziała już, że właśnie tego mężczyznę pisane jej jest poślubić.

5

Jej imię stało się w ustach tego mężczyzny najśłodszym zaklęciem, zmysłowym powiewem muskającym ucho, nadciągającą burzą, gdy wiódł wargami po jej policzku, i świętością,

gdy bez cienia wahania, władczo przywarł do jej ust - aż roz-
płynęła się w niej wszelka myśl, znikła wolna wola.

Przeznaczenie.

„Jedno spojrzenie i będziesz wiedziała, dziecko - powie-
działa Sheridan jej babka dawno, dawno temu. - Dusza to
cudowna rzecz. Widzi to, czego nie potrafią dojrzeć oczy”.

Mroczny anioł musiał widocznie być jej drugą połową,
skoro po raz pierwszy z życia owładnęło Sheridan tak gorą-
ce pragnienie, by stopić się z mężczyzną w jedność. By być
dotykana. Kochana.

Zielonooki uniósł głowę i wpatrzył się w Sheridan. Było
w nim coś, co sprawiało, że czuła z nim silną, choć nieokre-
śloną więź. Te szmaragdowe oczy o odcieniu bujnych traw
porastających wzgórza wokół jej domu rodzinnego w Tralee
wydawały się znakiem od Boga.

Pożądał jej i to wystarczyło, by zawrzały w niej zmysły.
Silne ramię oplotło ją w tali i pociągnęło ku górze, aż znalaz-
ła się na nim. Ukrył twarz w jej włosach. Językiem powiódł
po jej szyi, obsypał dekolt gradem pocałunków. To było jak
czary. Sheridan targnęła fala odurzającej przyjemności, pod
której wpływem napięły się jej wszystkie mięśnie, tak bardzo
chciała dotykać jego ciała, napawać się jego smakiem, poznać
je tak, jak on poznawał jej własne.

Jęknął i poderwał Sheridan do pozycji siedzącej. Nie wia-
domo kiedy opadła z niego koszula, obnażając tors w całej
jego okazałości. Opalona skóra prosiła się wręcz, by ją po-
gładzić. Sheridan wstrzymała oddech i oparła dłonie na po-
tężnych mięśniach rzeźbiących jego pierś, badała ją palcami,
gładziła węzły mięśni, które czyniły ciało mężczyzny tak
odmiennym od ciała kobiety, ciekawa smaku jego skóry.

Posłuszna instynktowi, pochyliła się i musnęła ustami in-
trygujący ciemny sutek, który ją zafascynował; jak on chwi-
lę wcześniej, wodziła językiem po jego skórze, zakreślała nim
niewielkie kółeczka, muskała. Nagrodził ją pomruk przyjem-
ności.

- Zbyt przyzwoitą, psiakrew - wymruczał ochryple. Złapał ją za ramiona i odsunął od siebie. - Moja kolej.

Drżące ręce z rozbrajającą nerwowością zajęły się górnymi guzikami jej bluzki. Sheridan przytrzymała przez chwilę te duże, niezdarne dłonie, po czym odtrąciła je, aż luźno opadły wzdłuż boków. Obawa walczyła w niej o lepsze z podnieceniem; nie była aż tak naiwna, by nie zdawać sobie sprawy z tego, czego pragnął.

Głód nowych doświadczeń i żądza wiedzy kazały jej interesować się urokami męskiego ciała i tym, co dzieje się za drzwiami sypialni. Wprawdzie nie dowiedziała się zbyt wiele, ale i tak więcej, niż wiedziała większość dziewczyc, głównie dzięki przyjaźni zawartej z tancerką rewiową pracującą w saloonie Cohana.

Niejedną noc zza balustrady na piętrze Sheridan przyglądała się ukradkiem temu, co działo się między dziewczyną z saloonu a gośćmi, i głęboko w niej budziło się dziwne, niepokojące uczucie. Nic jednak nie mogło się równać ze sztormem, jaki rozpełtał w niej zielonooki anioł z piekła rodem.

Palce Sheridan drżały jak liście na silnym wietrze; zawahały się przy ostatnim guziku bluzki, a w głowie rozbrzmiał jej jakiś głos, który najpierw cicho przestrzegał, by się wycofała, nim będzie za późno, potem zaś grzmiał, że powinna się wstydić. Ale nie można uciec od swojego przeznaczenia.

Mężczyzna nakrył jej palce rękami i pomógł rozpiąć ostatni guzik. Materiał bluzki, choć niebywale miękki, zdał się Sheridan szorstki jak najpodlejsze w gatunku płótno, gdy zsuwał się z jej ramion. Została w cienkiej koszulce na ramiączka, a zielonooki pożerał ją wzrokiem, błędził płomiennym spojrzeniem po jej szyi i piersiach.

Ospałym gestem sięgnęła ku białej wstążce, na którą związana była koszula. Targnęła za jej koniec, potem za drugi. Poły koszuli rozsunęły się, ramiączka sfrunęły z ramion.

Mężczyzna przełknął ślinę. Szmaragdowe oczy tak pociemniały, że wydawały się niemal czarne, kiedy patrzył, jak

materiał osuwa się, muskając jej skórę, by zatrzymać się na sprężystych wierzchołkach piersi.

Poruszyła się lekko i koszula ułożyła się miękko wokół jej bioder. Obnażyła się przed zielonookim aniołem tak, jak nie obnażyła się przed żadnym mężczyzną.

Zerknęła na niego, ciekawa jego reakcji. Wpatrywał się w osłupieniu. Jej piersi, pełne i ciężkie, ogarnęło przedziwne mrowienie, sutki stwardniały boleśnie pod jego łakomym spojrzeniem.

Nagle zawstydzona swoją śmiałością, po trosze zaś przestraszona, że go rozczarowała, że spodziewał się ujrzeć drobne, sterczące piersi jak u większości młodek, Sheridan instynktownie skrzyżowała ręce, by je zasłonić.

- Nie. - Delikatnie ujął ją za nadgarstki i zmusił do rozłożenia rąk. Zastygła, a on z nabożną czcią ujął jej pierś stuloną dłonią. - Niebiańskie - wyszeptał, przyciągnął Sheridan bliżej i pochylił głowę, by jej piersi znalazły się na wysokości jego oczu.

Muśnięcie języka na swoim sutku odczuła jak grom z jasnego nieba. Kiedy zaś objął go wargami i zaczął delikatnie ssać, wolną ręką szukając drugiej piersi, Sheridan pomyślała, że chyba za chwilę umrze.

Przycisnął ją do swoich bioder i poczuła przez materiał spódnicy coś twardego i gorącego. Kołysał się, uplasowany między jej udami, i zrobiło się jej gorąco, gorąco i wilgotno. Usłyszała jęk i pojęła, że wyrwał się z jej własnych ust.

W popłochu zsunęła się z niego. Sięgnął po nią z pragnieniem w oczach, którego siła wstrząsnęła nią do głębi. Ona tymczasem prowadziła potajemną walkę z wewnętrznym demonem, głosikiem, który nie przestawał szeptać: „Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz się wycofać”.

Zeslizgnęła się z łóżka i wstała półnaga, wystawiona na jego chciwe spojrzenia. Serce dziko tłukło się jej w piersi, tęsknota, jaką rozbudziły w niej jego usta i dłonie, nie słabła, a jedynie narosła pod jego półprzytomnym wzrokiem.

Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i rozpięła guziki z ty-

łu spódnicy. Materiał zsunął się bezszelestnie na podłogę. Potem trafiły na nią koszula i pantalony.

Powoli rozwarła powieki. Nigdy wcześniej nie stała naga przed mężczyzną. Nigdy tego nie pragnęła. Do teraz.

- Piękna - wymruczał, podpierając się na łokciu, drugą rękę wyciągając do niej.

Drżąca położyła rękę na jego ciepłej dłoni. Przyciągnął ją do siebie i wychylił się do przodu, by ucałować jej biodra - tak gwałtownie, że aż się przestraszyła. Językiem obwiodł jej tatuaż. W tym geście kryło się tyle czci, tyle słodczy, że ogarnęła ją dziwna tkliwość.

Całował ją w dalszym ciągu, z każdym jednak pocałunkiem jego usta zbliżały się do miejsca u zbiegu jej ud.

- Nie - zaprotestowała, zakrywając się rękami.

- Cśś - wymruczał, odsuwając je. - Pozwól mi cię kochać.

Gdyby Sheridan nie oparła się kolanami o brzeg łóżka, osunęłaby się chyba na podłogę; w chwili gdy język musnął jej ciało, ugięły się pod nią nogi.

Objął palcami jej pośladki, nie przerywając pieszczoty, która stawała się coraz odważniejsza. Pieścił, to wolniej, to szybciej, nieprzerwanie, aż w końcu krzyknęła, tak nowa była ta pełna rozkoszy udręka, tak nowe i zadziwiające doznania, jakie nią wstrząsały.

Otoczył ją w talii ramionami i pociągnął na łóżko. Sheridan czuła się tak, jakby jej ciało zmieniło się w płynny ogień.

Buszując językiem w jej ustach, przewrócił ją na plecy. Sheridan z zapartym tchem patrzyła, jak pochyla się nad nią, a długie, zmysłowo potargane włosy tańczą wokół przystojnej twarzy. Zapamiętała każdy szczegół, zapisała w pamięci, by niczym skarb przechowywać do końca swego życia.

Położył się na niej; pierś przy piersi, uda przy udach. A ona rozkoszowała się ciężarem jego ciała na swoim.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział niewyraźnie, a potem, muskając wargami jej kształtne ucho, umościł się między jej udami.

Z niecierpliwością, ale i przestachem czekała na to, co miało niebawem nastąpić; nigdy nie widziała, co się dzieje, kiedy za dziewczyną od Paddy'ego i którymś z jej klientów zamkną się drzwi pokoju.

Ale z pewnością nie mogło to być nic cudowniejszego od tego, co czuła w tej chwili - muskularnego torsu ocierającego się o jej wrażliwe sutki, rozpalonego, ciężkiego ciała na swoim, stalowych muskułów na rozkosznie silnych ramionach, kiedy przywarła do tego mężczyzny, szukając ukojenia, które tylko on był władny jej dać.

Dotyk jego ust sprawił, że spowiała ją niewidzialna mgła. Gładził Sheridan po brzuchu, a kiedy powiódł dłonią jeszcze niżej, przekonała się, że istnieją pieszczoty jeszcze śmielsze, że wcześniejsze doznania bledną wobec tych, które tarzały nią w tej chwili.

Sheridan wygięła ciało w łuk i poddała się rozkoszy. Jej piersi znowu znalazły się na wysokości jego twarzy, a on przyjął ten dar z radością, przywarł ustami do sterczącego sutka.

Wiła się pod nim w gorączkowym podnieceniu, a on pieścił ją w coraz bardziej zawrotnym tempie.

Przez cały czas szeptał z twarzą wtuloną w jej piersi, jaka jest piękna, jak bardzo jej pragnie, potrzebuje. A potem zaczął delikatnie kąsać jej sutek, a pod zamkniętymi powiekami Sheridan rozbłysła feeria kolorów.

Krzyknęła. Spełnienie spadło na nią jak grom z jasnego nieba, żar rozlał się po jej wnętrzu i zatopiła się we wszechogarniającej przyjemności.

- Tak - mruzczał anioł ciemności, nie przestając okrywać jej ust pocałunkami. - Sama słodycz...

Sheridan zawisła mu na szyi. Bawiła się jego jedwabistymi włosami, przyjmując pełne żaru pocałunki, które nie pozwalały jej złapać tchu.

- Kocham cię - wyszeptała po irlandzku, świadoma, że to prawda. Że ten mężczyzna był jej pisany, przeznaczony, cokolwiek by się stało.

Przesunął się do góry i przycisnął do niej całym ciałem. Sheridan ogarnął lęk, zrozumiała bowiem, że on szuka wstępu do najbardziej intymnego zakątka jej ciała.

Potrząsnęła głową. Za późno. Wślizgnął się w nią do samego końca. Ni to krzyk, ni westchnienie zamarło na jej ustach, łzy bólu przyćmiły wzrok.

- Nie - poprosiła błagalnie, ale whisky odebrała mu zdolność racjonalnego myślenia.

Przygryzła wargę, żeby nie zacząć krzyczeć, ale ból szybko ustąpił, pozostała jedynie myśl, że stali się jednością. Dwie dusze splotły się.

Przywarła do niego całym ciałem. On poruszał się nieprzerwanie, uniósł jej nogi i oparł na swoich biodrach, kołysał ją, wypełniał sobą, raz jeszcze zabrał ku oślepijącemu światłu i rozkoszy. Uniósł głowę i krzyknął w chwili, gdy oboje osiągnęli spełnienie. Czuła się nasycona.

Wtulił twarz między jej piersi.

- Dziewica - wymamrotał niewyraźnie, pozwalając, by przegarnęła mu włosy. - Dziękuję ci - dodał miękko.

Ogarnęło ją zadowolenie, rozpierzchły się dręczące wątpliwości, czy nie postąpiła źle, ofiarowując mu swe ciało. Bóg postawił ją na drodze tego mężczyzny. A teraz ich życia splotły się w jedno. Na dobre i na złe.

Długie rzęsy łaskotały ją, gdy jej pierwszy kochanek walczył z sennością, pamiętką po wypitej whisky.

Złożył czuły pocałunek na jej piersi.

- Koniczynka - powiedział ledwie słyszalnie, myśląc o jej tatuażu, po czym zaczął oddychać miarowo, spokojnie, pogrążony we śnie.

- Ano - szepnęła Sheridan. - Podobno przynosi szczęście... I pojawiłeś się ty.

6

Z błógięgo snu obudziły Sheridan jakieś hałasę. Przekonała się, że leży w ramionach mężczyzny, którego imienia nawet nie znała. Jednak ten fakt wydawał się bez znaczenia. Kochali się i oddała mu serce.

Jakaż miłość bywa nieprzewidywalna... Sheridan spodziewała się, że jej nadejście zapowiedzą anielskie śpiewy, a nie odgłos tłuącej się butelki wina w opustoszałym doku. I nigdy, nawet w swoich najsmielszych marzeniach, nie przypuszczała, że spadnie na nią tak niespodziewanie, tak przejmująco.

Nie mówiąc o tym, by miała pojawić się w osobie Anglika.

Sheridan starała się nie myśleć, jak na tę wieść zareagowałaby jej matka. Ale przecież rodzina musi zrozumieć, że sercu się nie rozkazuje wedle uznania. Zresztą, wołała na razie wierzyć, że jej bliscy z czasem pogodzą się z boskimi wyrokami.

Mroczny anioł spał w najlepsze. Z tymi zmierzwionymi włosami wyglądałby jak rozczulający mały chłopczyk, gdyby nie cień zarostu i opasujące Sheridan rosłe, muskularne ramiona, aż nadto jasno dowodzące, iż miała do czynienia z mężczyzną...

I czary, które na nią rzucił w owej nocnej godzinie, kiedy czas zatrzymuje się w miejscu, a światem stają się ramiona ukochanego.

Serce zabiło jej żywiej na to wspomnienie. Z czułością odgarnęła swemu bezimiennemu kochankowi włosy z czoła.. Wymamrotał coś i objął ją jeszcze mocniej; jego ciało zareagowało tak samo, jak jej własne.

Hałas rozległ się ponownie, kiedy mężczyzna zaczął muskać

nosem jej szyję. Potem zaś Sheridan całkiem już wyraźnie usłyszała głos, który sprawił, że zeszywniała na całym ciele.

Wuj Finny sam trafił do saloonu.

Och, Panie Boże Wszchemogący!

Ostrożnie wyplątała się z ramion opasujących jej talię i chciała ześlizgnąć się z łóżka. Kiedy się jednak podnosiła, trąciła niechcący piersią policzek mężczyzny, a on przyssał się do jej sutka jak głodne niemowlę. Oblała ją fala gorąca.

Jęknęła gardłowo; wciąż jeszcze miała w pamięci rozkosz, jaką jej dał. Marzyła o tym, by znowu ukryć się w ciepłe jego ramion, przypomnieć sobie smak jego skóry, dotykać i dziwić się cudownym doznaniom. Ale statek, który przywiózł ich z Ameryki, opuścił już port, i Sheridan musiała zapiekirować się swoimi „opiekunami”.

Mężczyzna zamruczał sennie, gdy niechętnie wstała z łóżka i zaczęła szybko się ubierać. Cicho podbiegła do drzwi. Z ręką na klamce zawahała się jeszcze i obejrzała na mężczyznę, który z jej snów trafił prosto w jej ramiona.

Świt nie w pełni jeszcze oblekł różem horyzont, ale pojedynczy wąski promyk zaglądał już przez szczelinę w zasłonach, kładąc się świetlną smugą na opalonych, gładkich plecach mężczyzny. Leżał z szeroko rozrzuconymi ramionami, a prześcieradło ledwie zasłaniało jego apetyczne pośladki.

Wiedziała, że powinna wyjść, a mimo to podeszła do łóżka. Opatuliła Anglika prześcieradłem i pocałowała w czoło.

- Spij dobrze, moja miłości.

- Danny - wymamrotał półprzytomnie.

Serce Sheridan zadrżało radością; jej imię tak słodko brzmiało w jego ustach. Wbrew sobie odeszła od niego i pośpiesznie zbiegła na dół. Na ostatnim schodku zamarła jak posąg. Obserwowało ją dwóch tęgich mężczyzn w mundurach.

Policja.

Między nimi, z głową zwieszoną na piersi, stał wuj Finny, a raczej wisiał, podtrzymywany przez konstabli pod rękę.

Po Sheridan rozlała się fala lodowatego przerażenia. Policjanci nigdy nie należeli do przyjaciół Delaneyów czy, ogólniej rzecz biorąc, Irlandczyków. Nawet ci z Bostonu, którzy, o ironio, sami w większości byli Irlandczykami, postrzegali swoich rodaków jako obywateli drugiej klasy.

Niedawni uchodźcy oddzielili się od starego kraju nieprzeniknioną kurtyną i wrosli w swoją nową ojczyznę. Stali się Amerykanami irlandzkiego pochodzenia, ustanawiając kolejną granicę, którą przekroczyć mogła jedynie garstka uprzywilejowanych. Ich haniebne postępowanie budziło w Sheridan gniew. Zawsze.

- Co wy robicie?! Zabierzcie od niego te łapy!

Widocznie jej głos jakimś cudem przedarł się do świadomości wuja, bo podniósł głowę. Sheridan krzyknęła na widok jego podbitego oka i spuchniętych ust.

- Och, wujku, co ci się stało?

Uśmiechnął się do niej i zobaczyła, że brakuje mu przedniego zęba.

- Dobra z ciebie dziewczuszka, żeś przyszła na ratunek bidnemu wujaszкови.

Wpatrując się ze wściekłością w policjantów, Sheridan zawołała:

- Coście mu zrobili?

- Nic, na co by sobie nie zasłużył - odparł krępy policjant z obojętnością kamienia, potrząsając wujem Finnym. - Te, nogi na ziemię!

Buntowniczy z natury Finny oderwał bowiem obie stopy od ziemi i podciągnął je pod siebie, tak że policjanci musieli utrzymywać cały ciężar jego ciała.

- Jakbym miał wolną rękę, to bym wam pokazał, co o was myślę, śmierdzące dranie! - zaperzył się wuj, po czym posłał policjantom długą wiązaną irlandzkich wyzwisk; gdyby się spełniły, nic nie zostałyby im oszczędzone, od ospy u wszystkich mężczyzn w rodzinie po napad bolesnego letargu, impotencję i odpadnięcie przyrodzenia, które, o ile wszystko

ułożyłoby się po myśli wuja Finny'ego, pożarłoby następnie stado wściekłych seterów irlandzkich.

- Co mu robicie? Nie macie prawa tak go traktować!

Grubszy z mężczyzn wychylił się do przodu z groźbą na twarzy, która była okrągła jak otoczek i tak poblądła, że wydawała się jaśniejsza od wyszczerzonych w grymasie zębów.

- Jeśli nie chcesz razem z nim trafić do pudła, słodziutka, na twoim miejscu uważałbym, co mówię - warknął. Omiótł wzrokiem jej postać, rozbierając ją oczami, jakby chciał, żeby poczuła się jak dziwka. Sheridan nie zamierzała tego tolerować.

Zadarła nos i rzuciła mu swoje najbardziej wyniosłe spojrzenie.

- Nie gap się tak - wycedziła, z pozoru stanowcza, lecz w duchu rozdygotana. Skinieniem głowy wskazała wuja. - Co on takiego zrobił?

Przez chwilę wyglądało na to, że mężczyzna się obraził. Mimo wszystko odpowiedział:

- Podniósł rękę na lepszych od siebie.
- Pieprzeni nic nie warci Irlandczycy - krzyknął ktoś z boku.
- Wynocha do domu! - dodał następny.

Sheridan wbiła wzrok w grupkę niechlujnie ubranych mężczyzn i kobiet.

- Mamy takie prawo tu być jak wy.
- Nie chcemy tu takich!

Sheridan nie zamierzała uzewnętrznić rozpaczy, jaka ją ogarnęła. Dlaczego uparcie trzymała się nadziei, że ludzie mogą jeszcze odłożyć na bok uprzedzenia oraz nienawiść i nauczyć się zgodnie żyć?

Zwróciła się do konstabli:

- Nie można wtrącić człowieka do więzienia tylko dlatego, że kogoś dotknął.
- Uszczypnął mnie w tyłek! - wykrzyknęła z oburzeniem jakaś kobieta.

Sheridan zmierzyła wzrokiem młodą barmankę w rozchełstanej pod szyją, opadającej z ramion chłopskiej kosz-

linie, która ledwie zasłaniała jej bujną pierś; Sheridan szczerze wątpiła, czy był to pierwszy raz, kiedy nachalne męskie ręce dotknęły rzeczonyj części jej ciała. Klientela Puddlebych nie werbowała się spośród ludzi pierwszego sortu.

- Nie chciał nic złego - tłumaczyła Sheridan. Liczyła jeszcze na współczucie, ale się go nie doczekała.

- Chodźmy - rozkazał konstabl. Trzej mężczyźni ruszyli w stronę wyjścia, czy też raczej dwaj, trzeci bowiem nadal dyndał nogami w powietrzu.

- Czekajcie! - Sheridan jednym susem znalazła się przed nimi. - Dokąd go zabieracie?

- Do mamra, oto dokąd mnie zabierają - odpowiedział wuj, wierząc się, by dodatkowo zirytować stróżów prawa. Najwyraźniej alkohol zdążył z niego wyparować, a bez duchowego wsparcia tuzina szklaneczek czegoś mocniejszego wuj najbardziej dawał się we znaki. Sto procent oślego uporu, powtarzała z upodobaniem matka Sheridan.

- Mówię do nich: „Jestem skromnym człekiem. Przyszedłem ino, coby pilnować mojej trzódki”. „Ba!” - oni na to. - „Tyś jest stary zapijaczony moczymorda”. „Stary zapijaczony moczymorda?!” - ja im na to, bo zółć we mnie wezbrała i pięści zaczęły świerzbic. „Och?” - oni mi na to, jadowicie, wrednie, po drańsku, jak ino te kanalie potrafią. - „No to coś ty za jeden, jak nie stary zapijaczony moczymorda?” No to podbiłem im oko. - Wskazał własne lewe, istotnie podbite, prawe bowiem przykrywała dziś czarna klapka. - Przemówił przeze mnie gniew Pański. „Jeszcze tego pożałujecie, jak staniecie u wrót nieba i okaże się, że święty Piotr nie chce ich przed wami odemknąć, bo ani jednego dobrego słówka o was ode mnie nie usłyszał” - ostrzegam te psubraty. A ci jak nie rykną śmiechem. „Niby czemu miałyby nas obchodzić, co masz do powiedzenia?” - rechoczą. „Czemu?” - ja na to, oburzony i takie tam. - „Bo jam jest...”

- Jego świętobliwość Pius - dokończyła za niego Sheridan i westchnęła z rozpaczą.

Papież Pius był jednym z ulubionych wcieleń wuja i zwykle pojawiał się w chwilach jego większej przytomności umysłowej. Głosił wówczas słowo boże, a równocześnie pakował się w najróżniejsze tarapaty.

- Ten gość jest szurnięty. Powinno się go zamknąć raz na zawsze.

Sheridan zignorowała dyszącego nienawiścią olbrzyma i cicho spytała wuja:

- Co tu robisz, wuju? Myślałam, że śpisz.

- Ano, spałem. Ale naszło mnie potworne pragnienie. Malusieńki kubeczek mleka, to wszystko, o czym myślałem, zapamiętaj to sobie. - Potrząsnął smętnie głową. - Ale nigdy tego mleka nie dostałem.

Sheridan przeniosła wzrok na konstabli; starała się odgadnąć, czy któryś nie ulituje się nad nią. Serce w niej zamarło. Mieli identyczny wyraz twarzy, wyrażający zimny upór.

Spróbowała inaczej.

- Zabiorę go ze sobą. Nie będzie się wam dłużej naprzykrzał.

- O nie! Nic z tego - zagrmiał ktoś z tyłu.

Sheridan obejrzała się: przez tłumek gości przedzierał się w jej kierunku właściciel saloonu. W chwili gdy dostrzegła wyraz jego mętnych oczu, ogarnęło ją przerażenie. Najwyraźniej mężczyzna zamierzał dopilnować, żeby zapłaciła za upokorzenie, jakie spotkało go wczoraj z jej powodu.

- Chcę, żeby ten irlandzki śmieć trafił za kratki.

- A twoim zdaniem dokąd go zabieramy? - warknął konstabl.

W oczach oberżysty pojawił się zimny błysk, jakby wyrachowania, gdy rzucił na Sheridan pałające nienawiścią spojrzenie.

- Tylko dopilnujcie, żeby na liście zarzutów figurowała kradzież.

- Kradzież! - niemalże wrzasnęła Sheridan. - On w życiu niczego nie ukradł! - Co nie do końca było prawdą. Ulubio-

na poobijana piersiówka wuja Finny'ego trafiła w jego ręce prosto z rąk jakiegoś żebraka, odsypiającego wieczorne hulanki. I tak jednak jej protest został puszczonej mimo uszu.

- Co ukradł? - dociekał konstabl z nową uwagą.

Oberżysta podrapał się pod pachą.

- Ukradł... eee... pieniądze mojej żony. A i owszem. Wy-rwał jej pieniądze z ręki i wszyscy goście temu zaświadczą.

- Łżesz!

Na twarzy oberżysty wystąpiły szkarłatne plamy.

- Jak śmiesz nazywać mnie kłamcą, ty brudna irlandzka dziwko!

Sheridan odczuła te brutalne słowa tak, jakby fizycznie wymierzył jej cios. Świat zawirował jej przed oczami.

Powietrze przeszył rozdzierający pisk, przypominający kwik ukłutej znienacka świni.

- Dziecko będziesz nazywał dziwką? Ukatrupię cię, ty tłu-sty kmiotku! - Wuj zakołysał się gwałtownie w ramionach konstabli, wierzgając dziko nogami. Próbował kopnąć oberżystę, który szarpnął się gwałtownie do tyłu z zadowolonym uśmiechem na gębie.

- Nie, wujku! Nie!

Ale było za późno na argumenty. Jeden z konstabli zacisnął ramię na szyi Finny'ego, drugi usiłował złapać jego młó-cące na oślepiej kończyny. Nie przewidział, że wujaszek ma jak na swój wiek całkiem krzepkie nogi; musiał szybko biegać, inaczej bowiem nie uciekłyby żadnemu dopominającemu się o zapłatę właścicielowi baru.

Konstabl prawie już unieruchomił nogi wuja, gdy ten zdo-był się na ostatni energiczny kopniak, który zrzędzeniem losu trafił oberżystę prosto w pachwinę.

- Ha, ha! - zarechotał wuj radośnie. - To ci da nauczkę, ty nadęty dorszu!

Konstabile w końcu go ujarzmili i powlekli na dwór; orał stopami podłogę, nie przestając zanosić się śmiechem, oberżysta zaś odgrażał się, że jeszcze zadynda na szubienicy. She-

ridan nie pozostało nic oprócz udania się za wujem i wznośzenia modłów, by zdołała jakoś z tego wszystkiego wybrnąć.

Ostatni raz spojrzała w kierunku schodów i pośpieszyła za szybko oddalającą się postacią wuja.

W świetle dziennym wszystkie statki zakotwiczone przy nabrzeżu wyglądały identycznie. Żaden niczym się nie wyróżniał, przynajmniej zdaniem Nicholasa. Dziewczyna mogła być na pokładzie któregoś z nich, ale równie dobrze na jednym z tych, które wypłynęły już w morze, gotowa na zawsze zniknąć z jego życia.

A niech to wszyscy diabli!

To, dlaczego ta ostatnia możliwość leżała mu kamieniem na sercu, pozostawało dla niego zagadką. Z pewnością tylko dlatego, że czuł się oszukany. Chciał ją zobaczyć w dzień, choćby tylko po to, żeby przekonać się, czy istotnie była taka fantastyczna, jak ją sobie zapamiętał, czy też wyobraźnia spletała mu figła, a przyływ żądy zawdzięczał wypitemu trunkowi. Niejednemu mężczyźnie zdarzyło się znaleźć zgubę na dnie butelki.

Tylko co było w piersiówce, którą mu dała? Młot w płynie? Nicholas obudził się z posmakiem błota w ustach i głową, w której dudniły tam-tamy, przed oczami zaś miał setki drobnych stóp poruszających się w takt gigi.

Ubiegła noc była jak jedna rozmyta plama i aczkolwiek ogromnie się starał, nie był w stanie poskładać wspomnień w jedną całość - chociaż wnosząc z poczucia zaspokojenia, jakie odczuwał w całym swoim ciele, dziewczyna musiała kochać się z nim z wprawą francuskiej kurtyzany. Ta myśl sprawiła, że Nicholasowy „kogucik”, by zacytować jego nocną kochankę, od razu stanął na baczność.

Po przebudzeniu, uśmiechając się do swoich wspomnień, sięgnął po nią, ale powitała go jedynie pustka... i kilka kropli krwi na prześcieradle. Napłynęła mętna wizja bijatyki - z nim samym w roli głównej, toteż Nicholas szybko przestał się zastanawiać nad przyczyną pojawienia się krwawych śladów.

Jednak coś w dalszym ciągu nie dawało mu spokoju. Obraz dziewczyny i przelotne wspomnienie jej bolesnego krzyku. Czy to możliwe, że zbyt szorstko się z nią obszedł, że tak bardzo mu zaszumiło w głowie? Nie spodobała mu się ta możliwość.

Zawsze pochlebiał sobie, że potrafi zadowolić kobietę. Im większą czerpała satysfakcję, tym większą odczuwał on sam. Czyżby zrobił jej coś, co skłoniło ją do ucieczki?

Musiał koniecznie ją odnaleźć.

Najpierw odszukał Tłuściocha, jak ochrzcił w duchu właściciela saloonu, który ze złośliwą uciechą wyjaśnił, że dziewczyna wyszła wcześniej - z innym.

Nicholas wpadł we wściekłość; przyszło mu do głowy, iż było całkiem możliwe, że sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, a on po raz pierwszy w życiu wystąpił w roli uwiedzonego zamiast uwodziciela.

Jeszcze gorszy okazał się moment, w którym dotarło do niego, że chce odszukać kochankę dziewczyny, wydrzeć kanieli serce z piersi i wepchnąć mu je do gardła.

Dlaczego tak trudno mu było przełknąć myśl, że dziewczyna okazała się pospolitą ladacznicą? Nicholas miał na koncie swoją działkę miłostek z mężatkami i kobietami niezamężnymi, teraz jednak było inaczej. Ta dziewczyna była inna. Czy też przynajmniej do tej pory w to wierzył. Kiedy spojrzał jej w oczy, dostrzegł w nich coś, zrozumienie, przeżucie, które kazało mu wierzyć, że mogłaby...

- Nie bądź osłem - warknął pod własnym adresem. Dziewczyna była nie lepsza od jego matki. Oddać się komuś to dla niej tyle, co nic. A zresztą, pal to sześć, sam z upodobaniem oddawał się podobnym igraszkom przez całe swoje życie! Ale nie chciał, by na samych swawolach skończyła się jego znajomość z tą Irlandką o języku hetery i twarzy elfa.

Nicholas pocieszył się myślą, że nie czas na schadzki z dziewczynami, a co dopiero z taką dziką kotką o potężnym prawym sierpowym, skoro czekała na niego Jessica Reardon. Pora uderzyć w konkury.

Lady Jessica zapewniłaby mu szacunek, o jakim marzył, byłaby wierna. Z pewnego źródła słyszał, że nadal była dziewicą i absolutnie nie dała się namówić na uczestnictwo w partyjce rozbieranej ruletki, w którą, jak podejrzewał, jego celtycka bogini grywała, i to nie raz.

Głównym życiowym celem, który wytyczyła sobie Jessica, było wejście w rolę oddanej żony i matki. A dokładnie takiego typu kobiety Nicholas sobie życzył. Takiego, a nie sekutnicy o oczach koloru lawendy i śpiewnym głosie, za to języku tak ostrym, że jego śmignięcie zdolne było zedrzyć mężczyźnie skórę z grzbietu równie umiejętnie jak... dawać przyjemność. I ciele tak ponętym, że był gotów garściami łykać gwoździe, byle znowu ją mieć.

Potrzebował się skoncentrować, zamiast dumać Bóg wie o czym.

I gdyby nie powtarzał sobie tego bez końca, całkiem możliwe, że udałoby mu się o tej dziewczynie zapomnieć.

7

- To koniec, powiadam ci - oświadczyła ciotka Aggie łamiącym się głosem. - Mój ostatni wschód słońca. Niebawem spotkam się z moim Stwórcą.

Z bezgłośnym westchnieniem Sheridan ujęła ciotkę za rękę - tę, która nie była kurczowo przyciśnięta do serca - w duchu zaś modliła się o siłę.

Przez dwa długie tygodnie Sheridan i jej ciotka żyły w niepewności co do tego, jak potoczą się losy aresztanta. W tym czasie ciotka Aggie znajdowała się o włos od przejścia na zielone rajskie pastwiska więcej razy, niż Sheridan była w stanie zliczyć.

Teraz zaś, gdy w ponurej sali sądowej czekały na werdykt,

Sheridan zaczynała powoli tracić cierpliwość do ciocinych ataków hysterii.

Niemniej zdawała sobie sprawę, że nie mający końca romans ciotki z Kostuchą nie był jedynym powodem, dla którego humor jej nie dopisywał. Mijały kolejne bezsenne noce, podczas których przewracała się z boku na bok, marząc o swoim mrocznym aniele.

Od owych poprzedzających świt godzin, gdy byli razem, tylko jeden jedyny raz odważyła się zejść do saloonu Pud—dlebych, a wizyta okazała się koszmarem.

Bała się, że zostanie wyrzucona za drzwi, ale obiecała sobie, że nie okaże lęku. Wyprostowała plecy, uniosła wysoko głowę i wpadła do oberży krokiem prawowitej właścicielki.

- Ty!/- zdawało się, że oberżysta wypluł to słowo. Wychylił krępy jak antałek tułów zza baru, w grubych jak serdelki palcach zaciskając wałek do ciasta. Następnie obszedł bar i zbliżył się do niej. Ze wściekłości zmrużył oczy; wyglądały jak dwie czarne kropki.

- Żebyś się nie ważył mnie dotknąć!

- Wynocha stąd!

Sheridan zrobiła dwa kroki do tyłu, skutkiem czego znalazła się w progu.

- Już wyszłam, zresztą w ogóle nie chciałam tutaj wchodzić. Chciałam tylko...

„Spytać o nieznanego, który skradł mi serce w chwili, gdy spojrzałam w jego zielone oczy...”

- Już ja dobrze wiem, po coś tu przyszła, ty portowa lafi—ryndo! - zapiał. - Twój kochaś ulotnił się bez zapłaty?

Przez chwilę nie docierał do niej sens jego słów. Gdy to się w końcu stało, policzki Sheridan oblekły się szkarłatem.

- Ty bydlaku...

Oberżysta prychnął pogardliwie.

- Jakby mnie obchodziło twoje zdanie, ty szmato. A teraz fora ze dwora. Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, wylądujesz w tej samej zatęchłej celi co twój nachlany wujaszek.

Sheridan wyszła z ciężkim sercem. Nie dowiedziała się niczego o mężczyźnie, z którym spędziła pełne namiętności godziny, i myśl, że może już nigdy go nie zobaczyć, sprawiała jej ból.

- O mój Ty panie, idą. - Drżący głos ciotki błyskawicznie ściągnął Sheridan na ziemię. - Och, czara goryczy Irlandii z pewnością się dziś przeleje.

- Wszystko będzie dobrze, ciociu. Na pewno wujka Finny'ego wypuszczą - w głosie Sheridan brzmiała nadzieja, której nie było w jej sercu. Na niekorzyść wuja przemawiał cały szereg argumentów. Był Irlandczykiem, nie wykazywał skruchy, a na domiar złego, pozbawiony dobrodziejstw alkoholu, który działał na niego łagodząco, był bardziej kąśliwy od całego kłębowiska żmij. Na dobitkę zaś od chwili, gdy został pojmany, nie mogło mu być dalej od wzorcowego więźnia.

Dwaj brutale o twarzach białych jak mąka - ci sami, którzy go aresztowali - stali koło sędziego i rozmawiali z nim półgłosem. Sheridan nasłuchiwała czujnie, ale dotarło do niej zaledwie kilka słów.

Parszywy gnój.

Winny.

Chłosta.

To pierwsze sprawiło, że wybuchła w niej furia. Dwa pozostałe były jak cios w serce.

Ktoś taki jak Finnegan Delaney nie mógł liczyć na sprawiedliwy proces.

Wprowadzono więźnia skutego, jakby był niebezpiecznym mordercą. Łzy napłynęły Sheridan do oczu, gdy ujrzała wynędzniałą twarz wuja. Policzki mu obwisły, oczy miał zapadnięte, czerstwa zwykle twarz nabrała odcienia popiołu. Słodka święta Katarzyno, co oni mu zrobili?

- Finneganie Delaney - zaintonował sędzia; już sam ton, jakim wypowiedziane były te dwa słowa, źle wróżył - jesteś oskarżony o napastowanie kobiety i kradzież. Czy przyznajesz się do winy?

„Proszę, wujku” - błagała bezgłośnie Sheridan - „ten jeden jedyny raz zachowaj się dobrze”.

Niemniej wiedziała, że jej modły na nic się nie zdadzą, zanim jeszcze wuj się odezwał. Pijany czy trzeźwy, przy zdrowych zmysłach czy szalony, wuj nie kłaniał się ni człowiekowi, ni bestii.

Mierząc sędziego bezczelnym spojrzeniem, Finny rzekł:

- Oby wszystkie ptaki zbiły się w stado i zostawiły wizytówki na twojej przeklętej głowie.

Lup! Sędziowski młotek uderzył w drewno z łoskotem godnym tego, by obwieszczać koniec świata.

- Och, wujku - wyszeptała z rozpaczą Sheridan, ciotka Aggie zaś mamrotała coś o białym świetle i nieżyjącej matce na końcu czarnego tunelu.

Sędzia, którego zastygłe w wyrazie wściekłości oblicze przypominało teraz maskę, wskazał młotkiem oskarżonego.

- Rok więzienia albo pięćset funtów. Oto mój werdykt.

Lup!

- Po prostu zachodzę w głowę, gdzie ona się podziewa.

Nicholas zerknął na zmartwioną twarz kuzynki; stał przed lustrem i usiłował poprawić krawat. Pętelka, góra, pod spodem, dookoła, powtarzał jak litanie, ale cholerny pasek materiału zawsze wychodził z tych zmagani zwycięsko. Nicholas był w kiepskim nastroju, który pogłębiał się od przeszło dwóch tygodni.

Od tamtej nocy.

Dwie splecione dusze. Koszałki-opałki, do diabła.

Ciekawe, z czyją duszą zamierzała spleść swoją duszyczkę dzisiejszego wieczora, rozmyślał Nicholas ponuro, po czym po raz dziewięćsetny zadał sobie pytanie, co z tego za różnica. Przecież nie była jedyną piękną, pełną życia i podniecającą kobietą w okolicy - jeśli nawet istotnie była jedyną, która potrafiła wyprowadzić sierpowy jak mężczyzna.

Tak czy owak, w Londynie pań było na pęczki, on zaś - tu

uśmiechnął się jak satyr - zawsze cieszył się niejaką popularnością wśród przedstawicielek płci przeciwnej. Bądź co bądź był Sinclairem, i to nie jakimś staruchem z kurzajkami na nosie, żeby nie mógł przebierać w kobietach jak w ulegałkach.

Prawda?

Nicholas przestudiował swoje odbicie. Czy to siwy włos? Przecież był za młody, żeby zacząć siwieć. Obejrzał podejrzany kosmyk i stwierdził, że to sprawka tego idiotycznego pudru, którym Emery z upodobaniem oprószał swoją łysinę, twierdząc, że to dobrze robi na włosy.

Ilekcio leciwy lokaj kichnął, wzniecał kurzawę białych drobinek, na amen przyklejających się wszędzie tam, gdzie zdarzyło się tym małym zajadłym draniom wylądować - zazwyczaj na nieskazitelnie czarnym surducie Nicholasa lub jego świeżo wypastowanych butach.

Też coś. Co się z nim działo? Przecież nie tracił seksapiliu. Idiotyczna myśl, równie idiotyczna jak podejrzenie, że to małe odgniecenie przy lewym oku to zmarszczka. Bo to nie była zmarszczka, rzecz jasna.

Zrobiło mu się jakoś dziwnie w żołądku. Wyjął koszulę ze spodni, a potem dokonał skrupulatnych oględzin swojego torsu. Nie. Żadnej wysypki. Żadnego zaczerwienienia. Żadnych obwisłości. Wszystko napięte. Dobrze umięśnione. Obrócił się, by sprawdzić pod innym kątem.

- Co ty wyprawiasz?

Nicholas błyskawicznie zerknął w lustro; Jules wpatrywała się w niego z pytającą uniesionymi brwiami. Niech to wszyscy diabli, dał się przyłapać.

- He? Och. Coś mnie zaswedziało.

Pośpiesznie upchnął skraj koszuli w spodnie i wrócił do zmagania z przeklętym krawatem, unikając zaciekawionego wzroku kuzynki. Przez mózg przemknęło mu mętne podejrzenie, że coś do niego mówiła. Jako że nie miał zielonego pojęcia, o czym, uznał, że najbezpieczniej będzie kiwnąć głową i uśmiechnąć się do niej.

Jednak myślami szybko wrócił do punktu wyjścia, w szczególności do planów na wieczór. Lady Jessica była łaskawa zgodzić się, by zabrał ją do teatru. Spotkał się z nią w tym tygodniu już trzy razy i wszystko było na jak najlepszej drodze. Porządnie się napracował, by jej ojciec raczył dostrzec w nim akceptowalnego pretendenta do ręki swojej pięknej córki, tym bardziej że Nicholas nie był przecież utytułowany.

W dodatku nosił nazwisko Sinclair.

Dla Nicholasa fakt, że urodził się Sinclairem, był jak dar od losu. Miał dwóch starszych braci, którzy byli zarazem jego najlepszymi przyjaciółmi. Chronili go przed nieczułością matki i ojcem, który z roku na rok popadał w coraz czarniejszą rozpacz, nim w końcu zmarł jako człowiek złamany.

To Damienowi i Grayowi zawdzięczał szczęśliwe dzieciństwo - choć w ich obecności zarzekałyby się, że są jak dwa cholerne wrzody na siedzeniu, na co oni odpowiedzieliby, że chcieli dostać psa, a nie młodszego brata, tylko nikt ich nie zapytał. W tłumaczeniu sprowadzało się do tego, że kochają się bez zastrzeżeń, ale i zbytniej ckliwości.

Jednak dla reszty świata nazwisko „Sinclair” znaczyło tyle, że mężowie powinni pilnować swoich żon, ojcowie strzec córek, a wszyscy razem usunąć się z okolicy na wypadek, gdyby wybuchła burda - żeby nikt nie próbował na nich zrzucić odpowiedzialności za obrażenia poniesione przez przypadkowych przechodniów.

Mimo wszystko Nicholas zdołał jakoś obejść problem swojej reputacji w relacjach z lordem Harringtonem, ojcem lady Jessiki. Swoistym mostem między nimi stała się wspólna miłość do koni i dzięki niej właśnie Nicholasowi pozwolono ubiegać się o Jessicę.

Podejrzewał wręcz, że wicehrabia hołubił w sercu nadzieje dotyczące nie tylko ewentualnego związku pomiędzy nim a jedną ze swych córek, których miał zresztą cztery, ale też drugiego, między jedną ze swoich klaczek a którymś z Nicholასowych ogierów czystej krwi, co zresztą najzupełniej

Nicholasowi odpowiadało. Kiedy już staną się rodziną, taki związek" byłby dla niego korzystny.

- Słuchasz mnie?

Nicholas stwierdził, że kuzynka przygląda się mu ze zmarszczonym czołem. Jezu Chryste, znowu nieźle wdepnął. Co ona mogła mówić? Przetrzęsnał mózg w poszukiwaniu choćby urywka, następnie przybrał zatroskaną minę. Liczył na to, że przy odrobinie szczęścia powinno mu się udać powiedzieć coś w miarę do rzeczy.

- Oczywiście, że tak. Opowiadałaś mi o swojej zaginionej przyjaciółce. - Jak też ona miała na nazwisko? Jakoś tak... Gilhooly? Jakby mu było potrzeba, żeby jeszcze jedna kobieta wisiała mu wiecznie nad głową i grała na nerwach.

- Martwię się. Powinna już tu być.

Oddalwszy od siebie widmo kobiecej hysterii, Nicholas zaczął ponownie zawiązywać krawat.

- Kiciu, przecież wiesz, że te statki najczęściej się spóźniają. Przy wielkim ruchu w porcie muszą dosłownie walczyć o miejsce na przystani. - W końcu udało mu się doprowadzić krawat do jakiegoś takiego ładu. Odwrócił się i spytał: - Jak wyglądam?

Jules zerknęła na niego przelotnie.

- Tak samo.

Nic na tej ziemi nie potrafi urazić męskiej dumy jak kobieta.

- No cóż, to wiele mi mówi - burknął i sięgnął po swój surdut.

Podparła rękami plecy i podniosła się powoli.

- Przepraszam, ale po prostu martwię się o Sheridan. Nigdy wcześniej nie była w Anglii, a ja mam płodną wyobraźnię i wprost roi mi się w głowie od wizji przeróżnych katastrof.

- Najwyraźniej płodność to dziedzina, w której jesteś znakomita. - Nicholas uśmiechnął się i poklepał ją po kragłym brzuchu.

- Łobuz. - Jules pokazała mu język.

Nicholas parsknął śmiechem.

- Zachowaj to dla Williama. Jestem pewny, że zupełnie inaczej zareaguje na ten widok.

Wspomnienie męża wywołało na jej twarzy tęskny uśmiech.

- Jeśli kiedykolwiek mi wybaczy, że przyjechałam do Londynu bez niego.

Nicholas z trudem powstrzymał się od poinformowania upartej kuzyneczki, że w jego biurze czekało w tej chwili przynajmniej dwadzieścia liścików od jej równie upartego męża.

Od przyjazdu Jules otrzymywał przynajmniej jeden dziennie - i w każdym William zapytywał, zmieniając formę pytania, jak ma się jego małżonka. Czy za nim tęskni? Czy dobrze się odżywia? Śpi wystarczająco długo? I nieodmiennie, na zakończenie listu: Czy za nim tęskni?

Tyle czasu zajmowało Nicholasowi odpisywanie na zalew korespondencji od Williama, że praca leżała w zasadzie odłogiem, a była pora żrebieńca. W dodatku za niecały miesiąc młody ogier Grayfrair miał zadebiutować w roli rozpłodowca.

Ach, ależ to było wspaniałe zwierzę - o szlachetnych liniach, królewskiej postawie, zupełnie jak jego ojciec, Narcissus, kary ogier, ochrzczony tym imieniem z racji tego, iż z upodobaniem przyglądał się swemu odbiciu w kałużach.

Z wielką łagodnością Nicholas ujął ręce kuzynki.

- William cię uwielbia, dziewczyno. A zresztą, kto by tam ciebie nie uwielbiał? Daj mu tydzień, a usłyszysz, jak dobija się do drzwi, gotowy nosić cię na rękach... albo przynajmniej *spróbować* nosić cię na rękach. - Nicholas spojrzął znacząco na jej brzuch, za co nagrodziła go żartobliwym kłapsem w policzek i uśmiechem. - Wracając do twojej przyjaciółki, Suzanne...

Jules szturchnęła go palcem.

- Sheridan.

- Tak. No cóż, jestem pewien, że Sharon jest cała i zdrowa, i przyjedzie, nim zdążysz powiedzieć: *Jan Chrzciciel*". Wiesz, jak się tym Jankesom wszystko myli, kiedy pojawia się ktoś

z obcym akcentem. „Stryzek” czy „stryczek” to dla nich jeden diabeł. Założę się, że jakiś nieszczęśnik dosłownie odchodzi przez nią od zmysłów, i to teraz, kiedy o tym rozmawiamy.

Kuzynka roześmiała się srebrzyście. Zrobiła minę, jakby powierzono jej jakiś sekret, którym chciałyby się podzielić - z kimkolwiek, ale nie z nim.

- W to, mój drogi, nieszczęsny kuzynie, nie wątpiłam ani przez chwilę.

- Pięćset funtów! - zaszlochała ciotka Aggie i wydobyła flaszeczkę z kieszeni spódnicy. - Wątpię, czy byśmy uzbierały całe *pięć*.

Sheridan złapała ją za nadgarstek, zanim kobieta zdążyła przytknąć naczynie do ust.

- Jeśli nie chcesz za chwilę siedzieć obok wuja Finny'ego - ostrzegła przyciszonym głosem - lepiej, ciociu, cobyś to schowała, i to szybko. Sama chyba widzisz, że wokół nas roi się od policji.

I przez sekundę nawet nie wątpiła, że konstable czekali tylko na pretekst, by wtrącić je do więzienia i pozbyć się całej tej „irlandzkiej zarazy”.

Objęła ciotkę ramieniem, delikatnie, acz stanowczo, po czym wyprowadziła ją z małego zatęchłego budynku. Na hałaśliwej ulicy rozejrzała się, z przygnębieniem rozmyślając, dlaczego kłopoty nie odstępowały jej ani na krok.

- Oddaj starej ciotce jej lekarstwo, moja mała.

Sheridan opuściła wzrok i przekonała się, że nadal ściska w ręce srebrną flaszeczkę. Boże, jakże bardzo ją kusiło, by wrzucić ją do rynsztoka i dla pewności chwilę po niej poskakać.

W momencie gdy zastanawiała się, czy to by załatwiło sprawę, poczuła gwałtowne szarpnięcie, pod wpływem którego wykonała pełny obrót. Wydała zaskoczony okrzyk i znalazła się twarzą w twarz z brudnym jak nieboskie stworzenie wyrostkiem, który próbował jej wyrwać torebkę. Li cha torebka, której pasek miała przewieszony przez nadgar-

stek, zawierała wprawdzie tylko kilka marnych funtów, niemniej było to wszystko, co z ciotką miały, i Sheridan nie zamierzała pozwolić jej sobie odebrać bez walki.

- Puszczaj, ty mały zezowaty mięczaku! - 2 całej siły nadepnęła nogą jego bosą stopę. Zawył i zaklął szpetnie, ale torebki nie puścił.

Prawie że wyszarpnęła już torebkę z zaciśniętych kurczowo palców rabusia, gdy pasek pękł z cichym trzaskiem. Zatoczyła się i poluzowała chwyt na ułamek sekundy, to jednak najzupełniej wystarczyło. Wyrostek rzucił się do ucieczki i błyskawicznie zniknął w tłumie.

- Nasze pieniądze! - krzyknęła ciotka. - On ucieka!

Sheridan bez zastanowienia zadarła spódnicę i puściła się w pogoń. Ktoś, kto okradł Delaneya, nie miał prawa dożyć następnego dnia!

Przed oczami migała jej co rusz ciemna czupryna chłopaka, przedzierającego się wprawnie przez zbiorowisko handlarzy i kupujących.

A niech licho porwie tę spódnicę, tylko przeszkadzała. Materiał oblepiał jej nogi i musiała przez to zwalniać. Gdyby nie była taka drobna, dzięki czemu łatwiej było jej przepchnąć się przez ludzką gęstwę, dawno już straciłaby opryszka z oczu.

Biegła dalej. Wyprzedzał ją już tylko o pięć stóp! Cztery! Dwie! Dała wielkiego susa...

I wylądowała na straganie z owocami.

8

Trzy... cztery... pięć...

- Och, na miłość boską! - warknął Nicholas, stwierdzisz, że dzwonek nadal hałasuje jak oszalały. Łobuz Emery

jak nic znowu **uciał** sobie drzemkę. Naturalnie, darcie się przez cały korytarz także na nic by się nie zdało. Jeżeli starszek lokaj nie trzymał akurat tuby przy uchu, byłoby to jak wołanie o pomoc w samym oku cyklonu.

Nicholas cisnął z furją krawatem. Dopiero co wrócił z wieczornej wyprawy do teatru i wciąż jeszcze nie mógł się nadziwić dziewiczemu pocałunkowi, którym go pożegnała lady Jessica. Był to ich pierwszy pocałunek, a zarazem definitywny krok we właściwym kierunku.

Niemniej... coś było nie tak. Nic nie obudziło się w nim do życia, gdy przycisnęła wargi do jego ust, nie czuł przedsmaku czegoś więcej, czy choćby tylko przedsmaku takiego przedsmaku. Nie czuł absolutnie nic.

Ale z czasem to na pewno by się zmieniło. W noc poślubną niewinność Jessiki rozпалиłaby tylko jego zmysły, przypawiłaby o utratę panowania nad sobą.

Zapragnąłby ją pojąć, całkowicie, namiętnie. Ległby między jej udami i miał pewność, że jest jedyny, zatonął w jej fioletowych oczach i dostrzegł w nich miłość, której nie sposób pomylić z niczym innym.

Fioletowe oczy...?

Dotarło do niego, o czym właśnie myślał, czyje dygoczące ciało wyobrażał sobie pod swoim, i oprzytomniał w jednej chwili. Wymazał sprzed oczu natrętny obraz, tłumacząc sobie, że to tylko przemęczenie. Ta mała Irlandka była odległym, choć nader przyjemnym, wspomnieniem.

„Czyżby? W takim razie po co dzień w dzień chodzisz do doków?”

Żeby zobaczyć się z Damienem, oczywiście.

„Czyżby? To dlaczego jeszcze się z nim nie widziałeś? Jeśli sam tego nie wydedukowałeś, to on nie należy do tego typu osób, z jakich werbuje się klientela saloonu Puddlebych. Bo bez wątplenia z tego tylko powodu zapuszczałeś się do tej speluny dobry tuzin razy, nieprawdaż?”

Chyba coś tam zapodziałem, mądralo.

„Owszem. Głowę”.

Natarczywy dźwięk dzwonka dodatkowo podrażnił starzane już nerwy Nicholasa.

- Idę, do ciężkiego diabła!

Kiedy przechodził obok otwartych drzwi do pokoju kuchynki, przystanął na sekundę. Jules leżała na boku, skulona i pogrążona we śnie. Ostatnimi czasy często zdarzało się jej podsypiać w dzień. Lubiła aktywny tryb życia, a przez ciężę szybciej się męczyła.

Aczkolwiek Nicholas lubił zrzędzić pod nosem na swoją nową domowniczkę, cieszył się, że Jules u niego mieszka. Przez ten krótki czas mógł znów się nią opiekować.

Czy raczej to ona mogła opiekować się nim.

Z uśmiechem skierował się ku drzwiom. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i znalazł się w holu. Uniesieniem brwi powitał chrapiącego Emery'ego, śpiącego słodko w jego ulubionym fotelu.

- Dobrze się trochę zdrzemnąć, co?

Emery wydał dziwny odgłos, ni to chrapnięcie, ni to gwizd, i zamlaskał z lubością, jakby śnił o bażancie, którego wczoraj mieli na kolację.

Nicholas z impetem otworzył drzwi frontowe na oścież i zastygł, wlepiając oczy w starszawą kobietę. Wcisnęła się we framugę i mierzyła go takim wzrokiem, jakby był kawałkiem świeżego mięsa.

- Tak? - spytał przeciągle niezbyt przyjaznym tonem. - W czym mogę pani pomóc?

- A niech mnie, ale z ciebie ślicznota.

Jej akcent wydał mu się znajomy - nic dziwnego, zważywszy, że podobny, choć w mniej ochryplym wydaniu, rozbrzmiewał mu w głowie od ponad dwóch tygodni, co zapewne czyniło z niego idealnego kandydata do domu wariatów.

- Co proszę...?

- Ano mówię, że śliczny z ciebie chłopaczek. Aż mi dech w piersi zaparło. - Wzruszyła ramionami. - Chyba że to przez

te potworne schody, po których musiałam się tutaj wdrapać. Nie jest ze mnie znowu taka młódka, jeśliś nie zauważył.

Zauważył.

Nicholas spojrzął ponad jej ramieniem i doliczył się czterech „potwornych” stopni. Prawdziwa wspinaczka.

Kobieta wydobyła skądś skrawek papieru, podetknęła go sobie pod nos i zrobiła lekkiego zeza.

- Czy to... - Przeczytała z kartki jego adres.

- Adres się zgadza, ale...

- Dzięki niech będą litościwym niebiosom! - Wykonała dziwny zamach tęgimi biodrami, dzięki czemu zdołała przekroczyć próg i, nie czekając na zaproszenie, wtarabanić się do środka. Gdy przechodziła obok Nicholasa, usłyszała jeszcze jakby chlupot dobiegający z kieszeni jej spódnicy.

- Proszę no posłuchać - zaczął, ale kobieta nie zaszczyciła go uwagą. Oglądała podłogę, ściany, meble - i wszystkie *precjoza* - nim łaskawie rzuciła mu spojrzenie sponad pulchnego ramienia.

- Serdeczne dzięki, ale rozmawiać to ja będę z panem tego domu, łaskawco. A teraz leć już po niego, ino szybko. A przy okazji, mój krzepki chłopcze, możesz mi przynieść kropelkę czegoś mocniejszego, cobym ogrzała moje biedne serce. Wieczór jest zimny, a ja mam za sobą długą drogę.

Z ręką wciąż na klamce, Nicholas oparł się plecami o krawędź drzwi.

- A kogo mam zaanonsować, kiedy pan zapyta, kto go nachodzi o tak późnej porze?

Oczy jej się zwęziły.

- Jakie toto wyszczekane... Ech, zresztą nie dziwota. Teraz to dobrej służby ze świecą szukać. Chociaż - raz jeszcze omiotła spojrzeniem jego postać - dobryś czy zły, i tak bym ciebie zatrzymała. Osiłek z ciebie jakich mało. - Przynęła się do niego ukradkiem, aż jej masywna pierś znalazła się w odległości zaledwie kilku cali od jego torsu.

Nicholasa osaczyły wizje śmierci przez uduszenie. Wzdrygnął się.

- Słowo daję, że rozgrzałbyś moje serce o wiele szybciej niż łyk czegoś mocniejszego, a i pewnie bardziej by mi to przypadło do gustu. - Uśmiechnęła się, błyskając uroczą luką po utraconym zębie, te zaś, które jej pozostały, wyglądały tak, jakby zostały wciśnięte głęboko w dziąsła.

Baba nie z tej ziemi. Bezczelna i impertynencka... zupełnie jak inna znana Nicholasowi przedstawicielka płci przeciwnej, która wymierzyła mu policzek, po którym przez parę ładnych dni nosił na twarzy ślad jej ręki.

W sercu zaś jej obraz.

Nicholas uśmiechnął się z przymusem.

- Dziękuję za propozycję, ale nie sądzę, żeby to rozgrzało *moje serce*.

Kobieta westchnęła ciężko; wyglądało to, jakby to westchnienie miało jej rozsadzić klatkę piersiową.

- To smutny los dla kobiety o chutliwej naturze, ostać się sama jak palec. - Wydobyła z kieszeni niewielki przedmiot i Nicholas wiedział już, co tak chlupotało. Zawartość piersiówki.

Widok lichej butelczyny przypomniawszy mu o dziewczynie, u której widział podobną. O jej włosach, oczach, ustach. O tym, jak wspaniale było tulić ją do siebie.

A także o tym, że obudził się w pustym łóżku.

Psiakrew.

Kobieta podsunęła mu piersiówkę pod sam nos.

- Z kim jak z kim, ale z tobą mogę się podzielić moim specjalnym lekarstwem.

„Lekarstwo” zalatywało stu pięćdziesięcioprocentową gorzałą; sam niuch wystarczył, by Nicholas o mało nie wylądował na siedzeniu - podobnie jak pod Wpływem innego trunku przy innej okazji.

Po dwakroć psiakrew!

Odgroził się od niej ręką.

- Dziękuję za niezwykle wspaniałomyślną propozycję, ale muszę z żalem odmówić. Biorę własne lekarstwo, a przecucie mi podpowiada, że lepiej go nie mieszać z tym. Ani teraz, ani nigdy.

- Jak sobie chcesz. - Przycisnęła metalową flaszkę do ust i wzięła łyk, po którym nawet koń rozciągnąłby się na ziemi jak długi. Potem zakręciła piersiówkę i ponownie ukryła ją w czarnej, przepastnej kieszeni. - No?

- No co?

Przewróciła oczami.

- Ładniutki to ty jesteś, ale między uszami to niewiele się u ciebie dzieje, co?

Nicholas był zbyt rozbawiony, żeby czuć się dotknięty.

- Szkoda sobie język strzepić. Muszę zamienić słówko z twoim panem... i usiąść. Przysuń to frymuśne krzesło, żeby miał na czym posadzić zmęczone gnaty. - Wskazała mebel stojący zaledwie pięć stóp od niej.

Nicholas nie był pewny, dlaczego nie położył końca tej maskaradzie. Zamiast tego posłusznie przyciągnął krzesło.

Usiadła ciężko i zamrugała rzęsami, które jego zdaniem przypominały nieco skrzydła nietoperza. Coś mu się przewróciło w żołądku.

- Mogę przekazać panu jakąś wiadomość? - spytał możliwie służalczym tonem. To powinno być interesujące.

- Ano. Powiedz mu, że ta bidna dziewczyna siedzi za kratkami. To nie miejsce dla kobiety, zwłaszcza wtedy, kiedy co poniektórym tak się do niej oczy świecą, że sam wiesz, o co mi chodzi.

Nicholasa tknęło okropne podejrzenie. W żołądku mu się ścisnęło.

- Jaka dziewczyna? Jak się świecą?

Kobieta westchnęła z głębi serca, jakby domagał się wyjaśnienia tego, co ewidentne i oczywiste.

- Sheridan Delaney, tak się nazywa. A mężczyźni oczy się świecą, kiedy jego usta mówią „żegnaj”, a spodnie „dzień dobry”.

Nicholas zamrugał oczami.

- Czy mam rozumieć, że Sheridan Delaney... jest w więzieniu?

- Nie jesteś szczególnie pojętny, mój chłopcze. A teraz musisz obudzić pana i uratować dziewczuszkę przed tymi łajdakami

Kciukiem i palcem wskazującym ucisnął grzbiet nosa, próbując odegnać ból głowy, który, jak Nicholas świetnie zdawał sobie sprawę, był mu już pisany. I wiedział też, że czeka go długa noc.

Zerknął w kierunku schodów, myśląc o Jules. Zdawał sobie sprawę, że z pewnością życzyłaby sobie, by ją zawiadomiono o kłopotach przyjaciółki, ale nie miał serca jej budzić, nie chciał także, żeby się niepotrzebnie zamartwiała. Mógł przecież w te pędy udać się do więzienia i załatwić, żeby dziewczyna została zwolniona, zanim kuzynka o czymkolwiek się dowie.

Nicholas westchnął, pogodzony już ze swoim losem.

- Gdzie ona jest?

- W Southwark.

Dobry Boże, co ta smarkata robi w Southwark? Wprost się tam roiło od kryminalistów. Skorumpowani byli nawet strażnicy. Można było w każdej chwili zarobić w plecy nożem sprężynowym, paść trupem na środku placu, a pozostali więźniowie deptaliby jeszcze po zwłokach...

Nicholas podszedł do fotela, na którym spał Emery, i potrząsnął nim, próbując go obudzić. Upłynęło ładnych parę chwil, nim kamerdyner zogniskował wzrok i, mrugając powiekami, podniósł na Nicholasa oczy piętnastokrotnie powiększone przez grube szkła okularów.

- Tak, jasnie panie? - zachrypiął, po czym chrząknął głośno.

- Muszę jechać do Southwark, Emery.

- Park? Jasnie pan jedzie do parku? - Między krzaczastymi siwymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka; Emery był zdziwiony. - O tej porze?

- Do Southwark, nie do parku. Ile jeszcze będę ci to tłumaczył? To i tak nadaremno.

- Nie wróci jasnie pan z parku, nim zrobi się ciemno?

- Z Southwark, człowieku! - Nicholas rozejrzał się za tu-

ba. Jak zwykle przekłete ustrojstwo leżało gdzieś poza zasięgiem wzroku. Nicholas nabrał powietrza do płuc, nachylił się nad Emerym i powiedział wolno, wyraźnie, prosto w jego ucho: - Wrócę niebawem. Proszę, zaprowadź... - Łypnął okiem na kobietę, która w jego przekonaniu musiała być pokojówką Sheridan Delaney. Dziewczyna z pewnością miała słaby wzrok, żeby wybrać takiego babsztyla. - Jak ci na imię?

- Aggie. Ale jak chcesz, możesz mnie nazywać „Słodko-usta”. - Mrugnęła do niego.

Nie, nawet jeśli od tego zależałoby jego życie.

- Emery, zaprowadź, proszę, Aggie do kwater służby.

- Hola, hola! - zachnęła się Aggie. - Jaka tam ja służąca. Przyszłam tu w gości.

Nicholas nie był w nastroju do sprzeczki.

- Upraszam o wybaczenie. - Następnie zaś zwrócił się do Emery'ego. - Zaprowadź pannę Aggie do pokoju gościnnego. I ani słowa lady Thornton, gdyby się obudziła. Nie chcę, żeby się dowiedziała, że jej przyjaciółka znowu napytała sobie biedy.

- W te pędy? Tak, jasnie panie!

- Przecież ja nie to... Och, a niech to wszystko diabli!

Nicholas przybył do szumnie nazywanego więzieniem miasta Southwark budynku o nędznych ścianach, nędznym, bo zatęchłym powietrzu, z nędznymi mieszkańcami. Domyślał się, jak bardzo musiała się trząść ze strachu Jules, Sally... a może Sydney? Mniejsza z tym. To naprawdę wszystko jedno. I tak nie będzie zwracał się do niej po imieniu. Wystarczy ogólnikowe „panno”.

Zachichotał: ugrzeczniona i nobliwa absolwentka Bainbridge Academy, przyzwyczajona do popołudniowych five-o'clock'ów i przeróżnych zbytków, zamknięta w klatce jak pospolity opryszek.

Wyobraził ją sobie, przycupniętą w wymyślnej kreacji na twardej więziennej pryczy, drżącą na samą myśl, że ktoś

mógłby się do niej odezwać, blondynkę z tych, co to wiecznie chichoczą i mają pstro w głowie. Bo musiała mieć pstro w głowie, skoro wpakowała się w taką sytuację.

Energicznym krokiem podszedł do szerokiego biurka ustawionego na podeście, którego wysokość zmuszała stojącą przed nim osobą - czyli Nicholasa - do zadzierania głowy, żeby w ogóle dostrzec siedzącego za biurkiem oficera dyżurnego - w chwili obecnej był to krótkowzroczny kretyn z nosem jak kalafior.

Najwyraźniej piedestał miał w zamyśle onieśmielać ewentualnych petentów i podkreślać majestat prawa.

Oficer nawet nie podniósł wzroku znad papierów, jak odnotował Nicholas z irytacją. Toteż sprawą największej wagi stało się dla Nicholasa zagranie arogantowi na nerwach w ramach odwetu.

Idąc za przykładem lokaja, Nicholas wydobył z siebie chrząknięcie zdolne obudzić wszystkich zmarłych; potężnego grania w krtani nauczył się dawno temu od Damiena przy okazji zawodów w płuciu na odległość.

Sztuczka przyniosła pożądany efekt.

- W czym mogę panu służyć? - spytał urzędnik tonem, który nadawał temu pytaniu wydźwięk innego: „Czym by tu panu przyłożyć?”

- Przyjechałem tu, żeby wyciągnąć niejaką pannę Sheridan Delaney z tego uroczego przybytku.

- Proszę usiąść - mruknął mężczyzna, ponownie skupiając uwagę na czymś, co leżało na biurku. - Zajmę się panem, jak skończę.

Nicholas węszył przez chwilę.

- A tak, musi pan zająć się tą niezmiernie ważną kanapką z szynką. - Skrzywił się. - I to szynką domową, jak również plasterkiem przejrzałego sera. - Pokręcił głową. - Ktoś tu się nabawi *pyrosis*. - Dość groźnie brzmiący termin jak na dolegliwość określaną przez lekarzy mianem zwykłej zgagi.

Dyżurny zezował na niego sceptycznie; zapewne zastana-

wiał się, czy ma powody do niepokoju. Nagle jednak uśmiechnął się tryumfalnie, jakby dochodząc do wniosku, że *pyrosis* - cokolwiek by to było - zajmuje ostatnie miejsce na liście ewentualnych przyczyn zgonu, skoro tak wielu przestępców czyhało na sposobność, by wsypać mu tłuczonego szkła między dwie kromki chleba i zaserwować mu je razem z koktajlem z arszeniku.

Nicholas poczuł się znowu ignorowany, a to jeszcze mniej przychylnie nastroiło go do półgłówka za biurkiem.

Wykonał szeroki gest ręką.

- Jakie piękne szare ściany. Jak się nazywa ten odcień? „Pocałunek śmierci”?

Podnosząc na Nicholasa pełen sceptycyzmu wzrok, mężczyzna mruknął:

- Komediant, rozumiem. - Po czym zaczął ostentacyjnie przekładać papiery na biurku, nawet na nie nie patrząc. - Jakbyśmy tu nie mieli *takich* pod dostatkiem.

W tej samej sekundzie Nicholas poczynił wstrząsające spostrzeżenie. W bladym świetle, które niczym całun spowijało wszystko w swoim zasięgu, oficer dyżurny wyglądał wypisz wymaluj jak Poncjusz Piłat, tyle że łyсы. Gdyby nie brudne ręce, nadawałby się na jego sobowtóra.

Koniec końców „Piłat” przestał bawić się stertą papierzyśk, uniósł jeden dokument i łypnął na Nicholasa z wyraźną niechęcią.

- Taa, mamy tu niejaką Sheridan Delaney. Ale coś pan za jeden?

- Czy to wymóg formalny, czy też raczej przemawia przez pana pańska nienasycona ciekawość?

Oficer pokręcił głową; było w tym geście coś niebywale policyjnego.

- A ja, naiwny, myślałem, że to z tej dziewczyny jest skaranie boskie... Ale widzę, że jedno warte drugiego.

Nicholas nie podzielał tej opinii.

- Co ona takiego zrobiła?

- Zniszczyła stragan z owocami.

- Jak można zniszczyć stragan z owocami? Ruszyła na niego z maczetą?

- Można na niego wpaść. Skutki są podobne.

Być może Nicholas doceniłby fakt, iż oficer poczynił właśnie pierwszą, acz mizerną, próbę zabłyśnięcia dowcipem, ale był zbyt zafrapowany udzieloną przez niego informacją.

Wpadła na stragan z owocami? Jak, u licha, można wpaść na stragan? Potknęła się o własne pantofelki z koźlącej skórki, czy co?

To jedynie ugruntowało w nim wcześniejsze podejrzenie, że przyjaciółka Jules to zwykła kretynka. Ktoś powinien napisać do Bainbridge Academy z uprzejmym zapytaniem, czy plan zajęć obejmował lekcje głupoty zamiast etykiety.

- Ile, żeby stąd wyszła?

- Sto funtów.

- Co? Pan chyba oszalał. Za tyle pieniędzy można wykupić owoce w całym Londynie.

Poncjusz wzruszył ramionami.

- Ja nie ustanawiam reguł. Ja tylko dbam, by ich przestrzegano.

- Drzę na myśl, do czego mogłoby dojść, gdyby istotnie je pan ustanawiał - mruknął Nicholas zde gustowany. - Czy to wszystko?

- No cóż, pozostaje jeszcze grzywna za zakłócanie spokoju.

Tego już było stanowczo za wiele.

- O czym spokoju pan mówi? - Jego sarkazm został puszczony mimo uszu. - Ile?

- Piętnaście funtów.

Mamrocząc po nosie, Nicholas sięgnął do kieszeni po zwitek banknotów. Odliczył żadaną kwotę i z hukiem położył ją na biurku.

- Ale to nie koniec. - Twarz oficera przyoblekł koński uśmiech, a Nicholas zastanowił się, jak wyglądałaby jego gło-

wa, gdyby ją nadziać na czubek piki. - Dwadzieścia pięć funtów za stawianie oporu przy aresztowaniu.

- Stawianie oporu... - Nicholas zmełł na ustach przekleństwo używane zwykle w odniesieniu do osób lekkiego prowadzenia się. - Jeszcze coś? - warknął, zgrzytając zębami.

- Już tylko dziesięciofuntowa opłata proceduralna.

Nicholas miał coraz większą chęć wybuchnąć obłąkańczym śmiechem, ale odmówił sobie tej przyjemności.

- A co, jeśli pan tak łaskaw, obejmuje opłata proceduralna?

- Obejmuje moje wyliczenie panu wszystkich grzywien.

Nicholasowi zadrżała ręka; korciło go, żeby wyrwać urzędnikowi kręgosłup, najchętniej przez gardło, ale nie miał zbytnej chęci znaleźć się w jednej więziennej celi z niszczącą owocowe stragany przyjaciółką Jules.

Skapitulował niezbyt wdzięcznie i wręczył mężczyźnie brakującą sumę.

- Miło robić z panem interesy.

- Idź pan wciskać ser naiwniakom - wymamrotał Nicholas, podchodząc do drzwi frontowych. Chciał się ochłodzić na dworze i, jeśli to możliwe, ostudzić nieco swoją wściekłość, zanim przyprowadzą tę smarkulę.

Oficer dyżurny zawołał do koleżki konstabla:

- Dawaj tu tę dziką kocicę, Jake.

Nicholas zmarszczył brwi. „Dziką kocicę”? Co ten tuman bredzi?

Niewiele czasu pozostawiono mu na dumanie nad tą kwestią, gdyż w korytarzu ozwał się podniesiony w gniewie kobiecy głos, potok słów, których nie rozumiał, lecz wypowiedzianych z taką zjadłością, że aż go to rozbawiło.

- No, zmykaj. Krzyżyk ci na drogę.

- Ano, czekaj. Już ja ci dam krzyżyk, ty tępa gnido!

Nicholas znieruchomiał. Ten głos. Ten akcent. Niemożliwe.

Odwrócił się, choć nogi miał jak z ołowiu, i spojrzał prosto w oszałamiające fioletowe oczy. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, by w następnej sekundzie skamienieć, kiedy przy-

pomniał sobie namiętność, jaką ta dziewczyna w nim wzbudziła, i puste łóżko, które zastał rankiem.

- Witaj, Danny.

9

Serce uwieźło Sheridan w gardle w chwili, gdy znalazła się twarzą w twarz ze swoim mrocznym aniołem. Zaczynała powoli wierzyć, że go sobie wymyśliła, że stworzyła w wyobraźni obraz, w którym splotły się jej nadzieje i marzenia. Ale oto i on, wysoki, przystojny i cudownie rzeczywisty.

Kiedy w czterech ścianach ponurej celi odmierzała upływ czasu, gdy walczyła z lękiem, jaki budził w niej złowrogi strażnik krążący po jednej stronie krat i szczury buszujące po drugiej, myśl o tym mężczyźnie dodawała jej sił. Modliła się, by przyszedł jej na ratunek.

I tak właśnie zrobił.

Sheridan w głowie nie powstało, by zastanawiać się, jak ją odnalazł. Ich losy splotły się w jeden. Była o tym przekonana, choć nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd u niej ta pewność.

Być może za sprawą mocy krwi druidów, która płynęła w jej żyłach, starożytnego czaru osnutej legendą szczególnej kasty ludzi, z których się wywodziła, z wiary, że raz na całe życie tajemne moce sprzysięgają się, by doprowadzić do spotkania dwojga bratnich dusz, i tworzą między nimi więź tak czystą, tak świętą, że nic na tej ziemi nie śmie ich rozdzielić.

Rozpromieniona zaczęła iść w jego stronę, ale cofnął się tylko bez cienia uśmiechu na twarzy. Widząc to, stanęła jak wryta. Wejrzała w oczy, które nawiedzały ją w snach, a ich wyraz zranił ją boleśniej niż ukłucie kawałkiem szkła o krawędziach ostrych jak brzytwa.

Gniewał się. Nie. Miotłała nim wściekłość. Ale dlaczego?

Czyżby chodziło o grzywny, które musiał zapłacić, i późną porę? Każdy byłby poirytowany. Niemniej odnosiła wrażenie, że cała jego złość ogniskuje się na niej.

- Wygląda na to, żeś mnie uratował po raz trzeci.

- A mówi się, że za każdy dobry uczynek spotyka dobroczyncą nagroda - rzucił w przestrzeń z szyderczym błyskiem w oku.

Ten niezasłużony przytyk zranił ją boleśnie. Chciała spytać, co się stało, ale przecież nie tutaj, gdzie czuła na sobie oczy wścibskich.

Skrywając ból, ruszyła w kierunku swojego wybawcy. Przez chwilę wydawało się jej, że w zielonych oczach mężczyzny dostrzega ciepło, lecz w tej samej sekundzie jego spojrzenie stało się lodowate jak ziemia w mroźną noc. Sheridan zdrżała, ale nie zatrzymała się, dopóki nie stała tuż przed nim.

Bez słowa studiował jej twarz. Błądził wzrokiem po jej włosach, oczach, w końcu zaś zawisł spojrzeniem na ustach. Mimowolnie oblizała wargi.

- Uwodzicielska jak zawsze. Rozumiem. - Mięsień policzka zaczął mu drgać nerwowo. - Kiedy skończę załatwiać swoje sprawy, z największą chęcią oddam się do twojej dyspozycji. - Pochylił się i ściszył głos do ochrypłego szeptu: - Zostawiłaś mnie z poczuciem niedosytu, moja droga. Wygląda na to, że ty jedna masz lek na moją przypadłość.

Sheridan odczuła jego grubiańskie słowa jak smagnięcie batem, choć sama bliskość tego mężczyzny sprawiała, że ugiwały się pod nią nogi.

Zamachnęła się, żeby go spoliczkować. Błyskawicznie przytrzymał ją za nadgarstek.

- Raz uszło ci to na sucho - warknął. - Ale nie życzę sobie powtórek.

Potem zaś odepchnął ją i szybkim, gniewnym krokiem podszedł do urzędującego za biurkiem mężczyzny.

- To nie jest dziewczyna, po którą przyszedłem.

W uszach rozbrzmiewało Sheridan echo tych słów.

„To nie jest dziewczyna, po którą przyszedłem”.

Jak to? To nie przyszedł po to, żeby ją uratować, wyrwać z tego koszmaru i zmienić go w radość? Fakt, że znaleźli się tu oboje, był jedynie... zbiegiem okoliczności? Chłód w jego spojrzeniu mówił sam za siebie.

Z nagłą, bolesną jasnością ujrzała całą prawdę. Jej anioł był trzeźwy, a ona sama niczym więcej jak wspomnieniem przyjemnie spędzonej nocy. Jakaż była głupia, że nierealne mrzonki wzięła za jawę.

Kochaś ulotnił się bez zapłaty.

Szmata.

Dziwka.

- Jak to nie? Co pan opowiadasz? - warknął konstabl, który ją przyprowadził. - Miała być Sheridan Delaney, czy nie?

- No, tak, ale...

- No i jest.

Przez głowę Nicholasa przetoczyło się tysiąc rozmaitych myśli, z których najmniej bulwersująca tyczyła tego, że - o ile ten zarozumiały bękart się nie mylił - nie tak dawno kochał się z najlepszą przyjaciółką swojej kuzynki.

I na Boga, chciał kochać się z nią jeszcze raz.

Danny. Zdrobnienie od Sheridan.

Odwrócił się gwałtownie.

Dziewczyna przepadła bez śladu.

Sheridan biegła ciemną ulicą gdzie ją nogi poniosą. Wiedziała tylko, że musi znaleźć się jak najdalej stąd, musi uciec od wspomnień. Uciec od prawdy.

Zalana łzami, przeklinała się za słabość, która kazała jej uronić choćby jedną łezkę przez zielonookiego, nic nie waro tego Anglika, kazała wierzyć, że był tym jedynym.

Oddech ze świstem wydobywał się z obolałych płuc Sheridan, osłabione więziennym wiktem ciało zdawało się omdlewać, serce miała rozdarte. Rozpaczliwie tęskniła za matką i chciała już tylko o wszystkim zapomnieć.

Obraz biednego wuja Finny'ego, spozierającego smutno zza krat, zmusił Sheridan do zaprzestania bezładnej ucieczki. Nie mogła go zostawić, pozwolić, by ból, który skręcał jej wewnątrzności, przesłonił pamięć o tych, których kochała. O jej bliskich. O ludziach, którym była potrzebna.

I którzy kochali ją.

Musiała zobaczyć się z Jules. Ona będzie wiedziała, co robić. I na to właśnie liczyła, posyłając po Jules ciotkę Aggie.

Dopiero teraz docierało do niej, jaka była naiwna, schlebując sobie, że sama upora się ze swoimi problemami, ale nie chciała obarczać nimi przyjaciółki, od progu wołając pomocy. Jednak ostatecznie poniosła klęskę - i to w wielu sprawach.

Nie miała wyboru.

W holu oświetlonym przez samotną świecę, czy raczej dogasający ogarek, Nicholas miotał się od ściany do ściany. Maszerował w tę i z powrotem w posępnej ciszy, przerywanej jedynie stukotem obcasów o drewniany parkiet.

A niech to diabli, już miał tę dziewczynę w ręku, ale znów mu się wymknęła, nieuchwytna jak mgła na wzgórzach Irlandii.

Ta myśl sprawiała, że flaki się w nim przewracały.

Tajemnicza Sheridan Delaney. Jakie były szanse, by spotkali się w tak nieprawdopodobnych okolicznościach, i to nie raz, a dwa razy?

„Dwie splecione dusze”.

Zaczął szczerze tych słów nienawidzić.

Kopnął krzesło, które upadło i, obracając się, przesunęło kawałek po świeżo wypastowanej podłodze.

Do stu diabłów, ależ dał z siebie zakpić. Dlaczego Jules nie pisenęta słówkiem, że jej przyjaciółka pochodzi z Irlandii? Dlaczego pozwoliła, by nastawił się na jakąś bostońską damulkę?

Nie chodziło o to, by fakt, że okazała się Irlandką, a nie jakąś wielką panią, miał dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Nie przykładał do tych spraw najmniejszej wagi. Do szalu

doprowadzała go myśl, że został wzięty z zaskoczenia, sam, by tak rzec, nabił się w butelkę i czuł się z tym obrzydliwie.

Teraz sens zawoalowanych uwag kuzyneczki i jej przebiegłych uśmiechów stał się dla niego najzupełniej jasny. Zamężna czy nie, Jules lubiła się poprzekomarzać.

Tylko co niby miałby jej powiedzieć, kiedy Jules się obudzi? Że jej przyjaciółka trafiła na listę osób zaginionych dlatego tylko, że stracił panowanie nad emocjami? Bo bez cienia wątpliwości Sheridan budziła w nim emocje, i to wyjątkowo silne.

Może właśnie stąd wzięła się jego gwałtowna reakcja na widok dziewczyny. Niewinnej, anielskiej, w malowniczym nieładzie. Przecudownej. Radość z tego, że ją odnalazł, przyćmiła wszystko inne, przeważała nad zdrowym rozsądkiem.

Radość jednak szybko ustąpiła furii, Nicholas bowiem przypomniał sobie, że uciekła z innym mężczyzną, nim miejsce, na którym leżała, zdążyło ostygnąć.

Czy to możliwe, że sam dał jej powody do ucieczki? Przypomniał sobie ślad krwi na prześcieradle. Może zrobił jej krzywdę, obszedł się z nią brutalnie. To usprawiedliwiłoby jej postępek. Bądź co bądź był wtedy tak pijany, że nie pamiętał niczego od chwili, gdy legła obok niego na łóżku. Może nad sobą nie zapanował.

Gwałt.

Diabła tam! Nie wierzył, że mógłby upaść tak nisko, by brać kobietę siłą. Może i uchodził za rozpustnika pierwszej wody, może i nie kiwnął nawet palcem, by tę opinię zmienić, ale w gruncie rzeczy był tylko cholernym pozerem, próbującym dorównać reputacji brata skandalisty, a i to mową znacznie częściej niż uczynkiem.

Czyż bowiem Damien nie powtarzał zawsze, że to za sprawą ich trzech pojawiło się słowo „sin” - grzech - w nazwisku „Sinclair”? Jedyнным pewnikiem w życiu Nicholasa było to, że może polegać na braciach, jedyną pociechą świadomości, że jest częścią całości.

Niemniej zachował się wobec tej dziewczyny nieco histe-

tycznie, a to było dla niego nietypowe i z tego tytułu niepokojące. Nie dał jej szansy na wyjaśnienie czegokolwiek. Pozwolił, by zapanowała nad nim irracjonalna złość.

Już na spokojnie przypomniawszy sobie uszczęśliwiony uśmiech, którym go powitała. Z drugiej strony, jak przypuszczał, każdy, kto przebywał w jednej z cuchnących celek Southwark dłużej niż pięć minut, cieszyłby się jak diabli na samą myśl o zwolnieniu.

Rozległ się dziwny hałas i Nicholas zamarł w pół kroku.

Zdmuchnął świecę, przysunął się do drzwi i nasłuchiwał. Usłyszał niski, zdławiony głos i odgłos kroków. Włamywacz. Właśnie czegoś takiego było mu w tej chwili trzeba. Może porządna bójka rozładowałaby jakoś jego napięcie.

Oparł dłoń na klamce w chwili, gdy ta się obróciła. Odebrał to jako ostateczne potwierdzenie swoich domysłów; najwyraźniej osoba po drugiej stronie drzwi, kimkolwiek była, nie planowała niczego dobrego.

Nicholas cicho odsunął rygiel zamka, po czym otworzył drzwi tak nagle i gwałtownie, że zagrzecotały obrazy na ścianach. Usłyszał okrzyk przestachu, ułamek sekundy później do środka wpadła jakaś postać i niezbyt wdzięcznie rozciągnęła się na podłodze.

Pod osłoną ciemności Nicholas skoczył na wiercącą się sylwetkę. Poczował w garści materiał i szarpnął. Strzeliły guziki, materiał pękł z trzaskiem, po czym rozległo się wołanie o pomoc. Kobieta.

Natychmiast ją puścił. Błąd. Drobną pięść zatrzymała się na jego szczęce, nieduża stopa z niebywałą wręcz siłą wbiła się w jego palce u nóg. Następnie postać rzuciła się ku drzwiom.

Zdołał złapać skraj jej spódnicy, ale walczyła jak dzika kotka. Kopnęła go w brzuch kolaniem, ostrymi paznokciami rozorała pierś.

W bladym świetle księżycy w pełni, wpadającym przez otwarte drzwi, Nicholas ujrzał, kto sposobił się właśnie do przerobienia go z ogiera w wałacha.

Sheridan.

- *To ty!* - zawołała tak oburzona, jakby to był jej dom, a Nicholas się do niego włamał.

Najwyraźniej nie była zachwycona jego widokiem; uderzenie z łokcia prosto w jego posiniaczone żebra dowodziło tego aż nazbyt przekonująco.

Nicholas puścił ją odruchowo. Jak strzała pomknęła ku drzwiom, nim jednak do nich dotarła, opasał ją w talii ramieniem i przyciągnął do piersi.

- Puszczaj mnie!

- Ciii - szepnął jej do ucha. - Przestań się ze mną boksować. Nie zrobię ci krzywdy.

- Kłamca!

Usiłowała równocześnie kopnąć w kolano i nadepnąć mu na stopę, po czym zamachnęła się łokciem. O dziwo, wyszedł z tego bez szwanku.

- Przysięgam, że cię nie skrzywdzę. Żeby tak padł... jeśli kłamię - Hm. W tych okolicznościach bezpieczniej chyba było o trupach nie wspominać. Ta drapieżna kocica mogłaby pójść mu na rękę i z radością dopomóc w opuszczeniu tego łez padołu.

Szamotała się bezsilnie w jego ramionach.

- Jakbym miała wierzyć takiej kanalii! Twoim jęzorem można by nawieźć trzydzieści akrów! - Następnie zalała go potokiem słów, których nie rozumiał, a mimo to, jak się domyślał, skazujących go na wolną, bolesną śmierć w otchłanach Hadesu. - Puszczaj mnie, mówię!

- Puszczę, jak się uspokoisz.

Boże, cudownie było znowu trzymać ją w ramionach, nawet jeśli nadal orała mu paznokciami plecy i, sądząc z jej miny, oddałaby wszystko, by wydrapać mu oczy i zaserwować je z wyrwanym z jego piersi, bijącym jeszcze sercem.

- Zawsze mnie bijesz. - Przyciągnął ją odrobinę bliżej. Dołeciała go subtelna woń hiacyntów. - To nieładnie, wiesz?

- Na nic innego nie zasługujesz, ty zadufany, nic nie warty...

- Koguciku? - odpowiedział usłużnie i uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Widocznie było to magiczne słowo, gdyż wola walki zaczęła ją wyraźnie opuszczać.

- Ano - odpaliła zadziornym tonem, do którego zdążył już przywyknąć. - Król wszystkich kogutów.

Ach, cóż za obrazy stanęły mu przed oczami na te słowa. Nicholas ukrył twarz w kaskadzie jedwabistych włosów, czując nagły przypływ żądy. I w tym samym stopniu, w którym on nie chciał się do tego przyznać, jego ciało nie zamierzało mu pozwolić tej prawdy się wyprzeć.

- Puśćże mnie - powtórzyła, lecz o wiele mniej groźnie.

- Za chwilę. - Wiedział, że tak byłoby najrozsądniej, niemniej ich ciała tak doskonale do siebie pasowały, że spełnienie jej prośby wydawało się Nicholasowi zbrodnią, chociaż w dalszym ciągu był skłonny ręczyć głową, że uradowałaby się, widząc go usmarowanego miodem i zakopanego w mrowisku. - Dlaczego uciekaś?

Zadarła nos. Milczała.

- Nie będziesz ze mną rozmawiać, tak?

Cisza.

- Szukałem cię.

Sapnięcie.

- Nie mniej niż godzinę.

Głośniejsze sapnięcie.

- Dokąd poszłaś? I jak mnie znalazłaś?

To poskutkowało.

- Jakbym ciebie szukała, ty zadufany, nic nie warty...

Uciszył ją uniesieniem ręki.

- Niech zgadnę. Koguciku. To już zdążyliśmy ustalić.

Rzuciła mu spojrzenie zdolne skuć lodem nawet gorące źródło.

- Nie... *bękaracie!*

Auć.

- Dlaczego z takim uporem starasz się urazić moją dumę?

Przecież to taki delikatny twór... - Najwyraźniej nie była w nastroju do żartów. Toteż westchnął i mruknął: - Śmieję się, a cały świat roześmieje się z tobą. Płacz, a będziesz płakał w samotności.

- Bredzisz.

- Wybacz, jeśli mój umysł jest zmacony. Doznałem dzisiaj poważnych obrażeń.

Wymamrotała coś na temat jego umysłu, jakoby zaćmienie było dla niego stanem permanentnym, i że nie powinien w tej kwestii łudzić. Jak widać, robił spektakularne postępy.

Nicholas bez powodzenia próbował doszukać się w sobie gniewu, z którego czerpał siłę podczas konfrontacji w więzieniu. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego cała złość z niego uszła. Było tak, jakby ta dziewczyna rzucała na niego czar, jeśli nie trzymał się od niej na wyciągnięcie ramion. A czasem nawet i to nie pomagało.

Może to zapach jej perfum tak go oczarował. Zazdrosne kwiaty wydałyby z siebie ostatnie technienie, byle pachnieć jak ona, osiągnąć to wyjątkowe połączenie hiacyntowej woni z inną, niepowtarzalną i nieuchwytną, przywodzącą na myśl przyrządzany przez druidów napar o mocy zdolnej sprawić, by zapomniał, jak się nazywa, i obrócić go w kamień - a ściślej mówiąc, by jak kamień stwardniała konkretna część jego ciała.

Wydało mu się, że dziewczyna także ulega sile przyciągania ich ciał, ponieważ przestała domagać się, żeby ją puścił. Zastanowił się przelotnie, dlaczego przeznaczenie nieustannie popychało ich ku sobie. Po chwili jednak dotarło do jego świadomości, że to spotkanie zawdzięczał nie tyle wyrokowi losu, ile swojej kuzynce.

- Przyszłaś tu, bo szukałaś Jules.

Zaszczyciła go spojrzeniem. Maską urazy, w jaką zastygła jej twarz, pękła na ułamek sekundy. Dziewczyna wydała się Nicholasowi nieskończenie delikatna i tak piękna, że pomyślał, iż serce przestanie mu bić.

- Ano. A ona tu jest?

- Jest.

Ulżyło jej wyraźnie.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- I zobaczysz się. Rano. Ale teraz musisz załatwić sprawę ze mną.

Czekał na kąśliwą ripostę, coś w guście komentarza, że wolałaby od razu rzucić się do Tamizy. Jednak zamiast się odezwać, dziewczyna przyglądała się mu wyzywająco. Skrzyżowała ręce tuż poniżej piersi, tym niebacznym gestem ściągając jego spojrzenie ku gładkiej skórze wyglądającej spod podartej bluzki. Ewidentnie nie zdawała sobie sprawy, jak ponętnie prezentuje się w malowniczym dezabilu.

Dzientelmen by jej o tym powiedział.

Kto mówił, że jestem dzientelmenem?

Nie bądź świnia.

A niech to piekło pochłonie.

Nie poluzowując chwytu, Nicholas przesunął się nieznacznie, by spojrzeć jej w twarz. Uciekała wzrokiem z ίσcie oślim uporem.

- Drzysz. - Z zimna, czy była to raczej reakcja na jego bliskość? Bo on na jej bliskość reagował, bez dwóch zdań.

Rozmyślnie powolnym gestem powiódł rękami od talii dziewczyny ku połom jej bluzki i zaciągnął je na jej piersi.

- Co ty ro... - zaczęła spłoszona, lecz w tej samej chwili dostrzegła, jak prezentuje się jej garderoba. Szybko jak błyskawica zacisnęła palce na podartym materiale i osłoniła się skrętnie. - Jak śmiesz! - oburzyła się, patrząc na niego jak na lubieżnika.

- Ja tylko...

- Już ja wiem, co ty tylko! Tyś tylko chciał położyć na mnie swoje bezczelne łapska. Po moim trupie!

Nicholasem wstrząsnął bezgłówny śmiech.

- Czy można winić ręce za to, że takie bezczelne? Ilekroć natkną się na coś, co im przypadnie do gustu, przestają mnie słuchać.

- Pewnikiem, ino nie o to, czy cię słuchają, czy nie, powinieneś się teraz martwić. Lepiej byś się zastanowił, czym je pozbierasz z ziemi, jak ci zostaną same kikuty. Bo tylko one zostaną, jak z tobą skończę.

Diablica, nie dziewczyna.

- Przepraszam. Naprawdę mi przykro - powiedział. I było mu przykro. Przykro i żal samego siebie. Takie piękne ciało stanowiło pokusę, jakiej jego zdaniem nie oparłby się nawet święty. Poruszył wargami, aby się upewnić, że się nie ślini.

- Akurat! Przykro mu. A ja jestem święty Patryk.

- Nie wydaje mi się, żeby święty Patryk miał...

- Ani mi się waź to powiedzieć!

- ... rude włosy - dokończył, z trudem powściągnąjąc śmiech. - A myślałaś, że co?

Nie sposób wyrazić, jak bardzo cieszył go fakt, iż Sheridan nie była zwolenniczką noszenia przy sobie broni. Wykrwawienie się na śmierć na progu własnego domu oceniał jako wyjątkowo haniebną sposobem zejścia z tego świata.

Odezwał się w nim głos sumienia: *Daj jej swój surdut.*

Nie mam na sobie surduta.

No to koszulę.

Hm... Koszulę.

No proszę, sumienie także mogło raz na jakiś czas wyjść z sensownym pomysłem.

- Co robisz?

- Dam ci moją koszulę.

- Bez łaski.

I naprawdę tego nie chciała, nie wówczas, gdy przekładało się to na konieczność oglądania go obnażonego do pasa. Mogła go nienawidzić za to, że zachował się w stosunku do niej po grubiańsku, że pozbawił ją czegoś tak cennego i wyjątkowego jak dziewictwo, ale zdradziecki dreszcz aż nadto dobitnie świadczył o tym, jak silnie na niego reagowała.

Wciąż jeszcze pamiętała jego nagie ciało, twarde i umięśnione tam, gdzie ona była gładka, smukłe w partiach, które u niej

były krągłe i pełne, jego rozgrzaną skórę, która zdawała się parzyć jej usta, kiedy całowała go po szyi, torsie, gładkie brązowe sutki, twardniejące teraz pod jej spojrzeniem, i znowu zapragnęła ich dotknąć, poczuć ich aksamitną gładkość.

-Proszę - powiedział głosem niskim i mrocznym jak bezksiężycowa noc. - Włóż tu ręce.

Sheridan zawahała się, rozdarła między pokusą, by cisnąć mu tę koszulę prosto w twarz, i pragnieniem, by otulić się nią niczym ciepłą kołderką.

Nie odwróciła się. Poddała się dopiero wtedy, kiedy stanął za jej plecami. Luźna koszula z łatwością przykryła jej własną, podartą, miękki materiał muskał pieściwie szyję. Spowił ją znajomy zapach i odżyły w niej wspomnienia, które najlepiej było pogrzebać.

Drżącymi palcami zapięła guziki, tymczasem Nicholas obszedł ją i położył ręce na jej dłoniach. Miała wrażenie, że skóra zaczyna na niej płonać.

Zahipnotyzował ją widok jego rąk. W porównaniu z jej dłońmi, bladymi i niewiele większymi od rąk dziecka, wydawały się takie opalone, takie duże i pełne siły... a mimo to nieskończenie delikatne.

Narastało w niej napięcie, napłynęły wizje tych rąk błędzących po jej ciele, badawczych, ostrożnych, choć wprawnych w pieśszczocie, lekkich jak piórko, gdy muskały sutek, śmielszych, gdy obejmowały pierś.

Co się z nią działo? Przecież on o nią nie dbał. Była dla niego jedynie przedmiotem, czymś, czym umilał sobie samotne noce. Jedną z nieprzebranych rzeszy kobiet, jakie przychodziły tu przed nią. Ile z nich oczarował tymi namiętными spojrzeniami i słodkim szeptem? Dlaczego nie potrafiła uczyć się ze swoich starych błędów?

I dlaczego nadal go pragnęła, tak bardzo, że nie sposób było się tego wyprzeć?

Dusza to cudowna rzecz, bo widzi to, czego nie mogą dostrzec oczy.

Nie, ten mężczyzna nie mógł być jej pisany. Ale mógł stać się narzędziem jej zguby.

Sheridan odwróciła się do niego plecami.

- Powiedz Jules, że wrócę rano.

Przytrzymał ją za ramię.

- Dokąd to się wybierasz?

Wbiła wzrok w palce zaciśnięte na swoim ramieniu, po czym podniosła oczy.

- Nic ci do tego. Bądź łaskaw mnie puścić.

Zastosował się do jej życzenia i wepchnął ręce do kieszeni. Nie potrzebował jednak więzić jej w sensie fizycznym, by czuła się jego więźniem. Zniewalał ją samym tylko spojrzaniem i to wystarczyło, by nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Potrząsnęła głową, próbując odsunąć od siebie ten dziwny czar, którym zdawał się ją osnuwać coraz szczelniej.

Odetchnęła głęboko i odwróciła się na pięcie.

- A właściwie to dlaczego nie miałabyś tu zostać? - Te słowa okazały się skuteczniejsze, niż gdyby próbował fizycznie ją zatrzymać.

Zostać tutaj? Z nim? Sheridan poczuła dziwny dreszczyk, jednak podniecenie uleciało z niej, zaledwie wróciła myślami do druzgoczącej rzeczywistości. Proponował nocleg tylko dlatego, że miał cichą nadzieję, że będzie chciała znowu z nim pobaraszkować? Da się uwieść tym sennym zielonym oczom, skusić czarującym uśmiechem?

Nigdy! Miała swoją dumę, może nawet więcej, niżli przypadało na jedną osobę - do tego jednak dochodziła nader gorąca krew. Oraz, niestety, niedostatek zdrowego rozsądku. Źle wróżąca kombinacja.

I dobra pamięć, a mężczyzna, stojący teraz przed nią z twarzą skapaną w świetle księżycy i podobny do rzeźby wyciosanej w kamieniu, robił z nią i mówił rzeczy, które na długo wryły się jej w pamięć. Aż nazbyt dobitnie dał wyraz swoim odczuciom wobec niej wtedy w więzieniu, kiedy złożył jej swoją grubiańską propozycję.

Popełniła błąd. Nie był to jej pierwszy błąd, ale zdecydowanie największy, choć Sheridan szczerze wątpiła, by miał się okazać ostatnim. Dzięki tej bolesnej lekcji zdołała wyciągnąć cenną życiową naukę i nie zamierzała już nigdy jej powtarzać.

Przypomniała sobie słowa matki: „My Delaneyowie przetrwamy wszystko”. Przetrwa i ona sama, nawet jeśli wyjdzie z tego ze złamanym sercem.

Nigdy nie da mu odczuć, jak bardzo ją skrzywdził.

- Nie mogę zostać.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że już się umówiłam, że będę spała gdzie indziej.

Zgrzytnął zębami.

- Nie wątpię - wycodził sucho. - Ale w tym domu ktoś na ciebie czeka.

Zaledwie kilka godzin wcześniej Sheridan uznałaby to stwierdzenie za prorocze. Teraz były to tylko puste słowa.

- Przyszłaś do Jules, pamiętasz? - przypomniał. - No cóż, tu właśnie mieszka. U mnie.

Sheridan tknęło złe przeczucie, pod którego wpływem ścisnęło się jej w żołądku. Do tego momentu nie połączyła w całość wszystkich fragmentów tej układanki, nie zastanawiała się, jak to możliwe, że natknęli się na siebie dwukrotnie tej samej nocy, nie zdziwił jej nawet fakt, że wspomniał, że Jules u niego śpi. Nie próbowała odgadnąć jego tożsamości. Straszliwe podejrzenie sprawiło, że dłonie jej powilgotniały.

Przełknęła z trudem ślinę i spytała:

- Kim ty jesteś dla Jules?

- Ach, słusznie. Wprawdzie ja zdążyłem się dowiedzieć, kim jesteś, ale ty musisz na pewno zachodzić w głowę, co ze mnie za jeden. Ale byliśmy tak zajęci...

Z jego oczu wyczytała, co miał na myśli, i poczuła, że pieką ją policzki. Równocześnie walczyła z dziwną, niedorzeczną tęsknotą, jaką budziły w niej jego słowa.

- Pozwól, że naprawię to niedopatrzenie - powiedział ci-

cho. Niespodziewanie złapał ją za rękę i przyciągnął do ust.
- Nicholas Sinclair, kuzyn Jules, brat Damiena i Graya oraz beztroski głupiec zdaniem pewnej irlandzkiej dziewczyny, do usług.

10

Dlaczego spośród wszystkich mężczyzn na świecie - dlaczego, och, dlaczego? - właśnie on musiał przyjść jej na ratunek? Właśnie ten mężczyzna, który oczarował ją uśmiechem, poprosił o całusa w nagrodę, by potem skraść jej serce?

Nicholas Sinclair, kuzyn jej najlepszej przyjaciółki i jej mroczny anioł, byli tą samą osobą.

Z kurtuazją pocałował Sheridan w rękę; leniwe dotknięcie jego ciepłych warg sprawiło, że robiło się jej na przemian zimno i gorąco. Pośpiesznie wyrwała dłoń, on zaś skwitował jej popłoch znaczącym uniesieniem brwi.

- To musi być jakaś pomyłka - powiedziała Sheridan drżącym głosem, niezdolna pogodzić się z prawdą.

Jej postępek, spowodowany błędną oceną charakteru tego człowieka, nieoczekiwanie i nieodwołalnie stał się dwa kroć poważniejszy w skutkach. Jak mogłaby teraz spojrzeć Jules prosto w oczy? Przecież ona była taka spostrzegawcza, tak rzadko udawało się Sheridan cokolwiek przed nią ukryć. I co też Jules sobie o niej pomyśli, słysząc, co wydarzyło się między jej przyjaciółką i kuzynem?

Och, nie może się dowiedzieć! Na pewno by Sheridan znienawidziła, gdyby poznała prawdę.

- Jaka pomyłka? - zdziwił się gospodarz. - To, że jestem Nicholas Sinclair? Czy raczej fakt, że Jules mieszka u mnie? Zapewniam cię, w obu kwestiach mówię najszczerszą prawdę.

Sheridan odwróciła się do niego plecami.

- Nie może być - wymamrotała czy raczej pomyślała głośno.
- Co być nie może? - Podszedł do dziewczyny. - Mówisz sama do siebie jak wtedy?

Sheridan zamknęła oczy. Dlaczego rozmyślnie nie przestawał przypominać jej o tamtej nocy? I czy naprawdę musiał stać tak blisko? Sąsiedztwo jego ciała dławiło ją, osaczało, odbierało zdolność racjonalnego rozumowania.

Ominęła go, uważając, by się o niego nie otrzeć, i wyszła na dwór.

- Nie mogę tu zostać.

Stanął w drzwiach i założył ręce na piersi; wydawał się dziwnie nie na miejscu na tle fantazyjnie przystrzyżonych krzewów rosnących po obu bokach drzwi wejściowych.

- Znowu uciekamy, co?
- Ja nie uciekam - zachnęła się Sheridan, choć w duchu przyznawała mu rację.
- Nie? - Umilkł i z ponurą determinacją zacisnął usta. - Czyżby inny ogier wyczekiwał na padoku na twój powrót?

Sheridan zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, co miał na myśli.

- Och, przestań, moja droga. Starczy tej zabawy w kobrę i ichneumona. Nie chcesz chyba udawać przede mną niewiniątka. Oboje wiemy, jak jest.

Nicholas sam nie wiedział, co w niego wstąpiło, dlaczego świadomie zadał jej cios poniżej pasa, ale docinek nie chybił celu. Dziewczyna odwróciła się z taką miną, jakby ją spoliczkował.

A niech go diabli, jeśli nie poczuł ukłucia żalu. Nigdy dotąd nie odzywał się do kobiety w równie grubiański sposób, ale ten pełen słodyczy, niewinny wyraz jej twarzy działał na niego jak płachta na byka, a roziskrzone, piękne oczy i buntownicza postawa rozpałały zmysły.

Uświadomił sobie, że chciał ją zranić - z nie mniejszą żarliwością, jak pocałować. I to przekłete pragnienie do-

kuczało mu niczym świeża rana, którą ktoś posypał solą.

W jej oczach pojawił się błysk zrozumienia; przypominały teraz dwa bliźniacze płomienie. Dawał o sobie znać ów „gorący temperament”, do którego sama onegdaj się przyznała. Z tym swoim rozdygotanym ze wściekłości ciałem przywodziła mu na myśl trzymaną na uwięzi nawałnicę.

Zupełnie nieoczekiwanie uśmiech opromienił jej twarz; to powinno było zawczasu dać mu do myślenia. Rzuciła się przed siebie i schyliła, żeby coś podnieść z ziemi. W tej samej sekundzie Nicholas omal nie stracił ucha, gdyż tuż obok niego śmignął solidny kamień.

I następny.

A każdy większy od poprzedniego.

- Psiakrew, Danny! - zaklął Nicholas, gdy o czubek jego nosa prawie że otarła się w locie jakaś kolczasta roślina.

Najwyraźniej czas najwyższy, żeby się kryć.

Przykucnął za wystrzyżonymi krzewami i w tej samej chwili pecyna ziemi z trawą i całą resztą rąbnęła go w plecy.

Zerkając na dziewczynę spomiędzy liści, spytał:

- Skąd w tyle tobie złości, dziewczyno? Jeśli burzysz się z tego powodu, że zasnąłem ci w oberżę, to solennie ślubuję, że to się więcej nie powtórzy.

Pudło.

Gdyby Sheridan umiała ciskać oczami sztylety, jego ciało wyglądałoby w tej chwili jak kaktus.

- Och, ty parszywy arogancki, nadęty, *angielski* rajfurze! - Nerwowo rozglądała się za czymś, co nadałoby się na amunicję.

Z drugiej strony, czy powinien spodziewać się czegokolwiek innego? Rzucił jej rękawicę, a ona podniosła ją z ziemi i dała mu nią, by tak rzec, porządnie przez łeb.

Odwróciła się na chwilę i Nicholas dostrzegł w tym okazyjnie do przypuszczenia ataku od tyłu. Dał susa w jej kierunku, ale w ostatniej chwili zrobiła unik, skutkiem czego Nicholas wyładował w jadowicie zielonych kolczastych zaroślach,

a z jego odsłoniętym torsem przywitały się ostre ciernie.

Jego gnębicielka zmełała na ustach jakieś szyderstwo, które jednak szybko przerodziło się w wybuch radosnego śmiechu - jego, psiakrew, kosztem. Do stu diabłów, ależ ona pięknie się śmiała.

Przetoczył się na bok i zajęczał.

- Wydaje ci się to zabawne, tak?

Pokiwała głową z zaraźliwym uśmiechem.

- Toż ci już pierwszej mówiłam, że do walki to ty nie jesteś stworzony.

Nicholas zazgrzytał zębami.

- Jak cię przełożę przez kolano i przyprawię to twoje kształtne siedzenie o rumieńce, zobaczymy, komu będzie do śmiechu.

- Najpierw musiałbyś mnie złapać.

Błyskawicznie uczeplił się skraju jej spódnicy.

Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny jak zmyty gąbką.

- Nie ośmielisz się.

- Ośmielę - odparował z przekonaniem nie pozwalającym wątpić w jego prawdomówność.

Nastąpiła wymiana pełnych wściekłości spojrzeń, którą przerwało dopiero dyskretne kaszlnięcie.

Sheridan okręciła się na pięcie i ujrzała chudego jak szczapa Chińczyka. Stał w progu i przyglądał się ciekawie, a księżyc srebrzył kilka pojedynczych nitek na jego czarnych i połyskliwych jak oszlifowany onyks włosach.

Były gęste, gładko przyczesane i splecione w długi warkocz. Kiedy potrząsnął głową, ewidentnie rozbawiony całym zajściem, Sheridan zauważyła powiewającą na końcu warkocza czerwoną wstążkę. Z przenikliwych czarnych oczu o migdałowym kształcie biła inteligencja.

Miał na sobie czarny jedwabny kabat o jednej większej, zaokrąglonej pole, zapiętej po prawej stronie klatki piersiowej na przełożone przez materiałowe pętelki drewniane kołki. Podszewka była biała, białym mankietem kończyły się także szerokie rękawy. Do tego luźne spodnie o podłapanych

w kostce nogawkach i brokatowe pantofle, czarne w malutkie czerwone smoki.

- Aa, to ty, Ho-Sing - odezwał się Nicholas. - Jak zwykle przybywasz w samą porę, by być świadkiem mojego upokorzenia.

Chińczyk kiwnął głową.

- Prawda, prawda. Bardzo śmieszne.

- Nie wtedy, kiedy to spotyka ciebie.

- Co pan robić na ziemi, pan szef?

- Trenuję wielce męską sztukę, jaką jest samodzielne przewracanie się do parteru.

Słyszając rozczulająco nadaşany ton, jakim to powiedział, Sheridan strzełiła oczami w jego kierunku i natychmiast pożałowała, że dała się podkusić, by znowu na niego spojrzeć. Nicholas otrzepywał z ziemi tors i ramiona; zerknął na nią w chwili, gdy się w niego wpatrywała. Przyłapał ją na gorącym uczynku. Usta mu się rozciągnęły w leniwym uśmieszku.

- Ach, żeby tak być teraz w Anglii i móc tam przeczekać wojnę - mruknął, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Najwyraźniej linie frontu zostały wytyczone, a Nicholas zamierzał wyjść ze zmagania jako zwycięzca.

- Młoda pani rzucać kamienie, jakby chciała zabić pan szef.

- To dlatego, że istotnie zamierzała mnie zabić, Ho-Sing. - Chciało mu się śmiać i wydały go zdradzieckie policzki. - Młoda pani mieć gorący temperament.

Sheridan zmrużyła groźnie oczy. Jak śmiał dowcipkować sobie z jej słusznego gniewu!

- Następnym razem młoda pani będzie lepiej celować.

Nicholas westchnął teatralnie.

- Widzisz, o co mi chodzi, Ho-Sing? Nie zrobiłem nic gorszego oprócz tego, że zaoferowałem dziewczynie ciepłe łóżko, a ona skacze mi do gardła.

Odpowiedział mu chichot.

- Ho-Sing zastanawiać się tylko, czyje to łóżko.

Ta uwaga skłoniła Nicholasa do uderzenia w inną nutę.

- Jeśli Ho-Sing nie chce do końca swojego żywota żywić

się wyłącznie ryżowymi ciastkami, lepiej, żeby Ho-Sing powstrzymał się od komentarzy.

- Ho-Sing żałować. - Chińczyk pochylił nisko głowę, najpierw jednak szelmowsko mrugnął do Sheridan. Przygryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

Nicholas przyglądał się mu sceptycznie.

- Hmm. Pan szef raczej w to nie wierzy. Tak czy siak, nie zamierzam się kłócić, jestem zbyt pobity.

Ho-Sing poderwał głowę.

- Wszystko teraz cacy-cacy? Ho-Sing zabrać młoda pani do jej pokój?

Sheridan siliła się na względnie poważną minę i wyprostowaną, wyniosłą postawę teraz, kiedy czuła na sobie wzrok swej osobistej nemesis. Szukała w sobie nienawiści, która byłaby przecież w pełni usprawiedliwiona. Niemniej nie przedstawiała jej nurtować pewna myśl, która umiejętnie broniła się przed zesłaniem w najciemniejsze zakamarki jej umysłu.

Nie mogła tylko jemu przypisywać winy za swoją krzywdę.

Wiedziała, że nie ponosił wyłącznej odpowiedzialności za to, co się stało. Była ochoczą współuczestniczką.

Nicholas posłał jej niepewny uśmiech.

- Obiecuję, że twój pokój nie znajdzie się nawet po tej samej stronie korytarza co mój. Ulokuję cię w tym sąsiadującym z sypialną Jules. Szczęśliwa?

Nie, pomyślała Sheridan. Nie będzie szczęśliwa dopóty, dopóki będzie przebywała z nim pod jednym dachem. Jak miałyby wybić go sobie z głowy, gdyby z konieczności natykała się na niego co chwila? To nie zda egzaminu. Ale jaką wymówkę podać Jules, tłumacząc swoją decyzję zamieszkania gdzie indziej.

- Człowiekowi z klapką na oku ja dać pokój na koniec korytarza - wtrącił Ho-Sing, po czym ściszył głos: - Ja myśleć, że on się najeść szaleju.

Słowa Ho-Singa zaalarmowały Sheridan.

- Człowiek z klapką na oku? - Niemożliwe.

Nicholas podszedł do niej. Przez chwilę przyglądał się jej przenikliwie i oczy mu pociemniały. Sheridan rozkazała stopom, by nie śmiały nawet drgnąć.

- Gdybyś od razu nie skoczyła mi do gardła, zdążyłbym cię poinformować, że twój wuj śpi na górze snem sprawiedliwego.

- Wuj... jest tutaj?

- A i owszem. I pozwolę sobie dodać, że barwna z niego postać. Przypomina mi zachodni wiatr; nie sposób sprawić, żeby ucichł. Uraczył mnie opowieścią o uprowadzeniu stad z Cuailnge*. Twierdził, że jest...

- Maeve, królową Connaught?

Nicholas uśmiechnął się.

- Tak. Napomknął coś o schwyтaniu jakiegoś słynnego byka oraz osobie imieniem Cuchulain**.

- Cały wujek Finny.

- Masz interesującą rodzinę - zauważył cicho; w jego tonie brzmiała nuta rozbawienia, która nie przypadła Sheridan do gustu.

- Nie rozumiem. Skąd wiedziałeś, że mój wujek trafił za kratki?

Powiódł spojrzeniem po jej włosach. Z czułością odgarnął dziewczynie z twarzy kilka niesfornych kosmyków, przytrzymując je przez chwilę w palcach jakby dla zabawy. Sheridan usiłowała zignorować falę ciepła, która pod wpływem tego gestu zaczęła rozchodzić się po jej ciele, ukryć wstrząs, jaki odczuła w chwili, gdy Nicholas zawisł wzrokiem na jej ustach.

- Po tym, jak ode mnie uciekałeś, próbowałem cię odszukać. - Teraz spoglądał jej prosto w oczy. Głos mężczyzny, cichy i słodki jak miód, wprawiał ją w rezonans.

* W staroirlandzkim poemacie Maeve (Medb), królowa Connaught, zbiera armię, by zdobyć najsłynniejszego byka Irlandii należącego do władcy Ulsteru, Daire'a.

** Cuchulain - legendarny irlandzki heros.

Sheridan zamruwała, zaskoczona tym wyznaniem.

- Naprawdę?

Skinał głową.

- Ale moje poszukiwania nie przyniosły owoców - to nie jest aluzja do twoich wyczynów - ponownie odwiedziłem więzienie w Southwark, żeby wypytać o ciebie tamtego oficera.

- O mnie?

- M-hmm - wymruczał, a jej zrobiło się dosłownie gorąco. - Odrobina wykręcania rąk i umiejętnego posługiwania się śrubokrętem, i dowiedziałem się, co i jak z twoim wujem.

- Ale jego grzywna...

- ... była dość wysoka, podejrzewam także, że bezzasadna. Ale tym zajmujemy się kiedy indziej.

- Nic nie rozumiem. - Sheridan pokręciła głową.

- A co tu jest do rozumienia?

- Dlaczego żeś się tak fatygował?

Nicholas otwierał już usta, ale Ho-Sing go wyręczył:

- Młoda pani podobać się panu szef i tyle.

Nicholas zacisnął zęby i ze złością łypnął na swojego majordomusa, jak Ho-Sing lubił, by go nazywać. Ho-Sing posłał mu jeden ze swoich wyćwiczonych uśmiechów z repertuaru *ja-dobry-Chińczyk*.

Ho-Sing, podobnie jak Emery, zaznał życia wyrzutka. Przez pewien czas pracował jako majtek na statku handlowym, którego załoga traktowała go gorzej niż psa. Nicholas był ich zachowaniem oburzony: zawsze sprzeciwiał się niesprawiedliwości we wszystkich jej postaciach, może dlatego, że ludzie osądzali go na podstawie reputacji jego rodziny, a nie własnej, skutkiem czego sam także zaliczał się do swoich autsajderów.

Zauważył, że Sheridan się rumieni i ucieka spojrzeniem. Gdyby nie wiedział lepiej, gotów by uznać, że to reakcja na jego bliskość, i gdyby tylko przeklęty Ho-Sing oddał mu przysługę i zniknął z powierzchni ziemi, jak nic przystąpiłoby to testowania tej teorii.

Jednak na zniknięcie Ho-Singa nie było co liczyć, toteż podał dziewczynie rękę, jakby nie był nagi do pasa, brudny, podrapany, a jego duma boleśnie posiniaczona.

- Jules nie może się ciebie doczekać, reszta twojej świty, jak sądzę, smacznie sobie chrapie pod ciepłą kołderką... Sama widzisz, że nie ma powodu, żebyś dokądkolwiek szła... chyba że czekają cię inne zajęcia.

Nicholas obserwował jej twarz i zastanawiał się, czy niechęć dziewczyny, by przyjąć propozycję noclegu, wiązała się z osobą innego mężczyzny. Może śpieszyła się na schadzkę z tym samym człowiekiem, do którego się wymknęła po nocy spędzonej z nim samym.

Albo czekał na nią ktoś jeszcze inny. Wielu mężczyzn zaryzykowałoby utratę ważnego dla życia narządu, byle trzymać tę dziewczynę w ramionach, patrzeć w tę wolną od fałszu twarz i zatonać w złudnie niewinnych oczach. Ręce mu opadły.

- Ja... ja nie mam swoich rzeczy.

Nicholas wydał w duchu potężne westchnienie ulgi. Chociaż Sheridan jeszcze się nie zgodziła, już wiedział, że wygrał, a to zwycięstwo, choć drobne, miało niebywale słodki smak.

- Pojedziemy po nie rano. - Stał z wyciągniętą ręką.

Zignorowała go całkowicie.

Spojrzała na Ho-Singa, jakby jego pytała, co robić.

- Ho-Sing zająć się osobiście. Nie pozwolić, żeby pania spotkać krzywdę.

Błysk w oczach kamerdynera jasno mówił, jakiego rodzaju „krzywdę” Ho-Sing miał na myśli: wyprostowaną, dwunożną i płaczącą mu pensję - tę samą, którą wielce kusiło, by wystawić małą bambusową walizeczkę i jej właściciela prosto na bruk.

Ho-Sing zdawał się czytać w jego myślach - aż nader często ta sztuka udawała się temu przekłętemu spryciarzowi - bo zaśmiał się, zasłaniając usta dłonią, a drugą wyciągnął do Sheridan. Sheridan, ku jeszcze większej irytacji Nicholasa, bez wahania podała mu swoją, a Nicholas ostał się na swo-

im posterunku przy schodach sam niczym dworski błazen, który wypadł z monarszych łask.

Westchnął, rozmyślając, czy można w dosłownym sensie pęknąć ze złości, równocześnie zaś kontemplował zmysłowy chód Danny. W każdy krok angażowała całe swoje ciało, a przy tym poruszała się z niezwykłą gracją, toteż widok był hipnotyzujący. Nicholas czuł się jak głupie psisko, które ze zwieszonym do ziemi jęzorem drecze za właścicielem, czekając na kolejnego kopniaka, ale poszedł za nią, niemalże deptając jej po piętach.

- Tu pani pokój - powiedział Ho-Sing, otwierając drzwi.

Nicholas odsunął się. Obserwował. Sheridan stanęła w progu i zajrzała do środka. Nicholas widział tylko jej profil, lecz był to profil niebywale wyrazisty: lekko zaróżowione policzki, szeroko otwarte oczy chłonące przepych wnętrza.

- To... mój pokój? - W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

Nicholas stanął tuż za jej plecami. Wyczuwał, że w tej na pozór twardej jak skała dziewczynie drzemią namiętności, które wyzwoli pierwszy nadarżający się bodziec i chciał sam nim być.

- Podoba ci się? - spytał szeptem.

Obejrzała się przez ramię i spojrzała na niego; wyraz gniewu na chwilę znikł z jej oczu.

- Jest prześliczny. Dziękuję.

- Nie ma za co.

Uszczęśliwiały ją drobiazgi. Umysł Nicholasasa zajął się roztrząsaniem innych drobiazgów, które mogłyby sprawić jej przyjemność - dziwna myśl, zważywszy, że dziewczyna przejawiała skłonność do rzucania się na niego z pięściami i kosztowała go sporo kłopotów. Niemniej miała w sobie coś, co sprawiało, że robiło mu się cieplej na sercu i spokojniej w duszy. Łagodziło skrywany przed światem ból.

Spoglądał na jej usta, takie miękkie, takie pełne... Stworzone do pocałunków, gorących i namiętnych. Nicholas pragnął wryć sobie w pamięć ich rysunek, kształt, odnowić z nimi znajomość, by tak rzec, sprawdzić, czy dalej smakują tak słodko, jak na to wyglądały.

Pochylił się ku niej...

A przeklęty Ho-Sing chrząknął głośno.

- Bardzo późno, pan szef. Pani musi spać, żeby mieć jutro siły znowu zbić pan szef na kwaśne jabłko.

Nicholas warknął coś niezrozumiale i łypnął na Ho-Singa ze wściekłością; z najwyższym trudem oparł się pokusie wdeptania go w podłogę.

Kiedy ponownie spojrzął na Sheridan, wyraz jej oczu zdawał się zapowiadać, że jeśli natychmiast się nie odsunie, straci kończynę. Przez głowę przemknęło mu podejrzenie, że może bardziej czarujący wydawał się jej, kiedy był zabalsamowany burbonem; myśl, która wymagała dokładniejszego przemyślenia w późniejszym terminie.

Z bezgłośnym westchnieniem powlókł się przez korytarz.

- Gdybyś mnie potrzebowała, będę tutaj. Chowam się przed obłędem. - Otworzył drzwi do swojej sypialni.

- A sam żeś mówił, że twój pokój jest daleko od mojego.

- Nie. Powiedziałem, że nie są po tej samej stronie korytarza. I, jak widzisz, nie kłamałem. - Nicholas wskazał zamknięte drzwi w głębi korytarza. - Mówiłem też, że dostaniesz pokój niedaleko sypialni Jules. Kolejna dotrzymana obietnica.

Piękne oczy dziewczyny zabłyśły i Nicholas przypuszczał, iż zastanawiała się właśnie, w jaki sposób najskuteczniej go ukatrupić. Podejrzewał, że jedynie obecność Ho-Singa powstrzymywała ją przed pokazaniem pazurów.

Zakrzyknęła z oburzenia i odwróciła się na pięcie, zamiatając włosami niczym długim rdzawym pejczem, i jak burza wpadła do pokoju. Ostatnim, co zobaczył, była uroczą, nachmurzona mina, zapowiadająca srogą zemstę, po czym drzwi się zamknęły - cicho, a nie z wielkim hukiem, co zdaniem Nicholasa świadczyło o wielkim opanowaniu.

Czas spędzony w towarzystwie Sheridan Delaney - z Delaneyów stworzonych do walki - nie miał przypominać wakacyjnej żeglugi po oceanie spokoju.

11

- Ósma rano, a świat to piekło - wymamrotał Nicholas w chwili, w której poranną ciszę rozdarł alarmujący, przenikliwy krzyk ochmistrzyni, tak donośny, iż o mało mu nie potrzaskały bębrenki. Wzdrygnął się odruchowo, a leżące na biurku papiery popfrunęły we wszystkich możliwych kierunkach.

Najważniejszy dokument - potwierdzający przeniesienie praw własności pewnej posiadłości z jego brata, Damiena, obecnego hrabiego Blackstone, na Nicholasa, szybował w powietrzu, poza zasięgiem jego rąk, coraz bliżej kominka i niechybno zniszczenia.

Nicholas dopadł do niego jednym susem: wsadził rękę w ogień i wydobył z niego dokument w chwili, gdy jego róg zaczął skwierczeć - podobnie jak palce Nicholasa. Cisnął i zdeptał ogień, wymachując ręką; bolała jak diabli.

- Szlag by to trafił!! - zaklął i zacisnął zęby, zastanawiając się, dlaczego bez zdziwienia powitał fakt, że zdążyło się rozpętać takie piekiełko, choć słońce dopiero co wyrzało nad horyzont

Skrzywiony z bólu sięgnął po nadpalony dokument, dodatkowo wzbogacony teraz o brudne ślady po podeszwach jego butów. Przyszło mu do głowy, że powinien dziękować Bogu, że od rana był w butach, w przeciwnym bowiem razie stopy pulsowałyby mu równie boleśnie jak poparzona ręka.

Czuł przez skórę, że rwetes za drzwiami - cokolwiek się tam działo - niewątpliwie zawdzięczał któremuś z Delaneyów. Od czasu, gdy Danny wpadła w jego życie jak kula armatnia, Nicholas przypominał jeden wielki siniak.

Zaczynał już się łudzić, że wrzask, przez który wyskoczył

z fotela jak z procy, był jedynie halucynacją, gdy niepowtarzalny głos ochmistrzynie ozwał się ponownie:

- *Obrabowali nas!*

- Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta - mruknął Nicholas sentencjonalnie, uciskając palcami grzbiet nosa.

Rzucił sfatygowany dokument na biurko, energicznie podszedł do drzwi, szarpnął za klamkę i omal nie zderzył się z ochmistrzynią - panią Dorą Dimshingle, nieuleczalną pedantką.

Była to drobna jak wróbel kobiecina, wiecznie zaciskająca na piersi poły bluzki, jakby spodziewała się, że chlebowodawca lada chwila rzuci się na nią - co istotnie mogłoby się przydarzyć, gdyby Nicholas nabrał pewnego pięknego dnia apetytu na bigotki płaskie jak deska.

Nic by się wielkiego nie stało, gdyby mógł zwracać się do niej po imieniu, „Doro”, ale na samym początku, kiedy ją zatrudniał, świętoszkowatym tonem zakomunikowała mu, iż życzy sobie, by ich znajomość poprzestała na relacji czysto służbowej natury.

W związku z czym wołała, by tytułowano ją „panią Dimshingle”. Swoje obowiązki wykonywała bez zarzutu, niemniej nie oznaczało to, że Nicholas nie mógł sobie ponarzekać.

- Co się stało, pani Dimshingle?

- Och, proszę pana - zagadkała jak kwoka, która utraciła wszystkie pisklęta - padliśmy ofiarą nikczemnej kradzieży.

- Kradzieży? - Kto byłby takim idiotą, żeby włamywać się do jego domu? - Co zostało skradzione?

Nerwowo bawiła się dolnym guzikiem bluzki.

- Chociażby świecznik ze stołu w jadalni i resztki wczorajszej kaczki z rusztu.

Wczorajszej kaczki z rusztu? Nicholas zmarszczył brwi. Kto, u diabła, połaszczyłby się na zjedzoną do połowy kaczkę? I jaki złodziej wziąłby stary cynowy świecznik, skoro wokół było tak wiele innych, cenniejszych przedmiotów do podwędzenia?

- I podobizna pańskiej matki - dodała jednym tchem pani Dimshingle - ta, którą podarowała panu ubiegłego roku.

Ta, co to ją pan trzymał w sekretarzyku i wyjmował tylko wtedy, gdy jaśnie pani przyjeżdżała z wizytą. Znikła.

Teraz Nicholas zaczynał się martwić. Najwyraźniej złodziej cierpiał na demencję, skoro złakomił się na portret jego matki.

- O, i jeszcze jeden z mieczy, które wisiały na krzyż w gabinecie. Też go nie ma. - Kolejny osobliwy łup, lecz taki, którego zniknięcie zabolowało Nicholasa o wiele bardziej, niż utrata pozostałych razem wziętych.

Uwagi Nicholasa nie uszła zde gustowana mina, jaką miała ochmistrzyni w chwili, gdy wspominała o mieczu. Wiedział, że nie przepadała za kolekcją broni, jaką udało mu się zgromadzić przez lata. Powiedziała kiedyś, że kojarzą się jej z umarłymi i że lepiej takich rzeczy nie wykopywać.

Dla Nicholasa kolczuga, tarcze, lance i metalowy pancerz - używany rzekomo za czasów króla Artura - wskrzeszały czasy mitów i starych legend, dni, kiedy dama obdarowywała ulubionego rycerza wstążką albo chusteczką, nim wyruszył na plac boju.

Dni, rozmyślał Nicholas spoglądając ku schodom i łowiąc kątem oka sylwetkę Sheridan, kiedy damy wyglądały jak ta.

Zapomniał o niedojeźdzonej kaczce z rusztu i cynowym świeczniku. Zapomniał nawet, jak się nazywa, przyglądając się Sheridan, która schodziła właśnie po schodach dostojnie jak królowa.

W prostej granatowej spódnicy i białej bluzce Sheridan emanowała naturalną, nieprzyćmioną niczym urodą wyróżniającą ją spośród setek kobiet, które potrzebowały pomocy służących i wielu godzin strojenia się i fiokowania, by pięknie wyglądać.

Jej włosy zapierały dech w piersi. Nie spięła ich, lecz pozwoliła, by spływały kaskadą na plecy i ramiona niczym rzeka płynnego ognia.

Nicholas odzyskał głos dopiero wtedy, gdy zeszła na sam dół

- Dzień dobry - wykrztusił.

- Dzień dobry - odpowiedziała. Uniosła głowę i dostrzegł w jej oczach nowe zarzewie buntu.

Nie zdradzała nawet śladu zmęczenia po niedawnym pobycie w więzieniu. Inna nie ruszyłaby się z łóżka przez cały boży dzień, wydając padającej z nóg służbie coraz to nowe dyspozycje i co chwila żądając soli trzeźwiących, gotowa zemdleć na samo wspomnienie tego okropnego zajścia - jeśli by ktokolwiek uwierzył, by jakakolwiek kobieta oprócz Sheridan zdołała się wpackować w takie tarapaty, rzecz jasna.

Ona jednak wydawała się wesoła jak szczygiełek i równie pełna życia jak wówczas, gdy tańczyła na pokładzie statku i przykuła jego uwagę - wspomnienie, które nawet nie zaczęło się jeszcze w pamięci Nicholasa zacierać.

Przywitała się z ochmistrzynią krótkim, acz kurtuazyjnym „Witam”. Nicholas, jak się wydawało, na dobre zapomniał języka w gębie, toteż przedstawiła się sama.

Pani Dimshingle sapnęła.

- Bardzo mi miło.

Nicholas zauważył w spojrzeniu ochmistrzyni coś, co bardzo mu się nie spodobało, jakby cień szybko ukrytej pogardy. Rzucił ukradkowe spojrzenie Sheridan; wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, oczy jednak mówiły wszystko.

Ignorując gościa, pani Dimshingle spytała:

- Wezwać konstabla w związku z tym *incydentem*, proszę pana?

- Nie - odpowiedział Nicholas zwięźle, niż zamierzał. - To wszystko.

Wyraźnie dotknięta szorstką odprawą, oszczędnie kiwnęła głową, okręciła się na chudych, ptasich nogach i odmaszerowała.

- Nie polubiła mnie.

Nicholas zapatrzył się na Sheridan; stała ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Zrobiło mu się jej żal, choć rozumiał, że musiała przywyknąć do podobnego traktowania. Mimo to, jak było widać, nie umiała się na nie uodpornić. Jak jed-

nak ktoś o tak wielkim sercu i tak wrażliwej duszy jak ta dziewczyna mógł uodpornić się na ludzką bezduszość?

Nigdy nie zaprzętał sobie głowy nad wyraz trudną sytuacją Irlandczyków na obczyźnie. Zbyt pochłaniały go ukochane konie i problemy domowe. Niemniej wiedział, na jak wielkie okrucieństwo stać jego rodaków. Może w tej kwestii najwzajemniej go zawiodło przyrodzone poczucie sprawiedliwości.

Z drugiej strony, całkiem możliwe, że jego uczucia wobec Sheridan zrodziły się właśnie z poczucia, że spotkała ją krzywda, z chęci niesienia pomocy skazanym na przegraną, podobnie jak było to w przypadku Emery'ego, Nasha i Ho-Singa, a nawet, w pewnej mierze, pani Dimshingle.

Nie. Teraz było inaczej.

Sam nie wiedział, skąd ta pewność, ale nawet nie próbował z nią walczyć.

- Czy to ważne, żeby cię lubiła? - spytał cicho.

W pierwszym odruchu zamierzał przekonać Sheridan, że się myliła, powiedzieć, że tylko sobie coś wyobraża, ale byłoby to kłamstwo, a wiedział przecież, że Danny każde by przejrzała. Chciał pozyskać jej zaufanie, a brak szczerości do tego celu z pewnością by go nie przybliżył.

Tylko dlaczego w ogóle go obchodziło, czy mu ufała czy nie? Dlaczego miałyby go obchodzić cokolwiek, co wiązało się z tą nieokiełznaną irlandzką dziewczyną? W końcu to ona przed nim uciekła, a nie odwrotnie. Jeśli ktokolwiek powinien się gniewać, to właśnie on. Nagle obudziła się w nim ciekawość. No bo właściwie to za co ona się gniewała?

Podniosła na niego świetliste, smutne oczy, które pozwoliły mu na sekundę wejrzeć w jej duszę. Potem zaś zamrugała z niedowierzaniem:

- Co?

Nicholas zorientował się, że to pytanie nie było kierowane pod jego adresem. Znowu mówiła sama do siebie.

- Spytałem, czy to ważne, żeby ochmistrzyni cię polubiła? Przymknęła powieki.

- Ano. To by ułatwiło sytuację, przynajmniej tak mi się zdaje.

- A jest aż taka trudna?

Nieznacznie ściągnęła brwi, jakby zła, że się bezwiednie z czymś zdradziła.

- Nic takiego, czemu nie dałabym rady.

Nicholas nadal się jej przyglądał. Wciąż brakowało mu odpowiedzi na kilka szczególnie palących pytań, chociażby na to, dlaczego rano uciekła. Tknęło go nader nieprzyjemne podejrzenie.

Czyżby zrobił jej krzywdę, kiedy się kochali?

W pamięci pozostały mu jedynie urywki, strzępy wspomnień. Ona i on razem, spleceni w uścisku. Sen czy jawa?

Tak czy owak pożądanie, jakie odczuwał, było w stu procentach realne.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał go podekscytowany okrzyk dobiegający ze szczytu schodów.

- Sheridan!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się i zabłysły w nich rozradowanie.

- Jules? - Odwróciła się w mgnieniu oka. - Jules!

Uniosła kraj spódnicy ponad kostki i pomknęła po schodach, żeby objąć przyjaciółkę i serdecznie ją uściskać; radość ze spotkania, na które zmuszona była czekać o dwa tygodnie dłużej, niż planowała, biła z niej niczym ze źródła.

Jules odsunęła się nieco; jej twarz - tak samo jak twarz Sheridan - dosłownie promieniała.

- Och, Danny, jak dobrze cię widzieć. Tak się za tobą stęskniłam! - Jules raz jeszcze objęła przyjaciółkę.

- Mnie też się za tobą cknęło.

- Gdzieś ty była? Mało się nie rozchorowałam ze zmarwienia!

Sheridan przygryzła wewnętrzną stronę ust, niepewna, ile z tego, co się wydarzyło, powinna opowiedzieć. Wdawanie się w szczegółowe wyjaśnienia niechybnie oznaczałoby koniecz-

ność napomknięcia o tym, że Nicholas przyszedł jej z pomocą, potem zaś od słowa do słowa... rozmowa mogłaby zejść na sprawy, o których Sheridan nie była gotowa dyskutować.

Dziwne rozumowanie, zważywszy że niegdyś o wszystkim z Jules mówiły. Widok przyjaciółki przypomniał Sheridan długie rozmowy, podczas których opowiadały sobie o swoich bliskich. I, jak grom z jasnego nieba, tych kilka uwag, jakie Jules rzuciła na temat „kuzynka Nicky'ego”, jak go nazywała.

Jules powiedziała, że przystojny z niego diabeł - wrażliwy, uroczy i czarujący. Sheridan była zdania, że brzmiało to zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe: postać z bajki albo szlachetny rycerz z zamierzchłych czasów.

Tym jednak, co najbardziej utkwiło Sheridan w pamięci, była mimochodem rzucona przez Jules uwaga, że oczy jej kuzyna miały tę właściwość, iż ich kolor zmieniał się od nefrytu po szmaragdową zieleń poprzez całą gamę odcieni pośrednich.

Sheridan była przekonana, że przyjaciółkę poniosła wyobraźnia. Jednak w słowach Jules nie było przesady. Nicholas Sinclair istotnie miał zielone oczy, których odcień nieustannie się zmieniał, nieskazitelnie piękną twarz, kształtną postać oraz uśmiech, w którym krył się tak wielki urok, że szumiały o tym wszystkie drzewa.

Co zaś tyczy słodczy charakteru i wrażliwości, najwyraźniej przemawiała przez Jules miłość do rodziny.

Sheridan zerknęła ukradkiem w kierunku Nicholasa. Usiłowała pozostać ślepa na fakt, jak przystojnie się prezentował, nie dostrzegać złotych pasemek na jego włosach, jakimi kładło się słońce zaglądające przed prostokątne okno w holu. Jego oczy lśniły jak drogocenne klejnoty, a ilekroć zwracały się ku Sheridan, zamierało w niej serce, obojętnie jak bardzo starała się uodpornić na ich powab.

Kierując spojrzenie ku Jules, Sheridan uśmiechnęła się.

- Przykro mi, żeś się przeze mnie martwiła. Ale to długa historia, a mnie najbardziej ciekawi, jak się wytłumaczysz

z tego. - Pogłaskała przyjaciółkę po brzuchu, zastanawiając się, czy kiedyś i ona sama będzie matką. - Słówkiem mi nie pisałaś, że spodziewasz się dziecka.

W oczach Jules rozbłysła sekretna radość.

- Tyle razy chciałam ci powiedzieć, ale do ostatniej chwili liczyłam na to, że zdołasz mnie odwiedzić i będę ci mogła zrobić niespodziankę.

- Radosną niespodziankę.

Zauroczony Nicholas obserwował tęskny uśmiech, jaki przemknął przez twarz Sheridan, i machinalnie zastanowił się, jaki też mogła mieć stosunek do dzieci. Czy w ogóle chciała je mieć? A jeśli tak, to czy wolałaby synka, z którym mogłaby się wdrapywać na drzewa, czy córeczkę, którą mogłaby stroić jak lalkę? I ile, trójkę, dziesiątkę?

Wyobraził ją sobie z dwoma małymi psotnikami o puciołowatych rumianych policzkach, uczepionymi jej spódnicy i wpatrzonymi w nią z miłością i podziwem. Myśl, że mogła wcale nie chcieć zostać matką, nie mieściła mu się w głowie. Miała w sobie tyle życia, iż nie sposób było uwierzyć, by nie pragnęła podzielić się tym darem z innymi.

Nicholasowi marzyła się cała gromadka, krzepcy synowie i córki o twarzach pełnych słodyczy. I chciał być dla nich takim rodzicem, jakim dla niego nie był nigdy ojciec ani matka.

Na twarzy dziewczyny zagościł wyraz żartobliwego przestachu; wyglądała chyba jeszcze piękniej.

- Ta mała wywija nogami, jakby tańczyła irlandzką gigę.

Brzuch Jules podrygiwał we wszystkie strony jak u śmiejącego się świętego Mikołaja.

- Skąd wiesz, że to irlandzka giga? Czemu nie miły angielski twostep* albo szkocki reel**?

* Twostep (ang.) - taniec towarzyski w metrum marsza.

** Reel (ang.) - żywy, wiejski taniec, podczas którego partnerzy z pary stoją naprzeciwko siebie w szpalerze.

- Lepiej byś się w język ugryzła. Szkocki reel, też coś. Co by miała tańczyć dziewczuszka z taką siłą w nożynach, jak nie skoczną gigę.

Nicholas przysiadł na schodku. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego ta dziewczyna o twarzy leśnego elfa sprawia, że dziesięciokrotnie silniej odczuwał każdą emocję. Gniew, radość. Żądzę.

- A skąd wiesz, że to dziewczuszka? - spytał.

Jej uśmiech stał się zadziorny.

- Łatwizna. To dziecko ma w sobie zbyt wiele ducha, żeby być chłopcem.

- Zbyt wiele ducha? - Nicholas uniósł brew.

-Ano.

- To mężczyźni ducha nie mają?

Sheridan przyglądała mu się z namysłem, badawczo, jakby odpowiedź na to pytanie kryła się w jego oczach.

- Niektórzy, ale ino garstka może poszczycić się duszą lwa i sercem świętego.

Dusza lwa. Nicholas roztrząsał w myśli te słowa i fakt, że Sheridan nader często wspominała o duszy - tej części jego jestestwa, którą dotychczas nie zaprzętał sobie głowy.

- Poza tym - dodała Sheridan - moja mamusia powiada, że mam dar.

- Dar? - zainteresowała się Jules.

Nicholas zauważył, na jak zadowoloną i spokojną wyglądała w tej chwili jego kuzynka. Sheridan Delaney miała w sobie coś, co było jak balsam na duszę, wliczając w to jego własną.

- Ano. Kładę na kimś ręce i pojawiają się obrazy.

- Obrazy? Jakie na przykład?

- Och, czy ja wiem. Za każdym razem jest inaczej, ale najczęściej to takie dziwne przeczucie. A czasem nie czuję zupełnie nic. To bywa męczące, raz coś, innym razem nic. - Westchnęła. - Szkoda ino, że nie mogę zobaczyć własnego życia. Może wtedy nie pakowałabym się ciągle w tarapaty. - Miała tak znękaną minę, że Nicholas omal się nie roześmiał.

Prawdziwa, niezachwiana przyjaźń łącząca obie kobiety biła wprost w oczy. Przy wszystkich swoich wadach Sheridan była przyjaciółką oddaną i lojalną wobec Jules, a także - jak przypuszczał Nicholas - wobec wszystkich, na których jej zależało.

W tej samej chwili napłynęła myśl, że sam także chciałby zaliczać się do grona jej przyjaciół, choć dotychczas nie zależało mu na przyjaźni żadnej kobiety.

Zawsze był zdania, że płeć piękna służyła rozrywce, prowadzeniu domu mężczyzny i rodzeniu jego dzieci. Odnosił się do niej z należnym szacunkiem, przez większość czasu windował na piedestał, nigdy jednak nie próbował otwierać przed nią serca.

Ale Sheridan nie była jak inne kobiety. Wiedział, że nie zdoła dotrzeć do tego, co skrywała na samym dnie duszy, dopóki dobrze jej nie pozna. Że nie odsłoni się przed nim bez walki. Obserwując ją, dostrzegł w jej oczach ból, który kazał mu się zastanowić, czy już nie zaprzepaścił swojej szansy.

Zafascynowany przyglądał się, jak Sheridan przyklęka przed Jules i opiera obie dłonie na jej wydatnym brzuchu.

Jules rzuciła Nicholasowi rozbawione spojrzenie, po czym odwróciła twarz i ujrzała przed sobą głowę Sheridan.

- Co ty wyprawiasz, Danny?

- Chcę opowiedzieć małej pewną historię.

- Historię?

- Ano - potaknęła energicznie Sheridan. - Mama opowiadała mi i mojemu rodzeństwu różne historyjki, jak jeszcze byliśmy u niej w brzuchu. - Jej twarz przybrała nieobecny wyraz. - Co wieczór, kiedy zachodziło słońce, siadała w bujanym fotelu, obok taty, przed naszym domem i wypatrywała czegoś hen, za wodami.

- A na samym środku bezkresnego błękitu, w miejscu, które mama nazywała szklanym jeziorem, tak spokojna była tam tafla wody, wznosiła się wyspa utkana z mgieł i czarów. Legenda głosi, że jeno ludziom o sercu czystym jak łąza dane jest ujrzeć Tier na Nog.

- **Tier na Nog?** - spytał Nicholas, oczarowany tą tajemniczą dziewczyną o twarzy anioła i sercu wojowniczkii.

- Kraina wiecznej młodości, czarodziejskie miejsce, gdzie spełniają się wszystkie marzenia.

- Jakie to piękne... - wyszeptała Jules.

- Tak, piękne. - Ton Sheridan stał się tęskny. - Ale ja wierzę, że Tier na Nog jest wszędzie tam, gdzie mieszka wiara. Czy ty wierzysz, Jules Thornton?

- Wierzę.

- A ty, Nicholasie Sinclair? Wierzysz?

Nicholas w ostatniej chwili powstrzymał się przed wbiegnięciem na samą górę i porwaniem prześlicznej czarodziejki w ramiona.

- Wierzę, Sheridan Delaney.

Sheridan obdarowała go uśmiechem, który rozjaśnił jej piękną twarz i zaparł Nicholasowi dech w piersi. Potem uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- My Delaneyowie przekazujemy sobie tę opowieść z pokolenia na pokolenie. To nasza tradycja.

- Ale ja nie jestem z Delaneyów.

Sheridan ujęła Jules za rękę.

- Jesteś siostrą mego serca i masz ducha Delaneyów. Chcę się nią podzielić z tobą.

Jules uśmiechnęła się łagodnie i odpowiedziała uściskiem.

- Mów więc - powiedziała wzruszonym głosem. - Podziel się swoją opowieścią.

Nicholas przesunął się o dobrych sześć schodków w górę, zanim uświadomił sobie, co robi, i zastygł w bezruchu. Czuł się jak zahipnotyzowany.

- Dawno, dawno temu - zaczęła śpiewnie Sheridan - nim jeszcze urodził się święty Patryk i król Boru, żyły dwa wrogie sobie obozy, elfów na południu Irlandii i puków na północy.

- Puki, jak wiecie, upodobały sobie najrozmaitsze psoty. Ale pamiętajcie, że i z elfów nie były żadne aniołki. Uwielbiały płatać złośliwe figle i zyskały nad pukami pewną prze-

wagę. Potrafiły w mgnieniu oka znaleźć się w dowolnym miejscu i w dowolnych czasach. Wystarczyło tylko, by wypowiedziały w myślach życzenie.

- I stało się tak, że pewnego dnia Paeder Og, król wszystkich puków, zmartwiony nieustanną wojną między dwiema nacjami duszków, wyzwał na pojedynek samego króla elfów, Rory'ego. Zwycięzca miał zostać królem wszystkich puków i wszystkich elfów. Kusząca propozycja, jak sami widzicie, toteż kto by się tam jej oparł?

Opieranie się było ostatnią rzeczą, na jaką Nicholas miał ochotę. Co ta dziewczyna miała w sobie takiego, że zapomniał o swoich dalekosiężnych planach i zaczynał wierzyć, że magiczna kraina Tier na Nog naprawdę istnieje?

- Och, ale Paeder Og był przebiegły jak lis - opowiadała Sheridan z talentem prawdziwej bajarki - nakłonił Rory'ego do złożenia przysięgi, że nie będzie się uciekał do sztuczki ze znikaniem. Król Rory szybko przystał na jego propozycję, pewny, że rozłoży wroga na łopatki... - Urwała, a Nicholas znieruchomiał z zapartym tchem.

„I co dalej?” - chciał zawołać. - „Co się stało z Paederem Ogem i królem Rorym?”

Co więcej, czy mógł liczyć na to, że przekona Sheridan, żeby opowiedziała mu bajkę na dobranoc?

Z ustami tuż przy brzuchu Jules, Sheridan powiedziała:

- Wieczorem, maleńka, opowiem ci resztę tej historii. A to piękna historia, pełna chwalebnych wyczynów i pięknych dam.

Z czego Nicholas wywnioskował, że opowieść pomijała wątek nieszczęśników płci męskiej, oczarowanych przed kobiety o twarzy dziecka, oraz konopnego sznura, na jakim się finalnie wieszali.

Jules pochyliła się do przodu, podtrzymała Sheridan za łokcie i pomogła jej wstać.

- W ogóle się nie zmieniaś, Danny. Jesteś niepowtarzalna. - Konspiracyjnym, acz donośnym szeptem dodała: - Cho-

cięż ładnie się zaokrągliłaś tu i ówdzie. Niedługo będziesz opowiadać bajki własnym dzieciom.

Ta uwaga wywołała na policzkach dziewczyny rumieńce, zasługujące, zdaniem Nicholasa, na lepsze określenie od banalnego słowa „urocze”. Sheridan spojrzała na niego, zawstydzona. Uniósł brew z miną, która zdawała się mówić: „*Czuję się zaszczycony. Możemy zacząć od razu?*”

Natomiast jej mina przekładała się na odpowiedź: „*Nie—doczekanie, nawet gdyby od tego zależało twoje życie*” - w wersji skróconej, po odrzuceniu soczystych epitetów pochodzenia amerykańskiego i irlandzkiego, jakie wyczytał w jej oczach.

Westchnął. Gdzie się podziewały czarodziejskie nasiona słonecznika, kiedy człowiek naprawdę ich potrzebował?

Jules parsknęła śmiechem.

- Och, nie zwracaj na niego uwagi, Danny. Traktuj go jak koleżankę.

Nicholas posłał kuzynce pełen niesmaku grymas.

- Oj, bo się doigrasz, do diabła!

Mina Jules wyrażała czystą kokieterię.

- Nie zapominaj, drogi kuzynku, że przyrzekłeś nad sobą panować - ze śmiechem przypomniała mu jego własne naiwne zapewnienie sprzed kilku tygodni... zanim zaczęło mu świtać, w jaką kabałę się wpakuje.

Czy raczej z kim.

Nicholas zamierzał ponownie przedyskutować tę kwestię z kuzynką, gdy zgrzytliwy głos przypominający gulgot indyka zaintonował starą śpiewkę.

*Święty Patryk, gdy zakon nasz tworzył,
Miano „Bractwa Grajczarka” nam dał,
Opatowi reguły wyłożył,
By czym każdy kierować się miał.
Wprzódy szybko napełnił fontannę
Zacnym trunkiem, co przenika do cna,*

*Potem rzecze: „Na Najświętszą Pannę,
Pijcie, bracia, oto studnia bez dna*.*

Z przygnębiającym poczuciem, iż czeka go wyjątkowo długi dzień, Nicholas powłókł się na górę. Z głębi korytarza nadchodził wuj Finny - znany także jako Maeve, królowa Connaught.

W jednej ręce dzierżył ołowiany świecznik.

W drugiej ulubiony miecz Nicholasa.

12

- Stać! - huknął sędziwy mężczyzna, dźgając powietrze mieczem. - Kto tu?

Policzki Sheridan przyoblekły się rumieńcem wstydu.

- Wuju! Co wuj robi?! Niech wuj natychmiast opuści miecz!

- Pójdź do mnie, dziecko. Ja cię uratuję.

- Och, wujku. Przecież nic mi nie grozi. - Podeszła do niego. - A teraz proszę, oddaj mi ten miecz, zanim się zranisz.

Nicholas zatrzymał Sheridan, opierając dłoń na jej ramieniu.

- Pozwól mnie. Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało.

Duch rycerskości jeszcze nie zaginął, pomyślał Nicholas, zanim zdążył się zorientować, że Sheridan najwyraźniej życzy mu w duchu równie opłakanego losu, jeśli grymas na jej twarzy uznać za jakąkolwiek wskazówkę.

* „The Monks of the Screw” (ang.) - „Bractwo Grajcarka”, „Zakon grajcarkowy” - pijacka piosenka, której autorem był prawnik John Philpot Curran.

Podparła się pod boki.

- Cierpliwości! To teraz ci się roi, że mój własny wuj mógłby mi zrobić krzywdę.

- Ja tylko chciałem...

- Już ja wiem, czegoś ty chciał. - Zasznurowała usta, ale niemal natychmiast otworzyła je ponownie: - Pokazać, jaki z ciebie kogut. Uratować głupiutką dziewczynę przed nią samą, zanim głupota wylezie jej bokiem. Przyjmij do wiadomości, że nie trzeba mi twojej pomocy, i prosiłabym, coabyś wbił to sobie do tej tępej głowy. - Posapywała ze złości.

Odpowiedział pełnym irytacji grymasem, rozdarty między chęcią złapania jej za tę smukłą, długą szyję i ściskania do skutku, a poklepania po jędrnych pośladkach.

- Chryste, kobieto. Jesteś najbardziej upartą, denerwującą... - Zazgrzytał zębami. - Jesteś...

- ... „sztywna jak gnaty Emery'ego, a nos nosi tak wysoko, że robią się na nim sople”? - przerwała mu Jules z fatalnie skrywanym rozbawieniem. Jego własne słowa.

Nicholas był zbyt pochłonięty osobą Sheridan, żeby zaszczyścić kuzynkę odpowiedzią, czy choćby zastanowić się, co Jules pomyśli o takiej wymianie zdań między nim a jej przyjaciółką.

- Skoro koniecznie chcesz się zabić, idź przodem, nalegam. Sheridan dźgnęła go palcem w pierś.

- Łatwiej dać się zabić, jak się człowiek pcha do bójki na trzeciego, ino bić się nie potrafi. - Wyraz jej twarzy przypominał mu inną sytuację, kiedy wtrącił się do toczącej się bójki i dostał takie manto, że niemal otarł się o śmierć.

Warknął coś niezrozumiale.

Sheridan uśmiechnęła się złośliwie.

- Znakomicie - wycedził Nicholas. - Zresztą i tak jestem tylko mężczyzną.

- Mój ty *nieszczęśniku* - wtrąciła Jules; wyraźnie czerpała ogromną satysfakcję z wytykania kuzynowi wszystkich niebaczących uwag pod adresem jej przyjaciółki.

Sheridan otworzyła szeroko oczy.

Oczy Sheridan zrobiły się okrągłe. Najwidoczniej dopiero teraz przypomniała sobie o obecności Jules. Nie odezwała się, ale Nicholas byłby przysiągł, że słyszy, jak w duchu nakazywała sobie trzymać język na wodzy.

Spór dobiegł końca i cała trójka zwróciła się przodem do wuja Finny'ego; w całym swoim rynsztunku wyglądał zupełnie jak Don Kiszot.

- Przechodzimy na stronę wroga, tak, bratanico? Och, złałaś staremu człowiekowi serce...

Sheridan westchnęła ciężko.

- Ja nie biorę niczyjej strony, wuju. Już wuj zapomniał, kto mu pomógł ze zbroją, kiedy wuj wyruszał na wojnę przeciwko królowi Henrykowi II? - Podeszła do niego, nie zważając na miecz podrygujący w jego niepewnej ręce. - Albo wtedy, kiedy wuj ukrył się w spizarce, by go nie dosięgnął straszliwy gniew Cromwella?

Wuj Finny skrzywił się; jego twarz przypominała teraz wyjątkowo pomarszczoną suszoną śliwkę.

- Przeklęty purytanin - niemalże wypluł te słowa.

- A kto donosił wujowi herbatę, żeby nie zmorzył go sen i żeby wuj mógł pisać wiersze o smutnych dziewicach, mnionej chwale i zbawieniu?

Mierząc dziewczynę sceptycznym spojrzeniem, Finny sięgnął do kieszeni znoszonej, połatanej na łokciach brązowej marynarki i wy dobył z niej niewielki przedmiot. Było to udko, przypuszczalnie kacze i stanowiące część mięsiwa, które padło łupem „złodzieja”. Wsadził je do ust, oderwał kawałek mięsa, i żując, odpowiedział:

- Któż by inny, jak nie ty, dzierlatko.

- Ano ja.

Sheridan delikatnie wyjęła mu miecz z ręki: wuj oddał go bez słowa, całkowicie pochłonięty jedzeniem. Przez chwilę z zaskakującą znajomością rzeczy ważyła miecz w dłoni, zerkając przy tym na Nicholasa z nieznacznym uśmiechem,

który zdawał się mówić, że właśnie wyobraża go sobie posiekanego na drobne kawałki.

Nicholas podszedł do niej ostrożnie. Zatrzymał się tak blisko, że czubek miecza ukłuł go w brzuch, i wyciągnął rękę. A ta diablica się zawahała!

Oczy mu się zwięziły. Sheridan uniosła przekornie gładką brew barwy miedzi, a potem z melodyjnym, cichym śmiechem oddała mu broń.

Nicholas raz jeszcze spiorunował dziewczynę wzrokiem, po czym całą uwagę skierował na jej wuja.

- Nie miałyby pan przypadkiem schowanego gdzieś portretu nie pierwszej młodości damy zdradzającej pewne, acz odległe podobieństwo do mojej osoby?

To pytanie skłoniło poczciwego, zagubionego Finny'ego do zaprzestania żucia w połowie ruchu żuchwą.

- Takiej kobitki, co to ma żółte poskręcane włosy i zaciśnięte usta, jakby właśnie wgrzyła się w niedojrzałą persymonę?

Nicholas sam nie umiałby jej lepiej opisać.

- Z ust mi pan to wyjął.

Starszy mężczyzna poklepał Nicholasa pocieszająco.

- Ukatrupiłem gadzinę. Ona była zła, mój chłopcze. Świat bez niej stał się lepszy.

Sheridan zakłęta pod nosem.

- Jak to, wuj ją ukatrupił?

- Nadziałem jak na rożen. - Finny potrzęsnał dumnie głową.

- Och, wuju, co wuj narobił... - Sheridan zrobiło się słabo.

- Przebiłem mieczem jej zdradzieckie serce.

- Czy chce pan powiedzieć, że przebił pan mieczem portret mojej matki? - spytał Nicholas z jawnym niedowierzaniem.

Sheridan zamknęła oczy, rozmyślając, czy się kiedyś obudzi z tego koszmaru. To był jej pierwszy dzień z Jules, a kochana rodzinka zdążyła już rozpocząć dzieło zniszczenia w domu Nicholasa i poczynić spustoszenia w jego dobrach. Mimo że Nicholas wpłacił kaucję za nią oraz wujka i wyciągnął oboje z więzienia.

Kątem oka złowiła jego osłupiałą minę. Rzecz zadziwiająca, nie wyglądał na rozżłoszczonego, a raczej jakby rozba-
wionego. Był taki spokojny, iż Sheridan zaczęła się zastana-
wiać, czy aby nie oceniała go dotąd zbyt surowo, opierając
się głównie na jego zachowaniu w Southwark.

Wprawdzie zachował się okropnie, niemniej został wyrwany
z domowych pieleszy późnym wieczorem, na domiar złego
wcześniej czekała go przeprawa z ciotką Aggie, która - Sheridan
nie wątpiła w to ani sekundę - urządziła mu niezłe widowisko.

Do tego dochodziła zupełnie realna możliwość, że ciotka
naszła go, kiedy już spał - albo był w łóżku, zajęty czymś in-
nym niż spanie - a to z kolei sprawiło, że Sheridan natych-
miast zaczęła gubić się w domysłach, jak też owe zajęcia
mogły wyglądać.

„*Nie twoja sprawa*”.

Co nie znaczyło jednak, że przestała się nad tą kwestią za-
stanawiać. Przecież istotnie mogło się zdarzyć, że podejmo-
wał u siebie... przyjaciółkę. Na dobrą sprawę, mógł ich mieć
nawet kilka. Dziwne tylko, że takie podejrzania w głowie jej
nawet nie powstały, kiedy Nicholas czekał, by położyła się
obok niego tamtej nocy w dokach.

- No chodź, wujku. - Sheridan wyjęła z kurczowo zaciś-
niętych palców Finny'ego cynowy świecznik i podała go Ni-
cholasowi, nie racząc nawet na niego spojrzeć. Gorączkowo
rozmyślała, czy uszkodzony portret da się naprawić.

- A dokąd się wybieramy, dziełatko?

- Pójdziemy po nasze manatki do hotelu. - Słowo „rude-
ra” bardziej by pasowało do tego znamienitego przybytku.

- Ano. Bidny Scally, ale musi mu się za tobą cknąć. Już ty
sama wiesz, jak on cię kocha, moja mała.

- Scally? - burknął Nicholas, a Sheridan błyskawicznie
uniosła głowę; przyglądał się jej bacznie, przenikliwie,
a mięśnie żuchwy mu drgały, jakby dostał jakiegoś tiku.

Wszystko by mu wyjaśniła, gdyby nie rozkazujący i wo-
jowniczy ton, jakim zadał to pytanie.

_ Oj, chyba będziesz musiał poczekać i sam się przekonać.
Nie był chyba zachwycony tą odpowiedzią, jeśli się sugerować seria gniewnych spojrzeń rzuconych w jej kierunku.

- Nie jestem szczególnie cierpliwym człowiekiem, dziewczyno. A te mizerne zapasy cierpliwości, jakimi w ogóle dysponowałem - tu ukłon w jej stronę - zostały ostatnimi czasy zużyte do cna. Skoro już to ustaliliśmy - dodał tonem wykluczającym wszelkie dyskusje - twój wujek może spokojnie zjeść śniadanie, a ja tymczasem skoczę po wasze rzeczy. - Oglądając się przez ramię, spytał Jules: - Zajmiesz się naszym gościem, kiciu?

- Naturalnie.

- Czekaj no... - Protesty na nic się nie zdały; Nicholas złapał Sheridan za rękę i pociągnął za sobą.

- Nie musisz mi dziękować.

- Dziękować?! - fuknęła Sheridan. - A niech mnie...

Przyciągnął ją bliżej i szepnął wprost do zaróżowionego ucha:

- Na twoim miejscu trzymałbym buzię na kłódkę. Nie jesteśmy sami.

Wpatrywała się w niego pałającymi gniewem oczami.

Nicholas pokręcił głową.

- Nie sądzisz, że pora zakopać topór wojenny? - spytał już na schodach.

- Ano, pora. I zakopię, w twojej głowie!

Skąd wiedział, że właśnie tak mu odpowie?

- Emery, każ, proszę, podprowadzić powóz - polecił Nicholas, by sekundę później dodać: - O, widzę, że jak zawsze nadstawiasz ucha...

Emery drzemał skulony w fotelu; zaniepokojony hałasem, kilka razy zachrapał donośnie, zamrugał powiekami i głowa zaczęła mu się trząść zgoła epileptycznie. Nicholas byłby przysiągł, że słyszy grzechot małego, skamieniałego mózgu, objającego się o przestronne wnętrze czaszki, gdy sędziwy kamerdyner usiłował strząsnąć zeń spowijające je od niemal stulecia pajęczyny.

Podparł kościstą dłońią plecy i usiłował wyprostować się,

aż zatrzeszczały wszystkie bez wyjątku kręgi w jego wysłużonym kręgosłupie.

- Co jaśnie pan mówił? - wychrypiał. - Jaśnie pan znalazł rozdeptanego karalucha? Każę go sprzątnąć w te pędy.

Skurczony jak kilkusetletni kawałek lukrecji, podniósł się i „popędził” z prędkością, przy której dotarcie do kwatery ochmistrzyni zajęłoby mu parę dni.

- Mniejsza z tym. - Nicholas westchnął. - Zawsze zostaje Kdansk...

- Dansing...? - spytał Emery kłótliwym tonem, podnosząc na niego wodniste oczy. - Czy aby nie za wcześnie na tańce? - Zanim Nicholas zdążył dostać wewnętrznego napadu hysterii, Emery całkowicie stracił zainteresowanie jego osobą i przeniósł wzrok na Sheridan. - Pięknie panienka wygląda. Jaśnie pan ma wielkie szczęście.

Nicholas zerknął na Sheridan. Spodziewał się, że będzie wściekła, a jej oczy będą ciskały błyskawice, tym razem pod adresem biednego, przygłupiego Emery'ego. Ale niech go diabli, jeśli nie uśmiechała się do jego kamerdynera! Uśmiechała się!

Widocznie zauważyła zbaraniałą minę Nicholasa, kiedy bowiem podniosła na niego wzrok, wyraz jej oczu ponownie stał się morderczy. Spojrzała znacząco na jego palce, nadal zaciśnięte na jej przedramieniu, i wycedziła:

- Przestań mnie obłapiać albo narobię takiego krzyku, że cały dom się zawali.

Boże, niezłe z niej było ziółko, kiedy się złościła.

- Śmiało. Intuicja mi podpowiada, że dzięki obecnym lokatorom ten dom i tak niedługo postoi w jednym kawałku.

Pożałował tych słów, zanim jeszcze skończył mówić. Przeklął się w duchu, widząc przelotny błysk bólu w jej oczach, nim pojawiła się w nich wystudiowana obojętność.

- Jest na to rada - stwierdziła sucho, usiłując wyrwać rękę.

- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Owszem, chciałeś.

- Nie.

- Chciałeś.

- Do ciężkiej cholery! Wcale że nie! - warknął doprowadzony do furii Nicholas.

Widząc, że wokół nich gromadzi się coraz większa widownia, popchnął ją w stronę drzwi i ciągnął za sobą, dopóki nie znaleźli się przy Kdanku. Sheridan ważyła na oko nie więcej niż czterdzieści kilo, ale tych czterdzieści parę kilogramów potrafiło go zirytować, ale też i podniecić jak nic innego pod słońcem.

Na widok pana ogier Kdansk, uwiązany przed domem po porannej przejażdżce po Hyde Parku, zarżał radośnie.

Sheridan obejrzała się na Nicholasa z miną wyrażającą najświętsze zdziwienie.

- A jakim to cudem, jeśli mogę spytać, zamierzasz przewieźć wszystkie nasze manatki na jednym koniu? Może na własnej głowie?

- Jestem pewny, że taki widok sprawiłby ci przyjemność. Ale obejdzie się bez cyrkowych sztuczek. Wynajmę dorożkę, kiedy już dotrzemy do hotelu, i do niej upchniemy wasze graty. Zadowolona?

Sapnęła i odwróciła się do niego plecami - dodajmy, uroczymi plecami, smukłymi i kształtnymi.

I tak usztywnionymi, że prędeż by się złamały, niż zgięły, gdyby chciała się pochylić do przodu.

Ułożył palce w koszyczek, żeby ją podsadzić. Zignorowała go i wskoczyła na grzbiet Kdanska znajdujący się na wysokości przynajmniej kilkunastu stóp nad ziemią ze swobodą dowodzącą wieloletniej wprawy i obycia z końmi.

Poprawiła spódnicę i spojrzała tryumfalnie na Nicholasa z miną: „no-i-co-ty-na-to?”

- A gdzie twój koń?

- Pod twoim ślicznym kuperkiem.

- Ach, już rozumiem. Zamierzasz się przejść, tak? - spytała swoim zwykłym zadziornym tonem.

- Nie. Zamierzam jechać konno. - Nicholas oparł się o łąk i wskoczył za nią w siodło. - Pojedziemy razem.

Rozgniewana, wyprostowała się tak energicznie, że gdyby broda Nicholasa znalazła się w zasięgu jej głowy, leżałby już na ziemi, wystrzelony z siodła jak z procy. Sheridan próbowała się odwrócić, by poczęstować go kolejnym sierpowym albo przynajmniej spopielić jednym ze swoich płomiennych spojrzeń.

Objął ją w tali ramieniem i przyciągnął mocno do siebie. W duchu tłumaczył sobie, że nie przyświecają mu żadne inne cele prócz tego, by nie odnieść poważniejszych obrażeń z jej ręki.

Siedziała najeżona jak jeżozwierz, a Nicholasowi przemknęło przez głowę echo jakiegoś wspomnienia, nachmurzony wyraz jej twarzy, kiedy w obskurnej klitce nad saloonem Puddlebych siedzieli sobie jak u Pana Boga za piecem. Wszakże to wspomnienie okazało się równie niepokojące, jak ulotne.

Był przygotowany na to, że Sheridan zażąda, by zabrał rękę. Ku jego zaskoczeniu nie odezwała się słowem. Nigdy do końca nie wiedział, czego się po niej spodziewać, i chyba właśnie to intrygowało go w Sheridan najbardziej.

Trącił kolanami boki konia i po chwili jechali wolno ulicą. Nicholas zastanowił się przelotnie, czy spać Kdanska do galopu, ale nie zależało mu na tym, by położyć kres słodkiej udreće, jaką była dla niego bliskość ciała Sheridan, niepowtarzalny zapach hiacyntu, jakim tchnęły jej włosy.

Walczył z pokusą, by wtulić w nie twarz. Kiedy kilka pasemek musnęło jego policzek, odczuł to tak, jak skazaniec wita wieść o odroczeniu egzekucji.

Zapanowało milczenie, ale żadne z nich nie czuło się nim skrępowane. Nicholasa podkusiło nagle, by sprawdzić, jak dalece los okaże się dla niego łaskawy, i ukradkiem przesuwał prawą rękę opartą na jej talii.

Pod palcami poczuł jej pępek, małą wypukłość w miejscu zwykłego wgłębienia. Właściwie to nawet się nie zdziwił. W pewnym sensie oddawało to jej naturę, niezdolność do dławienia czegokolwiek w sobie. Dyskretnie badał opuszkami jego kształt, usiłując zachowywać się tak, jakby to było przypadkowe dotknięcie.

Zaczynał już myśleć, że jej opór kruszeje, że to dobry stary urok Sinclairów robi swoje, gdy odezwała się znienacka:

- Precz z łapą od mojego pępka albo zrobię z ciebie mańkuta.

Zatrząsał się z bezgłośnego śmiechu.

- Och? A to twój pępek? Myślałem, że przyczepiła się do ciebie pijawka.

- Jeśli szukasz czegoś, co ci utoczy krwi - wycodziła sucho - jestem do twoich usług.

Niesamowita dziewczyna. Waleczna do szpiku kości.

- Nie moglibyśmy wreszcie ogłosić rozejmu? Jak mówi dobra księga, zemstę powinno się zostawić Panu. - Dlaczego to powiedział? Sam nie wiedział; jego znajomość z Bogiem była, by tak rzec, przelotna, a Biblia z pewnością nie figurowała na liście jego ulubionych lektur.

A nawet gdyby, to gdzie miałyby ją trzymać? Swoje książki układał alfabetycznie, skutkiem czego Biblia znalazłaby się między ilustrowanym woluminem poświęconym anatomii kobiecej, do którego w dzieciństwie zaglądał tak często, że pozostawił na nim pamiątkę w postaci oślich uszu, a „Craps: czy fałszowane kości się liczą?”

Podejrzewał, że dawały o sobie znać wspomnienia z czasów, gdy za Damienem krok w krok łążyło stado dewotów, grzmiąc, by odpokutował za życie w grzechu i deprawacji.

Wyraźnie nieporuszona wspaniałomyślną i wzniosłą propozycją Nicholasa, Sheridan odpowiedziała swoim zwykłym buńczuczny tonem:

- Juzem mówiła, że wolę ci toporem zetrzeć uśmiech z gęby...

- Nie zapomniałaś czasem dodać: „milusiej gęby”?

- ... niżli się z tobą bratać.

- Hmm... Bratać się. Przyjemnie to zabrzmiało. Możemy zastanowić się nad definicją?

Groźne spojrzenie, którym go poczęstowała, sprawiło, że poczuł się jak kot o wyjątkowo długim ogonie zamknięty w pokoju pełnym bujanych foteli. Niemniej dreszczyk gro-

zy, do czego Nicholas skrycie się przed sobą przyznawał, nie był pozbawiony swoistego uroku.

- Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, zachwycałaś się kiedyś moim dołeczkiem i błyskiem w oku. Dalej je mam?

- Ano. Uprowadziłam też, co byś zabrał te łapy, albo gorzko tego pożałujesz. Już ja się o to postaram.

- Pozwolę sobie zauważyć, że ten wyczyn udał ci się nad podziw dobrze. W życiu niczego bardziej nie żałowałam.

Zesztywniała.

Psiakrew. Znowu strzelił gafę. Najwyraźniej opacznie zrozumiała jego uwagę. Gdzie u diabła podziało się jego wycucie, jego finezja?

- Żartowałam - dodał pospiesznie, myśląc, że musiał ze szczerem oszaleć, skoro woli wyzwiska od milczącej dezaprobaty.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin i żadnych od ciebie nie chcę, piękne dzięki.

- A kto mówi, że to były przeprosiny?

Aż ją zatkało - na całą sekundę.

- Żałowałaś, żeś się nie ugryzł w język, a to na to samo wychodzi.

- A ty nie żałujesz niczego, co mi powiedziałaś? - Na wypadek, gdyby konkretne uwagi wyleciały Sheridan z głowy, był gotów zacytować je co do słowa.

Rzucił jej swój najbardziej rozbijający uśmiech, niezawodny, gdy szło o udobruchanie zagniewanej kobiety.

Czekał na przeprosiny. Na próżno.

- No?

- No co?

- Nie masz nic do powiedzenia? A dokładniej, do powiedzenia *mnie*?

- A co niby miałabym jeszcze powiedzieć? Że jesteś grubianin, osioł i irytujący...

Nicholas zatrzymał Kdanska w cichej bocznej alejce. Idealne miejsce na wszczęcie pandemonium.

Jeśli bowiem Sheridan nie cofnie za chwilę swoich słów, na to się właśnie zanosilo. Na pandemonium.

- Co ty wyprawiasz? - zaniepokoiła się nagle.

Nicholasowi zaczęły drgać szczęki.

- Jesteś mi winna przeprosiny i nie ruszę się stąd, dopóki się ich nie doczekam.

- Przeprosiny?! - zaperzyła się Sheridan, wykręcając się w siodle, żeby spopielić Nicholasa spojrzeniem. W końcu zdołała się na niego obejrzeć tak gwałtownie, że zamiotła włosami po jego udach. - Niedoczekanie twoje! Nie jestem ci nic winna.

- Owszem - wycedził, zgrzytając zębami - jesteś.

- Wcale że nie! - Usiłowała unieść głowę, ale była unieruchomiona; Nicholas trzymał ją za włosy. - Puszczaj!

Pochylił się tak nisko, że jego twarz zawisła tuż ponad wykrzywioną ze złości, piękną twarzą irlandzkiej zjawy, i warknął:

- Najpierw przeproś.

Napawał się swoją przewagą nad zastygłą w osobliwej pozie dziewczyną. Co najdziwniejsze, pod płaszczykiem gniewu, pod nieodłączną żądzą, gdzieś między zdziwieniem a resztkami dumy, wewnątrz pokładał się ze śmiechu. A do wesołków nie należał.

Kształtne nozdrza dziewczyny drżały z gniewu.

- Nie przeprosiłabym nawet wtedy, jakbyś był ostatnim człowiekiem na ziemi i miał na własność wszystkie źródła wody, a od słowa „przepraszam” by zależało, czy przeżyję, czy wyschnę z pragnienia na wiór.

Nadwątlona już powaga Nicholasa zaczęła pękać w szwach w obliczu jej niesłabnącego uporu, przekornego, buńczuczego, irytującego zachowania. Przecież nie raz i nie dwa, ale trzy razy uratował jej skórę, do ciężkiego diabła.

I do trzech razy sztuka.

- Czy to twoje ostatnie słowo? - upewnił się dla porządku, modląc się, by przytaknęła, bo to upoważniłoby go do podjęcia działania. Wiedział, że posunięcie, do którego się

przymierzał, podyktowane było nie tyle gniewem, co żądzą.

- Ano. To moje ostatnie słowo, ty arogancki wrzodzie na czterech literach!

Usta rozciągnęły mu się w dziwnym grymasie.

- W takim razie pora na moją odpowiedź.

Zanim Sheridan zdążyła nabrać tchu, złapał ją w tali, uniósł i przełożył sobie przez kolano. Twarzą do dołu.

- Co ty ro... Och, ani mi się waź! - Niemożliwe, żeby zamierzał dać jej klapsa!

- Och, ważę się, ważę.

Młóciła na oślep rękami, wściekła i rozdygotana z oburzenia. Ciężkie ramię spoczęło na jej łopatkach.

- Ostatni odważny, który śmiał mnie tknąć, cały kwartał wylizywał się z ran w szpitalu!

- Czyli obeszłaś się z nim łagodnie, hmm?

Pisnęła przenikliwie; koń zadreptał w bok, spłoszony.

- Tylko mnie tknij, to potnę cię na małe kawałeczki, a nędzne truchło rozrzucę na cztery wiatry!

- Prosiłaś się o to, od kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Sama mnie do tego popchnęłaś. - *Plask* - Prowokowałaś.

- *Plask* - Biłaś mnie, chociaż mama ci mówiła, że nie wypada podnosić ręki na mężczyznę. - *Plask* - Poiłaś świństwem,

po którym poprzestawiały mi się organy życiowe. - *Plask* - Z twojej winy nie pamiętam tego, co powinno być pamiętnym wieczorem. - *Plask* - Zostawiłaś mnie samego i musiałem za toбою tęsknić. - *Plask* - *Przez* siebie dniami i nocami włóczyłem się po dokach, próbując cię odnaleźć.

- Przestań! Już dość! - Szloch wezbrał jej w krtani, nie tyle z bólu, co z upokorzenia.

- Nie puszczę, dopóki nie przeprosisz. - Ale w jego słowach brakowało wcześniejszego przekonania; Sheridan wydało się, że słyszy w nim nutę żalu. Wyglądało na to, że to był ostatni klaps.

- Nie przeproszę! Nie przeproszę! - Po policzku spłynęła jej jedna, wielka jak groch łza.

- Psiakrew - mruknął Nicholas, posadził sobie Sheridan na kolanach i przygarnął do piersi. - Boże, tak cię przepraszam. - Głos mu się załamał. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ja tylko... - Potrząsnął głową, trzymając dziewczynę w ramionach, i ukrył twarz w jej włosach. - Proszę, wybac mi.

Sheridan ścisnęła się serce. Podejrzewała, że silna wola zawsze będzie ją zawodzić, gdy w grę wchodził ten mężczyzna. Pociągnęła nosem, zła na siebie za tę słabość. Nie chciała się rozbeczeć. Nie cierpiała płaczących kobiet i ślubowała sobie, że sama nigdy nie będzie się tak zachowywać. Ale nie umiała się powstrzymać. Łzy ciurkiem lały się jej po policzkach i ani im się śniło obesznać.

Nicholas mocniej objął ją ramieniem.

- Zrobiłem ci krzywdę, Danny? Proszę, nie płacz. Uderz mnie. Spoliczkuj. Zrób coś. Serce mi pęka.

Wytarła moką twarz o jego świeżą koszulę, dławiona szlochem.

- I dobrze ci tak - usta jej zadrżały - ty brutalu.

- Wiem, nie ma pod słońcem szkaradniejszego potwora ode mnie. - Delikatnie ujął ją pod brodę i uniośł jej twarz.

Skruszone spojrzenie szmaragdowych oczu zaparło jej dech w piersi. Znała je teraz równie dobrze, jak swoje własne serce, a ono już tamtej feralnej nocy w dokach wiedziało, że nigdy nie będzie godną przeciwniczką dla tego mężczyzny. Za bardzo w nią wrósł, stał się częścią niej samej, jej duszy i serca, jakkolwiek gorąco pragnęłaby temu zaprzeczyć.

Delikatnie otarł jej łzę z policzka.

- Powiedz, co mam zrobić, żeby ci to wynagrodzić. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

W porywie złości chciała powiedzieć, żeby rzucił się do Tamizy, dla pewności wieszając sobie u szyi cały Londyn. Stęsknione ciało podpowiadało jednak zupełnie inną odpowiedź.

- Właściwie to mógłbyś... mógłbyś mnie pocałować - szepnęła pełna wyczekiwania. Zmysły w niej zawrzały i uświadomiła sobie, że wszystkie gniewne, przekorne słowa, którymi

go raczyła, miały w zamyśle skłonić go do konkretnej reakcji. Chciała, żeby jej dotykał. Chciała emocji. Chciała jego. Tylko jego. - Proszę. Żeby tak nie bolało.

Na usta wypłynął mu rozbrajający, chłopięcy uśmiech, który oczarował ją tak, jakby widziała go na twarzy Nicholasa po raz pierwszy.

- Pamiętam, że mnie ktoś nie odmówił całusa na złagodzenie bólu. Niezapomnianego całusa. Zobaczmy, czy uda mi się odpłacić tą samą monetą.

Sheridan nieświadomie zwilżyła językiem usta. Wpatrywała się w Nicholasa, gdy pochylał nad nią twarz, tak zafascynowana, że świat jakby się rozplątał i przez tę jedną chwilę byli jedynymi ludźmi na ziemi. W chwili gdy musnęła wargami jej usta, przymknęła powieki.

Błogość. Czysta, obezwładniająca, niebiańska błogość.

Pozwoliła, by całował jej usta, plądrował językiem ich ciepłe wnętrza, rozniecając w niej dziwną gorączkę. Drżąca, zawisła mu na szyi, garnęła się do niego, jakby od tego zależało jej życie. Jej ciało pamiętało jeszcze, jak powolne jego dłońmi zmieniało się w dobrze nastrojony instrument, kiedy w coraz bardziej zawrotnym tempie prowadził ją ku rozkoszy gwałtownej jak eksplozja.

- Danny - szeptał Nicholas, muskając wargami jej policzek. - Danny.

Zmienił jej imię w słodką pieszczotę, sprawił, że krew zawrzała jej w żyłach.

Pragnęła go. Och, tak bardzo go pragnęła. Chciała czuć na sobie jego ciężar, żar jego ciała, jedwabistą gładkość skóry i stalową twardość w swoim wnętrzu, czuć, że są jednością.

Rozkoszowała się dotykiem jego ciała, sprężystego i tak gorącego, że jego skóra zdawała się parzyć. Rozpamiętywała to, co od niego usłyszała, i zastanawiała się, czy nie była dla niego zbyt surowa.

„Zostawiłaś mnie w łóżku samego i musiałem za tobą tęsknić”.

„Przez ciebie dzień i noc przeszukiwałem doki, próbując cię odnaleźć”.

Szukał jej. Tęsknił. Ta myśl była dla niej wstrząsem, ale i balsamem na zbolełe serce, które kazało jej dotąd wierzyć, że bezwstydnie ją wykorzystał.

Nicholas wodził dłońmi po jej ciele ze śmiałością, której mogła mu tylko zazdrościć. Jego pieszczoty dobitniej niż słowa dowodziły tego, jak bardzo jej pożądał, pragnął. Potrzebował jej. A ona potrzebowała jego.

- Kochany - szeptała, tuląc twarz do jego gładkiego policzka. Czubkiem języka obwiodła kontur jego ust.

Przytrzymał go wargami. Równocześnie otoczył palcami jej pośladki i uniósł ją, a ona objęła go w pasie nogami. Spódnica się jej zadarła i błysnęły obnażone uda.

Nie przerywając pocałunku, trącił Kdanska i zjechał z alejki w cienisty zaułek pośród drzew.

Całował ją po szyi, a Sheridan wygięła się w łuk, poddając rozpalone ciało jego pieszczotom. Pojękiwała, gdy palcami nakrył jej piersi, a potem trącał sterczące sutki przez cienki materiał bluzki.

Potem poczuła na skórze powiew chłodnego powietrza. Nicholas rozpiął ostatni guzik, wodząc językiem po skrawku obnażonego ciała. Kiedy natknął się na brzeżek zawiązanej na wstążkę koszulki, mocnymi białymi zębami ujął jej końce i mocno pociągnął. Koronkowe poły rozsunęły się, jakby razem nie trzymało ich nic, prócz blasku księżyca.

- A już myślałem, że tylko mi się śniło, jaka jesteś piękna - zamruczał. Potem chwycił wargami sterczący sutek, a jej zdało się, że zaraz oszaleje.

Podtrzymując ją ramieniem, przechylił ją do tyłu i zajął się drugim sutkiem. Dłonią szukał miejsca u zbiegu jej ud. Zadrżała w wyczekiwaniu; wiedziała, dokąd zmierzają jego palce.

Pierwsze dotknięcie poraziło ją jak uderzenie pioruna.

- Nicholas - jęknęła.

- Tak, moja słodka. Nie walcz z tym. Chcę wszystkiego. Wszystkiego.

Pieścił ją nieprzerwanie, aż poczuła, że stoi u progu tego promienistego, potężnego niczym wir doznania. A potem trzymał ją w stanie napięcia, nieznośnego wyczekiwania, tak długo, iż pomyślała, że dłużej nie wytrzyma.

- Proszę - odezwała się, choć był to raczej urywany jęk niż normalne słowo. Wierciła się, napierając biodrami na jego ręce. Spełnił jej prośbę z gorączkowym pośpiechem.

Jego dłoń buszowała między jej udami, język muskał różowy sutek. Rozpalona, w ułamku sekundy ze szczeniem zatraciła się w sobie, zatopiła w doznaniach. Całe jej ciało naprężyło się, wszystkie mięśnie napięły, aż wreszcie rozlała się po niej kaskada płynnego ciepła.

- Danny - wymamrotał niewyraźnie, przyciskając twarz do jej szyi, przegarniając jej włosy gestem pełnym nabożnej czci i czułości. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Przy tobie zapominam o wszystkim i wszystkich. Co ty ze mną robisz?

Sheridan czuła się senna, zaspokojona i błogo odurzona. Było tak, jakby cały świat zawarł się w mglistej bańce przyjemności.

Zatopiła palce we włosach Nicholasa, rozkoszując się ich chłodem i gładkością. Dusza w niej śpiewała: wiedziała już, że ten przystojny, cudowny mężczyzna należy do niej i tylko do niej. Pocałowała go z całą miłością, jaka wezbrała jej w sercu.

Usłyszała urywany, świszczący oddech.

- Proszę... przestać. Bo wezmę cię, tu i teraz.

Gorąca krew znowu zaczęła buzować w jej ciele, skóra zdawała się płonąć. Czuła się zupełnie tak, jakby pożądanie, które Nicholas w niej budził, było żywą, oddychającą istotą, zżerającą ją od wewnątrz. Chciała, by ją posiadał, by dogiął ją do swojej stalowej woli. Wsunęła mu ręce pod koszulę, licząc opuszkami palców nabrzmiałe muskuły.

- Przestań, Danny - zachrypiał i zwiesił głowę. - Nie chcę się zachować jak zwykłe zwierzę.

Sheridan puściła to ostrzeżenie mimo uszu. Głaskała go po żebrach, składała leciutkie pocałunki wzdłuż linii obojczyka.

- Marzyłam o tobie. - Musnęła językiem małżowinę jego ucha. - Tęskniłam za tobą, mój aniele.

Nicholas opuścił ręce wzdłuż boków i zacisnął pięści. Sheridan czuła niemal, jak próbował zapanować nad sobą. Pragnęła odebrać mu resztki samokontroli, uczynić go słabym, wryć się na zawsze w jego mózg.

Z przewrotną satysfakcją usiłowała zmusić go do tego, by jej dotknął. Poruszyła się na jego kolanach, a on zacisnął szczęki z twarzą zastygłą w bolesną maskę.

Pochyliła się do przodu i otarła piersiami o jego tors. Równocześnie szepnęła mu do ucha:

- Dotknij mnie. - Zacisnął powieki. - Jesteś mi potrzebny. - Syknął przez zęby. - Kochaj mnie.

Nicholas złapał ją za ramiona i odsunął od siebie. Musiał położyć kres temu szaleństwu. Pragnął Sheridan z mocą, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał, i wątpił, czy będzie mu kiedykolwiek dane doświadczyć jej ponownie. Ale była najlepszą przyjaciółką jego kuzynki, a to wszystko zmieniało.

Powinien był dać temu spokój, zostawić ją w spokoju, wyrzucić z pamięci. Ale, psiaakrew, nie przestawała go przesładować. Jej piękne oczy spopielały go jak ogień, wyszeptane słowa i strzępy wspomnień siały spustoszenie w jego sercu.

Za sprawą jednego spotkania, o którym zadecydowało przeznaczenie, była dla niego niczym narkotyk, nie potrafił się jej wyrzec. Gdyby jednak ją posiadał i pozwolił, by na dobre zagnieździła się w jego sercu i duszy, najpewniej nie potrafiłby już odejść, a odejść przecież musiał.

Natrętnie podsuwała się myśl, że mógłby uczynić z niej swoją kochankę, ale w tej samej sekundzie przed oczami błysnęła mu rozgniewana twarz Jules. Kuzynka nigdy nie zrozumiałaby ani nie rozgrzeszyła podobnego układu. Z inną kobietą, być może, chociaż z niejasnych przyczyn tę drugą możliwość także odrzucał jako mało prawdopodobną.

Wprawdzie Jules była kobietą wyzwoloną, ale też i upartą, ponadto zaś miała swoje zdanie: niebezpieczna kombinacja, która przy niejednej okazji manifestowała się tyradami na temat tego, jak powinno się traktować kobietę. Aż uszy puchły.

Toteż romans z Sheridan najwzyczajniej nie wchodził w rachubę. Jules suszyłaby mu głowę, żeby się pobrali. Zresztą gdyby sytuacja była inna, gdyby inny był on sam, może by i się nad tym zastanowił.

Nie mógł ryzykować, że na całe życie zwiąże się z kobietą, która okaże się niezdolna do zachowania wierności. A cokolwiek Sheridan robiła, robiła z pasją, namiętnie. Uzewnętrzniła się to, kiedy ogarniał ją gniew, kiedy czuła się szczęśliwa albo kiedy jej dotykał.

Niedobrze mu się robiło na myśl, że miałby ją utracić, pozwolić, by kto inny napawał się jej zmysłowością, pożądał jej... i potrzebował tak bardzo, jak była potrzebna jemu. Ale nie mógł ryzykować tam, gdzie stawką było jego serce.

Świetliste fioletowe oczy spoglądały w jego stronę. Malowała się w nich niepewność, tęsknota i obawa przed zranieniem.

- Nicholasię...

Sposób, w jaki wymówiła jego imię, natychmiast go rozbroił, sprawił, że jeszcze trudniej było mu przezwyciężyć własną, z trudem okiełznaną żądzę.

Uciekł wzrokiem i szorstkim gestem zaciągnął jej koszulę na piersiach. Usiłował nie patrzeć na jej zaróżowiony dekolt, nieskazitelnie piękne ciało, rajsko złocistą skórę - miała w sobie tyle ognia, a jemu nie było pisane jej posiąść.

- Jedziemy po wasze rzeczy. Jules będzie się o nas martwiła.

13

- *Łapy precz, bo cię wypatroszę, ty służalczy bękartie!*
- Co to było, na miłość boską?'

Sheridan przerwała pakowanie swojego mizernego dobytku i strzeliła oczami w kierunku Nicholasa, wpatzonego w przykryty materiałem obły kształt na podłodze. Spojrzał na nią z ukosa ze osłupiałą miną.

- Tracę zmysły, czy też coś spod tej szmaty istotnie nazywało mnie przed chwilą służalczym bękartem?

Sheridan szczerze korciło, by pozwolić Nicholasowi samodzielnie się przekonać, co też znajdowało się pod starą, bawełnianą ścierką. Sam się o to prosił. Czuła się odrzucona, bolała nad tym, że trzymał się na niemal wyczuwalny dystans i słodkie wspomnienie zaprawił goryczą. Ale nie zamierzała pozwolić, żeby się dowiedział, jak bardzo przez niego cierpiała.

Schyliła się i ściągnęła ścierkę.

- Nicholasie Sinclair, poznaj Scally'ego. Przywitaj się, Scally.

Scally łypnął czarnym, okrągłym jak paciorek oczkiem i przywitał się ze swoją zwykłą serdecznością:

- *Źryj trutkę dla szczurów.*

Nicholasowi brwi podjechały pod samą linię włosów.

- Scally... to gwarek?

- Ano, gwarek. A myślałeś, że co?

- Czy ja wiem. Mogę tylko powiedzieć, czego się nie spodziewałem, a na pewno nie spodziewałem się ptaka.

- *Obys kaszał cegłami, ty bezmózgi Beduinie.*

Nicholas uklęknął przed klatką i pokręcił głową.

- Nie do wiary. Aż jestem ciekawy, czym jeszcze mnie częściej.

Scally zaszczycił ich serenadą, w której pierwsze skrzypce grały wszelkie możliwe wariacje słowa rozpoczynającego się na literę „k”, i to tak kwiecista, że nawet najbardziej osłuchanym z towarzystwa zwiędłyby uszy.

- Pierwsze słyszę, żeby ptak wypowiadał się tak— *barwnie* - zauważył Nicholas z rozbawieniem w głosie.

Sheridan zawahała się, ale po chwili uklękła obok niego. Podniosła z podłogi okruch chleba i przez pręty klatki podała go Scally'emu.

- Nazwaliśmy go Scallym od słowa „scalawag”. Po naszem to tyle, co szelma czy hultaj, no wiesz, ale taki, którego się lubi.

- Pasuje jak ulał.

- Ano. Od małości wychował go taki jeden marynarz, a właściwie kapitan. Zginął na morzu i Scally trafił do jego brata, ale ten go nienawidził i przegrał go w karty. Nigdy wcześniej ani nigdy później wujek Finny nie wygrał partyjki. Ale jest zmyślny, mam na myśli gwarka, nie wujka, ma imponujące słownictwo i bardzo szybko się uczy.

- Hmm. Interesujące. Mogę? - Nicholas wyciągnął rękę po kawałek chleba. Skrępowana, szybko wcisnęła mu jakiś okruch i zerwała się na nogi, zastanawiając się, czy powinna go ostrzec.

- O, cholera!

Za późno.

- Oj, zapomniałam dodać, że Scally nie przepada za obcymi, za to lubi sobie dziobnąć.

Nicholas obejrzał się gwałtownie; na jego twarzy malowało się pytanie, dlaczego nie raczyła o tym nadmienić, *zanim* jego palce znalazły się w zasięgu dzioba Scally'ego.

Podniósł się powoli, z namysłem. Był taki wysoki, że kiedy wyprostował plecy, musiała odchylić głowę, żeby odzajemnić jego baczne spojrzenie. Ale nie było takiego mężczyzny, któremu Sheridan Delaney dałaby się zastraszyć. Nicholasowi

też nie zamierzała dać tej satysfakcji, choć w duchu trzęsła się jak osika.

- Myślę, że zrobiłaś to celowo - rzucił tonem oskarżenia.
- Niby co?
- Nie zgrywaj mi tu niewiniątka.
- Nie mam pojęcia, o co ci idzie.

Zazgrzytał zębami.

- To ptaszycy mogło mnie pozbawić palca.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Zawsze zostałyby ci jeszcze cztery.

- To nie jest śmieszne - warknął, jakby jego mina nie dość jasno dowodziła, że nie jest tą sytuacją rozbawiony.

Wzruszyła ramionami.

- No, nie wiem. Bo dla mnie to...

Reszta szyderczej w zamyśle uwagi utonęła w głuchym pomruku.

- Zachowujesz się jak rozpuszczona smarkuła.

W Sheridan zawrzało.

- Smarkuła?!

- Masz do mnie pretensje o to, co wydarzyło się wcześniej.

Nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, by domyślić się, co Nicholas rozumiał przez to „wcześniej”. I trafił w dziesiątkę. Była na niego wściekła - wystarczająco wściekła, by z rozkoszą spuścić mu takie manto, żeby nadawał się wyłącznie na kompost dla roślin.

Ale była także nieszczęśliwa, załamana i zakochana w tym wielkim gburze. Niemniej tę ostatnią informację zamierzała zabrać ze sobą do grobu.

Uniosła ironicznie brew i przestała uciekać przed jego wzrokiem.

- O? A niby co takiego stało się wcześniej?

Pochylił się groźnie z miną pana i władcy; najwyraźniej spodziewał się, że cały świat padnie przed nim na kolana.

Natomiast wyraz twarzy Sheridan przywodził na myśl ostatnią wypowiedź Scally'ego:

Obyś kastał cegłami - w domyśle - obyś się udławił.

- Z chęcią odświeżę ci pamięć - dodał ściszym głosem - i to ze szczegółami, jeśliś tego chciała.

Sheridan zrobiło się gorąco, napłynęły wizje rąk buszujących po jej ciele, własnego gorączkowego podniecenia.

Odegnęła niepokojące wspomnienia, skrzyżowała ręce na piersi i zrobiła ironiczną minę.

- No i co z tego?

- Jak to, co z tego? Nie próbuj mi wmawiać, że to nie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Albo że mnie nie pragnęłaś - podkreślił.

Nawet się nie domyślał, jak wiele to dla niej znaczyło. I owszem, pragnęła go, teraz zresztą też. Chyba będzie go pragnęła do końca swojego życia.

- Bo nie miało. I nie pragnęłam. I teraz też nie pragnę.

- Kłamczucha.

Oczy jej się zwięziły. Patrzyła na tę jego przystojną, butną twarz i świerzbiły ją ręce, żeby siarczystem policzkiem zastąpić odpowiedź.

Mina mu złagodniała, w oczach zabłysnął żal.

- Nie chciałem ci sprawiać przykrości, Danny, ale uwierz, że tak będzie najlepiej. Dla nas dwojga nie ma przyszłości.

Rozżalenie ścisnęło Sheridan za krtań. Odwróciła się.

- Zachowujesz się, jakby mi zależało. Nie zależy.

Obszedł ją i spojrzał jej w twarz.

- Ale mnie tak.

Poprzysięgła sobie, że więcej się do niego nie odezwie, ale usta otworzyły się jej wbrew jej woli i usłyszała swój głos, pełen wahania, niepewny:

- Czy to dlatego, że... jestem Irlandką?

- Nie. - Pogłaskała ją po policzku; nie chciała, żeby jej dotykał. - Poznałaś mnie już chyba wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że to dla mnie obojętne. - Zajrzał jej w oczy. - Tobie przeszkadza, że jestem Anglikiem?

Ze względu na matkę i wszystko, co jej wpajała, Sheridan

chciała odpowiedzieć twierdząco. Chciała mu przytaknąć z szacunku dla rodziny, która zmagająca się z życiem, walczyła przeciwko brytyjskiej tyranii i ponosiła gorzkie straty. W imię każdej irlandzkiej kobiety, która patrzyła na głodową śmierć córki czy syna. Każdego człowieka, którego zrodziła irlandzka ziemia i który harował ponad ludzkie siły, poił ją własnym potem i oddawał za nią życie. Za Erin*.

Ale Sheridan Delaney wiedziała, że w jej ustach byłoby to kłamstwem.

- Ano nie. Nie przeszkadzało i nie przeszkadza. Co innego, gdybyś był zniechęconym przez dzierżawców obszarnikiem.

- Nie mam posiadłości w Irlandii. - Nim jeszcze wypowiedział te słowa, w głowie zakołatało mu jakieś mgliste wspomnienie, ale znikło równie szybko, jak się pojawiło; uspokoił się myślą, że ostatnimi czasy nie mógł dowierzać swojej pamięci. - Musiało ci być ciężko porzucić ojczyznę.

- To było najgorsze doświadczenie w moim życiu. Nie mówię, że łatwo się tam żyło, ale masz przy sobie rodzinę, wszędzie, gdzie pójdziesz, witają cię z otwartymi ramionami. Irlandia jest częścią mnie samej. Nic tego nie zmieni.

- I dobrze. To twoje dziedzictwo i właśnie ono czyni cię tym, kim jesteś.

- Ano. Ale ja tak bardzo chciałabym jakoś pomóc. Posiadaczy ziemskich nie obchodzi los dzierżawców, byle dalej uprawiali ziemię, harowali, aż im krzyż pęknie. Wypędzono nas z Erin jak dzieci Izraela z Egiptu. - Westchnęła. - Serce mnie boli, kiedy myślę o ojczyźnie. Nie ma drugiego takiego kraju jak Irlandia. - Wbiła wzrok w podłogę i dodała niewyraźnie: - Myślałam, że tam będę wychowywała moje dzieci, ale teraz...

Dzieci.

* Erin - [książk.] Irlandia (przyp. tłum.).

Nicholas przypomniał sobie fragment jej rozmowy z Jules: Sheridan chciała *złożyć* rodzinę. Zaczaj się bezwiednie zastanawiać, jaki człowiek zdobędzie jej serce - i dlaczego nie może znieść myśli, że mogłaby się z kimkolwiek związać.

Jeśli jednak czegokolwiek był pewny, to tylko tego, że Sheridan będzie cudowną matką - czułą, troskliwą, kochającą. Matką, jaka dla każdego dziecka byłaby błogosławieństwem. Taką, o jakiej w dzieciństwie marzył sam Nicholas.

- Myślisz, że jeszcze tam kiedyś wrócisz? - spytał cicho.

- Nie wcześniej, niż przestaną obiecywać nagrodę za głowy moich bliskich. - Wzruszyła ramionami. - A może nawet i wtedy nie. Nie mamy pieniędzy na powrót, zresztą i tak posiadacz, od którego dzierżawiliśmy ziemię, przejął nasz dom. Co nam pozostało?

Nicholas szczerze jej współczuł. Potrafił sobie wyobrazić życie w wiecznej obawie o przyszłość i w poczuciu oderwania od korzeni.

- Możecie zacząć od nowa. Nie każdy ma taką szansę. - Jemu chociażby nie była dana. Pod wieloma względami jego życie przypominało kamienną rynnę, a on sam mały, okrągły kamyk toczący się bezwolnie ku swemu przeznaczeniu: nie mógł się cofnąć, nie mógł się nawet zatrzymać, skazany na nieuniknione parcie do przodu w kierunku, którego, choć sam go sobie onegdaj wyznaczył, nie był już w stanie zmienić. Jakże żałował, że nie poznał Sheridan wcześniej.

Wcześniej, czyli kiedy? Przed Jessicą? A nawet gdyby tak się stało, cóż z tego? I tak pochodzili z dwóch diametralnie różnych światów. Śmieszne tylko, że to nie ta odmienność ich rozdzielała, lecz jego własna decyzja.

Aczkolwiek Nicholas wreszcie to pojął, nie potrafił tej sytuacji zmienić. I zawdzięczał to matce. Może gdyby umiał zapomnieć, ile bólu przysporzyły rodzinie jej zdrady, zapomnieć docinki innych dzieci, wściekłość, jaką budziło w nim upokorzenie ojca.

Gdyby.

- Od nowa? - zachnęła się Sheridan. - Niby co mielibyśmy robić? Kto dałby nam pracę? Jeśliś tego nie zauważył, nas, Irlandczyków, nikt nie wita z otwartymi rękoma. - Odsunęła się i wyjrzała przez brudną szybę. Przetarła ją ręką.

Wydawała się tak drobna i bezbronna, że Nicholasowi ścisnęło się serce. Chciał jakoś pomóc, ale jak? Co zmieniłoby jej sytuację? I dlaczego miałyby się o nią troszczyć?

Żeby pozbyć się poczucia winy, że ją skrzywdził.

Bo cokolwiek by mówiła, wiedział, że czuła się skrzywdzona. Potraktował ją nie lepiej niż zwykłą portową dziwkę. Ale pragnienie, by jej dotknąć, było silniejsze od niego. I czuł je w dalszym ciągu, całą drogę do hotelu prowadził ze sobą wewnętrzną batalię - która się dotąd nie zakończyła.

Upomniał się w duchu, że powinien pozbić jej rzeczy i szybko się stąd wynosić. Spojrzał na Sheridan; stała przy oknie, nieporuszona i tak nieszczęśliwa, że zapragnął ją pocieszyć. Naturalnie tylko bardziej się na niego rozżołości, może nawet znowu weźmie się do rękoczynów. To nie była dziewczyna, która poddawała się słabości. I chyba tę cechę najbardziej w niej podziwiał. Takiego hartu ducha mógłby jej pozazdrościć niejeden mężczyzna.

Podszedł do niej. Drgnęła, ale nie odezwała się, wpatrzona w okno.

- Wszystko będzie dobrze, Danny. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Obróciła się jak fryga i przycisnęła plecami do szyby.

- Nic od ciebie nie chcę! Słyszysz? Nie będę na twojej łasce. - Uniosła ręce na wysokość jego piersi i popchnęła go z całej siły, ale nawet nie drgnął. - Żebyś nie myślał, że masz dług wobec biednej irlandzkiej dziewczyny, która sama weszła ci w ręce! Nic od ciebie nie chcę! Nic!

Znowu go popchnęła. Przytrzymał ją za nadgarstki.

- Przestań, Danny!

- Zostaw mnie w spokoju! Nienawidzę cię!

- Nieprawda.

- A właśnie, że prawda!

Nicholas objął ją, żeby przestała się szamotać.

- Przepraszam.

- Mam gdzieś twoje przeprosiny! Wynoś się i daj mi święty spokój! No już - głos się jej załamał - idź sobie. - Zwiesiła głowę.

Widząc jej rozpacz, Nicholas poczuł się tak, jakby ktoś ugodził go w samo serce.

Dwie dusze na zawsze ze sobą splecione.

Jedna przeklęta.

Pochylił się. Chciał zobaczyć wyraz jej oczu, ale Sheridan obróciła twarz.

- Nigdzie nie pójde, Danny. Jesteś przyjaciółką Jules. A teraz i moją.

Nicholas sam nie do końca rozumiał, co chce przez to powiedzieć. Jak bowiem mógłby być dla Sheridan prawdziwym przyjacielem? Niemniej wiedział, że musi dla niej być kimś wyjątkowym. Po prostu musiał.

- Nie chcę twojej przyjaźni - powiedziała zdławionym głosem, nie patrząc na niego.

Nicholas puścił jej ręce. Dotknął policzka dziewczyny; odepchnęła jego dłoń, ale nie ustąpił.

W końcu spojrzała na niego. Mrugała powiekami, żeby odgnać łzy; zawisły na rzeszach, nadając jej oczom niepowtarzalny, świetlisty odcień fioletu, a Nicholas po raz setny pomyślał, że oddałby wszystko, byle istniała dla nich dwojga jakaś szansa.

- Nie odtrącaj mnie, Danny.

- Czemu mi to robisz?

- Co robię?

Przygryzła wargę, jakby te słowa wymknęły się jej mimowolnie.

- No co ci robię? - powtórzył.

- Robisz wszystko, cobym ciebie chciała - wyszeptała - mimo że sam mnie nie chcesz.

- Ja ciebie nie chcę? Czyś ty oszalała? - Schylił się, żeby

ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. - Niemożliwe chyba, żebyś stała tuż obok mnie i nie czuła, że cały płonę? Nie potrafię przestać cię dotykać, chociaż ciągle sobie powtarzam, że powinienem zostawić cię w spokoju.

- Ale... toć sam mówiłeś...

- Mówiłem, że nie ma dla nas przyszłości. Nigdy się nie wypierałem tego, że ciebie pragnę. Skoro jednak nie mogę ofiarować ci siebie, nie chcę tego przedłużać. To zbyt bolesne i dla mnie, i dla ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem.

Nicholas nie potrafił się zdobyć na wyznanie, że nie byłby w stanie jej zaufać, że obawia się, iż jej namiętna natura popchnie ją w ramiona innych mężczyzn. Jeden nigdy by jej nie wystarczył. A on musiał być tym jedynym.

- Nie wiesz, co by pomyślała Jules, gdybym romansował z jej najlepszą przyjaciółką? Nie chcę zniszczyć waszej przyjaźni.

- Jules nie miałyby nic...

- Owszem, miałyby, Danny. - Nicholas rozejrzał się za krzesłem, wziął Sheridan za rękę, usiadł i posadził ją sobie na kolanach. - Jules to złota dziewczyna, ale kiedy jest do czegoś przekonana, potrafi bronić swoich przekonań jak lwica. Tak samo jak ty. Zapewne właśnie dlatego tak dobrze się rozumiecie. Ale pewnych rzeczy Jules nigdy by nie zaakceptowała. My razem to jedna z nich. Jej wyrozumiałość ma swoje granice.

W pierwszym odruchu Sheridan chciała mu wytłumaczyć, że się mylił. Nie wierzyła, by po jej ślubie z Nicholasem Jules zerwała z nią kontakty. Przypuszczała raczej, że Jules byłaby uszczęśliwiona.

Ale pewnych rzeczy Jules nigdy by nie zaakceptowała.

Na przykład ślubu irlandzkiej chłopki z jej kuzynem?

Jej wyrozumiałość ma swoje granice.

I wyglądało na to, że wejście z Sheridan w koligację poza te granice wykraczało.

To odkrycie zboleło ją bardziej niż wszystkie przejawy dyskryminacji, z którymi się dotychczas spotkała. W sercu czuła pewność, że w słowach Nicholasa nie mogło być nawet ziarenka prawdy. Rozsądek jednak przekonywał, że to szczerza prawda.

Była głupia, wierząc, że przyjaźń Jules automatycznie oznacza, że nic ich nie dzieli. Fakt pozostawał faktem: Jules była Brytyjka, i to utytułowaną, Sheridan biedną Irlandką. Pokonały bariery, które z natury rzeczy skazywały je na bycie wrogami, jeśli wrogość w ogóle może leżeć w naturze rzeczy.

Ale przyjaźnić się, a zostać rodziną to dwie różne sprawy. Ta druga ewentualność była niczym mur nie do przebycia.

Nie miała do Jules pretensji. Rozumiała, że oczekiwała zbyt wiele.

- Już widzę - powiedziała. Uniosła wysoko głowę, żeby odegnać uparte łyzy.

W uszach rozbrzmiał jej głos matki: „My, Delaneyowie, przetrwamy wszystko”.

„Dlaczego musiałabym przetrwać. Czy ktoś nie może mnie ocalić?” - zaszeptał cichy głosik, ale bez nadziei.

Sheridan wzięła się w garść.

- Lepiej skończmy pakować rzeczy. - Próbowała wstać z kolan Nicholasa, ale szybko objął ją w talii ramieniem i przygarnął do siebie. - Co ty wyprawiasz? - spytała gniewnie; rozbudzała w sobie złość, upatrując w niej ratunku. Otuliła się tym gniewem jak płaszczem.

- Nie żartowałem. Poważnie chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Sheridan pojmowała, że to z jej strony zwykła małostkowość, ale wiedziała, że nie potrafi być mu tylko przyjaciółką. Nie i już. Chciała być kimś więcej, choć nie przyznałaby się do tego nawet na łożu tortur.

Podąła mu rękę, modląc się, by nie zadrżała.

- Przyjaciele?

Zapatrzył się w jej drobne palce, po czym ukrył je w dłoniach.

- Przyjaciele.

Ta cała przyjaźń miała jeszcze Nicholasowi wyjść bokiem.

Bo też co mu strzeliło do głowy, żeby wmawiać sobie, że może być dla Sheridan przyjacielem i nikim więcej? Że będzie umiał uśmiechać się i gawędzić z nią o błahostkach, patrzeć, jak przechodzi obok niego, rozsiewając zapach hiacyntów, i nadal spoglądać na świat przez różowe okulary?

Przez najbliższe dwa tygodnie jej bliskość stanowiła dla niego źródło nieustającej frustracji, a wybryki jej rodziniki dopiekły mu tak dalece, że jego gęste włosy zaczynały nabierać trwale siwego odcienia.

Pierwsze dni były najgorsze. Sheridan zachowywała się uprzejmie, acz powściągliwie. Krążyli wokół siebie, trzymając się na bezpieczną odległość, mówili, co trzeba, nie wchodzili sobie w drogę, pilnowali, by się o siebie nie otarli nawet ich cienie.

Tortura.

Śmiech Sheridan niezmiennie przyciągał Nicholasa jak magnes, choć milkła, zaledwie go ujrzała.

Raz przycisnął się pod drzwiami jej sypialni i podsłuchiwał, jak zaśmiewają się z Jules i rozmawiają ścisłym głosem. Przycisnął ucho do drzwi. Przymierzały jakieś stroje.

Kiedy dobiegła go uwaga Jules: „Ojej, gdyby jakiś mężczyzna zobaczył cię w tej obcisłej sukni, padłby chyba trupem”, sam omal nie wyzionął ducha: wizja, jaką usłużnie podsunęła mu wyobraźnia, wystarczyła, by serce niemalże wyskoczyło mu z piersi.

Zacisnął powieki, próbując wymazać sprzed oczu czarow-

ny obraz. Kiedy je otworzył, ujrzał Ho-Singa, przyglądającego się mu z rękoma splecionymi za plecami, ironicznie uniesioną brwią i miną, która zdawała się mówić: „Pan szef baardzo zły”. W swobodnym tłumaczeniu przekładało się to na: „Wstrętny zbereźnik”.

Od tamtej pory Nicholas robił wszystko, co w jego mocy, żeby jak najmniej przebywać w domu: albo na całe dni zaszywał się w biurze, albo godzinami przesiadywał w łaźni jednego z klubów, kryjąc się za kłębami pary.

On w łaźni szukał zapomnienia, tymczasem Sheridan zawarła znajomość z jego ekonomem, chłopem jak dąb - Szkotem nazwiskiem Ian McDonough.

Nicholas poczuł, że coś wbija mu się boleśnie we wnętrze dłoni. Opuścił wzrok: ołówek trzasnął mu w palcach jak zapalka. Cisnął smętne resztki na biurko i gwałtownie poderwał się z fotela. Pora skoncentrować się na ważniejszych sprawach, chociażby wieczornym wypadzie z Jessicą.

W konkurach czynił wyraźne postępy - większe, niż by się spodziewał, prawdę powiedziawszy. Nawet jeśli Jessica była dość chłodna, to zupełnie naturalne. I jeśli krew w nim nie wrzała, ilekroć ją widział, także i w tym nie było niczego niezwykłego. Powinien czuć się dumny, że może się pokazać z tak znamienitą i głęboko moralną młodą damą. Dumny, jeśli nie znudzony.

Hałas za drzwiami gabinetu zmusił Nicholasa do natychmiastowego powrotu do chwili teraźniejszej. Jeden głos szczególnie przykuł jego uwagę.

Sheridan.

Nicholas westchnął potężnie.

- Ach, kolejny dzień pandemonium. Właściwie to powinienem oszaleć, mniej bym się wyróżniał.

Szarpnął za klamkę i znalazł się, by tak rzec, „twarzą w dziób” z dziko bijącym skrzydłami gwarkiem. Na widok Nicholasa gwarek rozdziawił dziób w sposób, który Nicholas odebrał jako szyderczy.

- *Czotem, padalcu!* - zaskrzeczał gwarek. Śmignął obok Nicholasa i wleciał do środka, najpierw jednak pozostawił na jego świeżo wyglansowanych butach mazisty biały upominek.

W ciągu trzech sekund Nicholas przeszedł od cichej kontemplacji do szewskiej pasji.

- Skręcę ci ten twój kościsty, pierzasty kark i każę cię po-
dać na kolację, ty przekłeta zarazo!

Scally wylądował na piętrzącej się na biurku stercie dokumentów i zaczął ostrymi pazurkami rwać papier na strzępy, pogdakując z zadowolenia.

- Cholera jasna! - zaklął Nicholas. Na samym wierzchu leżał nieprzeczytany dokument przysłany przez Damiana.

Dni tego ptaszzydła są już policzone. Małe niebieskoczar-
ne truchełko będzie opiekać się nad gorącymi węglami w piecu, nim ten dzień się skończy.

Nicholas odwrócił się na pięcie i z twarzą wykrzywioną w zapiekłym grymasie zaczął skradać się w kierunku biurka. Zdążył zrobić dwa kroki, gdy coś - czy raczej ktoś - rąbnął go w plecy z taką siłą, że wylądował na podłodze, rozciągnięty jak długi.

- O rety! - wykrzyknął aż nazbyt znajomy głos.

Klnąc pod nosem, Nicholas przewrócił się na plecy i wbił w winowajczynię płonące spojrzenie. Sheridan patrzyła na niego bez słowa: oczy miała okrągłe i zakrywała dłonią usta.

- Nie zauważyłam cię - stwierdziła, zamiast przeprosić, skutkiem czego furia Nicholasa nabrała zupełnie nowego, niebotycznego wymiaru. Wszystko się w nim gotowało - wypisz wymaluj jak w kocie, który zamiast tłuściutkiej myszy chapnął przez pomyłkę dojrzłą cytrynę.

- Zrozumiałe - wymamrotał z przekąsem, otrzepując się i zbierając z podłogi. - Żeby zauważyć, trzeba mieć oczy.

Wyprostował się - irytacja wydawała się dodawać mu wzrostu - z zamiarem zrobienia piekielnej awantury. Szukał ujścia dla napięcia, które nagromadzało się w nim od bardzo dawna, gdy kolejna postać wparowała do środka, potrafiła

Sheridan, która potknęła się i wpadła... prosto w ramiona Nicholasa.

- Och, Danny, dziełatko, wcalem cię nie widział - sumi-
tował się Ian McDonough tubalnym głosem. - Nic ci nie jest?

Sheridan nie dosłyszała pytania, skupiona na oplatających jej kibić silnych ramionach Nicholasa i błogim uczuciu, że ma go tak blisko. Najchętniej trwałaby tak, przytulona, całe wieki

Tym bardziej że od kiedy ostatnio tulił ją do piersi, upłynę-
ły dwa tygodnie, sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty. Choć naturalnie nie było tak, żeby liczyła każdą sekundę. Skądże...

Przez pierwsze dni po propozycji zostania przyjaciółmi
czuła się zrezygnowana, ale w jej żyłach płynęła krew Dela-
neyów i rezygnacja nie była stanem, w jakim mogłaby się
długo znajdować.

Wywodziła się z długiej linii Irlandczyków urodzonych do
walki i ani jej się śniło sprzeniewierzać chwalebnej tradycji.
Zamierzała walczyć, tyle tylko że nie zdecydowała jeszcze,
czy będzie walczyć przeciwko Nicholasowi - czy o niego.

Jedyne, co dla niej nie ulegało wątpliwości, to przeświad-
czenie, że Nicholas zdąży gorzko pożałować, że igrał sobie
z jej uczuciami, nawet jeśli nie czynił tego rozmyślnie.

Jego uprzejme, kordialne zachowanie tak dokuczliwie gra-
ło Sheridan na nerwach, że chciała wdeptać go w ziemię.
A skoro nie mogła się za to zabrać, dopóki nie znajdzie do-
brego pretekstu, zaczęła sama szukać kłopotów.

W końcu z kłopotami była za pan brat.

- Czy wolno mi spytać, dlaczego, do ciężkiej cholery, *to*
coś lata sobie swobodnie po całym domu?

W głosie Nicholasa brzmiała z trudem hamowana wściek-
łość, toteż Sheridan zerknęła na niego, wiedziona odruchem
- i, jak zawsze, natychmiast tego pożałowała. Przystawała
trzeźwo myśleć, ledwie spojrzała w te zielone oczy.

Ian oszczędził jej nerwów, wyjaśniając pośpiesznie:

- To moja wina, jaśnie panie. Pierwsze widzę, żeby ptak
gadał, no i otworzyłem klatkę.

Nicholas uśmiechnął się diabolicznie.

- A ten pierzasty władca Hadesu skorzystał z tego, żeby cię dziobnąć, tak?

Ian potrząsnął głową, wyraźnie zdziwiony.

- A gdzie tam, jasnie panie. Toć Scally jest łagodny jak baranek.

Uśmiezek zniknął, za to brwi Nicholasa ściągnęły się, aż pojawiła się między nimi głęboka zmarszczka.

- Łagodny? W porównaniu z czym? Albo kim? Markizem de Sade?

Gwarek zaćwierkał, potrząsnął długimi czarnymi piórami ogona, spacerując po ukochanym, pięknym biurku Nicholasa z drewna o niezwykłym rysunku słoju. Z upodobaniem siał na nim spustoszenie.

- Przestań, ty tępą pierzasta kukło!

- *Cmoknij mnie gdzieś, ofermo!* - zaskrzeczał Scally, w tańcowych podskokach zbliżając się do popielniczki, w której spoczywało żarzące się cygaro. Sheridan patrzyła z przerażeniem, jak Scally eleganckim ruchem dzioba zrzucił popielniczkę na podłogę.

- Och, moja cierpliwość się przebrała! - wrzasnął Nicholas. - Jesteś t-r-u-p-e-m!

Wykonał olbrzymiego susa i rozpląszczył się na blacie jak placek, ściskając w palcach powietrze.

- Nicholas! Nie! - zawołała Sheridan, ale jej nie słuchał. Biegał za gwarkiem z kąta w kąt; raz prawie już go miał, ale zostało mu w rękach tylko lśniące pióro. Kiedy wdrapał się na biurko, Sheridan ogarnęła panika. No przecież kark sobie skreśli! - Nie bądź uparty jak osioł! Złaż stamtąd!

Scally nie okazał wdzięczności za podejmowane przez Sheridan próby ocalenia jego skóry. Śmignął Nicholasowi przed samym nosem, Nicholas błyskawicznie wyciągnął rękę, żeby go złapać, i niebezpiecznie wychylił się do przodu. Zamachał rękami, balansując na krawędzi biurka, by odzyskać równowagę.

Powietrze uwięzło Sheridan w krtani. Zaledwie pomyślała, że Nicholas zdoła się jakoś wykaraskać, postawił stopę na okrągłym szklanym przycisku do papieru i zwałił się z biurka, ładując na podłodze z imponującym łomotem.

- Och, słodki Panie! - wykrzyknęła bez tchu i pomknęła ku niemu.

Oczy miał zamknięte, minę zbolałą. Dziewczyna pochyliła się nad nim, muskając jego pierś koniuszkami włosów, i ujęła jego twarz w obie dłonie. Delikatnie poklepała go po policzku.

Wydał niski pomruk i uchylił powiekę.

- Wypchać i wystawić w gablocie. Zaklinam się na wszystkie świętości, że jeszcze zobaczę tego przeklętego stwora na postumencie w moim pokoju z trofeami.

- Przecież nie masz pokoju z trofeami.

- Och, ale będę miał, jak z nim skończę. Zapamiętaj moje słowa. - Po twarzy przemknął mu grymas bólu, gdy podparł się łokciami. - Gdzie ten mały Filistyńczyk? W kuchni czeka już garnek z jego imieniem. Głowę daję, że z tego ptaszyska z piekła rodem będzie najlepsza sztuka mięsa, jaką jadłem w życiu. Dwadzieścia funtów... nie, *pięćdziesiąt* dla każdego, kto złapie to monstrum.

- Już go mam, jaśnie panie - odezwał się Ian.

Twarz Nicholasa zesześcił złośliwy grymas.

- Masz?

Sheridan obejrzała się i dech zamarł jej w piersi. Scally siedział sobie spokojniutko, przycupnięty na ramieniu Iana. Nie mogła dopuścić do tego, by Nicholas to zobaczył. Jego reakcja byłaby bardziej wybuchowa niż fajerwerki w dniu czwartego lipca.

Nicholas podnosił się właśnie do pozycji siedzącej, gdy Sheridan rzuciła się na niego.

- Co znowu, na litość boską?

- Jesteś ranny. Leż i się nie ruszaj. - Sheridan przytrzymała go za ramiona, obejrzała się i rzuciła do ekonoma: - Ian, możesz poszukać Ho-Singa i przysłać go do mnie?

-Ale...

- Przejdziemy się później.

- Ja nie o tym...

- Idź po Ho-Singa, proszę.

Westchnęła z ulgą, kiedy Ian wreszcie poszedł. Słuchała odgłosu kroków i modliła się, by Scally zechciał trzymać dziób na kłódkę i bez dalszych incydentów wrócił do swojej klatki.

Powinna była wiedzieć lepiej.

- *Kit ci w oko!*

Można było na Scallym polegać, że zawsze wtrąci swoje ostatnie, szydercze trzy grosze.

- Co to miało, u diabła, znaczyć?

Ogarnęło ją dziwne uczucie, słodycz przemieszana z goryczą. Podobnie wyglądał tamtego wieczoru w dokach, wielkie zielone oczy, potargane włosy czarne jak heban - i wyraz bólu w twarzy. Jak to możliwe, żeby jakkolwiek mężczyzna, będąc tak poturbowany, wyglądał tak cudownie?

- Ot, żartował sobie.

- Nie mówię o tym opierzonym szatanie.

Sheridan uświadomiła sobie nagle, że go dotyka. Zabrała ręce jak oparzona, ale Nicholas błyskawicznym ruchem chwycił ją za nadgarstki.

- Nie tak szybko. - Przyciągnął jej ręce i ponownie oparł je na swoim torsie. Nie puścił jej nadgarstków. - Nie odpowiedział na moje pytanie. Skąd ten pośpiech, by skłonić McDonougha do odejścia? Bałaś się, co mógłbym zrobić twojemu nowemu przyjacielowi? W tym stanie ducha, z moją skołataną głową?

Sheridan patrzyła w tę przystojną, zadowoloną z siebie twarz.

- A co niby mógłbyś łanowi zrobić? Jest od ciebie cięższy o czterdzieści funtów, jak nie więcej. W Szkocji nie było takiego mocarza, którego by nie rozłożył na łopatki, a to dużo znaczy, żebyś się nie łudził. Szkoci z gór znani są z wielkiej waleczności.

W oczach Nicholasa błysnął gniew. Inną kobietę może by to i powstrzymało. Ale nie Sheridan.

- Zatem znowu wracamy do punktu wyjścia, co? - spytał sucho.

- Do jakiego punktu wyjścia?

- No, do ciebie i twojego typowo kobiecego entuzjazmu wobec nagich torsów i muskularnych osiłeków... a może powinienem powiedzieć *awanturników*?

- Kobiecego entuzjazmu? Co ty pleciesz?

- Mdlejcie na widok chłopów, którzy rwą się do bitki.

- Ja, mdleję?! W życiu nie zemdlałam!

Puścił to mimo uszu.

- To widok krwi tak was ekscytuje? A może po prostu umysł i ambicja nic dla was nie znaczą?

Niecałą minutę wcześniej Sheridan niepokoiła się o niego, teraz z rozkoszą skrzyła mu kark.

- Jak śmiesz wmawiać mi takie koszałki-opałki! Wcale mnie nie znasz.

- Masz rację. Nie znam. Nie pozwolił mi się poznać. A ja myślałem, że jesteśmy... przyjaciółmi. - Nicholas ściągnął brwi.

- Jak tu się z tobą przyjaźnić? Ty gruboskórny, niewychowany... ooch! - Usiłowała wyrwać ręce, ale równie dobrze mogłyby tkwić w imadle. - Puszczaj!

- Nie.

Serce w niej zadrzało radośnie, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Wmawiała sobie, że to nieprawda, iż od początku szukała kontaktu fizycznego, czegoś więcej od uprzejmego uśmiechu i dżentelmenerii.

- Puszczaj, bo klnę się na wszystkie świętości, że ręce tęgo mnie świerzbią. I mam gdzieś, czy cię co boli, czy nie.

- A czy ty w ogóle wiesz, jak bardzo mnie boli? - spytał zupełnie innym tonem: teraz był to zmysłowy pomruk. Sheridan czuła się całkowicie zbita z tropu. Umiała sobie radzić z aroganckim Nicholase, ale przed czarującym Nichol-

sem po prostu nie potrafiła się bronić. - Czy cię to w ogóle obchodzi?

Na końcu języka miała związane „nie”, ale to słowo nie mogło jej przejść przez gardło.

- Akurat. Już widzę, jak cierpisz.

- Jeśli mnie ukłujesz, czyż nie krwawię?

- Ano. Jak gejzer. - Wessała policzki, żeby się nie rozśmiać na widok jego urażonej miny.

- Ach, tak? A twój drogi Ian? Wyobrażam sobie, że jest zbyt dobry, żeby krwawić.

Jego zrzędlawy ton jeszcze bardziej Sheridan rozczulił, chociaż nieustannie powtarzała sobie, by nie dopatrywać się w jego słowach więcej, niż istotnie w nich było.

- Skąd miałabym wiedzieć, czy krwawi, czy nie.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze mu nie przyłożyłaś? Ciośy rezerwujesz dla mnie? Czy powinienem poczytywać to sobie za zaszczyt?

- Nikt oprócz ciebie nie zasługuje na cięgi.

Nie odpowiedział. Spojrzał tylko na włosy Sheridan, muskające jego tors, i ujął palcami długi kosmyk. Czas zatrzymał się w miejscu. Sheridan zaczęła tak szybko oddychać, że koszula ciasno opięła się jej na piersiach.

Nicholas podniósł wzrok; ich spojrzenia się spotkały i tak już zostało. Pogładził się kosmykiem po policzku, potem musnął nim swoje usta.

- Masz piękne włosy - powiedział niewyraźnie. - Jak płynny ogień.

Sięgał ręką coraz wyżej, aż w końcu zatopił ją we włosach dziewczyny.

Sheridan zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego dłoni. Miał magiczny dotyk, pod którego wpływem umilkł cichy głos, który nakazywał jej się bronić.

Odchyliła głowę. Nicholas oparł rękę na jej karku i przyciągnął jej twarz do swojej.

- Nicholasiu - wyszeptała nieświadoma, że mówi na głos.

- Danny - odpowiedział szeptem, bawiąc się jej włosami i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Sheridan zrobiło się gorąco, usta jej drżały w oczekiwaniu na pocałunek.

Przerwało im znaczące chrząknięcie.

- Aa, Ho-Sing widzieć, że panienka i pan szef poznawać się coraz lepiej.

Nicholas zaklął szpetnie.

Sheridan pisnęła. Błyskawicznie otworzyła oczy i usiłowała wyplatać się z jego ramion. Nicholas wprawdzie ją puścił, lecz uczynił to niezwykle powoli, a w jego oczach błysnęła jakby cień żalu - nie wspominając o innych uczuciach bardziej cielesnej natury.

- Jeśli chcesz dożyć jutrzejszego poranka - warknął Nicholas, łypiąc na Ho-Singa spod oka - to trzymaj język za zębami.

- Och, ależ Ho-Sing musieć mówić. Pan szef musieć usłyszeć...

- Daruj sobie.

- Ale...

- Co ja powiedziałem?

Na ustach majordomusa zagościł podejrzany uśmieszek, który wydał się Sheridan co najmniej zastanawiający.

- Jak sobie pan szef życzyć. Tylko potem nie mówić, że Ho-Sing nie ostrzegać.

Sheridan zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tą enigmatyczną odpowiedzią, i zerknęła na Nicholasa, sprawdzając jego reakcję. Chwilę później tknęło ją nad wyraz nieprzyjemne podejrzenie i włosy się jej zjeżyły.

- Nicholasie? - zagruchał inny głos, piśszcoteliwie modułowany i czuły.

Nicholas dosłownie skamieniał.

- Jessica?

Sheridan wykręciła szyję. W drzwiach stała piękna, wysoka blondynka o nieskazitelnej fryzurze, jasnej cerze,

w zwiewnej jak pianka sukni podkreślającej smukłą kibić. Świetliste oczy kobiety miały niespotykany morski odcień. Kiedy jednak te oczy zwróciły się na Sheridan, niechęć zmieniła je w dwa okruchy lodu. Sheridan odpowiedziała na nieawistne spojrzenie gościa równie wrogim.

Zatem to właśnie była lady Jessica Reardon, kobieta, z którą widywano Nicholasa prawie każdego wieczoru. Sheridan wołała już myśleć, że wybranka Nicholasa jest gruba i ma kurzajki na nosie. Niestety, snucie marzeń nie czyni z nich prawdy.

Nicholas puścił nadgarstki Sheridan i poderwał się do pozycji siedzącej. Sheridan z najwyższym trudem oparła się pokusie, by na nim usiąść.

- Co tu robisz? - spytał Jessicę, już nie szorstko, a ugrzecznionym, przymilnym tonem, za co Sheridan najchętniej wynagrodziłaby go policzkiem.

- Raczej co wy tu robicie? - zainteresowała się dama z widocznym rozdrażnieniem.

Nicholas zerwał się na równe nogi. Sheridan spiorunowała go wzrokiem - czy też, ściślej biorąc, spiorunowała wzrokiem jego podbródek, czekając, by Nicholas pomógł jej wstać. Nie zrobił tego. Zupełnie o niej zapomniał - kuriozalna sytuacja w przypadku dziewczyny, której wybryki ściągały na nią notorycznie powszechną uwagę. Cóż, sama naprawiła to nieumyślne przeoczenie.

Zamaszyście uderzyła Nicholasa w stopę.

- Boże... - wymamrotała; reszta słów była tak zdławiona, że niezrozumiała. Najwyraźniej starał się panować nad sobą przez wzgląd na gościa. Cóż, dobre i to, że zwróciła na siebie jego uwagę.

Sheridan uśmiechnęła się promiennie.

- Nic ci się nie stało? - spytała słodko, wiedząc, że jej oczy mówią: „Obyś spuchł!”. - Ani chybi ręka mi się omsknęła, kiedy próbowałam wstać... bez niczyjej pomocy.

Podał jej rękę; wyraz jego twarzy zapowiadał srogą zemstę

w wypadku, gdyby Sheridan nie zarzuciła podobnych figli. Podnosząc się, „przypadkiem” otarła się o niego. Skarcił ją wzrokiem.

- Dziękuję - wymamrotała; miała ochotę pokazać mu język.

- Cóż, Nicholasie? - spytała majestatycznie lady Jessica, ponownie skupiając na sobie jego uwagę, co jeszcze bardziej Sheridan rozeźliło. - Co się tu dzieje?

- Nic, nic. - Nicholas uśmiechnął się do Jessiki; nie był to grzecznościowy uśmiezek, jaki od miesiący rezerwował dla Sheridan, ale uśmiech czarujący, iście diabelski, który wywoływał na jego twarzy dołeczki i na którego widok miękła jak wosk. A kiedy zerknęła z ukosa na lady Jessicę, przekonała się, że zawarte w nim czary zaczynały działać na swój zwykły sposób.

- Przewróciłem się i okropnie potłukłem - wyjaśnił rzeczowo, po czym nieco zdławionym tonem dodał: - Panna Delaney przyszła mi z pomocą.

- Jakże fortunnie - odpowiedziała cierpko piękna blondynka, taksując Sheridan spojrzeniem. - Delaney. Czy to aby nie irlandzkie nazwisko?

Sheridan czuła dziwną pewność, że się z nią nie polubią. Czujna, uniosła twarz.

- Ano. Irlandzkie.

- Hmm. - Kobieta rzuciła jej ostatnie nieprzychylnie spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Nicholasa. Sheridan parzyła oniemiała, jak miękną jej rysy, duże morskie oczy nabierają tęsknego, niewinnego wyrazu, kształtne usta zaczynają drżeć. - Chyba wybrałam nieodpowiednią chwilę na wizytę. - Delikatnie pociągnęła nosem. - Chciałam ci tylko przynieść kwiaty z mojego ogrodu.

Kwiaty, parsknęła Sheridan w duchu. Na co mężczyźnie kwiaty?

- Uwielbiam kwiaty - zapewnił szybko Nicholas. Sheridan nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę? - spytała lady Jessica piskliwie.

- Naprawdę.

- No cóż, skoro tak... - Kobieta odsunęła się. Dopiero wtedy Sheridan dostrzegła, że za lady Jessicą stoi jeszcze jedna osoba.

Jej twarz była całkowicie ukryta za gigantycznym bukietem; kwiaty były piękne, o niezwykle żywych barwach, i ułożone w doskonałą kompozycję, z całą pewnością nie śnieżnobiałymi dłońmi lady Jessiki.

Nicholas wyminął Sheridan i podszedł do Jessiki.

- Są śliczne. - Złożył czuły pocałunek na jej dłoni.

Sheridan poczuła ukłucie dziwnego, nad wyraz nieprzyjemnego uczucia. Ręce ją świerbiły, by nasadzić bukiet Nicholasowi na tę jego tępą głowę, a następnie, jeden po drugim, wyrwać lady Czy-To-Aby-Nie-Irlandzkie-Nazwisko wszystkie blond kłaki.

Jessica skromnie nakryła oczy rzesami, demonstrując przy okazji, jaki są długie i gęste, zanim spojrzała na Nicholasa z niewinną miną.

- Ułożyłam ten bukiet specjalnie dla ciebie. - Nieznacznie ściszoną głosem dodała: - W podzięcie za kolejny cudowny wieczór.

Jessica pstryknęła palcami. Postać czająca się dotąd za jej plecami niepewnie weszła do środka i wręczyła Nicholasowi kwiaty, który przyjął je z miną, jakby pod jego pieczę składano właśnie brytyjskie klejnoty koronne.

- Mam nadzieję, że ci się podobają - gruchała Jessica.

- Jakżeby inaczej. Postawię je na okrągłym stoliku w holu, żeby wszyscy mogli je podziwiać.

Rozsądek podpowiadał Sheridan, żeby dała sobie spokój, ale przez całe swoje osiemnastoletnie życie ani razu nie posłuchała podobnych podszeptów.

Podeszła do Nicholasa, stanęła obok niego i wskazała biały kielichowaty kwiat.

- Jaką nosi nazwę?

Jessica łąpnęła na nią spod oka, uważając jednak, by Nicholas niczego nie zauważył.

- Ten? Przecież to... to...
- Toć to lilija, milady - odezwała się milcząca dotychczas postać z akcentem, który Sheridan natychmiast rozpoznała. Usta Jessiki rozciągnęły się w wyniosłym uśmiechu.

- Ach, tak, lilia. Miałam to na końcu języka.

Sheridan jednak nie zwracała już na nią uwagi, zajęta młodą dziewczyną o puciołowatych, rumianych policzkach, która przekrzywiła głowę, mrugnęła do niej i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Już mi nie jesteś potrzebna, Maggie. - Jessica zbyła służącą machnięciem ręki, nie zaszczycając jej spojrzeniem. - Czekaj na mnie w powozie.

Maggie dygnęła.

- Tak, psze pani.

- Ho-Sing - odezwał się Nicholas - czy mógłbyś odprowadzić służącą lady Jessiki?

Ho-Sing ukłonił się sztywno; Sheridan szczerze wątpiła, czy często chylił przed kimkolwiek grzbietu.

- Natychmiast, pan szef.

Maggie raz jeszcze posłała Sheridan ukradkowy uśmiech, po czym znikła za drzwiami.

Prześłodzony szczebiot Jessiki ponownie ściągnął na nią uwagę Sheridan. Piękną twarz o kształcie kamei szpecił wyraz niesmaku.

- Doprawdy nie wiem, jak możesz znieść obecność tylu cudzoziemców w swoim domu, Nicholasie. - Rzuciła spojrzenie w kierunku Sheridan, najwyraźniej dla zaznaczenia, iż zalicza ją do tej kategorii. - Na twoim miejscu bałabym się, że ktoś mi poderżnie gardło w moim własnym łóżku.

Sheridan czekała, żeby Nicholas powiedział cokolwiek w obronie Ho-Singa - głośno, gniewnym tonem, jeśli dopisze szczęście. On jednak stwierdził tylko:

- To ostatnie z moich zmartwień. Ho-Sing jest niezwykle kompetentny. Nie wiem, jakbym sobie bez niego poradził.

Jessica wykonała dziwny gest rękoma, zupełnie jakby

chciała wyjąć białe rękawiczki, którymi bawiła się w rozrządzeniu. Najwyraźniej nie była zachwycona faktem, że jej wskazówki są bagatelizowane, a nie wcielane w życie z całym należnym pietyzmem.

- Doprawdy osobliwe indywidua pałętają się pod twoim dachem...

- Tak się akurat składa, że lubię osobliwe indywidua.

Chociaż Nicholas nie patrzył na Sheridan, dziewczyna czuła, że ta uwaga skierowana jest pod jej adresem.

- Wiesz, co powiedział twój zramolały kamerdyner, kiedy poprosiłam, żeby wzięął ode mnie narzutkę i przewiesił sobie przez rękę?

- Nie, a co powiedział? - W głosie Nicholasa słychać było nutę rozbawienia.

- Powiedział, że jest za wcześnie na jego drzemkę.

Nicholas parsknął śmiechem, a lady Jessica wyraźnie się naburmuszyła.

- Nie ma się z czego śmiać. Mój ojciec nigdy nie zatrudniłby takiego nedorajdy.

- Nie jestem twoim ojcem. - Uśmiech Nicholasa zniknął bez śladu.

Sheridan zorientowała się, że do Jessiki zaczynało docierać, że dotychczasową taktyką niczego nie wskóra i że najwyższy czas ją zmienić.

Pochyliła się, zapewne z zamiarem olśnienia Nicholasa swoim dekoltem, lecz przeszkadzał jej ostentacyjnie wielki bukiet, przybrany dodatkowo liśćmi paproci. Jego potężne gabaryty, ku jej coraz większej irytacji, uniemożliwiały przysunięcie się do epuzera. Sheridan ukryła złośliwy uśmiech.

- Przepraszam cię, kochanie - zamruczała lady Jessica. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ale tak się o ciebie martwię. Ci ludzie nie są tacy, jak my.

Ci ludzie nie są tacy, jak my.

Te słowa raz po raz rozbrzmiewały Sheridan w uszach, sącząc jad, na którego działanie miała się za uodpornioną.

Może to świadomość, iż Jessica się nie myli, czyniła je jeszcze bardziej przykrymi. Sheridan nie pochodziła ze świata, do którego należał Nicholas.

Co innego Jessica.

Anglicy i Irlandczycy. Wrogowie od niemal ośmiuset lat Sheridan aż nazbyt często słyszała to zdanie z ust matki.

Chociaż wątpiła, czy kiedykolwiek nadejdzie taki czas, kiedy Nicholas stanie się dla niej wrogiem. Mimo to przyszło jej do głowy - jak nie raz i nie dwa od owej pamiętnej nocy w dokach — że propozycja Nicholasa, by zostali przyjaciółmi, mogła wynikać nie tyle z obawy o reakcję Jules, co z faktu, że Sheridan była tym, kim była.

- Cóż - westchnęła Jessica. - Muszę się zbierać, kochanie, ale będę czekała wieczorem.

Sheridan zdławiła wstyd, który podpowiadał, by uciekła stąd jak najszybciej i ukryła się w ciemnym kącie. Nigdy nie ustępowała z placu boju. Nie zamierzała rejterować i tym razem.

Oglądając kwiaty, uśmiechnęła się do rywalki.

- O, a co ciekawego będzie dziś wieczorem?

Jessica odwróciła się w jej stronę; morskie oczy przypominały w tej chwili dwa szytety.

- To wszystko. Dziękujemy.

- Za co?

- Za twoje wyjście. - Patrząc znów na Nicholasa, Jessica wydeła wargi. - Twoja służba zawsze jest taka harda?

Miarka się przebrała! Sheridan nie zamierzała wysłuchiwać bredzenia Panny-Co-To-Zjadła-Wszystkie-Rozumy. W Irlandii widywała takich na pęczki, córki bogatych obszarników, które z braku lepszych zajęć całymi dniami galopowały po ziemiach, na których harowali irlandzcy parobcy ich ojców.

Ale to nie była Irlandia.

A Sheridan Delaney nie była niczyją służącą.

Nicholas zręcznie zastąpił jej drogę, ledwie ruszyła w kierunku lady Jessiki.

- Panna Delaney jest przyjaciółką mojej kuzynki.

- Jules? - Ton Jessiki sugerował, że nie jest zdziwiona faktem, iż właśnie Jules przyjaźni się z kimś pokroju Sheridan. Opanowała się szybko i posłała Nicholasowi sarnie spojrzenie. - Wiem, że moja wizyta jest niestosowna, ale chciałam z tobą zamienić słowo... w cztery oczy.

Jej prośba, jak zauważyła Sheridan, najwyraźniej Nicholasowi zaskoczyła. Zawahał się, po czym odwrócił się na chwilę i wcisnął Sheridan bukiet w rękę.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym poprosił cię, żebyś włożyła je do wody, Danny? Poszukasz jakiegoś wazonu?

Czy miałabyś coś przeciwko temu? A czy on miałby coś przeciwko chodzeniu z przetrąconym kulasem?

Z przyklejonym uśmiechem odpowiedziała:

- Niby czemu? Dla takich ślicznych kwiatów... bo są śliczne, prawda?

I świetnie wiedziała, gdzie ślicznie by wyglądały.

Tanecznym krokiem minęła milczącą parę, tuląc do piersi nienawistny wiecheć.

Zza drzwi nasłuchiwała przez chwilę odgłosów cichej rozmowy, ale zdołała wychwycić zaledwie kilka słów. Kiedy usłyszała, jak „jaśnie pani” zaśmiewa się z czegoś, co powiedział Nicholas, krew uderzyła jej do głowy.

Z zaciśniętymi zębami pobiegła do kuchni, nalała wody do śliczniutkiego wazonu na śliczniutkie kwiaty i, noga za nogą, wróciła do holu. Zerknęła na centralnie ustawiony okrągły stolik z mahoni, potem na słodko pachnące kwiaty.

Rozległ się czyjś perlisty śmiech.

Sheridan, trzymając wazon w sztywno wyprostowanych rękach, uśmiechnęła się i przypomniała sobie kolejną cechę klanu Delaneyów.

Oko za oko.

Wazon roztrzaskał się o podłogę.

Ten, co się lęka ryzyko, nie pozna smaku zwycięstwa.

Nicholasowi przypomniały się te słowa, gdy następnego ranka stał, zapatrzony bezmyślnie w okno.

Dlaczego przyszedł mu do głowy akurat słowa Johna Paula Jonesa*, ojca amerykańskiej floty?

Odpowiedź przybrała postać przywołanego z pamięci obrazu irlandzkiej piekielnicy stojącej obok roztrzaskanego wazonu, pośród porzucanych lilii i innych kwiatów, w kałużę wody tworzącej małą rzeczkę na świeżo wypastowanym parkiecie.

W wyrazie jej twarzy nie dopatrzył się skruchy: przyglądała mu się z lekkim uśmiechem.

Rzucała mu wyzwanie. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: *Jeszcze nie stanąłem do walki.*

Kolejny słynny cytat**.

Nicholas czuł się odrętwiały. Przegarnął palcami włosy, dziwiąc się, że jeszcze mu coś na głowie pozostało. Co za pomysł, żeby dawać Sheridan do rąk bukiet od Jessiki? Na-

*John Paul Jones (1747-1792), właściwe nazwisko John Paul, znany był nie tylko z racji zasług dla amerykańskiej marynarki, ale też gwałtownego charakteru. Kiedy zmarł wychłostany z jego rozkazu cieśla Mungo Maxwell, wytoczono mu proces o zabójstwo. Jones został jednak uniewinniony.

**Słowa przypisywane Johnowi Paulowi Johnowski, kiedy, korzystając z chwilowej przewagi, kapitan brytyjskiego statku „Serapis” spytał Johna Paula Jonesa, czy jest gotów się poddać.

prawdę sobie wmawiał, że trafi na swoje miejsce bez żadnych perturbacji, spowodowanych z rozmysłem czy też nie?

Pokręcił głową. Mieszkanie pod jednym dachem z Sheridan przypominało chodzenie w butach, z których jeden ma podeszwę uwalaną smarem. Człowiek nie wiedział, w której chwili się poślizgnie.

Wyczuwał napięcie między Sheridan a Jessicą; były jak dwie dzikie kotki, syczące, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie z pazurami. Gdyby jednak Nicholas potrafił zdobyć się na szczerość, musiałby przyznać, że cieszy go sposobność do wywołania w Sheridan gwałtownej reakcji, obojętnie jakiej. Ta dziewczyna była jak żywiół. *Pełna pasji*. I czy ta pasja uzewnętrzniała się jako gniew, czy jako pożądanie, i tak było na co. popatrzeć.

Być może - gdyby chciał pójść z tą szczerością odrobinę dalej - przyznałby nawet, że przemknęło mu przez głowę, jaki los może spotkać bukiet od Jessiki. Kiedy zobaczył, jak wielkich Sheridan dokonała zniszczeń, przywołał na twarz rozgniewaną minę, w duchu jednak piał z radości.

Chociaż nie piał długo. Wszyscy domownicy ściągnęli na dół, by podziwiać farsę, w którą przerodziła się tyrada Jessiki i wysiłki Nicholasa, by jakoś ją udobruchać.

Ledwie zaczęła się uspokajać, drogi, skretyniały wuj Finny wychynął Bóg jeden wie z jakiej dziury i uszczyptał ją w pośladek.

Nicholas oparł się pokusie, by zgnieść go na miazgę i z jego szczątków spróbować sklecić istotę ludzką. Jeszcze lepiej: położyć kres temu obłędowi, dobrowolnie dać się zamknąć w „Czarnej Dziurze”* w Kalkucie, po czym na wszelki wypadek dodatkowo zaryglować ją od środka na cztery spusty. Problem rozwiązany.

* „Czarna Dziura” - tu: małe pomieszczenie w lochach Fortu William w Kalkucie, przeznaczone dla 2-3 więźniów, w którym w 1756r. zamknięto na noc cały brytyjski garnizon. Ze 146 żołnierzy jedynie 23 trzech pozostało przy życiu.

Niedoszła narzeczona wypadła z domu, wrzeszcząc, jakby goniło ją stado piekielnych ogarów, a naoczni świadkowie całego zajścia dosłownie padli kolana wyczerpani napadem huraganowego śmiechu.

Zanim Nicholas zdążył zainteresować się przyczyną swoich kłopotów - w osobie drobniutkiej dziewczyny z talentem do siania wielkich zniszczeń - Jules porwała ją do siebie i obie zaszyły się w jej sypialni.

Rzecz jasna, na tym jego męka się nie skończyła. Wizja bardziej niż zwykle udanego wieczoru w towarzystwie Jesiki - czego w naiwności ducha się Nicholas spodziewał - zmieniła się w niezły koszmar.

Okazało się, że jego wybranka obdarzona była iście piekielnym usposobieniem, a tego zupełnie się nie spodziewał. Dotychczas wierzył święcie, że ma w sobie coś eterycznego, swoisty niewzruszony spokój ducha.

Bynajmniej. Wykrzesła z siebie tyle złości, że mogłaby iść w zawody z największymi pieniaczami pod słońcem. Napad furii, jakiego był świadkiem, dał Nicholasowi do myślenia. Zaczęło mu świtać w głowie, jak wielu rzeczy o niej jeszcze nie wiedział.

Ciszę przerwało krótkie, energiczne stukanie do drzwi. Nicholas drgnął nerwowo i z rozpaczą zabębnił czołem o szybę.

- Psiakrew - warknął. - Armagedon już się rozpoczął. - Potarł czoło i skrzywił się. - Nigdy bym nie pomyślał, że kostucha zaanonsuje swoje przybycie pukaniem...

Boże drogi, w takim stopniu przyzwyczyił się do domowego piekiełka, że teraz spodziewał się niemal, że przez drzwi wleci do środka jakiś skrzydlaty dziwoląg rodem z bajki, chociażby jeden z elfów, od których, jak zaklinał się wuj Sheridan, wywodziła się ich rodzina.

Jednak intruz, który śmiał zakłócać jego spokój, nie wybił się na księżyc w trzepocie cienkich jak pajęczyna skrzydeł

Z pełnym rezygnacji westchnieniem Nicholas rzucił przez ramię:

- Wejść.

- Już wszedłem.

Nicholas odwrócił się zamasyżycie i ujrzał Damiena, w niedbałej pozie opartego o framugę. Brat sprawiał wrażenie rozbawionego i w każdym calu pogodzonego ze światem, choć przecież dobrowolnie przykuł się na całe życie do obłądu zwanego kobietą.

Damien uniósł pytająco brew, przyglądając się wymęczonej fizys Nicholasa.

- Ciężka noc, braciszku?

- Nie pytaj - mruknął Nicholas, dumając, gdzie zapodziało się jego poczucie humoru.

Damien zarechotał rubasznie.

- Aż tak dobrze?

- Nie chcesz wiedzieć.

Ledwie Nicholas stwierdził, że bolesne pulsowanie w skroniach zaczyna ustępować, budynkiem wstrząsnął przeraźliwy krzyk, przypominający przenikliwą skargę organowych piszczałek miażdżonych pod kołami powozu, i tak donośny, że zaklekotały wszystkie obrazy na ścianach.

Damien ostrożnie wyrzął na korytarz.

- Ktoś się wije na podłodze jak węgorz, bracie. Lepiej idź szybko. W końcu to twój dom.

Skąd ta naiwna wiara, medytował Nicholas, choćby i przelotna, że dzisiejszy dzień może w czymkolwiek przypominać beztroskie dni dzieciństwa. Miał uczucie, że coś staje mu kołkiem w gardle, a to zwykle nie przydarzało mu się przed śniadaniem. Pobił rekord wszech czasów.

Szybko wyminął brata, którego rozradowana mina dodatkowo grała mu na nerwach, i wyszedł na korytarz, żeby sprawdzić, jaką to nową torturę szykowali na niego domownicy, choć domyślał się, w jakim celu: był to spisek, by i jego doprowadzić do szaleństwa.

- Oj, Bozicku, to już koniec - jęczała ciotka Aggie, leżąc placikiem na podłodze z ręką zaciśniętą na metalowym krzyżyku. -

Robi mi się ciemno przed oczami. Świat odpływa. Jest moja siostra, Minnie, czeka na mnie u perłowych wrót. - Zmarszczyła czoło. - Wygląda na grubszą, niż ją zapamiętałam.

Nicholas rozważył możliwość robienia nacięć na kawałku drewna za każdym razem, kiedy ciotka Sheridan omdlewała, nie mogła złapać tchu, dyszała, widziała białe światło i, jak twierdziła, rozmawiała z każdym krewniakiem, któremu zeszło się z tego świata - los, który w chwili obecnej wydawał się Nicholasowi godny pozazdroszczenia. Aggie nie zamierzała jednak opuszczać tego łez padołu w całkowitej ciszy.

Aggie najwyraźniej go zauważyła.

- Och, mój ty siłaczu, pójdz dotrzymać mi towarzystwa w mojej ostatniej godzinie. - Nicholas westchnął i podszedł do niej, zastanawiając się, dlaczego śmierć zrobiła sobie urlop i osiedliła się pod jego dachem. - Nie ty, chłopcze. - Zakrzywionym palcem wskazała Damiena i pokiwała z werwą. - Chcem *ciebie*.

Brwi Damiena uniosły się; wskazał na własną pierś.

- Mnie...?

Był to pierwszy przypadek, jak Nicholas sięgał pamięcią, kiedy brat wyglądał, jakby obleciał go strach. Nicholas znał to uczucie.

- Wydaje się, że twoja obecność spowodowała dzisiejszy „atak agonii” u ciotki Aggie - oznajmił Nicholas, odzyskując humor. - Wczoraj zawinił mleczarz. Przedwczoraj jakiś młokos, który zapukał do niewłaściwych drzwi. - Nicholas pokręcił głową. - Biedny smarkacz, już nigdy nie będzie taki, jak kiedyś. - Poklepał Damiena po plecach. - No, głowa do góry, bracie. Chrzest bojowy przechodzi się tylko raz, a dzisiaj padło na ciebie, ty farciarzu.

- Chodźże, chodźże, mój umięśniony maruderze. - Palec Aggie wił się niczym tłuściutki robak, od zbyt dawna buszujący w sadzie.

- Słyszałeś damę, bracie. Ona chce tylko ciebie. Ten jeden jedyny raz nie będę nalegał, żebyśmy rzucali o dzierlatkę monetą. Jest cała twoja.

- Wiedziałem, że trzeba było nie ruszać się rano z łóżka - wymamrotał Damien pod nosem.

- I pozwolić, żebym sam się tak świetnie bawił? Wstrętna myśl! Bądź co bądź jesteśmy rodziną. - Nicholas mrugnął do brata. - Wszystkim się trzeba dzielić.

Damien posłał mu mordercze spojrzenie.

- Jeśli nie zauważyłeś, ja wcale się nie śmieję.

- Zauważyłem. Ja natomiast pękam ze śmiechu. Powiedziałbym wręcz, że to piekielnie śmieszne.

- Zaśmiej się na głos, to mój kułak da ci bilet w jedną stronę w tamtejsze rejony. - Z ponurą miną Damien spytał cicho: - Czego ona ode mnie chce?

- Zgaduję, że odrobinę ożywczej gimnastyki? Nie masz nic przeciwko spełnieniu jej prośby, prawda? Może uda mi się uniknąć konieczności ściągania tu po raz kolejny ojca Sheehana. Cholerny klecha, nigdy nie omieszka wprosić się na kolację, a zawsze podbiera mi najlepsze kaski sprzed nosa. A ja myślałem, że obżarstwo jest grzechem.

Kolejne „śmiertelne” westchnienie przeszło powietrze.

- Szybko, chłopcykowie. Pora mi żegnać się z tym światem.

Damien kiwnął kciukiem w kierunku swoich pleców.

- Co by się stało, gdybyśmy dali drapaka?

- To tylko przedłuży agonię. - Nicholas wykonał zamaszty gest. - Za tobą, Makduffie.

Obaj podeszli ostrożnie do Aggie, po czym przyklękli u jej boków. Kobieta ujęła każdego z nich za rękę dłonią silną jak u kowala.

- Dobrzy z was chłopcy, że zajmujecie się mną w mojej czarnej godzinie.

Przyczłapał do nich bardziej niż zwykle przygarbiony Emery.

- Czy mam posłać po ojca Sheehana? - zagrzemiał, aż zapadła się jego wątpa pierś.

Nicholas westchnął i kiwnął głową.

- Tak. I powiedz mu, żeby się cholernie spieszył. Aggie ma poważny atak.

- Mam mu dać kopniaka? Tak, jasnie panie. - Emery od-
dalił się powoli.

Damien pokręcił głową.

- Jules mi mówiła, że ciekawe rzeczy dzieją się u was, od
kiedy zawitała tu Sheridan Delaney z rodziną.

Nicholas parsknął.

- Widzę, że znasz tylko ocenzone wersję wydarzeń.
A teraz pozwól, że dopowiem ci resztę. Moje słodkie sny zasta-
pił koszmar z irlandzkim akcentem. - Zawiesił teatralnie głos.
- Nie ma beczących owieczek przeskakujących przez płot, kie-
dy przemykam wieczorem znużone powieki. Nie ma białych
pierzastych chmurkach płynących po lazurowym niebie. Nie ma
sięgających po horyzont łagodnych wzgórz porośniętych wysoką
trawą, kołyszącą się sennie na wietrze. Nie ma promyka nadziei.

Damien zachichotał.

- Nawet cyncatej barmanki o imieniu Belinda, gotowej
usiąść ci na kolanach, bracie?

- Nie, po dwakroć nie, mój bracie. Widuję raczej księży,
skrzaty, Henryka VIII jedzącego udko kurczaka, Ryszarda
Lwie Serce i Rycerzy Okrągłego Stołu - a wszystko komple-
tnie bez ładu i składu - jakieś karły żonglujące owocami oraz -
Nicholas nieznacznie ściągnął brwi - jedną śliczną koniczynkę.

- To bije wszystkie moje sny, i to lekką ręką.

A propos rąk, Nicholas usiłował ukradkiem wydobyć
swoją z mocarnego chwytu ciotki Aggie. Skończyło się to na
tym, że tylko przytrzymała go mocniej.

Krzywiąc się z bólu, spytał:

- A zatem, co cię do mnie sprowadza? Przyznam, że je-
stem zdziwiony, że gdziekolwiek się ruszyłeś bez swojej żo-
ny. Stanowicie książkowy przypadek stadła opartego na wza-
jemnej żądzy.

- Żony! - jęknęła Aggie i przyciągnęła ich bliżej.

Ignorując ból promieniujący do ramienia, Nicholas dodał:

- Myślałem, że jeszcze się sobą nie nacieszyliście i nadal
oddajecie się ślubnemu szczęściu.

Damien odsunął twarz od Aggie, która piała z zachwytem nad urodą jego bladoniebieskich oczu, i skrzywiony łypnął na Nicholasa.

- Wierz mi, twoja paskudna gęba to ostatnia rzecz, jaką chciałem dziś oglądać.

- Jeśli nie podoba ci się moja gęba, szkoda, że nie czytasz w tej chwili w moich myślach. Dopiero byś znalazł coś paskudnego. - Nicholas wydał długie, bolesliwe westchnienie.

- Wnioskuje błyskotliwie, że nie przyszedłeś tu po to, żeby obrzucać się ze mną obelgami, więc zdradź mi, jeśli łaska, co odrywa cię od domowych pieleszy?

- Wpadłem po akt cesji, który podesłałem ci przez radcę prawnego w ubiegłym miesiącu. Można by sądzić, że pospieszysz się z odesłaniem tych papierów w guście dobrej woli, być może nawet z krótkim dopiskiem typu: „Dziękuję ci za twój hojny dar, drogi bracie, a teraz wyciągnij kopyta”. No, czymś w tym guście.

Nicholas zmarszczył czoło.

- Akt cesji? Papiery?

Damien odpowiedział identyczną miną.

- Owszem. A co, niczego nie dostałeś?

Nicholasowi przypomniał się dokument nadpalony w kominku, podeptany jego własnymi butami i poszarpany pazurami przez pewnego upierzonego potworka.

Gdzieś między zalotami do lady Jessiki i cyrkiem, w jaki zmieniło się jego życie, dokumenty poszły w odstawkę - i zapomnienie, razem z resztą korespondencji.

Posłał bratu niemądry uśmiech.

- Jeszcze ich nie przeczytałem.

- Jeszcze nie przeczytałeś? Cóż, to się nazywa wdzięczność.

- Ano, źle żeś postąpił, mój chłopcze, skoroś brata nie uszanował - uznała za stosowne wtrącić Aggie między dwiema seriami tragicznych jęków.

- Oddajesz mi jedną ze swoich posiadłości? - spytał Nicholas.

Damien kiwnął głową.

- W prezencie?

- Odnoszę wrażenie, że to także już wyjaśniałem. Orientujesz się chyba, co to takiego prezent, prawda? To coś, co przekazujemy komuś innemu z własnej woli i bez...

- Ha, ha. Interesuje mnie raczej, dlaczego.

- Dlaczego? - Damien pogroził mu pięścią. - Wiesz chyba, co się dzieje, kiedy jedno ciało z dużą siłą uderza w inne nieruchome ciało, prawda? Coś się przemieszcza. W tym przypadku będzie to twoja szczeka.

- Wiesz, o co mi chodziło, do diabła. Jesteś hrabim Blackstone. Te ziemie należą do ciebie.

- I jako taki, mogę nimi dysponować wedle mojego widzimisię. A mam widzimisię podarować jedną posiadłość tobie, a jedną Grayowi, oczywista.

Szczodrość Damiena wydała się Nicholasowi przytłaczająca.

- Ale dlaczego? - dopytywał się.

- Bo tak mi się podoba, do stu diabłów, oto dlaczego! I jeśli zapytasz mnie o to jeszcze raz, skutek nie przypadnie ci do gustu.

Nicholas uśmiechnął się i uniosł rękę na znak kapitulacji.

- Mądrej głowie dość dwie słowie.

- Kto nie trzyma języka za zębami, temu język łącno może obciąć głowę - odparował Damien.

- Umiem rozpoznać groźbę. Nie musisz się powtarzać. - Spowaźniał i powiedział po prostu: - Dziękuję ci.

- Nie ma za co - rzucił Damien zrzędliwym tonem.

- Och, jakież to było pikne! - załkała Aggie, wypuszczając ich ręce po to tylko, żeby złapać obu za szyję i przygarnąć ich do siebie, aż rozpłaszczyli się policzkami na jej obfitej piersi.

- Ojciec Sheehan właśnie przybył, jaśnie panie! - zaryczał znienacka Emery.

Bóg istnieje. Amen!

Nicholas wyplątał się z zapaśniczego chwytu Aggie. Brat, co stwierdził nie bez rozbawienia, miał przed sobą trudniejsze zadanie.

Dopiero kiedy Damien zgodził się pocałować Aggie w policzek, puściła go, aczkolwiek niechętnie. Odskoczył od niej jak oparzony i zachwiał się na nogach. Następnie zaś Damien Sinclair, którego wielu się obawiało, kawał chłopa przy wadze stu dwudziestu pięciu funtów i wzroście sześciu stóp i czterech cali, stwierdzonym podczas ostatniego pomiaru, dał drapaka, szorując plecami o ścianę. Dość haniebny rodzaj ucieczki jak na hrabiego, nie wspominając o tym, że szalenie zabawny. Nicholas jednak, jako świeżo upieczony właściciel scedowanych przez Damiena dóbr, i to bez żadnej opłaty, postanowił zachować swoje spostrzeżenia dla siebie.

Wstał i wyciągnął do Damiena rękę.

- Może udamy się do mojego gabinetu i dokładniej omówimy tę sprawę?

- Czy w twoim gabinecie nadal jest dobrze wyposażony barek z alkoholem?

- A jakże. Pełen nektaru bogów.

Damien podał mu rękę tak energicznie, że aż klasnęło, i skoczył na równe nogi.

- W takim razie na co jeszcze, u diabła, czekamy? W tej chwili sprzedałbym cię za szklaneczkę czegoś mocniejszego.

Nicholas zarechotał.

- W końcu dowiedziałem się, jak wiele dla ciebie znaczę.

- Czy wolno mi spytać, dlaczego to robisz?

Sheridan przerwała krytyczną ocenę swego dzieła, żeby podnieść wzrok na Jules; przyjaciółka siedziała spokojnie na szkaradnej kamiennej ławce, której nogi przypominały nogi słoniowe. Ów koszmarek wiele mówił o guście pewnego mężczyzny o zielonych oczach, włosach jak węgle, ponętym dołeczku w brodzie i...

Dosyć tego, Sheridan Delaney! To potwór, nie człowiek.

Miał czelność oskarżać ją o rozmyślne upuszczenie bukietu od Panny-Co-To-Nie-Ja na podłogę.

Oczywiście, że Sheridan zrobiła to naumyślnie. Ale jak on śmiał ją o to podejrzewać!

- Hej - odezwała się Jules.

- Co?

- Czy ja cię nudzę?

- No co ty opowiadasz! Boże, czasem jesteś taka niemądra. Nudzisz mnie, tyż coś.

Jules często przeproszała za to, że w swoim stanie nie może robić wszystkiego, na co jej przyjdzie ochota. Toteż przyjaciółki spędzały dużo czasu na snuciu wspomnień i chichotaniu jak dwie uczennice.

- Czy ja wiem, wydajesz się błędzić gdzieś myślami. Prawdę mówiąc, zachowujesz się jakoś dziwnie od samego przyjazdu. Jakbyś nie była sobą.

- Boże, skąd taka myśl? Jakbym nie była sobą. Jestem „bardziej sobą” niż kiedykolwiek i prosiłabym, co byś to sobie wbiła do głowy.

- Skoro tak mówisz...

- Tak mówię.

- No dobrze.

- No dobrze.

Sheridan zmrużyła oczy i przyjrzała się twarzy przyjaciółki. Zastanowił ją nieznacznym uśmiechem, jaki błąkał się na ustach Jules. Te niewinne oczy podejrzanie się błyszczały.

Dlaczego Jules tak łatwo skapitulowała? Kiedy usiłowała wyciągnąć jakiś sekret, zabierała się do tego z większym uporem niż niedźwiedź usiłujący wyciągnąć cierń z łapy.

Spojrzenie Sheridan powędrowało ku kolanom Jules, na których leżał koc mieniący się pastelowym różem, odcieniami błękitu i żółcieniami. Jeszcze nie był skończony. Jules pracowała nad nim od tygodnia. Poprzedni tydzień robiła na drutach rękawiczki dla Sheridan i nieco powyciągany sweter dla męża, choć był środek lata. Rosła sterta malut-

kich buczków, jakby Jules spodziewała się ośmioraczków.

Sheridan przypomniała sobie dzień, kiedy zastała przyjaciółkę szlochającą nad własnoręcznie wykonanym męzowskim swetrem o jednym dłuższym rękawie. Kiedy Sheridan zażądała, żeby Jules powiedziała jej, co ją tak zdenerwowało, przyjaciółka wyznała, że mąż ją kocha.

Sheridan zmarszczyła czoło. Nie pojmowała, jak mogło to doprowadzić Jules do płaczu. Wydawało się jej, że „kocham cię” z ust mężczyzny to najcudowniejsza rzecz pod słońcem. Zastanawiała się tylko, czy sama kiedyś także usłyszy to najpiękniejsze z wyznań, skierowane pod własnym adresem.

Jules wyjaśniła, że ciąża rozchwieła ją emocjonalnie; śmiała się, kiedy bardziej na miejscu byłoby łzy, i płakała; kiedy naturalną reakcją byłoby śmiech.

Sheridan mogła to zrozumieć. W niej samej emocje szalały, od kiedy przestąpiła próg domu Nicholasasa. Ich kontaktem towarzyszyło tak silne napięcie, że kilka razy zrobiło się jej dosłownie niedobrze - a była przecież mocna jak brzoza.

Minęło kilka chwil odmierzanych jedynie cichym stukotem drutów Jules i szczękiem ogrodniczych nożyc w rękach Sheridan.

Odpoczywały w małym, lecz urokliwym ogrodzie; wspinające kwiaty stanowiły efekt osobistych starań Jules z czasów, gdy William zabiegał o jej względy.

Jules odwiedzała Nicholasasa nad wyraz często, żeby William pomyślał, że dzieliła czas między kilku pretendentów do swojej ręki; nie chciała, aby William się domyślił, że zdobył jej serce w chwili, kiedy uśmiechnął się do niej po raz pierwszy, jeszcze kiedy oboje byli dziećmi.

William, czego Jules do dziś mu nie przebaczyła, nawet na nią nie spojrzął, kiedy dorastali i ani jej się śniło zmarnować idealną sposobność, żeby odplącić hultajowi pięknym za nadobne.

- Czasem kobieta musi uciec się do paru sztuczek. Nie takich, które ranią, pamiętaj, lecz takich, które otwierają oczy - podkreślała Jules.

„Takich, które otwierają oczy”. Przynajmniej ten koncept był dla Sheridan zrozumiały.

Nie odrywając wzroku od robótki, Jules pochwaliła:

- Całkiem ładnie ci to wychodzi.

Tylko by spróbowało nie wyjść, pomyślała Sheridan. Przekładała te obmierzłe badyle od przeszło godziny. Nigdy by nie przypuszczała, że tak trudno jest ułożyć skromny bukiet.

Układanie kwiatów okazało się niezwykle denerwującym zajęciem. Zbyt wiele czerwonych kwiatów z jednej strony. Żółte brzydko wyglądały przy niebieskich. Zielone gałązki, których używała jako przybrania, powinny giąć się miękko jak trawa, a nie sterczeć ku niebu jak maszty.

- Skąd to całe dzisiejsze zainteresowanie kwiatami? - spytała Jules tonem zbyt niewinnym, by nie wydał się Sheridan podejrzany.

- Toć wiesz, że bardzo lubię kwiaty.

Jules odłożyła druty na kolana.

- Lubisz kwiaty, tak? A od kiedy?

- Och... od dawna. - Sheridan sięgnęła po długą, cienką łodygę obsypaną drobnymi kwiatami w pięknym fioletowym kolorze, który, jak miała nadzieję, powinien przypomnieć Nicholasowi kolor jej oczu.

- Na twoim miejscu bym tego nie dotykała.

Sheridan znieruchomiała, spoglądając na przyjaciółkę.

- Dlaczego? Jest taki piękny...

- Piękny, ale trujący.

- Trujący?

- To tojad, ale często nazywa się go „roślinnym arsenikiem”.

- Roślinnym arsenikiem? Wstrętna nazwa dla czegoś tak pięknego.

- To dlatego, że kiedyś używano jego soku jako trucizny. Nasączano nim mięso, którym potem truto wilki.

- Oj, przecież nie zamierzam wysysać z niego soku, tylko dodać tu czy tam po gałązce, dla odrobiny koloru.

- Niektórzy dostają od niego wysypki, wystarczy, że go

dotkną. Chociażby kuzynek Nicky. Ledwie się otarł ręką, a zrobiła mu się cała czerwona, po samo ramię, i strasznie swędziała. Płakać się chciało na jego widok.

Sheridan powoli cofnęła rękę.

- Skoro tak, to czemu się jej nie pozbędziecie?

- To ja zajmowałam się ogrodem. Kiedy wyszłam za męża, tojad się tu rozpanoszył. Mój kuzyn nawet się do niego nie zbliża, a ja także wolałabym nie ryzykować. I tak czuję się wystarczająco niewyraźnie. - Pomasowała się po brzuchu i skrzywiła nieznacznie.

- No tak, piękna rzecz, otruć się we własnym domu.

Jules parsknęła śmiechem.

- Gdyby Nicky zgodził się zatrudnić ogrodnika, nie musiałby się o to martwić, ale się uparł. Często grozi, że zrówna mój piękny ogród z ziemią i pobuduje na jego miejscu salę bilardową. Twierdzi, że w domu mężczyzny nie ma miejsca na kwiaty, chociaż jego rodzony brat, Damien, ma tak piękny ogród różany, że każdy zapalony ogrodnik rozpłakałby się z zazdrości.

Sheridan uśmiechnęła się.

- Ale dałam mu łagodnie do zrozumienia, że jeśli tknie choćby jeden płatek, będzie miał do czynienia ze mną. - Jules mrugnęła do przyjaciółki wesoło. - To zawsze skutkuje.

Nie ma miejsca dla kwiatów w domu mężczyzny? Sheridan zazgrzytała zębami, przypominając sobie wczorajsze zapewnienia Nicholasa.

„Uwielbiam kwiaty”.

Kłamca.

Serce Sheridan przeszło kolejne ukłucie bólu, gdy uświadomiła sobie powody, dla których Nicholas złożył to kłamliwe oświadczenie.

Jessica mu się podobała... może nawet ją kochał.

Zakochani ludzie często mówili lub robili rzeczy, które w normalnej sytuacji nie przysłyby im nawet do głowy. Sheridan była tego najlepszym przykładem.

- Czy **ten** twój dzisiejszy pomysł nie ma aby nic współ-

nego z wczorajszym niefortunnym zdarzeniem? - zaciekawiła się Jules. - Coś w guście przeprosin?

- Przeprosin?! - parsknęła gniewnie Sheridan. - Toż ja upuściłam ten wazon niechcący, przecież ci mówiłam.

- Hmm.

- Co to „hmm” ma niby znaczyć?

- Nic.

- Nigdy żeś nie umiała kłamać, Jules Thornton.

- Ja tylko zastanawiałam się, skąd pomysł ułożenia bukietu, skoro przesiadujemy na tej ławeczce prawie każdego dnia od twojego przyjazdu i nie widziałam, żebyś chociaż powąchała jakiś kwiatek.

Sheridan fuknęła z urazą.

- Myślałam, że byłoby ci miło mieć trochę kwiatów w pokoju. Zadowolona?

- Och, to te kwiaty są dla mnie? Hmm...

- Przestań już z tym „hmm” i „hmm”, słyszysz? - Sheridan wetknęła do wazonu obdartą z liści łodygę, najpierw jednak wyrwała ze złości wszystkie płatki.

- Przepraszam. Przypuszczałam, że...

- Że co?

- Że są przeznaczone dla drogiego Nicky'ego. - Jules wzruszyła ramionami.

- Dla drogiego... dla niego? W życiu! Przenigdy nie podarowałabym tej irytującej, nadętej, upartej... wszy! Och!

- *Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka zbyt wiele*...*

- Nie zaczynaj mi tu z tymi angielskimi banialukami!

- Raczej angielskimi mądrościami. Czy ty myślisz, że nie zauważyłam, jak na siebie patrzycie? Nawet kiedy obrzucać się gniewnymi spojrzeniami, jest w tym namiętność.

- Ano. Bo on budzi we mnie namiętności... i to takie silne, że aż pięści mnie świerzbą! Gbur jeden!

*„Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka zbyt wiele”, „Hamlet” Williama Szekspira, akt III, scena 2, tłum. Józef Paszkowski.

Jules zaśmiała się.

- Jestem brzemienna, Danny. Nie ślepa. Nie wiem, dlaczego wy dwoje tak usilnie staracie się kryć ze swoimi uczuciami. Myślę, że to wspaniałe, że coś do siebie czujecie.

Sheridan zamrugała oczami.

- Tak... myślisz? - wyszeptwała, jakby wypowiedzenie tych słów na głos mogło sprawić, że Jules się z nich wycofa.

- Tak myślę. Nie mogłabym być szczęśliwsza. Jesteście wręcz dla siebie stworzeni.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewniła Jules serdecznie.

Wzruszenie chwyciło Sheridan za serce i przepełniła ją siostrzana miłość. Przyjaciółka dała jej swoje błogosławieństwo, choć Sheridan nie śmiała o nie prosić. Jules domyśliła się prawdy i witała ją z otwartymi ramionami.

W głębi duszy Sheridan nigdy nie uwierzyła, że Jules mogłaby wzdragać się na myśl o kiełkującym uczuciu między swoją przyjaciółką a kuzynem... a skoro tak, to Nicholas ją okłamał.

Pewnych rzeczy Jules nigdy nie zaakceptuje. Jej wyrozumiałość ma swoje granice.

I tak obolałe już serce Sheridan przeszły kolejna igiełka bólu. Nicholas posłużył się Jules: była dla niego wymówka, pretekstem, by wykręcić się z niezręcznej sytuacji.

Pytała go kiedyś, czy fakt, że jest Irlandką, a on Anglikiem, ma jakieś znaczenie. Obruszył się, zapewniał, że to niczego nie zmienia. Prawda czy kolejne kłamstwo? A jeśli to drugie, to ile innych jego zapewnień było wyspanych z palca?

Irlandzka chłopka i angielski arystokrata. A między nimi przepaść nie do pokonania. Skąd myśl, że jej by się to udało?

„Dwie splecione dusze”. Najgorsze z kłamstw.

- Och! - Zdławiony okrzyk Jules oderwał uwagę Sheridan od własnego krwawiącego serca.

W popłochu podniosła wzrok; blada jak opłatek Jules przyciskała do brzucha rękę.

Sheridan rzuciła nożyce i przysunęła się do niej.

- Co się stało? Dziecko znowu o sobie przypomina?

Jules milcząco kiwnęła głową i przygryzła wargę. Ból przesilił się i po chwili zelżał, a wtedy zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Sheridan uściśnęła dłoń przyjaciółki, by dodać jej otuchy.

- Co doktor mówi o twoich kłopotach?

Jules uciekła spojrzeniem.

- Zbeształ mnie za to, że nie powiedziałam mężowi... że przedwczesny poród często zdarzał się u mnie w rodzinie. - Ostatnie słowa dodała niemal niesłyszalnie.

Sheridan wpatrywała się w nią, milcząco.

- Powiedz coś, Danny - poprosiła Jules; obawa, którą nosiła w sercu, dotąd niewypowiedziana i skrywana przed światem, malowała się w jej oczach.

- I tyś się nie zwierzyła z takiej poważnej sprawy swojej najlepszej przyjaciółce... - w głosie Sheridan brzmiało rozgoryczenie.

- Przepraszam - powiedziała cicho Jules. - Ja... ja nie chciałam nikogo martwić.

- Lepiej, żebyś sama się tym gryzła, jeszcze jeden ciężar dźwigała na tych wątłych ramionkach? Och, doskonały sposób, żeby twoje dziecko naprawdę przyszło na ten świat przed czasem.

- Wiem, powinnam była komuś powiedzieć.

- Choćby ino mężowi.

- Och, nie mogłabym mu powiedzieć. I tak strasznie się o mnie martwi. Nie pozwoliliby mi przyjechać do miasta, gdyby się dowiedział. Zmusiliby mnie do leżenia w łóżku do czasu, kiedy dziecko się urodzi, doprowadzał i siebie, i mnie do szaleństwa, a ja tak bardzo chciałam cię zobaczyć.

Jules zwiesiła głowę.

- Chociaż muszę przyznać, że moje motywy nie były do końca czyste. Prawdę mówiąc, to przemawiał przeze mnie zwykły egoizm. Widzisz, potrzebowałam, żebyś była przy mnie, żebyś dodała mi otuchy. Ja... ja się boję. To moje pierw-

sze dziecko. Moja matka nie żyje, a nie... nie mam zbyt wielu koleżanek... Otacza mnie zgraja osiłków, którzy mdleją na widok brzemiennej kobiety. Ja... ja nie chciałam być sama. - Podniosła na Sheridan błagalne spojrzenie. - Czy to takie okropne z mojej strony?

Sheridan ujęła przyjaciółkę za ręce i uściśnęła ją serdecznie.

- Nie, wcale nie takie okropne. - Uśmiechnęła się. - Jestem tutaj, przy tobie, i nie chciałabym być nigdzie indziej. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Uśmiech Sheridan nie był jednak do końca wesoły. Nadal dręczyło ją dziwne i przerażające przecucie - od czasu, gdy po raz pierwszy dotknęła brzucha Jules tamtego dnia, kiedy opowiadała jej baśń o elfach i pukach.

Sheridan radziła sobie dotychczas z uczuciem niepokoju. Powtarzała sobie, że jej wizje bywały równie zmienne, jak ona sama. Czasem przychodziły. Czasem nie.

Ale w głębi serca wiedziała. Ta wizja była wyraźna.

I aż nazbyt rzeczywista.

Deszcz, gwałtowny i zacinający, lał się z nieba, bębniąc o dach jak grad kamyków. Jules leżała w łóżku, którego Sheridan nigdy wcześniej nie widziała, z lękiem w twarzy, świadoma, że jej czas się zbliża.

Siebie samej Sheridan nigdzie nie dostrzegала.

Jules była sama - a właśnie tego obawiała się najbardziej.

- Dokończysz tamtą baśń, Danny? - spytała Jules miękko. - Tę o elfach.

Sheridan kiwnęła głową. Chciała uśmierzyć jakoś obawy przyjaciółki, a może i po części własne.

Melodyjny głos Sheridan ściągnął Nicholasa do holu równie skutecznie, jak zew syren przyzwał ku zgubie niejednego marynarza. Oni jednak, jak sobie wyobrażał, szli na spotkanie ze Stwórcą ze spokojem w duszy.

Nicholas wątpił, czy zazna takiego szczęścia.

Mimo to, kiedy stał niezauważony w drzwiach do ogro-

du, podziwiając z profilu ożywioną twarz Sheridan i radość w oczach Jules, zastanowił się, czy aby naprawdę to takie wielkie szczęście.

- Ach, jakaż to była wspaniała bitwa do samego końca, laski i cepy krzyżowały się z hukami, który sięgał samego nieba. A że wszystkie puki i wszystkie elfy zagrzewały się do walki krzykiem, bitewny zgiełk słychać było od Dunqueen na zachodzie po Cashel na wschodzie.

- Ale cała ta walka i łoskot, i krzyki wielce się uprzykrzyły Jemu - Sheridan wskazała niebo - szykował się bowiem do króciutkiej drzemki. „Czas położyć kres tym sporom” - rzekł. I tak właśnie uczynił.

- Gwiezdnym pyłem, co sprowadzał zapomnienie, oprószył każdego elfa i każdego puka, tak aby żyły w zgodzie i wyrzekły się psot. - Sheridan rozchyliła usta w lekkim uśmiechu. - I wyrzekły się, przynajmniej niektóre.

- Tak za sprawą gwiezdnych pyłów Bóg obdarzył wszystkich irlandzkich mężczyzn - ale i kobiety, pamiętaj - darem wyobraźni, by wynagrodzić im to, jacy być przestali, i poczuciem humoru, które pociesza ich, że są, jacy są.

- Brawo.

Sheridan napięta się wewnętrznie, rozpoznając głos Nicholasa. Powoli odwróciła głowę i napotkała spojrzenie szmaragdowozielonych oczu mężczyzny, który uczynił z niej kobietę upadłą.

Stał oparty o framugę; uosobienie beztroskiego dżentelmena w jasnobezowych spodniach podkreślających silne uda, rozpiętej pod szyją śnieżnobiałej koszuli o podwiniętych rękawach, spod której wyzierał trójkąt ciemnej skóry.

Sheridan skarciła się w duchu, zła, że widok Nicholasa jak zawsze przyprawił ją o szybsze bicie serca. Na szczęście z pomocą przyszła jej duma i przypomniała sobie o jego kłamstwach, wygodnej wymówce, że zraniliby Jules, gdyby brnęli dalej w jakiś związek.

- Wyglądasz jak nowo narodzony, Nicky - zauważyła Jules. - Przyjemnie spędziłeś wieczór z lady Jessicą?

- Możliwie... chociaż początki były burzliwe. - Posłał Sheridan wymowne spojrzenie na znak, że to ją obarcza winą za swoje problemy z Jessicą.

- To miło - stwierdziła Jules. - Mnie za to dokuczał lekki ból głowy.

Ból głowy? Sheridan zmarszczyła brwi. Spędziła z Jules cały wieczór i sporą część nocy: przyjaciółka robiła wrażenie wesolutkiej jak szczygiełek.

Na twarzy Nicholas zagościł wyraz z troskaniem.

- Dobrze się czujesz, kiciu?

- Och, tak. Znakomicie. - Kąciki ust Jules zadrgały. - Chyba ciąża zmniejszyła moją zdolność do tolerowania piskliwych głosów, a lady Jessicą mówiła wczoraj wyjątkowo przenikliwym tonem. Zdziwił mnie ten wybuch złości. Zawsze wywierała na mnie wrażenie osoby dość łagodnej i niezbyt wylewnej.

Nicholas zacisnął szczęki.

- Jej gniew był całkowicie usprawiedliwiony. Sam zresztą znam parę innych kobiet obdarzonych zdrowym temperamentem.

- Och, nie zrozum mnie źle, Nicky, skarbie. Jestem przekonana, że Jessicą ma jakieś zalety.

- Owszem, ma.

- Najwyraźniej to przemiła, spokojna dziewczyna.

- Owszem.

- Szczęściarz, który ją poślubi, będzie wiedział, że każdy kolejny dzień będzie wyglądał dokładnie tak samo, jak poprzedni.

- Co masz na myśli? - Nicholas spoglądał na kuzynkę ze zmarszczonym czołem.

- Nic złego, rzecz jasna. Chodziło mi o to, że życie z Jessicą będzie przewidywalne. Żadnych niespodzianek. Ale to dobra rzecz dla kogoś, kto chce ustabilizowanego życia.

- Niektórzy nie lubią niespodzianek. Niektórzy wolą nie

budzić się każdego ranka i zastanawiać się, czy fakt wstania z łóżka to wszystko, nad czym mają kontrolę. Niektórych może cieszyć ustabilizowane...

- Nudne - mruknęła Jules wystarczająco głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

- Ustabilizowane w odróżnieniu od nieprzewidywalnego. Człowiek chce mieć pewność, że żona będzie siedziała w domu, gdzie jest jej miejsce.

Żona? To słowo rozbrzmiewało w uszach Sheridan nienawistnym echem. Czy Nicholas mówił tylko teoretycznie? Czy istotnie myślał o małżeństwie z lady Jessicą?

- W takim razie Jessica Reardon jest idealną kandydatką. Chociaż... - Jules teatralnie zawiesiła głos.

- Chociaż? - spytał Nicholas, zaciskając usta w linijkę.

Jules wzruszyła dyskretnie ramionami.

- No cóż, jej wczorajszy wybuch daje do myślenia. Zachowała się kapkę, jakby to nazwać, irracjonalnie? Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, jakie inne drobnostki mogą ją wyprowadzić z równowagi. Och, ale co ja tam wiem. - Zanim Nicholas zdążył odpowiedzieć, poprosiła szybko: - Danny, pomożesz mi wstać? Czuję się zmęczona. Chyba utnę sobie krótką drzemkę.

Sheridan mrugała oczami, usiłując otrząsnąć się ze stuporu, w który popadła na samą myśl o Nicholasie i Jessice w roli współmałżonków.

Jules puściła do niej oko. Sheridan wiedziała, że uwagi przyjaciółki miały działać na jej korzyść. Kolejny słodki, acz niepotrzebny gest. Sheridan niczego od Nicholasas nie chciała.

Niczego oprócz jego serca na srebrnej tacy.

I zamierzała je z niego wydobyć, kawałek po kawałeczku.

Sheridan objęła Jules ramieniem i pomogła jej się podnieść.

- Odprowadzę cię do pokoju.

Jules zbyła ją machnięciem ręki.

- Nie bądź niemądra. Jestem brzemienna, a nie stara. Zo-

stań tu i dotrzyмай towarzystwa mojemu kuzynowi. Zobaczmy się później.

Zanim Sheridan zdążyła zaprotestować, już jej nie było. Sheridan zwróciła się twarzą w kierunku Nicholasa, który zdawał się nagle blokować ciałem całe drzwi, odcinać drogę ucieczki. Na ustach igrał mu lekki uśmiech.

Sheridan nie rniała zamiaru pozwolić mu się onieśmielić, dokładnie to bowiem usiłował osiągnąć. Wyprostowała plecy, uniosła twarz i spróbowała go wyminąć.

Wyjście w wielkim stylu uniemożliwiło jej wyciągnięte nagle ramię.

- Nie tak szybko.

- Odsuń się.

Pokręcił głową.

- Słyszałaś, co powiedziała Jules. Masz mi dotrzyмай towarzystwa.

- Wolałabym dotrzyмай towarzystwa samemu diabłu. Zmierzył ją wzrokiem.

- Nie brak ci tupetu. Jesteś na mnie zła, choć to ja mam wszelkie powody ku temu, żeby gniewać się na ciebie. Omal mi nie zepsułaś wieczoru z Jessicą.

- A czy to taka wielka szkoda? - zaperzyła się Sheridan, nim zdążyła ugryźć się w język.

- Gdybym nie był mądrzejszy, pomyślałbym, że jesteś zazdrosna, Danny.

- Zazdrosna? Ha! Nic mnie nie obchodzi, co wyprawiasz ze swoją bezcenną Jessicą. Oboje jesteście sobie warci!

- Bądź łaskawa trzymać swoje pazurki z dala od dolnych partii mego ciała. Bóg stworzył mnie mężczyzną i wolałbym, żeby tak zostało. A teraz darujmy sobie owijanie w bawełnę i przejdźmy do sedna sprawy, dobrze? Co takiego, dokładnie, cię gryzie? Ostatnio nie jesteś dla mnie taka słodka jak kiedyś.

Oczy Sheridan wyglądały teraz jak dwa szafirowe lodowe szczyty, zdradzieckie i kuszące, a Nicholas miał buty bez kołców.

- Idź do diabła - wycodziła z uśmiechem.
- No, no, oszczędź mi słodkich słówek. Wal prosto z mostu.
- Niech ci będzie. Wolałabym siedzieć w jamie pełnej węży, niż chwilę dłużej przebywać z tobą, ty wielka małpo! A teraz odsuń się! Mam lepsze zajęcia.

Uśmiech Nicholasa zniknął bez śladu.

- Chociażby marnowanie czasu z łanem McDonoughern?
- Nie twoja sprawa, co robię i z kim!
- Wszystko, co dzieje się w moim domu, jest moją sprawą. Nie pozwolę, żebyś się gziła z moimi służącymi.
- Gziła?! - Sheridan aż się zakrzusiła, po czym natychmiast wymierzyła mu siarczasty policzek, tak mocny, że w popołudniowej ciszy zabrzmiał jak wystrzał.

Nicholas złapał ją za nadgarstki i nie poluzowując chwytu, przyciągnął ją do piersi. Wbił w nią roziskrzone oczy i warknął:

- Nie prowokuj mnie, Danny. Niemiły ze mnie człowiek, kiedy ktoś mnie sprowokuje.

- Jak gdybyś kiedykolwiek był miły! Żebyś się nie łudził! - Usiłowała wyszarpnąć rękę.

Nicholas ścisnął je mocniej.

- W takim razie nie będziesz zdziwiona tym.

Pocałował ją tak brutalnie, że wyparł jej powietrze z płuc i nie starczyło jej tchu na protesty. Wziął to, czego nie chciała dawać; pocałunek miał ją ukarać, upokorzyć, pokazać, kto tu rządzi. Dogiąć ją do jego woli.

Im gwałtowniej się szamotała, tym bardziej władczy stawał się pocałunek i tym trudniej przychodziło Sheridan zachować obojętność. Jej serce, ciało i dusza zdawały się spiskować przeciwko niej. Muskularne ramiona, miażdżące ją w objęciach, jego zapach i ciepło kazały jej zapomnieć o bożym świecie, niweczając wolną wolę, wykluczając wszelką myśl.

Powiodł dłońmi w dół jej pleców i objął za pośladki. Przyciągnął ją do siebie i napał biodrami, dziko podniecony. Za-

ciśnięte w pięści palce rozluźniły się i poszukały jego torsu, potem szyi, wreszcie zatoneły w gęstych, jedwabistych włosach.

- Danny - mruzczał, rozgniatając wargami jej usta. - Tak bardzo mi ciebie brakowało!

Wziął ją za rękę i poprowadził do niewielkiego wykuszu w ścianie. Przyciągnął ją do siebie, aż oparła się o jego szeroki tors. Szybko pochylił głowę i ponownie, z taką samą jak przed chwilą żarliwością, nakrył jej usta swoimi.

Odwzajemniła pocałunek z całą powściąganą dotąd namiętnością, gorąco; przez niekończące się tygodnie żyła jedynie wspomnieniami nocy, kiedy się kochali.

- Pragnę cię, Danny. Zmęczyło mnie ciągle wmawianie sobie, że tak nie jest.

W Sheridan rozśpiewało się serce, choć rozsądek podpowiadał, by nie wierzyć ochrypłym zapewnieniom. Ale i ona czuła się już zmęczona wypieraniem się tego, co do Nicholasa czuła, ciągłą walką z uczuciami, które w niej budził.

Może w końcu sobie uświadomił to, co ona wiedziała od początku - że byli sobie przeznaczeni. Albo może wyczuł, że Jules to akceptuje. Albo to jej, Danny, wybuchowy charakter i upór dotychczas go do niej zrażały?

Czyż siostry nie wypominały jej co chwila, że żaden mężczyzna nie zniesie jej śmiałych poglądów, obejścia dzikuski i skłonności do zachowywania się w sposób odwrotny do tego, który radzą inni?

- Nie ma powodów, dla których nie moglibyśmy być przyjaciółmi i kochankami, prawda, Danny? - mruzczał jej Nicholas do ucha, a żyłami dziewczyny popłynęły strumienie żywego ognia.

- Ano - wyszeptała ledwie słyszalnie. - Przyjaciółmi...

- I kochankami.

Uśmiechnęła się, tuląc twarz do jego szyi.

- To też.

Ujął jej twarz w dłoń.

- Bardzo dużo *tego*. - Pocałował ją lekko, ze słodyczą, i dodał: - Przynajmniej do mojego ślubu z Jessicą.

Ciało Sheridan zastygło szybciej niż woda w Morzu Północnym w wyjątkowo mroźny dzień.

-Co?

Nicholas obsypywał pocałunkami jej czoło, nos i policzki; nie dostrzegł, że zaszła w niej zmiana.

- Jestem jednym z tych mężczyzn, którzy chcą być wierni swoim żonom. To dziwne, wiem. Ale jak można oczekiwać wierności, samemu jej nie dochowując? Ale póki co możemy się zabawić.

Sheridan czuła się tak, jakby niewidzialna ręka wycisnęła jej z płuc całe powietrze.

- Za... zabawić?

- Świetnie się zabawie - zapewnił szeptem Nicholas; jego spojrzenie wróżyło zgoła nieziemskie rozkosze. - Przyjdiesz do mojej sypialni?

Sheridan zdławiła w sobie przeszywający ból i przywołała gniew. Już nigdy nie wyleje z jego powodu choćby jednej łzy.

Nie chciał niespodzianek? Już ona zadba o to, żeby miał ich po same dziurki w nosie.

Wolał nie budzić się każdego ranka, zastanawiając się, czy decyzja o wyjściu z łóżka to jedyna rzecz, nad jaką ma kontrolę? No to pożałuje jeszcze, że w ogóle się obudził.

Wyżej sobie cenił to, co ustabilizowane, od tego, co nieprzewidywalne? Już ona się postara, żeby niczego nie dało się przewidzieć.

- Ano, tak. Przyńdę do ciebie.

Piękny uśmiech, który zagościł na jego twarzy, dobitnie świadczył o tym, iż Nicholas nie ma zielonego pojęcia, co go czeka.

- Spotkajmy się za dziesięć minut.

Zatrzymała go w chwili, w której szykował się do wyjścia.

- Mam coś dla ciebie.

Sheridan pobiegła po swój bukiet; upewniła się, że Nicho-

las nie widzi jej rąk, szybko założyła ogrodnicze rękawiczki, złapała nożyce i obciąła wielki pęk tojadu. Następnie wyjęła kwiaty z wazonu, dołożyła tojad i wręczyła całość Nicholasowi: bukiet zrobiony tylko i wyłącznie z myślą o nim.

- To dla ciebie.

Na jego czole ukazała się lekka zmarszczka, zupełnie jakby w głowie zapaliło mu się czerwone, ostrzegawcze światełko.

- To uroczo z twojej strony.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić po tym, co stało się przeze mnie ze śliczniutkim bukietem od twojej ukochanej.

- Zaczynam wierzyć, że naprawdę jest ci przykro.

Sheridan uśmiechnęła się słodko.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo... - Przykro będzie, ale *jemu*, i to niebawem. - Powąchaj, cudnie pachną.

Nicholas z namysłem przytknął bukiet do nosa. Sheridan przygryzła usta, żeby się nie roześmiać na głos.

- Piękne - mruknął. - Jak ty.

Ignorując puste pochlebstwo, wspięła się na czubki palców i szepnęła mu do ucha:

- Obyś za każdym razem, kiedy spojrzysz na te kwiaty, myślał o mnie i wspominał tę chwilę.

16

Normalnie ją ukatrupi.

W chwili, w której Sheridan ukaże się w drzwiach wejściowych, Nicholas obiecywał sobie opleść długimi, silnymi palcami jej jedwabistą - i och, jakże kruchą! - szyję, a następnie skrócić jej kark, zanim zdąży mrugnąć okiem.

Do czorta, ależ to swędziało!

Przeklęty tojad.

Chociaż była to słabsza z dwóch trucizn w jego życiu.

Nicholas bowiem musiał się także uporać z zabójczym jadem znanym jako Pewna-Młoda-Irlandka-Dążąca-Do-Jego-Rychłego-Zgonu-Która-Nie-Odpuści-Dopóki-Go-Nie-Wykończy: człowiek zatruwał się w kontaktach z kruchym „kwiatuszkiem” o fioletowych oczach i imieniu Sheridan, nie spodziewając się trujących, ostrych kolców skrytych pod kuszącymi płatkami

Od kiedy Sheridan wdarła się przebojem w jego życie, czuł się jak linoskoczek balansujący na cienkiej linie w samym środku huraganu. Przysięgłby, że nie dalej niż dzisiejszego ranka sam widział, jak ktoś wiesza nad drzwiami frontowymi jego domu tabliczkę Z napisem: „Dom wariatów”. Każdy, kto postawił w nim nogę, z miejsca zarażał się obłądem.

Sam Nicholas był najlepszym tego przykładem. Zaczynał nawiązywać kontakt z wujkiem Finnym: coraz częściej dostrzegał w jego oczach przebłyski jasności umysłu i jakby cień politowania, co nasunęło mu pewne wątpliwości: czy wuj Sheridan naprawdę jest szalony, czy też raczej z rozmysłem struga wariata, używając swego rzekomego obłądu jako tarczy, którą bronił się przed kobietami ze swojej rodziny.

Szczególnie żywe wspomnienie wiązało się z sytuacją sprzed tygodnia.

Ptaki ćwierkały wesoło. Słońce świeciło.

Dama ciskała z oczu błyskawice. But śmigał w powietrzu. Refleks zawodził.

Wuj Finny mówił z sensem.

- Jeszcze znajdzie się łyżka, którym będziesz jadł zgrzyzo – tę, jakby to była zupka – pouczył Nicholasa i pokiwał głową, odprowadzając spojrzeniem malejącą postać Sheridan; wyprostowana, jakby kij połknęła, maszerowała w głąb korytarza, a ściślej rzecz biorąc, utykała przekomicznie, jako że była tylko w jednym bucie: drugim cisnęła w głowę Nicholasa na jego z dobrego serca udzieloną sugestią, że mogłaby upinać włosy do góry, a nie zostawać je rozpuszczone i dyndające na plecach jak jakaś buszmenka.

Ta nieśmiała prośba nie miała nic wspólnego z faktem, iż widok pięknych włosów kołyszących się zmysłowo nad nie mniej pięknym tyłeczkiem Sheridan rozpraszał Nicholasa do tego stopnia, że odczuwał fizyczny ból i język zasychał mu dosłownie na wiór. Skądże znowu.

Przyzwoitość dyktowała zasady, którym kobiety winny się podporządkowywać. Nicholas uznał, iż na nim jako na dobrym gospodarzu ciąży obowiązek poinformowania Sheridan o owych zasadach.

- O, tobie by się podobało, jakbym podpięła włosy, hmm? A może bym się uczesała tak, jak fryzuje się lady Jessica?

- No cóż, skoro sama o tym wspomniałaś...

Zanim Nicholas się zorientował, co się święci, nieszczerze lekki „bucik” Sheridan gwizdnął mu koło ucha i rąbnął w okno sypialni z taką siłą, że jedna z szyb roztrzaskała się w drobny mak.

Wuj Finny poklepał go po ramieniu.

- Dobrze, żeś szybki, chłopcze. Ta dzierlatka potrafi celnie miotać. Na własne oczy widziałem, jak jednemu takiemu oberwało ucho. Nie wychylaj się, oto moja rada - powiedział, zanim gdzieś sobie poszedł.

Nicholas skrzywił się na to wspomnienie i zaczął się drapać po klatce piersiowej z zaciętością zapchlonego psa.

„Obyś za każdym razem, kiedy spojrzysz na te kwiaty, pomyślał o mnie i wspomniał ten moment” - powtórzył z przekąsem złośliwe słowa Sheridan; ostatnie, jakie od niej wczoraj usłyszał, bo zaraz potem na wszelki wypadek zaszyła się na resztę dnia w jakimś ciemnym kącie.

Kiedy próbował pociągnąć Jules za język i wywiedzieć się, gdzie Sheridan się przed nim chowa, kuzynka spojrzała tylko na różnej wielkości plamy na jego skórze i dostała ataku histerycznego śmiechu. Odszedł sztywny z urazy.

Początkowo - i głupio - wierzył, że Sheridan umieściła tojad wśród innych kwiatów w bukietcie najzupełniej przypadkowo. Bądź co bądź, kiedy była z nim w ogrodzie, robiła wra-

żenie roznamiętnionej, a jej pocałunek niezbitcie dowodził, że go pragnęła. A on pragnął jej, na Boga, i to tak bardzo, że był zupełnie zaślepiony i przeoczyłby dosłownie wszystko.

Nawet kiedy skóra zaczęła go swędzieć, a Sheridan ciągle nie nadchodziła, choć czekał przeszło godzinę, w dalszym ciągu wmawiał sobie, że była niewinna, że nie zdawała sobie sprawy z tego, jaką reakcją może wywołać to cholerne zielisko.

Dwie kwestie rozwiały jego złudzenia.

Sheridan niczego nie robiła przypadkiem.

Sheridan niczego nie robiła niewinnie.

Wystarczy do tego dodać podejrzaną nieobecność Sheridana w jego łóżku i jego domu, i właściwe wnioski nasuwają się z żelazną logiką.

Nicholas miotał się po gabinecie jak wilk w klatce; tu zrodziły się w nim tysiące wątpliwości, ale też, przed chwilą, jedno niezwykle stanowcze postanowienie.

Odwrót i przegrupowanie.

Natknął się na wroga. I wróg miał go w garści.

Sheridan wspięła się na palce i z butami w rękach podrep-tała przez słabo oświetlony korytarz, pomagając sobie po-światą bijącą od samotnego kinkietu, by znaleźć drogę. Była już noc i wszystko spowijały gęste cienie - jednak cienie są przyjaciółmi dziewczyny, która się przed kimś ukrywa.

Weszła cichaczem drzwiami dla służby razem z łanem, do którego uśmiechnęło się szczęście w postaci pięćdziesięciu funtów podarowanych przez Nicholasa za schwytanie Scally'ego i z którym nad wyraz przyjemnie spędziła cały wieczór.

Ian uczył ją szkockiego tańca zwanego reel, ona odwzięczyła mu się, demonstrując irlandzką gige. Rozmawiali o swoich domach, rodzinach, marzeniach.

I aczkolwiek świetnie się razem bawili, oblicze Nicholasa zdawało się wisieć nad nimi przez cały wieczór niczym ciemna chmura. Wyraz jego twarzy, sposób, w jaki na nią patrzył

wtedy w ogrodzie, pożądliwie, namiętnie, zanim wpił się w jej usta tak władczo, jakby już na zawsze należała do niego, tak samo jak podczas ich pierwszego pocałunku; jej ciało zareagowało natychmiast.

Sheridan uprzytomniła sobie z rozpaczą, że jedyną metodą, by mogła wybić sobie Nicholasa Sinclaira z głowy - i wygnać go z serca - był powrót do Bostonu. Na samą myśl poczuła dziwną pustkę.

A co z Jules? Jakże mogłaby choćby myśleć o wyjeździe, skoro była Jules tak bardzo potrzebna? Wiedziała, że nigdy nie zdobędzie się na to, by opuścić przyjaciółkę w takiej chwili. Pozostawało zatem tylko jedno.

Odwrót i przegrupowanie.

Natknęła się na wroga. I wróg miał ją w garści.

Wzdrygnęła się nerwowo, kiedy zegar z kurantem dzwięcznie obwieścił północ.

Na dole schodów przystanąła na chwilę i obejmując kurczowo balustradę, zrobiła parę wdechów, żeby uspokoić skołataną nerwy, po czym zaczęła się skradać w kierunku swojej sypialni.

- Witaj w domu - odezwał się cicho aksamitny, aż nadto znajomo brzmiący głos.

Sheridan zastygła w pół kroku.

Serce skoczyło jej do gardła, ale błyskawicznie wzięła się w garść, jeszcze szybciej policzyła schodki dzielące ją od półpiętra i zastanowiła się, czy ma szansę go prześcignąć.

Dwadzieścia cztery schodki. Czy ci Anglicy naprawdę nie mogą mieszkać w parterowych domach?

Spojrzała na swoją rozkloszowaną spódnicę i mina jej zrzedła. Wiedziała, że ta cholerna szmata będzie lepić się do nóg, utrudniając ucieczkę. Od jutra zaczniesz nosić bryczesy.

Niemniej Sheridan Delaney nigdy nie poddawała się bez walki. Toteż zaryzykowała, że jeszcze bardziej Nicholasa rozzłości - bo o tym, że był na nią zły, dobitnie świadczył ton jego głosu - i postawiła stopę jeden stopień wyżej.

- Dotarcie na samą górę zabiera mi mniej niż cztery sekundy - ostrzegł. - Na Oksfordzie uprawiałem sprint.

A to ci niespodzianka.

Sheridan ostrożnie dostawiła drugą stopę.

- Gustowałem również w zapasach.

To ją zastopowało. Nicholas był ostatnią osobą, z którą chciałyby próbować zapasów. Skapitulowałyby w chwili, w której poczułyby na ciele jego dłonie.

Zadarła nos, wyprostowała plecy i odwróciła się na ołowianych nogach. Pora wypić piwo, jakiego sobie nawarzyła - gorzkie i idealnie nadające się na stypę, a świetnie sobie potrafiła wyobrazić, czyj pogrzeb najpewniej stanowiłyby do owej stypy okazję.

- Rozłożyłabym cię, nim byś policzył do trzech - rzuciła wyzywającym tonem, zamiast skapitulować.

Następnie zaś spojrzała Nicholasowi w twarz - przystojną, upstrzoną czerwonymi plamami twarz. Zaczęła się modlić, by starczyło jej sił, żeby się nie roześmiać, i kurczowo zacisnęła drgające usta.

- Uważasz, że śmiesznie wyglądam, tak?

Sheridan pokręciła głową; gdyby tylko otworzyła usta, pękłaby chyba ze śmiechu.

Krzywiąc się niemiłosiernie, Nicholas podrapał się za uchem.

Tego już było dla Sheridan za wiele. Parsknęła, a po chwili zaśmiewała się już do łez.

- Ja... ty... - tylko tyle zdołała wykrztusić, bo dławiała się ze śmiechu. Ilekroć niebacznie podniosła wzrok na Nicholas'a i jego coraz bardziej kwaśną minę, kończyło się to nowym napadem śmiechu o zgoła huraganowej sile.

Jednak w mgnieniu oka spoważniała, zaledwie złapał ją za ręce i zaczął ciągnąć w kierunku swojego gabinetu.

- C-co ty wyprawiasz? - spytała w popłochu, żałując, że zdjęła buty. W samych pończochach ślizgała się po podłodze jak na łyżwach.

Znowu zbije ją jak rozkapryszone dziecko.

Czy też tym razem zamierzał zwyczajnie ją udusić?

Popchnął ją znienacka, jak tylko przekroczyli próg gabinetu. Sheridan wykonała dziwny piruet, siłą rozpędu znalazła się obok skórzanej sofy i wylądowała na niej w dość haniebnej pozie.

Nicholas zatrzaskał nogą drzwi.

Była w pułapce.

- Napij się ze mną, dobrze? - Zanim zdołała odpowiedzieć, w paru krokach znalazł się przy barku, sztywny z wściekłości. - Nic bardziej człowieka nie wysusza jak sroga zemsta.

Napełnił dwie niskie szklanki czystą whisky, zwrócił się twarzą do Sheridan i podszedł do niej ze stalowym błyskiem w oczach. Sheridan oparła się impulsowi, by zerwać się na równe nogi i schować za sofą, odgrodzić się jakoś od niego.

Ale stal już przed nią i wciskał jej szklanekę w zaciśnięte palce.

- Bierz.

- Ja... ja nie chcę.

Jego mina zapowiadała, że protesty na nic się nie zdadzą, za to mogą okazać się niebezpieczne w skutkach. Wzięła szklanekę; ręce jej się trzęsły.

Śledzona przenikliwym spojrzeniem, niepewnie uniosła ją do ust. Na przekór sobie zawisła spojrzeniem na twarzy Nicholasa i, obserwując go sponad krawędzi szklanki, pociągnęła łyk palącego trunku. Jeśli przypuszczał, że się zakrztusi albo znacznie kaść, to się przeliczył. Przy samogonie wuja Finny'ego zwykła whisky smakowała jak woda.

- I co? Masz satysfakcję? - spytała zadziornym tonem.

- Satysfakcja to słowo, którego nie spodziewam się wypowiedzieć w związku z twoją osobą, moja droga.

Jego odpowiedź była dwuznaczna: przypomniała Sheridan o tym, jak wiele przyjemności mogliby zaznać w swoich ramionach, gdyby do niego przyszła dziś i Bóg jeden wie

jak wiele jeszcze razy w przyszłości. Ale nie zamierzała być jego zabawką. Jego kochanką.

Jakaż była głupia, łudząc się, że miał w sobie bodaj krzywną szlachetności, że mógłby kiedykolwiek pomyśleć o niej jako o kandydatce na żonę. Nie mogła się bardziej pomylić

Wstała, choć nogi miała jak z waty, i niemal zderzyła się z Nicholasem. Biała koszula opinała jego szerokie ramiona spod rozpiętego kołnierzyka wyzierał trójkąt opalonej skóry, której widok obudził w Sheridan chęć pogłaskania opuszkami palców jego ciepłego ciała.

Nie cofnął się ani nie odsunął. Nie drgnął nawet, tylko wpatrywał się w nią bez zmrużenia powiek; jego fizyczna bliskość sprawiała, że Sheridan czuła się tak, jakby zaciskały się wokół niej niewidzialne ramiona.

- To ja już sobie pójdę - powiedziała z całą stanowczością, na jaką pozwalały ściśnięte płuca.

- Nie sądzę. - Duża dłoń oparła się na jej ramieniu i popchnęła ją z powrotem na sofę.

Pisnęła z oburzenia.

- Trzymaj łapy przy sobie, jeśli nie chcesz, cobym...

Nachylił się nad nią i ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Jego roziskrzzone zielone oczy lśniły jak dwa szmaragdy.

- Żebyś co?

Sheridan przełknęła ślinę, szukając właściwych słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Dlaczego nie potrafiła go nienawidzić? Dlaczego, nawet marząc o tym, by go spoliczkować, rozorać mu skórę paznokciami, pragnęła równocześnie dotknąć go, ukoić... poczuć, że stali się jednością? Za sprawą jakiego to zaklęcia?

- Zostaw mnie samą - wyszeptała.

- Nie - odparł równie cicho i usiadł obok niej. Przy jego rośłym ciele poczuła się bezsilna i słaba, jak zawsze. - Czekam na ciebie.

Sheridan usiłowała dyskretnie się od niego odsunąć, ale była już wciśnięta plecami w róg sofy. Ponadto obuta stopa

Nicholasa „przypadkiem” przydeptywała skraj jej spódnicy, Dlaczego Nicholas uznał, że okoliczności wymagają zastosowania tak niewyrafinowanej taktyki? Nie umiała sobie na to pytanie odpowiedzieć. Może nosił się z zamiarem rzucając się na nią jak wielki, majestatyczny jastrząb na gołębia i ułatwiał sobie to zadanie?

- Gdzie byłaś?

Uniosła wyniośle twarz i odpowiedziała na jego pełne złości spojrzenie równie gniewnym.

- Poza domem. - Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak uparte dziecko, ale jak śmiał przemawiać do niej tym rozkazującym tonem, jakby był jej panem i władcą? Nie była mu dłużna żadnych wyjaśnień.

Złowieszczy uśmiezek, który rozciągnął mu wargi, upodobił je do cienkiego, zakrzywionego kindżału.

- Poddajesz moją cierpliwość ciężkiej próbie, a ja nie jestem w szczególnie dobrotliwym nastroju, jeśli tego nie zauważyłaś. - A potem wydał dźwięk przypominający głucho warknięcie; zaczynał się nowy napad świadu.

Sheridan ogarnęło dziwne uczucie, które była skłonna nazwać ukłuciem żalu. Widać było, że czuł się fatalnie.

Jednak chwilowe współczucie znikło bez śladu, zaledwie Nicholas się odezwał.

- Przez ciebie musiałem odwołać moje wieczorne wyjście z Jessicą.

Sheridan zmięta w palcach materiał spódnicy.

- Daję głowę, że twoja luba jakoś to przeboleje. Nie każda kobieta musi zaraz zemrzeć z braku twojego towarzystwa.

Skórzany mebel trzeszczeniem i dziwnym pojękiwaniem obwieścił, że Nicholas próbuje nieznacznie się do niej przysunąć. Sheridan wcisnęła plecy w oparcie.

- A ty, Danny? Umrzesz beze mnie?

Jej serce przytaknęło bez cienia wahania. Usta odparły:

- Nie chcę choćby ino oddychać tym samym powietrzem, co ty, ty nadęty zarozumiałcu.

2 uśmiechem na twarzy przysunął się jeszcze bliżej, a jego ręka zgoła samoistnie popełzała po oparciu sofy. Sheridan nie— ledwie zemdlała, kiedy zaczął bawić się pasmem jej włosów.

- Może coś na uspokojenie, jakiś niewinny całusek, trochę cię udobrucha i rozwiąże ci język - powiedział półgłosem i w mgnieniu oka znalazł się tuż przy niej.

Pocałował ją, zanim senny mózg Sheridan zdążył rozszyfrować sens tych słów. Oburzenie, którego nie zdążyła ująć w słowa, znikło w chwili, gdy język Nicholasa odnalazł drogę do wnętrza jej ust, a masywne ciało przycisnęło ją do skórzanego obicia sofy.

Cudownie było czuć ciężar jego ciała. Żarliwość jego pocałunków i pieszczot sprawiła, że Sheridan stopniała jak wosk. Usta nakazywały posłuch, plądrowały, szukały resztek oporu i natychmiast je unicestwiałały.

Jedwabiste włosy muskały jej skórę, usta błądziły po szyi. W tym, jak jej dotykał, nie było czułości, tylko pierwotna żądza, bliźniaczo podobna do jej własnej. Nawet w największym gniewie nie mogłaby się wyprzec tego, jak wielkie budził w niej pożądanie.

Rozdarła na nim koszulę jak dzikuska. Łaknęła dotyku jego ciała, twardego i szerokiego torsu, silnych mięśni ramion.

Ledwie tknął guzików jej koszuli, a w czarodziejski sposób były już rozpięte. Chwycił za poły i szarpnął; trzask rwącego się materiału zabrzmiał w wysoko sklepionym pomieszczeniu jak wystrzał. Jęknęła, lecz zdławił jej jęk pocałunkiem.

Sutki naprężyły się jej boleśnie, lecz ból minął, ledwie przywarł do nich wargami. Ssał, a ona coraz bardziej się zapamiętywała we własnych doznaniach. Odgięła głowę i językiem witała każde nowe dotknięcie, które przeszywało jej ciało elektryzującą rozkoszą.

Wygięła plecy w łuk. Wsunął pod nią ręce i przygarnął mocniej do siebie, moszcząc się między jej udami, roztrzęsiony jak w gorąccze.

Objął palcami jej kostkę. To ścisnął, to gładził miękkie ciało, wodząc dłonią ku kształtnemu kolanu, potem po zewnętrznej stronie uda, ku pośladkom. Zaczął się bezwiednie kołysać, a ona poruszała się w tym samym rytmie.

Nagrodził ją zdławionym jękiem. Ciepły oddech owiał jej sutek i poczuła, że napinają się w niej wszystkie mięśnie. Rozpętała się w niej burza, przed którą schronić się mogła jedynie w jego ramionach.

Jęknęła głucho, gdy poderwał ją z sofy. Oplotła go w pasie nogami; koszula wisiała na niej, podarta w strzępy, spódnice miała zadartą po uda, sutki naprężone, obrzmiałe i obolałe, tak bardzo spragnione pieśczoł.

Kiedy musnął je językiem, rozlała się po niej tak wstrząsająca przyjemność, że omal nie osunęła się na podłogę. Przytrzymał ją jedną ręką, drugą wsunął między jej uda i zaczął ją pieścić, to rozmyślnie powoli, to gorączkowo, aż szalejąca w niej burza sięgnęła zenitu. Kiedy niespodziewanie przestał, pomyślała, że chyba umiera.

Potem Nicholas uniósł ją i wypełnił sobą, wbił się w nią tak mocno, że krzyknęła.

Oparł rękę na jej karku i zamknął usta pocałunkiem, który przenikał na wskroś.

- Aleś ty piękna - wyszeptał, a Sheridan poczuła, że dusza w niej śpiewa.

Duże, silne ręce przywarły do jej talii, wyznaczając rytm. W górę, w dół. W górę, w dół.

Wbiła palce w skórzane obicie, poruszając się nieprzerwanie. Czysta, niezmacona rozkosz. Ona była tu panią. Ona decydowała, kiedy, gdzie i jak.

Z twarzą zastygłą w maskę przyjemności przemieszanej z udręką położył głowę na oparciu sofy. Sheridan nie odrywała od niego oczu, rozkoszując się reakcją na każdą zmianę w sposobie, w jaki się poruszała. Jakby wstąpił w nią demon - pragnęła, żeby Nicholas się wił, żeby cierpiał, żeby ta przejmująca, piękna agonია trwała jak najdłużej.

Raptem otworzył oczy i spojrzał na nią przesywajaco. Oplótł ją ramionami w talii i podniósł się z sofy.

- Obejmij mnie nogami.

Przejmująca rozkosz targnęła całym jestestwem Sheridan; pierwszy raz był w niej tak głęboko. Jego silne ciało fascynowało ją. Poczuła, że ją gdzieś niesie, potem chłodną ściannę pod plecami, a on znów wbijał się w nią, kołysał w ramionach, jakby ważyła mniej niż piórko, i znowu panował nad wszystkim, co się działo.

Odchodziła od zmysłów. Rozkosz spiętrzała się w niej, aż sięgnęła zenitu. Oddech uwiązał jej w piersi i zwiotczała mu w ramionach. On nadal poruszał się gorączkowo. Czoło lśniło mu od potu, koszula kleiła się do ciała. Pchnął jeszcze jeden, ostatni raz i jękiem obwieścił własną kulminację.

Sheridan zawisła na nim, tak osłabła, że osunęłyby się chyba na podłogę, gdyby jej nie podtrzymywał. Nicholas cmoknął ją w roztargnieniu w skroń. Przez chwilę napawała się tym bezwiednym gestem czułości, niemal natychmiast jednak ściągnęły ją na ziemię wyrzuty sumienia.

Jak mogła ulec tak łatwo? Uśmiech i pocałunek wystarczyły, by wywietrzyły jej z głowy wszystkie pretensje?

Tylko co za sens miało zadawanie sobie tego pytania?

Przecież znała odpowiedź. Była w Nicholasie zakochana. Jeśli cokolwiek, to jedynie czas i odległość mogły kiedykolwiek ten fakt zmienić. Nie myliła namiętności z miłością, wdzięczności za przyjemność, jaką jej dawał, ze szczerą troską.

Wysunął się z niej delikatnie i pochylił się, by dotknęła stopami posadzki. Jednak nie puścił jej ani się nie odsunął. Wpatrywał się w nią tylko bez słowa, a w jego oczach malowało się uczucie, którego Sheridan bała się nazywać. Miętko, niemal nabożnym gestem odgarnął jej włosy z twarzy.

- Przepraszam - mruknął. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Pierwszy raz w życiu zupełnie nad sobą nie panowałem. To takie... do mnie niepodobne.

Sheridan nie chciała jego przeprosin. Nie chciała patrzeć

na jego minę, po części zdziwioną, po części zażenowaną, i zastanawiać się, skąd w jego oczach tyle smutku... smutku który ponownie zagościł i w jej sercu.

Odsunęła się od niego. Z plecami przyciśniętymi do ściany patrzyła oskarżycielsko, z potępieniem... i niemym błaganiem, by przestał ją dręczyć.

Chciał podać jej rękę, ale tylko się skuliła.

- Sheridan... - powiedział tonem prośby.

Zrobiło się jej niedobrze. Nie! Wszystko, tylko nie mdłości. Nie tu. Nie teraz.

Nie w obecności tego człowieka!

Odepchnęła się od ściany, jedną ręką przyciskając do pierśsi koszulę, drugą pośpiesznie szarpnęła za klamkę. Wypadła do ciemnego korytarza, modląc się, by nie natknąć się na nikogo, kto mógłby się domyślić, skąd wracała i co przed chwilą się stało. Kto szczydziłby z jej hańby. Śmiał się z wewnętrznej słabości, od której nie umiała się uwolnić od chwili, gdy ujrzała Nicholasa po raz pierwszy.

Uciekała przed nim.

Uciekała przed samą sobą.

Nicholas pobiegł za nią, ale zatrzymał się przed schodami i patrzył, jak znika mu z oczu, pozostawiając po sobie słabą woń kwiatów i wspomnienie barwy szkarłatu i purpury, jakby zrodziła się w jego wyobraźni i w niej tylko istniała.

Pojmował, że to od niego chciała uciec, że sam ją od siebie odepchnął, choć pragnął jedynie przycisnąć ją do serca i trzymać w ramionach, póki świat się nie skończy.

Dlaczego brakowało mu siły woli, by pozwolić jej odejść? Zostawić ją w spokoju? Położyć kres własnej udźce, ale i jej. Całe to szaleństwo mogło się zakończyć tylko złamaniem czyjegoś serca.

Nigdy dotąd nie zastanowił się nad kaprysmi losu, które uczyniły go takim człowiekiem, jakim był, nad swoim płynącym z głębi serca pragnieniem znalezienia kobiety, która go dopełni, będzie mu towarzyszyć przez życie. Jeśli jednak

chciał kiedykolwiek przestać obawiać się tego, co kobieca niewierność może uczynić mężczyźnie, zerwać okowy, które pętały jego duszę, był ku temu ostatni dzwonek.

Ale, jak mu Bóg miły, Sheridan go przerażała.

To, co do niej czuł, było zbyt silne, zbyt zniewalające, by nie groziła mu zguba, gdyby okazał się na tyle głupi, żeby oddać jej serce - a tego właśnie pragnął.

I nie zamierzał się niczego wypierać. Dławił w sobie to uczucie od chwili, gdy na pokładzie tamtego statku ujrzął piękną dziewczynę o twarzy dziecka, i to wyniszczało go od wewnątrz, rozdzierało duszę na krwawiące strzępy, kawałek po kawałeczku.

Rozłąka. Oto czego potrzebował. Trochę czasu do namysłu. Czasu, by zapomnieć.

Żeby raz na zawsze uwolnić się od Sheridan.

Nazajutrz skoro świt wyjedzie do Silver Hills.

Powlókł się na górę. Chciał się położyć do łóżka i przeczekać kolejną bezsenność, nagle jednak ogarnęła go dziwna pewność, że na próżno szuka ratunku, że Sheridan wrosła w niego tak dalece, że stała się częścią jego samego, i ani czas, ani rozłąka nie mogły tej prawdy zmienić.

17

- Razem? Jak to, jedziemy razem?

Nicholas wybałuszał oczy na kuzynkę, która stała na samym środku holu, obstawiona po bokach walizkami, nieskazitelnie uczesana, w przekrzywionym kapeluszu z piórkami i w dobranej do sukni pelisie zarzuconej na ramiona. Jej brzuch, jak się wydawało, przez noc zdążył nabrać jeszcze bardziej imponujących rozmiarów.

Przejrzyste oczy **Jules** świdrowały go uparcie, żądając - w typowy dla Jules sposób - żeby tylko spróbował zaprzeczyć, iż w błąd, mglisty świt zamierzał wymknąć się z domu, pozostawiając jedynie kartkę z kilkoma pośpiesznie skreślonymi słowami, w których informował ją o swoim wyjeździe. Ale Ho-Sing, jego przyszły *były* majordomus, oczywiście zaraz na niego doniósł.

- Nie przypuszczałeś chyba, że tu zostaniemy, prawda?

Słyszając to „my” w „zostaniemy” Nicholas spojrzął z przestraszeniem ku schodom. Na górze stała Sheridan, blada na twarzy i z podkrążonymi oczami, jakby w ogóle nie spała - co oznaczałoby, że oka nie zmrużyły już dwie osoby. Mimo to wyglądała po prostu pięknie i na całkowicie dla niego nieosiągalną...

- Nie byłam w Silver Hills przez całe wieki - oświadczyła Jules. - Chcę pokazać Danny miejsce, w którym spędziłam parę najwspanialszych dni swojego życia.

- Ale ja...

- Zgaduję, że nie widziałeś potrzeby, by wystosować oficjalne zaproszenie z racji tego, że jesteśmy skoligaceni.

- Cóż, ja...

Jules uciszyła go uniesieniem ręki.

- Wyjaśnienia są zbędne. Jak widzisz, jesteśmy spakowane i gotowe do wyjazdu.

Nicholas przegarnął palcami włosy. Najwyraźniej kuzynka nie zamierzała udostępnić mu bodaj haustu powietrza, by mógł wygłosić swoje racje. Gdyby nie była aż tak bardzo... jak by to określić, brzemienne, może znalazłby jakiś punkt zaczepienia, ale ilekroć na nią spojrzął, taką kruchą i bezradną - i *okrągłą* - zmieniał się w dwustufuntową galarete.

- Myślisz, że powinnaś podróżować w twoim stanie? - spytał ze szczerą troską o jej zdrowie. William wygiąłby go na kształt podkowy, gdyby Nicholas dopuścił, by cokolwiek przydarzyło się jego Jules.

- Nic mi nie jest - zapewniła aż nazbyt szybko. - Poza tym jedziemy do Kent. Trudno to nazwać długą podróżą.

- A co z Williamem? W ostatnim liście pisał, że wybiera się do Londynu i nie odstąpi cię na krok do czasu narodzin dziecka.

- Już się tym zajęłam. Napisałam do Williama dziś rano i poprosiłam, żeby przyjechał do Silver Hills zamiast do Londynu. - Jules podeszła do kuzyna, brodząc wśród stert bagaży, i objęła go ramieniem, uśmiechnięta. - Będzie jak za starych czasów.

Nicholas skrzywił się. Jeśli pamięć go nie zawodziła, właściwie to wszystko się na nim skrupiało w owych „starych czasach”.

I po dziś dzień nic się nie zmieniło.

Nicholas westchnął ciężko. Silver Hills, jego wymarzona oaza, jego Shangri-la i niepodległe królestwo, w którym miał sprawować niepodzielne rządy, zaczęło blaknąć i odpływać w siną dal. W uszach znowu rozbrzmiały mu słowa wuja Finny'ego.

„Nie wychylaj się, chłopcze... nie wychylaj się”.

Obserwując zmieniającą się za oknem scenerię, Sheridan poczuła, że zaczy na odżywać, wydobywać się z czarnej rozpaczki, która towarzyszyła jej przez całą noc i większość ranka, kiedy bez końca rozpamiętywała chwile w objęciach Nicholasa.

Zadrzała i mocno objęła się ramionami; wróciła fala wspomnień. Chłodne powietrze na skórze było jak muśnięcie jego warg i szeptane cicho słowa. Promienie słońca wpadające ukośnie przez okno zdały się jej ciepłe jak jego ciało. Wciąż jeszcze czuła na sobie jego dłonie, zupełnie jakby nadal byli spleceni w ciasnym uścisku.

Jakże bardzo chciała zaoponować, kiedy Jules jej oznajmiła, że wyjeżdżają rano z Nicholasem do Silver Hills. Jakże bardzo Sheridan pragnęła zwierzyć się przyjaciółce, wyjaśnić Jules, dlaczego nie może jechać, nie może być blisko Nicholasa. Chciała obnażyć przed Jules serce i duszę.

Ale nie mogła. Nie potrafiła przysparzać przyjaciółce zmartwień, nie w jej stanie, nie wówczas, gdy to Sheridan musiała być silna za dwoje.

Nie wówczas, gdy sama miała niebawem zostać matką.

Sheridan zamknęła oczy; zbliżała się kolejna fala nudności. Wszystkie objawy się zgadzały. Była w ciąży. Być może zdawała sobie z tego sprawę od samego początku, tyle że umysł nie chciał pogodzić się z prawdą, którą dobrze znało serce.

Dziecko Nicholasa.

Sama myśl o tym, że nosi w sobie jego dziecko, radowała ją bezbrzeżnie, choć równocześnie przerażała. Skoro nie może mieć Nicholasa, mogła przynajmniej mieć małą, cudowną cząstkę jego samego.

Ale jak wychowa to dziecko sama? Jak obroni je przed światem, który gardził jej ludem, a dla niej samej w tak ciężkim położeniu będzie mieć tylko złe słowo? Jej decyzja pozbawi to dziecko ojca. Uczyni z niego bękarta.

Nie mogła bowiem powiedzieć Nicholasowi o swoim stanie. Uznałby, że jego obowiązkiem jest się z nią ożenić, i choć marzyła o tym, by zostać jego żoną, pragnęła, aby oświadczył się z miłości i tylko z miłości. Nie dlatego, że czułby się do tego zobligowany.

Z drugiej strony myśl, że pozbawiając Nicholasa dziecka, pozbawia dziecko ojca, nie przestawała jej prześladować, sprawiała, że traciła wiarę w słuszność swej decyzji. Ręce się jej same zaciskały.

Czyż każde dziecko nie ma prawa do dwojga kochających rodziców? Do części z matki i z ojca? Do tego, by poznać swoje dziedzictwo? Co miałyby powiedzieć swojemu synowi czy córce, kiedy usłyszy pytanie, gdzie tata?

Sheridan wiedziała, że Nicholas kocha dzieci. Jak by się czuł, gdyby kiedykolwiek odkrył, że minęła go szansa bycia rodzicem? Czy potępiłby Sheridan? Znienawidził na wieki? Może i nie był w stanie dać jej miłości, ale wzgardy nie potrafiłaby znieść.

- Jesteśmy na miejscu.

Miękki głos Jules wytrącił Sheridan z zadumy. Powróciła do rzeczywistości.

Spojrzała przed siebie i oniemiała. Było tak, jakby nagle utworzył się przed nią zupełnie nowy świat, świat oszałamiającego piękna i rajskiego wdzięku.

Krajobraz - feeria soczystych, intensywnych odcieni zieleni - rozciągał się jak okiem sięgnąć. W dali wnosił się zamek z bajki, o okrągłych basztach i wieżyczkach wyzierających pomiędzy drzew. Przyszło jej na myśl, że kiedyś, w zamierzonych czasach, na którymś z balkonów zamku piękna dama czekała z wytęsknieniem na powrót swojego rycerza. Średniowieczny splendor i ponadczasowe rzemiosło. Nie śmiała mrugnąć, przejęta lękiem, że cudny widok zniknie.

Powóz toczył się po nierównej drodze, pokonując łagodne wzniesienie terenu, ku skalistemu przesmykowi między stromym urwiskiem, jakim kończyło się pasmo wzgórz po lewej, a występem skalnym, ciemnym i strzelistym, po prawej.

Potem przejechał wzdłuż okalającego park kamiennego muru, po którym to tu, to tam pięł się ku niebu bluszcz, następnie przez płytki bród, i dalej, porośniętą przez trawę drogą, wijącą się i krętą, w kierunku zamku przycupniętego w cieniu wielkiego lasu.

Ujechali jeszcze kawałek; droga wiodła teraz obrzeżem przepastnej doliny porośniętej leszczyną, karłowatymi świerkami i ciernistymi zaroślami. Drzwi frontowe sennej, milczącej budowli otwierały się na fosę. Majestatyczny las i pojedyncze wielkie drzewa okalały zamek, podwórze i stajnie.

W powietrzu niosło się nieprzebrane bogactwo woni: róż, bukszpanu, azalii, wisterii, lilii wodnych i rzadko spotykanych krzewów.

Rozpromieniona twarz Jules znalazła się tuż przy twarzy Sheridan.

- Tam, za tymi krzewami, ciągnie się mnóstwo uroczych ścieżek - Jules wskazała ręką kierunek. - Jako dziecko uwielbiałam spacerować po tych brukowanych drózkach, a kiedy zniktałam wśród zieleni, czułam się, jakbym wkraczała do zupełnie innego świata. Nie ma drugiego takiego miejsca jak Silver Hills.

Sheridan milcząco przyznała jej rację.

Powóz zatrzymał się łagodnie przed mostem zwodzonym. Sheridan czuła się jak wrośnięta w siedzenie pojazdu. Z otwartymi ustami chłoneła przepych budowli, niespotykaną maestrię, z jaką wzniesiono ją ze zwykłych kamieni i spoiwa.

Cichy, serdeczny śmiech przerwał jej oględziny. Nicholas otworzył drzwiczki powozu i czekał z wyciągniętą ręką.

- Witaj w moim domu, Sheridan Delaney.

Jego dom. Dom, którego ona odmówi ich synowi albo córce, wracając do Bostonu. Cudowny dom z przeszłością i duszą.

Do którego jej dziecko ma przyrodzone prawa.

Chichot Jules mieszał się ze śmiechem Nicholasa; musiała trącić przyjaciółkę, by ta ruszyła się z miejsca. Sheridan wpatrywała się w dłoń Nicholasa, ale bała się go dotknąć. Wiedziała, jak wiele potrafiło zmienić jedno dotknięcie, z jaką łatwością mógłby skruszyć jej postanowienie.

Z namysłem umieściła rękę na jego dłoni. Ciepłe, delikatne palce zacisnęły się na niej, osłaniając ją, chroniąc. Bezpieczna. Czuła się bezpieczna. Wysiadła i stanęła tak blisko, że zetknęli się czubkami butów. Uśmiechnął się i ten uśmiech ogrzał jej serce jak ostatni promień jesiennego słońca.

Było zupełnie tak, jakby Sheridan znalazła się pod władzą jakiegoś zaklęcia. A zaklęcie to oplatało ją coraz ciaśniejszą siecią od chwili, gdy Nicholas wsunął sobie jej dłoń pod ramię. Przez tę jedną cudowną chwilę czuła się tak, jakby stanowiła część tego zamku. Jakby tutaj było jej miejsce.

A ona sama była królową z bajki.

Bogato, wręcz misternie zdobione podwójne drzwi rozwarły się powoli. W progu, w dumnej pozie, stał Emery, spowity w całą swoją niegdysiejszą chwałę, oczekując przybycia chlebobawcy. Staruszek zgiął się wpół i zaprosił ich do środka. Niczym para wielkich dostojników Sheridan i Nicholas przeszli w głąb okrągłego, wysoko sklepionego pomieszczenia.

Sheridan chłoneła wspaniałość wnętrza z ogromnymi z podziwu oczami.

- W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego.

Nicholas uściśnął jej rękę. Kiedy spojrzała na niego, na jego twarzy malowała się duma. Nie sposób było nie zauważyć, jak bardzo kochał to miejsce.

- Mówię to samo, ilekroć widzę te poczciwe stare kąty. Kiedy tu jestem, nic nie istnieje oprócz tego małego skrawka nieba. Chodź. - Niczym podekscytowany chłopczyk pociągnął ją w kierunku bawialni. - Nazywamy ten pokój Rajem.

Sheridan nietrudno było zrozumieć, dlaczego. Łukowate sklepienie sufitu pokrywały malowidła przedstawiające stada ptaków, od malusieńkich po ogromne, w najróżniejszych kolorach. Ściany ozdobione były ilustracjami z bajek Ezopa. Sheridan czuła się tak, jakby wstąpiła właśnie do ogrodu Eden. Uczta dla zmysłów.

Wskazując co ciekawsze szczegóły, Nicholas opowiadał jej o innych pomieszczeniach, których wystrój obracał się wokół określonego tematu: symboli astrologicznych, stworzeń, pór roku, postaci biblijnych w pozłacanych szatach, motywów mauryjskich i heraldyki. Splendor i dekadencja, tak to określał.

Potem pokazał jej bibliotekę z niezliczoną ilością półek obładowanych książkami pod sam sufit. W niszy w jednej ze ścian stał gigantyczny marmurowy kominek. Za witrażowymi drzwiami szemrały dwie fontanny, tonące w morzu zieleni.

Jules wymówiła się zdawkowo od wycieczki po zamku; twierdziła, że chce się rozpakować. Ale Sheridan widziała, że jazda bardzo przyjaciółkę zmęczyła. Kiedy Jules przelotnie wzięła ją za rękę, Sheridan doznała przedziwnego wrażenia: ścisnęło się jej w żołądku, a serce zaczęło bić na alarm. Ujrzała wykrzywioną z bólu twarz przyjaciółki. Czas się zbliżał.

Odprowadzając Jules zatroskanym spojrzeniem, Sheridan zapragnęła nagle powiedzieć o wszystkim Nicholasowi, uprzedzić go o tym, co miało nadejść. Powinien być przygotowany, tak na wszelki wypadek.

W końcu jednak powstrzymała się i zamknęła prawdę w swoim sercu jak w szkatule z zamiarem wyjawienia jej

przy lepszej okazji. Bądź co bądź Jules tyle razy prosiła, żeby nie martwić jej kuzyna czymś, co może przecież nigdy się nie zdarzyć.

Wprawdzie w oczach Jules Sheridan dostrzegała niepokój, który przeczył jej słowom, ale nie chciała rozbudzać obaw przyjaciółki rozwodzeniem się nad swoimi złymi przeczuciami.

Tym bardziej że zamierzała przecież być przy porodzie, a w okolicy mieszkał doktor, jak mówiła Jules. Sheridan wiedziała, że da sobie radę ze wszystkim, co może się przydarzyć, do jego przyjazdu. Asystowała już przy kilku porodach.

Raz dziecko urodziło się martwe.

Szybko otrząsnęła się z czarnych myśli. Jules i jej dziecku nic się nie stanie. Już ona się o to postara.

Spojrzała na stojący w głębi pomieszczenia stolik o blacie w kształcie półksiężyca i znajomy kształt przykuł jej uwagę: przedmiot, jakiego nie spodziewała się zobaczyć w domu Nicholasa.

- Krzyż celtycki.

Nicholas powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem; ucieszyła go radość bijąca z wyrazistej twarzy dziewczyny. Cieszył się nią. Potrzeba tupania nogami i wyklinania na los, który wpakował mu na kark dwie baby, znikła bez śladu.

- Prawdziwe cacko - powiedziała cicho, oglądając go z uwagą.

Ojciec Nicholasa przywiózł go z Irlandii, dokąd udał się tuż przed swoją śmiercią, żeby oszacować stan ich tamtejszej rezydencji.

Rezydencji, która stała się własnością Nicholasa.

Jak na ironię, Damien przekazał Nicholasowi nieruchomości i grunty w Irlandii - tyle że Nicholasowi zupełnie wyleciało to z głowy.

Damien traktował całą tę sprawę jako swoisty żarcik. Uznał, że to właśnie Nicholasowi powinna przypaść w udziale irlandzka posiadłość, kiedy dowiedział się, że brat gości pod swoim dachem przybyszy z Irlandii. Toteż dom

i ziemię w Walii podarował Grayowi, Nicholasowi zaś dostała się Mulholland Manor, co nadawało mu dokładnie taki status, przed jakim najbardziej się wzdragał.

Posiadacza ziemskiego, wyzyskującego irlandzkich chłopów.

Od momentu podpisania dokumentów w głowie nieustannie dźwięczały mu słowa Sheridan.

„Gdybyś był jednym z tych znienawidzonych obszarników, to co innego. Wtedy miałabym do ciebie pretensje”.

Nicholas stał u jej boku. Starał się nie dostrzegać, jaka jest śliczna, nie myśleć, jak cudownie się czuł, kiedy miał ją blisko. Jak miałby jej kiedykolwiek powiedzieć o swoim najnowszym nabytku? Widział niemal wyraz jej twarzy, pobladłej z szoku, o niewidzących oczach. Potem gniewnej.

Później zaś pełnej bolesnego zawodu, niemo oskarżającej. Uczucia, którymi go darzyła, jakkolwiek by je nazwać, przerodziłyby się w nienawiść. Obojętnie, jak by się tłumaczył, nadal pozostałby kimś, kto zasługuje na największą nienawiść.

Sheridan powiodła palcami po twarzach cherubinków, którymi ozdobione były cztery końce krzyża.

- Skąd go masz?

Nicholas uzmysłowił sobie, że dzięki temu pytaniu zyskał punkt zaczepienia, którego potrzebował, żeby powiedzieć jej o Mulholland Manor, wytłumaczyć, jak wszedł w posiadanie tej rezydencji.

Ale dlaczego miałby się tłumaczyć? Mógł mieć ziemię, gdzie mu się żywnie podobało, do diabła. Przecież to nie było tak, jakby oszukiwał ją celowo.

Przyszło mu do głowy, że może właśnie takie zrządzenie losu było mu potrzebne, żeby zniszczyć to, co zaczynało go łączyć z Sheridan, cokolwiek to było, zerwać więź, jakiej nigdy nie czuł z żadną inną kobietą.

I skoro tak, to czemu zależało mu na tym, by powiedzieć jej o nowej posiadłości w jak najdelikatniejszy sposób, upewnić się, że dobrze to rozumiała? Być może lepiej, żeby nie zastanawiał się zbyt dokładnie nad pobudkami swego postępowania.

- Krzyż jest w naszej rodzinie od bardzo dawna - odparł wymijająco.

Z ukłuciem w sercu przyglądał się jej profilowi, pełnemu harmonii i piękna. Bezwiednie uniósł rękę, zdjęty pragnieniem, by odgarnąć jej z twarzy kosmyk, który muskał pieszczotliwie jej policzki. Natychmiast jednak zacisnął palce i opuścił rękę wzdłuż ciała.

Musiał wydostać się stąd, nim zrobi coś głupiego, a to w obecności Sheridan przydarzało mu się aż nazbyt często. Najlepszym lekarstwem wydała mu się przejażdżka na Narcissusie - puścić się galopem przez pola, gnać na złamanie karku przez wzgórza ku urwiskom i mieć nadzieję, że można uciec przed ścigającymi go demonami.

Czuł na sobie wzrok Sheridan. Za późno na odwrót. Uwięziło go spojrzenie fioletowych oczu podobnych dwóm drogocennym klejnotom. Smutek, jaki z nich wyzierał, wstrząsnął nim do głębi. Czy to on był jego powodem? Bóg wie, że miał na sumieniu postęпки i słowa, których gorzko żałował.

Kruczość postaci Sheridan, wyraz bezradności na jej twarzy podkopały jego przekonanie o słuszności podjętych przez siebie decyzji, które miały nadać kształt całemu jego życiu, przyszłości.

Dlaczego bowiem nie miałyby spróbować z Sheridan? Może gdyby trzymał kciuki i dał jej całą miłość, na jaką tylko było go stać, odwzajemniłaby ją i została z nim do końca życia. Nie zdradziłaby i nie złamała mu serca.

Bo to, że istniała między nimi szczególna więź, nie ulegało wątpliwości. Musiałyby tylko zapomnieć o przeszłości i otworzyć się na to, co niesie przyszłość, wyrzucić z pamięci bezdusność matki i to, jak powolnie wyniszczała ojca.

Sheridan nie jest jego matką, on nie jest swoim ojcem. I nie zamierzał pozwolić, by jemu i Danny przydarzyło się to samo, co jego rodzicom. Będzie panował nad sytuacją.

Panował. Nad Sheridan Delaney, nieokiełznaną Sheridan. Niszczącą owoce, ciskającą butami, obdarzoną ogni-

stym temperamentem, miotającą obelgi Sheridan Delaney.

Spróbuj.

Głos, donośny, chrapliwy i do uprzykrzenia wręcz znajomy, rozbrzmiał echem w korytarzu i nadzieja pierzchła, spłoszona.

Przybyli wuj Finny i ciotka Aggie, najbliżsi krewni Śmierci i Zniszczenia.

Nicholas westchnął ciężko; dumał, dlaczego ci, którzy najmniej wiedzą, zawsze „wiedzą” najgłośniej.

Odsunął się od Sheridan, rozmyślając nad szaleństwem, jakiego omal nie popełnił, nad tym, na co chciał się zdecydować. Musiał ochłonać, побыć w samotności i dokładnie wiedział, gdzie jej szukać. Zakręcił się na pięcie i w pośpiechu wypadł na korytarz.

18

- Jezu słodki, co się stało? - wykrzyknął Nicholas, widząc, jak jego wielokrotnie nagradzany ogier, arab o imieniu Narcissus, przyku. Nie udało mu się to tylko dlatego, że główny koniuszy wisiał niemal na lejcach. Nicholas podbiegł, żeby pomóc, i we dwóch jakoś postawili konia do pionowej pozycji.

- Chwała Bogu, że jaśnie pan przyszedł - wysapał koniuszy imieniem Jeremiah. Czoło młodego mężczyzny pokryła sieć zmarszczek, w oczach malowała się obawa. - Jeszcze przed chwilą Narcissus miał się świetnie. Poćwiczyłem z nim na padoku i odprowadziłem do jego boksu. Wyszedłem tylko na moment, żeby zajrzeć do Grayfriara. Wracam i widzę, że Narcissus skubie się zębami po bokach.

Nicholasowi wystarczył ten jeden objaw - wróżył on cho-

robę, której nieprzewidywalny przebieg przyprawiał hodowców koni o zimny pot.

Kolka.

Chorobie tej przypisywano rozmaite przyczyny, zgadzano się tylko co do tego, że zwierzę może na nią zapaść właściwie w każdej chwili, a zapowiadają ją nieliczne, jeśli jakiegokolwiek, objawy.

Narcissus musiał być w ciągłym ruchu. Gdyby się położył, zaczęłyby się tarzać, a gdyby się tarzał, mogłoby dojść do skrętu kiszek. To zaś mogło pociągnąć za sobą śmierć.

- Dostał do jedzenia coś innego niż zwykle? - spytał Nicholas, obmacując brzuch zwierzęcia: jak stwierdził, był twardy i wzdęty.

- A gdzie tam, jaśnie panie. Brykał całe rano, jakby wiedział, że jaśnie pan do nas zawita.

- Jakies zmiany w boksie?

Jeremiah potrząsnął głową.

- Wszystko jest dokładnie tak jak zawsze, proszę jaśnie pana.

Nicholas wpatrywał się w duże, przerażone oczy konia i głąskał go po szlachetnej, aksamitnej szyi.

- Posłałeś po Timmonsa?

- Tak, jaśnie panie, ale...

- Ale co?

- No, wezwali go do innego nagłego wypadku i nie wie, kiedy będzie mógł przyjechać.

Nicholas zazgrzytał zębami. Nie powinien się dziwić, że Timmons miał inne zajęcia, zważywszy że był jedynym weterynarzem w promieniu pięćdziesięciu mil.

Na szczęście nieobecność Timmonsa nie pociągała za sobą poważniejszych konsekwencji. Nicholas wiedział o koniach tyle, co większość ludzi, jeśli nie więcej, z racji tego, że hodował je i zajmował się nimi przez większą część swojego życia. Narcissus raz już przechodził kolkę i Nicholas wyciągnął go z niej bez niczyjej pomocy. Mógł raz, może i drugi.

Zrzucił z siebie kurtkę i podwinął rękawy koszuli.

- Wygląda na to, że jest nas dwóch do tej roboty - stwierdził. Zirytowany upartym milczeniem Jeremiaha, spojrział na niego ze złością. Mina koniuszego sprawiła, że dosłownie struchlał: - W czym rzecz?

- Narcissus nie jest jedyny. - Jeremiah kiwnął głową w kierunku innego boksu. - Eclipse ma to samo.

Nicholas przegarnął ręką włosy. Jego dwa najlepsze konie. A niech to szlag! Narcissus i Eclipse były filarami jego hodowli. Miłośnicy koni ściągali ze wszystkich stron świata, żeby kupić szybkoconego źrebaka po jednym z tych ogierów.

Gdyby Nicholas je utracił, straciłby nie tylko dwa wspaniałe zwierzęta, które stały się nieodłączną częścią jego życia, ale i istotną część swoich dochodów.

Wyraz oczu Jeremiaha zapowiadał jednak, że to nie koniec złych wieści.

- Co jeszcze?

- Wind Dancer.

Nicholas napiął się wewnątrz. Wind Dancer, brzemienna klacz nosząca źrebię po Narcissusie.

- Zaczęła się źrebić.

- Skończyła panienka?

Sheridan podskoczyła, przestraszona tubalnym głosem kamerdynera. Stał w dystyngowanej pozie koło jej krzesła, odziany w szmaragdowo-złotą liberię z błyszczącymi guzikami, z wyciągniętą przed siebie ręką w nieskazitelnie białej rękawicze.

Potrwało chwilę, zanim Sheridan zorientowała się, o co mu chodzi. Spojrzała na swoje nakrycie: piękny porcelanowy talerz ze złotą obwódką, a na nim zimne, zastygłe jedzenie, obok nietknięte sztuce i wciąż pełny kieliszek wina. Dotychczas siedziała ze wzrokiem wbitym w jego szkarłatną głębię, obserwując zmieniające się jak w kalejdoskopie ponure obrazy.

- Ano, skończyłam.

Oszczędnymi ruchami, acz z wielką wprawą kamerdyner sprzątnął nakrycie ze stołu i zniknął za zmyślnie ukrytymi drzwiami, przypuszczalnie prowadzącymi do kuchni.

Do kolacji zasiadła samotnie, za to z ciężkim sercem. Jednak jej niepokój nie wynikał z faktu, że przyszło jej tkwić samej w pełnym przepychu wnętrzu za stołem zdolnym pomieścić dwa tuziny osób; Jules nawet się nie pokazała na dole, bo wcześniej położyła się spać. Nie, to było coś innego.

Czy jednak jej rozterki brały się z poczucia, że nadciąga jakaś katastrofa, z tego, że znowu dokuczały jej mdłości, czy też raczej stąd, że martwiła się o przyjaciółkę - na to pytanie sama nie umiała sobie odpowiedzieć. Niemniej wcale jej to nie uspokajało.

Kiedy wstawała od stołu, zaświtała jej w głowie absurdalna myśl, że niedoszłych wieczornych biesiadników pochłonał ogromny gmach. Musiało tu być mnóstwo bardziej intrygujących sekretnych przejść niż to do kuchni. Wcześniej Ho-Sing wprowadził ją w stan podziwu graniczącego z lękiem, demonstrując lichtarze, które naciśnięte przesuwają się, ukazując mroczne, kuszące ścieżki, czekające tylko na śmiałka, który odważyłby się sprawdzić, gdzie się kończą.

Ho-Sing napomknął także o niepryzwoitych incydentach, które wiązały się z istnieniem sieci sekretnych korytarzy - nocnych schadzkach niegdysiejszych żonatych panów tego domu z innymi kobietami.

Sheridan pomyślała, co by się stało, gdyby Nicholas przyszedł do niej jednym z tych pasaży, stanął w nogach łóżka, wysoki jak drzewo, mroczny, uwodzicielski. Na samą myśl przebiegł ją upojny dreszczyk.

Jakby się zachowała, gdyby te fantazje się urzeczywistniły? Czy ugięłaby się jak zawsze, kiedy jej dotykał? Czy też w końcu znalazłaby w sobie siłę, by go odepchnąć? Uznała, że lepiej nie poświęcać temu pytaniu zbyt wiele uwagi.

Sheridan przechadzała się po holu; nie spieszyło się jej z powrotem do wielkiego jak jaskinia pokoju, gdzie jej jedyną to-

warzyszką wydawała się smutna zaduma i gdzie czuła się tak jakby na jednym ramieniu siedział anioł, na drugim diabeł a ona miotała się, niepewna, czyich słuchać podszeptów.

Jej wzrok przyciągnął szereg portretów wiszących wzdłuż długich schodów. Machinalnie podeszła w tamtą stronę, szukając na płótnach jakiejś części Nicholasa. I w każdym odnajdywała któryś z jego rysów, a to charakterystyczny dołek w brodzie, a to szelmowski błysk w oczach, to znowu iście diabelski, uwodzicielski uśmiech.

Każdy z portretów opatrzony był imieniem osoby, której podobizna wзираła z połączonych ram. Malowidła przedstawiające Nicholasa i jego braci, Damiena i Graya, wisiały w jednym rzędzie, Nicholasa, jako najmłodszego, na samym końcu. Wszyscy trzej mieli identyczne przekorne uśmiechy; uroda ich młodzieńczych twarzy zapowiadała, na jak przystojnych wyrosną mężczyzn.

Sheridan zatrzymała się przed portretem ich rodziców. O dziwo, od razu poczuła sympatię do Nilesa Sinclaira. Nie był może atrakcyjny jako mężczyzna, lecz jego twarz należała do tych, które emanują miłością i pogodą ducha. A mimo to te znajome szmaragdowe oczy przyćmiewał smutek, tlił się w nich ból... ból, który raz czy dwa Sheridan dostrzegła przelotnie w oczach Nicholasa... bliźniaczo podobnych do oczu jego ojca.

Z kolei Beatrice Sinclair... Sheridan wzdrygnęła się i cofnęła o krok. Oczy matki Nicholasa wydawały się żywe, wbiły się w Sheridan jak dwa zimne ostrza.

Uśmiech nie opromieniał jej ust, skóra wokół oczu była zupełnie gładka, bez jednej choćby zmarszczki mówiącej o skłonności do śmiechu, minę miała cierpką. Jak się dorasta w cieniu takiej kobiety? Czy kiedykolwiek schyliła się, by uściskać swoje dzieci? Czy kiedykolwiek im powiedziała, jakie są cudowne? Jak bardzo je kocha?

Sheridan wątpiła w to, choć nie umiała sobie wytłumaczyć dlaczego. Jak taki człowiek jak Niles Sinclair, pełny życia,

mogący tak wiele ofiarować z siebie, mógł poślubić taką kobietę?

Być może Sheridan zbyt surowo oceniała lady Beatrice. Bo też i co można wywnioskować z portretu?

Kiedy jednak odwróciła się w drugą stronę, czuła na plecach przenikliwe spojrzenie, które zdawało się przypominać, iż nie jest tu mile widziana.

Co gorsza, zimne oczy zdawały się kryć w sobie tajemnicę... mroczny sekret z rodzaju tych, które ranią.

- Ach, tu panienka być!

Sheridan obejrzała się gwałtownie. Na szczycie schodów stał Ho-Sing w czerwonej, powłóczystej szacie. Blask świec kładł się na jego hebanowych włosach, w oczach iskrzyła się inteligencja, poczucie humoru i przekora.

Ho-Sing zszedł na dół i szybko do niej podszedł.

- Panienka być zmęczona?

- Nic mi nie jest - skłamała Sheridan, wciąż jeszcze pod wrażeniem nieprzejednanego wzroku lady Beatrice.

- Panienka tęsknić do pan szef.

- Akurat! - zaprzeczyła odrobinę zbyt gorliwie.

Ho-Sing kiwnął głową, lecz jego mina wyraźnie mówiła, że nie dał się przekonać.

- Pan szef być w stajnia.

- No to co? - Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Panienka zaraz do niego iść.

- Sam sobie idź - odparowała i zakłęta w duchu, zła, że w jej głosie zabrzmiała kaśliwa nuta.

- Panienka mu być potrzebna.

Nicholas jej potrzebował? Gdyby tylko mogła uwierzyć Ho-Singowi...

- On... on prosił, cobym przyszła?

Ho-Sing pokręcił głową, co wtrąciło Sheridan w jeszcze większe przygnębienie.

- Ho-Sing wiedzieć, że on panienki potrzebował. Ja to czuć. O, tu. - Poklepał się po piersi.

Sheridan także miała kiedyś taką nadzieję. Teraz chciała tylko wierzyć, że wybiła sobie z głowy wszystkie niedorzeczne mrzonki, choć wiedziała, że to niemożliwe.

- A czego on w ogóle szuka w stajni?

- Konie bardzo chore. Może nawet zdechnąć.

W drodze do Silver Hills Nicholas mówił o wielu sprawach; stawał się coraz bardziej ożywiony i wylewny, im mniejsza odległość dzieliła ich od celu podróży. Prześcigał się z Jules w opowieściach o minionym dzieciństwie, spędzonym na płataniu figli, dniach, kiedy zamykali Jules na poddaszu stodoły i rozgrywali pojedynki „na niby”, by odbić ją z rąk porywacza.

Jego zachowanie zmieniało się, ilekroć zaczynał mówić o koniach. Miłość, jaką darzył zwierzęta ze swojej stadniny, biła z każdego jego słowa. Można wręcz było odnieść wrażenie, że ilekroć Sheridan zaczynała wierzyć, że zdoła jakoś zdławić w sobie swoją niedorzeczną miłość do Nicholasa, on mówił lub robił coś takiego, co kazało jej kochać go jeszcze bardziej. Miał tyle wspaniałych cech. Żeby jeszcze znalazł w sobie odrobinę miłości.

Po raz setny zabroniła sobie takich marzeń. Pożegnała się szybko z Ho-Singiem, wypadła na dwór i pośpieszyła w kierunku stajni.

Ledwie widoczne chmury przesłaniały księżyc, gdy mknęła przez wysoką trawę. Wychowała się z końmi. Przez większość czasu to one były jej najbliższymi przyjaciółmi. Kiedy słyszała, że jakiś koń jest chory, i to tak bardzo, że grozi mu śmierć, krwawiło jej serce.

W chwili gdy Sheridan otworzyła wrota stajni, wiedziała już, że sytuacja jest poważna. Nicholas próbował skłonić pięknego karego ogiera do podniesienia się z ziemi. Zwierzę siedziało w dziwnej pozie na stercie siana, zupełnie jak pies. Nieopodal nieznany Sheridan mężczyzna oprowadzał cisawego ogiera.

- Co ty tu robisz? - warknął Nicholas, kiedy weszła do boksu, ledwie zaszczycając ją spojrzeniem.

Po nieskazitelnie odzianym dżentelmenie, który niedawno pokazywał jej swój dom, nie zostało nawet wspomnienie. W jego miejsce pojawił się mężczyzna o włosach tak potarganych, jakby cesał się patykiem, z mokrymi strąkami lepiącymi się do czoła.

Białą koszulę miał całą przepoconą i w plamach, których nie usunęłoby najdłuższe nawet pranie. Niegdyś wyglansowane buty do jazdy konnej były porysowane i uwalane błotem, czarne spodnie zakurzone i rozdarte na kolanie.

- Odsuń się! - krzyknął na nią. - Oberwałabyś tylko kopcem, a mnie nie trzeba teraz dodatkowych zmartwień.
- Sieć zmarszczek wokół jego oczu i ponuro zaciśnięte usta mówiły same za siebie. Sheridan pomyślała, że nie sposób gardzić kimś, komu los innej istoty tak dalece leży na sercu.

Taki człowiek kochałby swoje dziecko bardziej niż samo życie.

Sheridan skarciła się w duchu. To nie była właściwa chwila na roztrząsanie życiowych decyzji.

Wyprostowała plecy i stwierdziła sucho:

- Przyszłam pomóc.

Spodziewała się kolejnego napadu złości, lecz zobaczyła, że rysy mu miękną, a w zielonych oczach pojawia się dziwny błysk: był to ten sam smutek, ten sam ból, które malowały się w oczach jego ojca. Zapragnęła przytulić Nicholasa do piersi, przegnać precz wszystkie jego smutki i przejąć na siebie cały jego ból, nie wnikając w jego przyczynę.

- Znasz się na koniach?

Sheridan przypomniała sobie, że to samo pytanie zadał jej owego wieczoru, kiedy ich drogi spotkały się po raz pierwszy, wieczoru poprzedzającego noc, którą miała pamiętać do końca swojego życia, jakkolwiek by się potoczyło. Odpowiedziała tak samo jak wtedy:

- O tyle, o ile.

Uśmiechnął się blado i spojrzał na nią, a ona zatraciła się

w jego oczach, czując, jak pożądanie rozpływa się po niej niczym występująca z brzegów rzeka.

- No to dobrze. Przydałoby mi się trochę pomocy. - Jego następne słowa zdumiały ją. - Wiesz coś o porodach?

Poród. Dlaczego fakt, że użył właśnie tego słowa, odebrała jako zły omen?

Przełknęła ślinę.

- Chcesz powiedzieć, źrebieniu?

Skinał głową.

- Moja klacz, Wind Dancer, zaczęła się źrebić. Miała jeszcze cały miesiąc do rozwiązania. Myślę, że to zapach choroby tak ją przeraził, że rodzi przedwcześnie.

Przedwcześnie. Sheridan przymknęła na chwilę oczy, usiłując przegnać widmowe obrazy, które pchały się jej uparcie przed oczy, by ją prześladować. Jules. Przyjaciółka nie wytknęła nosa ze swojej sypialni przez większość dnia.

Kiedy Sheridan do niej zajrzała, Jules wydawała się nieco bledsza niż zwykle, usta miała zaciśnięte. Ale zarzekała się, że nic jej nie jest. Sheridan modliła się, by to była prawda.

- Dasz sobie radę z tą klaczą? - spytał Nicholas, przerywając jej zadumę. - Będę tuż, jakby co, pomogę.

Spojrzała na niego, zabawnie unosząc brew.

- My, Irlandczycy, znamy się na źrebieniu jak mała kto. Wyciągnę tego maluszka na świat szybciej, niż wujek Finny opróżnia kufel.

Nicholas miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak kiwnął głową, po czym ryknął znienacka:

- Jeremiah!

Zaszeleściło siano pod czyimiś stopami.

- Tak, jaśnie panie?

- Panna Delaney pomoże nam przy koniach.

Jeremiah wpatrywał się w nią, mrugając oczami, jakby fakt, iż pojawia się kobieta skłonna uwalac rączki brudną robotą w stajni, był zbyt niewiarygodny, by mógł go ogarnąć umysłem.

- Jak to, pomoże, jaśnie panie...?

- Normalnie, pomoże. - Nicholas zwrócił się twarzą w kierunku Sheridan. - Jeremiaś przyniesie ci wszystkie potrzebne rzeczy,

Sheridan odetchnęła głęboko, wstała i zaczęła wyliczać:

- No to tak, trzeba mi będzie zapasowej lampy, małych i dużych ręczników, czegoś do przywiązania ogona, jakichś rękawic, ostrego noża, wiadra ciepłej wody, igły i nici, waty i zegarka kieszonkowego. Och, i proszę dopilnować, żeby było pod dostatkiem świeżego siana na wyściółkę. Ale siana, bez żadnych patyków czy deszczułek.

Jeremiaś kiwnął głową i popędził po żądane przedmioty, a Sheridan została sama z Nicholasem, boleśnie wręcz tego świadoma. Masował konia po brzuchu, patrząc na nią z uwagą.

- Wiesz, co robisz. Jestem pod wrażeniem.

- A czegoś się spodziewał?

Wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. - Przyglądał się jej z zamyślonym wyrazem twarzy. - Zaczynam rozumieć, jak wielu rzeczy jeszcze o tobie nie wiem.

Sheridan w ostatniej chwili powstrzymała się przed wyjaśnieniem, że gdyby tylko zapytał, z chęcią powiedziała mu wszystko, co by go interesowało.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedział miękko.

- Na co?

- Żebym cię poznał.

Sheridan upomniała się, by nie dopatrywać się w jego słowach więcej, niż w nich jest w istocie.

- Co tu poznawać...

- Przypuszczam, że jest tego sporo. Dziewczyna taka jak ty ma zapewne na podorędziu tysiąc opowieści, a co jedna, to ciekawsza.

Sheridan wyprostowała się gniewnie.

- „Dziewczyna taka jak ja?” Niby jaka...

- Pełna życia, werwy, odwagi. Taka, która przetrwa wszystko.

Nie był to opis, jakiego Sheridan się spodziewała. Słodycz jego słów sprawiła, że dosłownie osłabła, zupełnie jakby uszło z niej powietrze.

- Nie taka znowu odważna.

- Dla mnie tak.

Była to dla Sheridan wyjątkowo trudna chwila; tak bardzo pragnęła zwierzyć się Nicholasowi, powiedzieć mu o życiu, które w niej dojrzewało. Wyznać mu, że będzie ojcem. Ale ani czas, ani miejsce nie były ku temu odpowiednie.

Gdzie jednak czekało owo „odpowiednie miejsce”? I kiedy przyjdzie „odpowiedni czas”? Nie umiała sobie na te pytania jednoznacznie odpowiedzieć. Może kiedy konie wrócą do zdrowia, uda się jej zostać przez chwilę sam na sam z Nicholasem. Powiedzieć mu, że nie oczekuje małżeństwa. Odrzuciłaby jego oświadczenia, bo pewnie poczułby się do nich zobligowany. Zgodzi się wyjść za mąż z miłości... i tylko z miłości.

A Nicholas może i jej pożądał, ale na pewno nie kochał.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosił. - O czym marzyłaś jako dziecko?

Marzenia. Sheridan nosiła ich w sercu tak wiele, że starczyłoby dla całej gromady. To z nich czerpała siłę, by nigdy się nie poddawać, z nich brała się jej wiara, że pewnego pięknego dnia osiągnie pełnię szczęścia. Choć to szczęście mierzyła niewygórowaną miarką.

Nie potrzebowała bogactwa. Nie pożądała dóbr materialnych. Nie marzyła o przyjęciach, sukniach i klejnotach.

Pragnęła prostych rzeczy. Małego domku przycupniętego wśród, irlandzkich wzgórz, może tyciego strumyczka szemrzącego nieopodal, chłodnego i zapraszającego do igraszek jej dzieci, a dzieci chciała mnóstwo - chłopczyków o piegowatych twarzyczkach i dziewczynek o różanych policzkach, które mówiłyby do niej: „Mamuś”.

Obsiadałyby ją przed kominkiem, tak jak ona i jej rodzeństwo garnęli się do matki, a ona opowiadałaby im baśnie

o krainie, w której nikt się nie starzał, a spełniały wszystkie, najbardziej nawet niedościgłe marzenia.

Opatulałyby je potem w łóżeczkach, każde ucałowała w czołko na dobranoc i z westchnieniem zamykała drzwi ich sypialni, szczęśliwa, że są całe i zdrowe.

Noc zaś należałyby do niej i jej męża.

Mąż, o przenikliwym spojrzeniu, wysoki, skąpany w poświęceniu z kominka i podobny złotemu bożkowi, rozwarłby ramiona i czekał. Sheridan uniosłaby kraj spódnicy i pomknęła prosto w jego stęsknione ramiona, wiedząc, że dom jest wszędzie tam, gdzie nie braknie jego.

Razem podeszliby do okna, by patrzeć, jak ostatnie różowe promienie słońca topnieją za widnokregiem, na spokojnie pasące się to tu, to tam piękne konie o aksamitnej sierści... ich konie, ich ziemia. Ich dom.

- Sheridan?

Potrząsnęła głową, stwierdzając ze zdumieniem, że myśli przeniosły ją w zupełnie inny świat. Podniosła wzrok i przekonała się, że Nicholas patrzy na nią, zatroskany.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Pokręciła tylko głową, bo głos odmówił jej posłuszeństwa. Odniosła wrażenie, że chciał jeszcze o coś zapytać, ale właśnie pojawił się Jeremiaś z rzeczami, o które prosiła; tylko to uratowało ją przed powrotem do krainy marzeń, w której mgliste zakątki bała się zapuszczać.

Kiedy weszła do boksu Wind Dancer, klacz zamrugowała wielkimi brązowymi oczami. Gładka mahoniowa sierść zwierzęcia połyskiwała w świetle lampy, brzuch sterczał, ciężki i obrzmiały; Sheridan wiedziała już, że rozwiązanie było tuż-tuż.

Jeśli to tylko możliwe, najlepiej pozwolić, żeby źrebię przyszło na świat bez niczyjej pomocy. Niepokoił jedynie fakt, że trwało to już tak długo.

- Już dobrze, moja śliczna - uspokajała Sheridan miękko; przyklekła przy łbie klaczy, ostrożnie, powoluteńku, żeby jej

nie przestraszyć. - Słodka z ciebie panienka, prawda? - Pogłaskała Wind Dancer po szyi. - Zaraz zostaniesz mamą. Och, sama zobaczysz, jakie to cudowne.

Brzuchem klaczy targnął skurcz. Sheridan przesunęła się i oparła dłonie na napiętych mięśniach zwierzęcia.

- Już dobrze, moja śliczna. Musisz zachować siły, coby wypchnąć na świat swoje maleństwo.

Poród zaczął się powoli; najpierw odeszły wody płodowe, przesycając siano, które klacz miała za podściótkę. Sheridan uprzątnęła je szybko i podesłała świeżym sianem.

Następnie ukazała się błona płodowa. Skurcze stały się gwałtowniejsze; Wind Dancer usiłowała wypchnąć źrebaka przez ciasne drogi rodne.

Kilkakrotnie Sheridan szykowała się do tego, by wkroczyć z pomocą. Za każdym razem jednak Wind Dancer okazywała się wystarczająco silna, by wszystko mogło przebiegać w naturalny sposób.

Proces zdawał się ciągnąć całymi godzinami, w końcu jednak pokazały się dwa małe kopytka, potem chrapki; źrebię było całe mokre i oklejone błonami płodowymi. Sheridan usunęła je z jego chrapek, żeby miało dostęp do powietrza.

Raptem Narcissus zarżał głośno. Wind Dancer, spłoszona, gwałtownie poruszyła łbem i wierzgnęła na osłep. Kopytem trafiła prosto w bok Sheridan, przyszpilając ją do ściany.

Sheridan z jękiem złapała się za bok. Rozmyślała gorączkowo o swoim dziecku i o tym, jaką krzywdę mogło zrobić takie silne uderzenie małej istotce, którą nosiła pod sercem. Zaciśnęła kurczowo powieki i zabroniła sobie czarnych myśli. Była silna i zdrowa. Nic jej nie będzie.

Czekała, aż ból zelżeje. Wiedziała, że Wind Dancer nie chciała jej zrobić krzywdy. Klacz była podenerwowana, a źrebak duży, co utrudniało poród. Sheridan nie przypuszczała, by jej obecność w czymkolwiek pomogła. Była dla klaczy kimś obcym.

Skulona, wróciła na posterunek i delikatnie pociągnęła źrebaka, żeby pomóc umęczonej klaczy. Poród dobiegł końca.

Sheridan mrugała oczami, żeby się nie rozpłakać, patrząc na śliczne źrebiątko.

- Masz śliczną córeczkę, Wind Dancer.

Klacz zarżała cicho, jakby zrozumiała, że jej wysiłek dobiegł końca i że dała początek nowemu istnieniu.

Sheridan złapała ręcznik i zaczęła energicznie wycierać źrebaka. Wiedziała, że musi jak najszybciej przyzwyczaić klacz do maleństwa, bo inaczej je odrzuci.

Uniosła źrebię, co wcale nie było łatwe, biorąc pod uwagę jego ciężar. Następnie ułożyła je tak, że chrapkami stykało się z chrapami matki, żeby matka z córką przywykły do swojego zapachu. Teraz, jak Sheridan miała nadzieję, Wind Dancer powinna zacząć karmić źrebię, choć pewne ryzyko zawsze istniało.

- Cudo.

Przestraszona, Sheridan obejrzała się przez ramię. W drzwiach boks stał Nicholas, za nim zaś ujrzała Narcissusa. Oczy ogiera były o wiele mniej mętne, aczkolwiek Sheridan wiedziała, że do pełnego wyzdrowienia było mu jeszcze daleko.

Narcissusa i tego drugiego chorego ogiera trzeba było jeszcze pooprowadzać, i to przez dłuższy czas, nim niebezpieczeństwo zniknie. Być może, że niezbędne okaże się podanie oliwy albo lewatywa, żeby oczyścić jelita.

Sheridan uśmiechnęła się do źrebaka i pogłaskała go po jedwabistej szyi.

- Ano, malutka jest piękna jak marzenie.

- To prawda, ale nie o niej mówiłem.

Dłóż Sheridan znieruchomiała.

- Nie?

- Nie.

- No to o kim...

- O tobie. - Nie dając Sheridan chwili na nacieszenie się komplementem, rzucił: - Pomyślałem, że powinienem przyprowadzić dumnego ojca, żeby zobaczył, co wynikło z jego wigoru.

Sheridan natychmiast się przypomniało, ile wigoru miał

Nicholas; w ułamku sekundy na policzkach wykwitły jej szkarłatne rumieńce, dłoń spoczęła na brzuchu w podświetlonym geście.

Nicholas parsknął, mylnie tłumacząc sobie jej rumieniec.

- Wiesz chyba, jak to się stało, że Wind Dancer znalazła się w takim stanie, prawda? Jeśli nie, z chęcią ci to wyjaśnię.

Ku prawdziwej zgrozie Sheridan na tę uwagę zrobiło się jej gorąco na całym ciele. Uciekła spojrzaniem.

- Bardzo cię proszę, cobyś trzymał język na wodzy.

- Wystarczy chyba tych gromów na moją głowę. - Rozbawienie w jego głosie rozładowało po części napięcie, które kazało sercu Sheridan bić w boleśnie powolnym rytmie.

- Chcesz wybrać dla niej imię?

Sheridan zawisła na nim zdumionym wzrokiem.

-Ja?

Skinał głową z rozczulającym uśmiechem na ustach.

- Jakie tylko chcesz.

Spojrzała na żrebaka; wołała, by Nicholas nie dostrzegł, jak bezbronną uczyniła ją jego propozycja.

Żrebak podjął właśnie pierwszą próbę stanięcia na chwiejnych nogach; zachwiał się i opadł na siano.

Sheridan przypomniała się piękna bułana klacz, którą miała w Irlandii - zanim zmuszona była oddać ją obcym i uciec z rodzinnego kraju. Jeszcze nie zdążyła przeboleć tej straty. Ogarnęło ją wzruszenie.

Choć upłynęło tyle czasu, serce nadal ścisnęło się jej boleśnie, ilekroć wspominała chwilę, gdy musiała wręczyć lejcę jednemu z okolicznych farmerów i odejść precz.

- Hannah - oznajmiła cicho, a po jej policzku spłynęła łza. - Chciałbym dać jej na imię Hannah.

- Zatem to jest Hannah.

Damien często Nicholasowi powtarzał, że są trzy rzeczy, których nadejścia nie potrafi przewidzieć żaden mężczyzna: ciosu nożem, wiatru i... miłości.

Nicholas usiłował ustalić, kiedy - ale tak dokładnie - zakochał się w Sheridan.

Czy to możliwe, że nastąpiło to w chwili, gdy zobaczył ją siedzącą po turecku na podłodze stajni, głaszczącą źrebię, któremu nadała imię Hannah, w poplamionej koszuli, pogniecionej spódnicy, w aureoli potarganych włosów, ze smugą brudu na porcelanowym policzku?

A może stało się to już wtedy, gdy ujrzał ją na pokładzie statku, roztańczoną, piękną jak morska nimfa, z promiennym uśmiechem na słodkich ustach i twarzy, z której biło wewnętrzne światło, okolonej rozrzuconymi na wietrze ogniście miedzianymi włosami?

Może wiedział, że ich dusze na zawsze się ze sobą spłótły, nim jeszcze wypowiedziała te słowa?

Nicholas nauczył się niczemu nie dziwić od czasu, gdy Damien, człowiek rzekomo nie do ujarznienia, niezdolny do skruchy i - zdaniem ogółu - skazany na wieczyste męki piekielne, dobrowolnie zawarł związek małżeński. Jeśli Nicholas wyciągnął z tego jakąkolwiek nauczkę, to właśnie taką, żeby spodziewać się tego, co niespodziane.

A trudno o coś bardziej niespodziewanego od pojawienia się Sheridan w jego życiu.

We śnie i na jawie miał przed oczami jej twarz. Gdy cier-

piąta, on cierpiał. Kiedy była szczęśliwa, czuł się szczęśliwy. Kiedy ogarniała ją złość... robił uniki.

Wprawdzie Nicholas niechętnie się do tego przyznawał nawet przed samym sobą, ale Sheridan śmiertelnie go przezażała. Umierał ze strachu na myśl o bólu, jaki mogłaby mu sprawić, gdyby niebacznie bardziej się zaangażował, obnażył przed nią duszę, oddał jej serce.

Uczucie, którym ją darzył, było wręcz niebezpiecznie silne. Dawało jej wielką władzę, pozwalało zniszczyć go tak samo, jak zdrady matki zniszczyły jego ojca.

- Aleś ty poważny... O czym myślisz?

Łagodny głos Sheridan skapał Nicholasowi jak letni deszcz. Podniósł wzrok: Sheridan stała dokładnie naprzeciwko niego, trzymając na wodzy Eclipse'a. Prowadzali konie od wielu godzin. Słońce miało niebawem znaleźć się nad horyzontem, a czas odpowiedzieć na pytanie, czy konie będą żyć.

Może czas podpowie Nicholasowi także, co robić. Kiedyś oskarżył Sheridan o to, że przed nim ucieka, a teraz pojął, że przez cały czas to on uciekał przed nią. Pora z tym skończyć. Musiał odłożyć swoje lęki na bok. Porozmawiać z nią i dowiedzieć się, czy coś do niego czuła.

- Jeśli martwisz się o swoje konie, to myślę, że się z tego wylizają. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. - Sheridan uśmiechnęła się i nieznacznym skinieniem głowy wskazała na Hannah.
- Ciesz się raczej z cudownego przychówku. Ta mała jest silna i zdrowa. Będzie z niej kiedyś wspaniała matka.

- Tak jak i z ciebie.

Komplement Nicholasowi wprawił Sheridan w zmieszanie nie tylko dlatego, że się go nie spodziewała, lecz przede wszystkim dlatego, że aż nazbyt trafnie odnosił się do jej sytuacji. Gdyby nie znała prawdy, pomyślałaby, że wie o dziecku.

A może to właśnie odpowiedni czas, żeby mu o nim powiedzieć? W tej cichej, poprzedzającej świt godzinie, kiedy świat zdawał się uspiiony, a więź między nimi stawała się coraz silniejsza i trwalsza?

Sheridan zdawała sobie sprawę, że nie potrafiłaby żyć w kłamstwie. Właściwie to chyba na samym początku pogodziła się z myślą, że powie Nicholasowi prawdę. Już tak była wychowana.

Powstrzymywało ją jednak wspomnienie zimnej twarzy lady Beatrice. Chciała poznać Nicholasa i zrozumieć, co go ukształtowało, uczyniło z niego takiego człowieka, jakim się stał.

Zastanawiała się także, jakim byłby ojcem. A żeby móc to wywnioskować, musiała się najpierw dowiedzieć, jak sam został wychowany, jacy byli jego rodzice, jak wyglądało jego życie. Jego dzieciństwo. Wszystkie te rzeczy, o których wzdrygał się mówić.

- Nicholas?

- Tak? - Oczy miał jaśniejsze niż kiedykolwiek dotąd, zupełnie jakby przesłaniająca je chmura znikła, ukazując Sheridan drogę do nieba.

- Opowiedz mi coś o swojej matce.

Brwi ściągnęły mu się powoli.

- Ale co?

Sheridan się zawahała, słysząc, że jego głos staje się szorstki. Nie chciała płoszyć chwili bliskości, poruszając temat, który był dla niego drażliwy, ale po prostu musiała się dowiedzieć.

- Jaka była?

- Dlaczego pytasz?

- Widziałam jej portret. Zaciekawiła mnie.

Ledwie niezauważalnie zacisnął szczęki, wyprzedził ją, prowadząc Narcissusa, i przyspieszył kroku. Przestał się uśmiechać.

Sheridan obserwowała go przez ramię. Powtarzała sobie w myślach, że powinna dać temu spokój. Niemniej zmiana, jaka zaszła w jego zachowaniu, wydała się jej niepokojąca. Przez wzgląd na swoje dziecko musiała zrozumieć przyczyny jego niechęci do mówienia o matce. Od kiedy się poznali, Nicholas unikał tego tematu jak ognia.

- Lubisz swoją matkę?

- Czy to ważne?

- Ano - przytaknęła Sheridan. - Ważne.

Odwrócił się i spojrzał na nią z zaciętą miną.

- Dlaczego?

- Bo myślę, że cię w jakiś sposób skrzywiła. Że nosisz w sercu ranę, ino się do tego nie przyznajesz i nie chcesz o tym myśleć.

- Nic nie wiesz o mojej matce ani o moim życiu.

- Ano, racja.

Nicholas zatrzymał się na drugim końcu stajni, poważny jak śmierć i nieprzenikniony jak kamień.

- Posłuchaj, moja matka w niczym nie przypomina twojej, rozumiesz? Nie nuciła kołysanek, nie opowiadała o czarodziej-skich krainach, nie opatulała do snu. To chciałaś usłyszeć?

- Nie opowiadaj mi, jaka twoja matka nie jest. Chcę, co—byś mi powiedział, jaka jest.

- To suka - wysyczał te słowa, cicho, lecz zabrzmiały jak wystrzał. - I co? Zadowolona? - Odwrócił się do niej plecami i poklepał po szyi Narcissusa.

- Nie chciałam wywlekać przykrych dla ciebie spraw.

- No to po co to zrobiłaś?

- Bo próbuję cię zrozumieć.

Odwrócił się na pięcie.

- Dlaczego właśnie teraz? - Świdrował ją oczami z taką uwagą, że aż się złękła. - O ile pamiętam, zwykłaś traktować mnie jak trędowatego. Chociaż właściwie to trędowatych traktuje się lepiej.

Sheridan zrobiło się potwornie przykro, ale przywołała na twarz wyniosłą minę.

- Uprzedzałam, że jestem w gorącej wodzie kąpana.

- I nie kłamałaś.

Sheridan ugryzła się w język, powściągając kąśliwą ripostę. Dotarło do niej, że celowo starał się ją rozżłościć.

- Nie pozwolę, co byś na mnie wyładowywał złość.

- Nie jestem zły.

- Jesteś. Jezysz się cały, traktujesz mnie jak wroga, zresztą zachowujesz się tak od samego początku.

- Bardzo mi przykro, jeśli spodziewałaś się kąpieli na naguska w rajskiej sadzawce, a zamiast tego dostałaś mnie.

Nagła wściekłość najpierw zaparła Sheridan głos w piersi, potem buchnęła z niej jak para z czajnika.

- Och, ależ z ciebie dureń! Skąd to przekonanie o własnej nieomyślności? Takie z ciebie wielkie panisko, że możesz skakać każdemu po głowie, jeśli ci ino przyjdzie na to ochota? Kto mianował cię Bogiem? Jesteś zwykły rozwydrzony gówniarz. Nic dodać, nic ująć.

Sheridan patrzyła, jak Nicholasowi zaczynają drgać mięśnie policzka. Zaczął iść w jej kierunku, z posępną, srogą miną, niczym widmo nekające Hamleta. Sheridan cofnęła się odruchowo. Przełknęła ślinę, kiedy zatrzymał się przed nią, ale nie dała się zastraszyć.

Czekała ze wstrzymanym oddechem, obserwując, jak zaciska zęby. Wyglądał tak, jakby chciał ją potrząsnąć, wydrzeć się na całe gardło, pomstować, kłać. Nie zrobił jednak żadnej z tych rzeczy. Mimo to, kiedy się odezwał, jego słowa wstrząsnęły nią bardziej niż najsrozsze krzyki.

- Czy ja cię w ogóle obchodzę, Danny?

Czy obchodził? A czy obchodził ją wschód i zachód słońca? Albo to, czy ona sama dożyje do następnego świtu? Albo to, czy dziecko w jej łonie będzie zdrowe i szczęśliwe?

Ano, obchodziło. Za bardzo.

Ale nie zamierzała żyć jak na huśtawce, od dna rozpaczy po szczyty radości, tego więcej, tamtego mniej, zależnie od jego kaprysu, szukać magicznego stanu równowagi, który czyniłby z niej dokładnie taką osobę, jakiej pragnął Nicholas.

O nie, na powrót odnalazła samą siebie, tę prawdziwą. A Nicholas mógł ją kochać taką, jaka jest, albo nie kochać jej wcale. Tak czy siak, było to jej zwycięstwo. Ponieważ odnalazła to, co niegdyś utraciła.

Duszę.

- No więc jak, Danny?

Czekał na odpowiedź, a Sheridan miała ich na podorędziu aż kilka. W jej umyśle podniósł się krzyk, że oto nadarza się jej szansa, sposobność wdeptania go w błoto okrutnymi słowami, wykorzystania przeciwko niemu słabości, z którą się zdradził, ciśnięcia mu jej prosto w twarz i pozbierania resztek swojej własnej dumy.

Ale nie potrafiła.

Nicholas delikatnym gestem objął jej ramiona.

- Kochasz mnie choć trochę?

Trochę? A co to znaczy, trochę? Bardziej niż księżyc, słońce i gwiazdy? Bardziej niż kochała Irlandię? Rodzinę? Samą siebie?

Ano, widać kochała go bardziej niż trochę.

- Czy to ważne? - spytała.

- Najważniejsze.

Wbiła wzrok w wysłaną sianem podłogę.

- Przecież wiesz.

Palcami uniósł jej twarz, chcąc, by spojrzała mu w oczy.

- Czyżby?

Sheridan czuła się zmęczona tymi wszystkimi gierkami, zręcznym omijaniem najistotniejszej kwestii. Chciała wykrzyknąć na całe gardło, że go kocha - kocha od pierwszej chwili. Ale wiedziała, że tym razem nie podźwignie się, gdyby ją odrzucił. Nie wytrzyma więcej bólu. On musiał wypowiedzieć te słowa pierwszy.

Uleczyć jej poranione serce.

- Nie proś mnie o odpowiedź, przed którą sam ześ zawsze uciekał. Nie masz prawa. Odgradzasz się od świata, nie chcesz nikogo do siebie dopuścić, nie pozwalasz, coby ktośkolwiek cię poznał.

Powoli zabrał ręce i schował je do kieszeni.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

Sheridan parsknęła z irytacją.

- A to ci dobra wymówka. - Odwróciła się i zaprowadziła Esclipse'a do jego boksu.

Nie słyszała odgłosu kroków, kiedy jednak obejrzała się w stronę Nicholas'a, omal się z nim nie zderzyła.

- Matka mnie nienawidziła.

„Matka mnie nienawidziła”. Te słowa obnażyły go, odsłoniły przed Sheridan jego duszę, a ona wiedziała to i pękało jej serce. Ujrzała go nie jako dojrzałego, okrzepłego żywota mężczyznę, który odgradził się od świata niewidzialną barierą, lecz cierpiącego i zagubionego chłopca.

Sheridan nie potrafiła dłużej opierać się pragnieniu, by go dotknąć. Odgarnęła zwichrzony czarny kosmyk, który opadł mu na czoło, i przytuliła dłoń do policzka.

- Kto mógłby cię nienawidzić? - wyszeptwała.

Przytrzymał ją za nadgarstek, ale nie odsunął jej ręki. Zamknął tylko oczy i wtulił w nią twarz.

- Zbyt wiele lat czekałem, żeby matka pogłaskała mnie po twarzy, zmierzwiła mi włosy albo choćby powiedziała, że jej na mnie zależy. Nigdy tego nie zrobiła. - Otworzył szeroko oczy; jego spojrzenie było jak intensywnie zielona studnia, z której głębi wyzierało autentyczne cierpienie, wszystkie uczucia, których tak zazdrośnie strzegł przed światem.

- Powiedziałem sobie, że nigdy więcej nie pozwolę, aby ktoś zranił mnie tak boleśnie, nie będę na próżno wyczekiwał na uśmiech, ciepłe słowo czy choćby dostrzeżenie mojego istnienia. I poprzysiągłem sobie, że żadna kobieta nie zniszczy mnie tak, jak moja matka zniszczyła mojego ojca. Oddał wszystko kobiecie niezdolnej troszczyć się o kogokolwiek prócz samej siebie.

Sheridan wydało się, że zaczyna wreszcie rozumieć powody, dla których Nicholas zachowywał rezerwę, emocjonalny dystans. Zawsze wiedziała, że miał skomplikowany charakter, ale nie wyobrażała sobie, by mógł dźwigać takie wielkie brzemie.

- Znaczący się nie chcesz, co by zaczęło ci na kimkolwiek założyć...?

- To nie tak - Potrząsnął głową.

Sheridan pomyślała o niezabliźnionej ranie w jego sercu, spowodowanej zimnym, nieczułym zachowaniem matki, i o tym, jak go to mogło zmienić. Odpowiedź wydawała się oczywista.

- Nie ufasz kobietom?

Nicholas poruszył się niepewnie i spojrzał na Narcissusa.

- Może niektórym. - Wzruszył ramionami. - Nieważne.

- Dla mnie to jest ważne.

A potem jakby zamknęły się w nim jakieś drzwi, odgrodził się od niej jak zawsze, kiedy ból, który w sobie nosił, zbyttno zbliżył się do powierzchni.

- Muszę odprowadzić Narcissusa do jego boksu.

Sheridan ogarnęło z wątpienie. Wiedziała, że przez ostatnich kilka minut dowiedziała się o Nicholasie więcej niż od początku całej znajomości. Powinna skapitulować. Ale po prostu nie mogła.

- Co to znaczy, niektórym?

Nicholas uciekł spojrzeniem. Zdjął Narcissusowi uprząż, sprawdził, czy ma dość siana i wody, po czym skierował się do wyjścia z boksu.

Sheridan zastąpiła mu drogę. Zdawała sobie sprawę, że mógł ją odsunąć tak, jak odrzuca się źdźbło trawy, ale nawet nie drgnęła.

Westchnął ciężko.

- Daj temu spokój, Danny. Prawda by ci się nie spodobała.

Przesuwała się w lewo i w prawo, żeby nie mógł jej wyminąć.

- Tylko nie mów mi tutaj, co mi się spodoba, a co nie. Jestem dorosłą kobietą i mam swoje zdanie.

- Jesteś, do cholery, ale uparta jak mulica. Nie wiesz, kiedy przestać drażyć jakiś temat.

- A tobie przydałby się solidny kopniak w cztery litery.

Na ustach pojawił mu się blade uśmiech.

- Mam rozumieć, że sama zaaplikujesz mi rzczonego kopniaka?

- Ano. Jak mus, to mus.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Jestem dziwnie spokojny, że byłabyś do tego zdolna.

Sheridan odpowiedziała identycznym gestem.

- Sprowokuj mnie tylko, to się przekonamy.

Przyglądał się jej przez dłuższy czas. Wyraz jego oczu sprawił, że zrobiło się jej ciepło od czubka głowy po same czubki palców u stóp. Zanim zdążyła nacieszyć się tym wrażeniem, oczy mu pociemniały i wyminął ją dużym łukiem.

- Niedługo będzie świtać. Może byś się trochę zdrzemnęła?

Wyszedł, ignorując ją ponownie, zamykając się przed nią. Gniew, który do tej pory trzymała na wodzy, zawrzał w niej z nową siłą, w kulminacji bólu, frustracji i lęku.

- Raz w życiu stań i walcz! Nie można być tchórzem przez całe życie! - Ledwie Sheridan wypowiedziała te słowa, zdążyła ich pożałować.

Nicholas zatrzymał się gwałtownie. Minęły sekundy, które wlokły się Sheridan jak godziny, po czym odwrócił się. Stali twarzą w twarz jak dwoje zaprzysięgłych wrogów podczas pojedynku.

Oczy mu się zwęziły, zacisnął szczęki. Sheridan skuliła się w oczekiwaniu - czy raczej nadziei - na wybuch. Lecz to właśnie wypowiedane ze słodyczą słowa potrafiły najboleśniej ranić jej serce.

- Przepraszam, że nie dorównuję twoim wyobrażeniom mężczyzny.

- Ja nie to chciałam...

Uciszył ją jednym spojrzeniem.

- Przypuszczam, że każde z nas ma cechy, których się nie wypełni.

- Ale można z czasem zaakceptować to, czego nie da się zmienić. - Sheridan zaczęła powoli zbliżać się do niego.

- Może za bardzo się różnimy.

- Może wcale się nie różnimy. - Zatrzymała się przy nim.

Dłoń drżała jej lekko, gdy sięgała po górny guzik jego koszuli. Złapał ją za rękę.

- Co ty wyprawiasz?

- Pozwól mi cię kochać. Pozwól mi uleczyć twój ból.

Tych kilka słów wstrząsnęło całym światem Nicholasa. Żadna kobieta nie ofiarowywała mu siebie, próbując dać mu ukojenie, żadnej nie obchodziły rany, które w sobie nosił. Ofiara Sheridan wstrząsnęła nim pod względami, których nie potrafił zdefiniować, wniosła jasny promień światła w jego duszę, a od dawna już nie zagładało do niej słońce.

Nicholas wiedział, że Jessica nigdy nie zdobyłaby się na podobny dar. Nie ubrudziłaby rąk, żeby ratować konie. Dopóki Sheridan nie wtargnęła w jego życie na podobieństwo cyklonu, nie uświadamiał sobie, jak silna więź może łączyć mężczyznę i kobietę.

Teraz ze zdumiewającą jasnością rozumiał, że choć Jessica zostałaby żoną i matką, tak naprawdę nie byłaby ani jedną, ani drugą. Nie w prawdziwym sensie tych słów. W przeciwieństwie do Sheridan.

Ważniejsze od niego byłyby herbatki i frymuśne fatałaszki. Od niego i od dobra dzieci, które by z Jessicą pewnie mieli.

Jakże musiał być zaślepiiony, skoro nie dostrzegł wcześniej prawdy? Skoro dopiero teraz pojął, że Jessica miała wszystko oprócz serca i duszy.

Oraz pasji.

W rozmowie z Jules powiedział kiedyś, że woli stateczną żonę i życie wolne od niespodzianek. Był głupcem.

- Nicholasi... - prosiła ze słodyczą Sheridan, wspinając się na palce, by złożyć na jego ustach pocałunek. Dotyk jej ust sprawił, że żar oblał mu łędzwie. Pragnął, by ta kobieta należała do niego, tylko do niego. Teraz i zawsze.

Jęknął, kiedy napała na niego biodrami. Wszystkie te gozdziny, kiedy byli sami, kiedy czuł jej zapach, obserwował ją, pragnął jej, były jak tłący się ogienek. Sprzeczka go roznie-

ciła i buchnął płomieniem. Teraz zaś pozostała jedynie nieposkromiona żądza.

Niepostrzeżenie objął ją przez plecy ramieniem i przygar-
nął do siebie. Wpił się w jej usta i naprężył wszystkie mięśnie.
Słuchał jej zdławionych jęków i niemal odchodził od zmysłów.

Powtarzał sobie, że nie wolno mu się śpieszyć, nie może zachować się jak zwierzę. Ale musiał ją mieć. Tutaj. Teraz.

Chwycił ją za rękę i pociągnął ku niewielkiemu pomiesz-
czeniu na tyłach stajni, w którym przechowywano obrok.
Była tu także prycza, na której zwykle sypiał stajenny. Ni-
cholas dziękował Bogu, że obecnie nie zatrudniał stajenne-
go. Jeremiaś spał w domu z resztą służby, na parterze. Ni-
cholas miał Sheridan tylko dla siebie.

Ledwie przekroczył próg pomieszczenia, brutalnie przy-
ciągnął Sheridan do piersi, objął ją za pośladki i dźwignął
w powietrze. Instynktownie oplótła nogami jego biodra. Ko-
łysał ją w ramionach, całując nieprzerwanie.

Dyszał ciężko, kiedy w końcu oderwał się od jej ust.

- Rozepnij bluzkę.

Pierś dziewczyny unosiła się i opadała kusząco; nie mógł
dłużej czekać. Chciał chwycić zębami szorstki materiał i ro-
zdrzeć go na strzępy.

W końcu jednak się doczekał. Patrzył na jej nagie piersi,
o sutkach różowych i sterczących, zdających się prosić, by
ich dotknął.

Rzucił się na nie łapczywie jak człowiek konający z głó-
du na kromkę chleba. Oboje byli tak podnieceni, że powie-
trze zdawało się iskrzyć.

W końcu nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Już
prowadził ją do pryczy, ale nagle się zatrzymał. Zauważył
przewieszane przez niską etażerkę siodło i wiedział, co chce
zrobić.

Sheridan wydała zdławiony okrzyk, kiedy ją odwrócił
i przycisnął się do jej pleców. Oparła się brzuchem o siodło,
obnażona od pasa w dół.

Nicholas przejechał dłonią po aksamitnym, krągłym pośladku. Doskonałość. Palcami powiódł po zewnętrznej stronie jej uda, sycąc się dotykiem jędrnego, sprężystego ciała.

- Rozsuń nogi, ukochana - poprosił ochrypłym szeptem.

Sheridan zadrzała, pełna wyczekiwania jak zawsze, kiedy spełniała jego zachcianki. Chciała poczuć go w sobie, doświadczyć uczucia, że znów są jednością w sposób wolny od zastrzeżeń, bez oschłych słów, złości i żalu. Przywołać tę jedyną, nieskażoną niczym więź między nimi dwojgiem.

Jęknęła cicho, kiedy jego palec odnalazł drogę do jej wilgotnego wnętrza, i poddała się pieszczocie.

- Jesteś taka mokra. Gotowa.

Bezwiednie opuściła głowę. Włosy opadły jej na twarz, spowijając ją w kokonie ciemności, świat przestał istnieć.

Elektryzujące doznania sprawiły, że napinała coraz mocniej mięśnie brzucha, zbliżając się ku szczytowi. Wykrzyknęła coś niezrozumiale, w roznamiętnieniu, w chwili gdy przetoczyła się przez nią wstrząsająca fala kulminacji. W jej żyłach płonął teraz ogień, który otumaniał, niweczył myśli.

- Moja, moja - powtarzał Nicholas zdławionym głosem. - Danny, ja muszę cię mieć.

Ciepłe, silne dłonie przywarły do jej talii. Wsunął się w Danny, niecierpliwie, gwałtownie, mocno przyciskając się biodrami. A potem znieruchomiał spełniony, w chwili gdy w niej eksplodowała przejmująca przyjemność.

Z czułością obrócił Sheridan tak, by stała przodem do niego. Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy i pochylił się, by na jej ustach wycisnąć najsłodszy z pocałunków. Sheridan ugięła się nogi. Była zaspokojona, ale i wycieńczona burzliwymi doznaniem tak dalece, że czuła się jak chwilę po przebudzeniu - ale, och, dalej gorąco go pragnęła, dalej chciała, by zapomnieli o tym, co ich dzieliło, o wzajemnych urazach.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział cicho. - Może położysz się tu na pryczy na kilka minut?

Rozkoszna myśl. Cięża odebrała jej część zwykłej siły.

- Ino wtedy, jak mi obiecasz, że sam położysz się obok.

Odpowiedział rozczulającym, chłopięcym uśmiechem.

- Już się bałem, że nigdy nie poprosisz.

Podeszli razem do pryczy. Nicholas położył się pierwszy i przycisnął plecami do ściany. Poklepał wolne miejsce obok siebie, a Sheridan zatoneęła we wspomnieniach: pierwszego razu, kiedy oddała się temu mężczyźnie, czarów, jakie potrafiły czynić jego palce, czystej magii, jaka kryła się w jego dotyku, chwili, gdy ich ciała splotły się tak samo, jak ich dusze.

Sheridan położyła się i wtuliła się plecami w jego ciało. Oczy jej się zamykały, nadal jednak powracała uporczywa myśl.

Jej dziecko. Jego dziecko. Miał prawo wiedzieć.

- Zbudź się, Danny - przemawiał ktoś łagodnym, niskim głosem, czyjaś dłoń potrząsała delikatnie jej ramieniem.

Sheridan odgoniła się od niej jak od natrętnej muchy. Nie chciała, by ktoś zakłócał jej piękny sen.

Leżała naga na łożu z baldachimem. Spowijała ją śnieżna biel moskitiery. Biała satynowa kołdra pieściła jej rozgrzaną skórę. Moskitiera rozwarła się nagle w nogach łóżka, a oczom Sheridan ukazała się ogorzała męska sylwetka godna młodego boga.

- Nicholas... - szepnęła bezgłośnie.

Chciał coś powiedzieć, ująć w słowa uczucie, które odzwierciedlało się w jego oczach, nagle jednak obraz zaczął blednąć. Sheridan wyciągnęła do niego ramiona, ale jej ręce natrafiły na pustkę. Zniknął.

- Nie!

- Obudź się, Danny - znów ten sam głos, tym razem bardziej natarczywy. - Zaspaliśmy. Zaczną nas szukać.

W końcu te słowa przebiły się do jej świadomości. Leżała na pryczy, w stajni, gdzie każdy mógł ich zobaczyć.

Gwałtownie poderwała się do pozycji siedzącej i zderzyła z Nicholasem.

- Oj, nie chciałam.

Uśmiechnął się z czułością.

- A ja tak. - Następnie pocałował ją delikatnie, nabożnie i zdecydowanie zbyt krótko. - No chodź, idziemy już.

Wstał i wyciągnął rękę.

Sheridan odpowiedziała mu uśmiechem, który szybko jednak zniknął z jej twarzy. Zrobiło się jej potwornie niedobrze. Och, jak mogła zapomnieć o mdłościach, które powtarzały się co rano, o uczuciu osłabienia i zawrotach głowy?

Proszę Cię, Boże, błagała, nie teraz! Wiem, że powinnam była powiedzieć Nicholasowi o naszym dziecku, ale nie chcę, żeby się dowiedział w taki sposób!

- Danny? - Słyszała niepokój w jego głosie; drżąca nuta przebijała się przez mgłę zasnuwającą jej umysł. Zerwała się z łóżka z cichą nadzieją, że może zdoła jakoś dotrzeć do domu, ale natychmiast pojęła, że to się jej nie uda.

Ledwie stanęła wyprostowana, w głowie jej zawirowało, a świat zaczął szarzeć, potem czernieć.

Ocknęła się w silnych ramionach, z policzkiem przyciśniętym do koszuli Nicholasa, z lekko piżmowym zapachem jego wody kolońskiej w nozdrzach.

- Nic ci nie jest?

Ukradkiem spojrzała mu w twarz; zielone, niespokojne oczy wpatrywały się w nią z uwagą.

- Nie, nie - zapewniła słabo.

- Boże, aleś mi napędziła stracha.

W tych słowach zabrzmiała taka szczerłość, że wzruszenie chwyciło ją za serce. Za każdym razem, kiedy zdążyła tylko pomyśleć, że nie mogłaby mocniej Nicholasa kochać, przekonywała się, że była w błędzie.

- Jak tylko wrócimy do domu, posyłam po doktora.

- Nie! Aa... to znaczy, nie ma takiej potrzeby. Nic mi nie dolega.

- Nie, nieprawda. Dalej jesteś blada. - Kłykciami musnął jej policzek, nieznacznie ściągając brwi. Potem zaś wziął ją na rękę.

- Sama pójde - zaprotestowała Sheridan.

Nicholas puścił to zapewnienie mimo uszu i wyniósł ją do części z boksami. Narcissus parsknął, kiwając lśniącem łbem, kiedy przechodzili obok Sheridan uśmiechnęła się, czując, jak ogarnia ją ciepło na widok dwóch uratowanych zwierząt. Napracowali się z Nicholasem, ale było warto. Tworzyli znakomity zespół.

- Chcę zobaczyć Hannah.

- Później.

- Teraz - upierała się Sheridan.

Nicholas skrzywił twarz.

- Uparciucha.

Zatrzymał się przy boksie Wind Dancer i uniósł Sheridan dość wysoko, by mogła zajrzeć ponad drzewczkami. Obie, matka i córka, stały o własnych siłach; podobne do tyczek nóżki Hannah były dość krzepkie jak na jednodniowe źrebie. Więż między kłaczą a małościem zdażyła się zacieśnić. Wszystko będzie dobrze.

Sheridan westchnęła z zadowolenia. Przymknawszy oczy, oparła głowę na piersi Nicholas. Czuła się w pełni pogodzona ze światem, kiedy Nicholas niósł ją w poprzek rozłożystego trawnika w kierunku domu.

Jednak jej euforia nie trwała długo. Prysła, ledwie Nicholas przekroczył drzwi frontowe.

I stanął twarzą w twarz z lady Jessicą Reardon.

20

W holu panował półmrok. Sheridan stała na szczycie schodów, słuchając przytłumionych odgłosów prowadzonej podniesionymi głosami dyskusji, dobiegających z gabinetu

Nicholasa. Skręcało ją z ciekawości i najchętniej zesłaby na dół i przyłożyła ucho do drzwi.

Czy Nicholas tłumaczył Jessice, że scena, której świadkiem się stała, nic nie znaczyła? Że niepotrzebnie się złościła, że to jedno wielkie nieporozumienie? O czymś musieli przecież rozmawiać, skoro siedzieli za zamkniętymi drzwiami prawie od godziny.

Sheridan nie wiedziała, dlaczego Jessica przyjechała do Silver Hills, ale podejrzewała, że mógł ją tu zaprosić Nicholas. Wszak istniała taka możliwość - jeśli dalej myślał o małżeństwie.

Czy mimo wszystko zamierzał ożenić się z Jessicą? Sheridan nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie, lecz na samą tę myśl robiło się jej zimno, rozpacz ciążyła na barkach jak przesiąknięty wodą płaszcz. Tak niewiele brakowało, by Nicholas się przed nią otworzył, wyjawił sekrety skrywane na samym dnie duszy, a to, jak była przekonana, nie przydarzyło mu się nigdy wcześniej. Nawet z Jessicą.

Jeszcze niedawno wierzyła, że Nicholas mógłby wcale nie zmartwić się wiadomością o tym, że jest brzemienna, może nawet byłby szczęśliwy. Teraz jednak nie była tego taka pewna.

Tak czy inaczej, dzisiaj powie mu, że nosi pod sercem jego dziecko.

- Czy to aby nie lady Jessica wypadła stąd jak burza?

Nicholas nie odwrócił się, słysząc głos Jules. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w okno gabinetu, rozważając to, co przed chwilą zrobił, lecz pewny, że podjął właściwą decyzję.

- Któżby inny - mruknął, spoglądając w kierunku stajni.

Lekki uśmiech wypłynął mu na usta, gdy pomyślał o Sheridan i o magii, która wytwarzała się między nimi. Cokolwiek miała im przynieść przyszłość, razem wszystkiemu stawia czoła. Sheridan powiedziała mu, że chce go uleczyć, i pod wieloma względami już to uczyniła.

Nigdy nie powiedziała, że go kocha, lecz to, co czuła,

zdradzały jej oczy... i ciało. Wiedział, że może jej zaufać, oddać serce.

- Czy wolno mi mniemać, że w końcu odzyskałeś przytomność umysłu, drogi kuzynku?

Nicholas zwrócił się twarzą w stronę Jules: zawsze była niebezpiecznie spostrzegawcza jak na jego gust. Oparł się ramieniem o ścianę.

- Odzyskałem? A do czego pijesz, *droga kuzynko*?

Nicholas zauważył, że Jules ma podkrążone oczy, i zaniepokoił się, czy dobrze spała, czy ciąża zbytnio nie nadwątliła jej sił. Drobniotka Jules nosiła w sobie dziecko Williama - a William był prawdziwym olbrzymem.

Nicholas zastanawiał się tylko, czy William przyjedzie na czas, żeby zawieźć żonę do domu w Sussex, zanim dziecko się urodzi. Naturalnie, że tak. Narodziny miały nastąpić nie wcześniej niż za miesiąc.

Potem wyobraźnia podsunęła mu obraz twarzy Sheridan, jej pięknych oczu, wpatrzonych w niego z czułością, obiecujących życie pełne namietności i nigdy nie zatraćające o nudę.

- Aż tak ją kochasz, hm?

Nicholas potrząsnął głową, skupiając na Jules całą swoją uwagę. Na ustach miała lekki, pogodny uśmiech.

- O kim mówisz? - Jakby nie wiedział.

- Jak to, o kim? O Sheridan, rzecz jasna. I proszę, nie próbuj się wypierać. Sheridan stosowała identyczną taktykę, ale przejrzałam ją równie szybko, jak ciebie. Kochacie się i najwyższy czas, żebyście przestali zachowywać się jak dzieci.

- Jak dzieci, powiadasz? - Nicholas uniósł przekornie brew. Jules kiwnęła głową.

- Uważam, że powinieneś pomaszerować po tych schodach i powiedzieć jej, jak bardzo ci na niej zależy, zanim stracisz to najlepsze, co cię w życiu spotkało.

Nicholas zamierzał postąpić dokładnie tak, jak radziła Jules, ale zbyt dobrze się bawił, przekomarzając się z kuzynką, by przestać tak szybko.

- A co z lady Jessicą? - spytał, siłąc się na stosownie poważną minę.

- Może się obwiesić na pierwszym drzewie, ta mała snobistyczna...

Nicholas uciszył ją uniesieniem ręki.

- Dośpiewam sobie resztę.

- Ja myślę. Gdybyś miał oczy otwarte i nie zachowywał się jak ostatni osioł, już dawno temu zorientowałbyś się, że Jessica to nie kobieta dla ciebie.

- A, jak zakładam, ty wiedziałas o tym od samego początku?

- Owszem.

- Oczywiście wiedziałas także, że kobietą dla mnie jest Sheridan?

- Owszem. Doskonale się uzupełniacie.

Nicholas potrząsnął głową, rozbawiony.

- Szczęściarz z Williama. Ma kogoś, kto mu mówi, co ma robić i kiedy.

- Podobnie jak tobie. A teraz, jeśli byś przestał zwlekać...

Nicholas wiedział, że kuzynka ma rację. Rzeczywiście odkładał moment rozmowy z Sheridan, czuł się bowiem zupełnie jak młodzik przeżywający swoje pierwsze zauroczenie. A jeśli on zachowa się jak prawdziwy romantyk - za czym, jak zapewniał Damien, kobiety wprost przepadały - padnie na kolana i oświadczy się Sheridan, a ona powie... „nie”?

No cóż, będzie ją musiał jakoś przekonać, żeby zmieniła zdanie. I tyle. Uśmiechnął się, gdyż przyszła mu do głowy szalenie przyjemna metoda, którą mógłby się w tym celu posłużyć, gdyby to okazało się konieczne. Być może nawet i wtedy, gdyby konieczne się nie okazało. Uśmiechnął się szerzej.

Odepchnął się od ściany, podał Jules ramię i wyprowadził ją z gabinetu.

- Porozmawiam z Danny, kiedy przyjdzie na to pora, kuzynko. Najpierw chcę ci coś pokazać.

Zmierzyła go spojrzeniem.

- A co takiego?

- Jesteś strasznie podejrzliwa, kiciu. - Widząc, że nadal świdrowała go oczami, jakby chciała wywiercić w jego głowie dwa małe otworki, wyjaśnił: - Mam prezent dla twojego dziecka.

Jej groźna minka rozpułyła się w uśmiechu.

- Prezent?

Nicholas zachichotał.

- Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same. Wystarczy wspomnieć o prezentach i od razu robi się z was sama słodycz.

- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Wystarczy zacząć przebąkiwać o stałym związku, a od razu bierzecie nogi za pas.

- Trafiony, zatopiony, milady.

Jules skinęła majestatycznie głową, napawając się swoim zwycięstwem.

- Wracając do tego prezentu...

- A, tak. Prezent. No cóż, to coś, co każde dziecko mieć powinno.

- Och? A cóż to takiego?

- Jak to, co? Kucyk, oczywiście.

Sheridan wróciła na schody, potwornie zdenerwowana. Tak długo krążyła po swoim pokoju w tę i z powrotem, że poczuła, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej zamknięta w czterech ścianach, które napierały na nią, a wolna przestrzeń wydawała się zmniejszać i zmniejszać z każdą upływającą sekundą.

Pojawiła się tam w porę, by ujrzeć Nicholasa wypadającego przez drzwi frontowe i skrawek kobiecej spódnicy. Serce skoczyło jej do gardła. Czyżby Nicholas pogodził się z Jessicą? Czyżby Sheridan była zaledwie wspomnieniem? Przelotną miłośką na sianie?

Sheridan położyła rękę na brzuchu. Jakkolwiek się przed tym broniła, narastała w niej głucha rozpacz, w głowie kołatało straszne podejrzenie, że czeka ją kolejny zawód, kolejne bolesne odrzucenie.

Nie! Nie pozwoli Nicholasowi traktować się jak śmieć! Będzie musiał stawić jej czoło, wysłuchać, co miała mu do powiedzenia. Nie musiał jej chcieć... ani kochać. Ale nie zamierzała odpowiadać na każde jego zawołanie, być jego irlandzką zachcianką. Już nigdy więcej byle angielski arystokrata nie sprawi, żeby znowu czuła się bezwartościowa. Już przez *nikogo* nie będzie się tak czuć.

Sheridan szybko zbiegła na dół. Poczeka sobie na Nicholasa w jego gabinecie. Na neutralnym terenie. Na jej warunkach.

Ledwie wpadła do gabinetu, osaczyła ją jego widmowa obecność: tchnęła z męskiego wystroju, zapachu brandy i cygar, bałaganu, w jakim piętrzyły się dokumenty na jego biurku.

Przechadzała się niespiesznie, gładząc opuszkami palców gładkie tekowe drewno, skórzane obicia mebli, napawając się ich subtelnymi fakturami. Przystanęła przed pięknym olejem przedstawiającym scenę myśliwską: mężczyznę siedzącego na wspinałym ogierze - być może przodka Narcisussa albo Eclipse'a.

Przypuszczała, że mężczyzna z obrazu to brat Nicholas, Gray. Przenikliwe stalowe oczy zdawały się ją śledzić, kiedy ruszyła dalej, jakby pytały, jak śmie zakłócać spokój „ziemi świętej”, bastionu męskich przywilejów.

Doszła do dużego mahoniowego biurka, usytuowanego w centralnej części pomieszczenia. Biurka Nicholas, przy którym spędzał niemałą część dnia. Może właśnie przy nim doszedł do wniosku, że lady Jessica jest kobietą jego życia.

I gdzie teraz byli, on i Jessica? Wyszli na dwór. Czy to możliwe, że Nicholas zabrał ją do pokoiku na tyłach stajni, gdzie tak niedawno ukazał Sheridan siódme niebo?

Czy robił z Jessica to samo, co wtedy z nią?

Odrzuciła tę dręczącą myśl. Miała na głowie inne zmartwienia, chociażby to, w jaki sposób powiedzieć Nicholasowi o dziecku. Czy najlepiej byłoby tak prosto z mostu? Czy też raczej powinna ostrożnie przygotowywać go do tej nowiny? Oby udało się jej podjąć decyzję przed jego powrotem.

Opadła ciężko na czarny skórzany fotel. Zatonęła w nim,

znikła jak łup w szponach drapieżnego ptaka; jasne świadectwo tego, że daleko jej było do gabarytów zwykłego jego użytkownika - mężczyzny wysokiego, szerokiego w barach, mocno zbudowanego, który samym tylko spojrzeniem swoich szmaragdowych oczu sprawiał, że miękła jak wosk.

Jej wzrok przykuł nagle jeden z walających się na biurku dokumentów, a ściślej biorąc jedno, magiczne słowo.

Irlandia.

Sheridan upomniała się w myśli, że to nie jej sprawy, że choćby tylko biorąc do ręki dokument, naruszyłaby prywatność Nicholasa. To był jego dom, a ona w nim tylko gościem.

Mimo to sięgnęła po dokument. Był to list do Nicholas, wysłany z miejsca o nazwie Mulholland Manor.

W hrabstwie Cork. W Irlandii.

Z każdym kolejnym słowem serce Sheridan ogarniał coraz przenikliwszy ziać. Czytała.

Szanowny Panie,

W załączeniu przesyłam wyciąg bankowy z wpłatami od pańskich dzierżawców. Za wyjątkiem kilku pomniejszych incydentów, żniwa przebiegają dobrze. Powinien Pan spodziewać się za ten rok przyjemnego profitu.

Uniżony sługa

Henry Smithers,

Ekonom

Nie, myślała Sheridan, Nicholas nie jest posiadaczem ziemskim - nie jednym z tych znienawidzonych angielskich arystokratów, którzy żyli z harówki irlandzkich chłopów, z ich potu. Nie okłamał jej. Mimo to umysł Sheridan dostarczał coraz to nowych powodów do zwątpienia, podsuwał coraz to nowe dowody przeciw niemu.

Czyż wcześniej jej nie okłamał? Nie czarował słodkimi słówkami, nie wytrącał oręża z ręki? Czegóż więcej potrze-

bować, by dowieść samej sobie, że Nicholas ją oszukał? Przed sobą miała list... a. w uszach dźwięczały jej jego słowa.

Nie mam ziemi w Irlandii.

Kłamca!

Sheridan zerwała się z fotela. Wszystko się w niej przewracało z obrzydzenia, serce pomstowało, że okazała się głupia, po dziesięćkroć głupia. Łzy popłynęły po jej policzkach. Jedna bezgłośnie kapnęła na nienawistny dokument.

- A, tuś jest, Danny, dziecisko - ucieszył się ktoś donośnie.

Przestraszona, Sheridan poderwała głowę, szukając spojrzeniem intruza. W drzwiach stał Ian McDonough. Jego uśmiech zniknął jak kamfora, na czole pojawiły się zmarszczki. Sheridan zaczęła pośpiesznie ocierać łzy, ale było za późno. Ian je zobaczył.

- Co ci jest, dziewczyno? - Troska żłobiła bruzdami jego twarz, kiedy podchodził do Sheridan. - Co się stało?

Głos uwiązał Sheridan w krtani, serce w niej wyło. Ale potrząsnęła głową, przeklinając łzy, które nie chciały przestać płynąć wartkim strumieniem.

Ian objął jej ramiona dużymi, stwardniałymi od pracy rękoma.

- To łon? Cóż ci zrobił?

Zrobił, odpowiedziała w duchu, zranił tak, że rana w jej sercu już nigdy się nie zagoi. Znali się z łanem od pewnego czasu i z wielu spraw zdążyła mu się zwierzyć. Byli do siebie bardziej podobni, niż ona i Nicholas mogliby się kiedykolwiek stać. Łan pochodził z podobnego środowiska i rozumiał ją. Powiedziała mu o swojej miłości do Nicholasa, wiedząc, że łan zabierze ten sekret do grobu.

Łan pociągnął ją w ciepłe, kojące ramiona.

- Przysięgom ci, dziewczyno, jeśli Nicholas Sinclair zrobił ci jakom krzywdę, to ja już mu...

- To ty mu co?

Te słowa, czy raczej ciche syknięcie, sprawiło, że Sheridan przebiegł zimny dreszcz. Powoli odwróciła głowę i napotka-

ła gniewne zielone oczy Nicholasa. Znikła z nich wszelka czułość.

Zastąpiła ją czysta, nieokiełznana furia.

21

Nicholas wpatrywał się w Iana, a szczęki drgały mu ze wściekłości. W życiu nie chciał nikogo zabić, a teraz niczego nie pragnął goręcej niż tego, by skrócić kark temu szkockiemu bękartowi, a czuł się dość rozjuszony, by to złowieszcze pragnienie urzeczywistnić.

- Radzę ci, uciekaj, kryj się... i módl, McDonough.

- Nicholas!

Łypnął na Sheridan; jego spojrzenie było jak sztylet.

- Psiakrew, ani słowa więcej. Ani jednego słowa.

Mierzył go jej widok. Dlaczego nie posłuchał intuicji i nie trzymał się na dystans? Dlaczego odsłonił przed nią serce? Żeby z większą łatwością mogła wyrwać mu je z piersi?

Dlaczego dobrowolnie dał kobiecie władzę rzucenia go na kolana, tak samo jak ojciec Nicholasa jego matce?

Nie przyszłoby mu do głowy, żeby wlec za sobą McDonougha do Silver Hills. To Jules go zabrała „do pomocy” - najprawdopodobniej na prośbę Sheridan. Nicholas bez większych trudności wyobrażał sobie, przy czym ten skurczybyk „pomagał”.

Od jak dawna Ian i Sheridan byli razem? Zabawiali się pod jego dachem? Dlaczego posłuchał Jules, kiedy zapewniała, że Sheridan i Iana łączy wyłącznie przyjaźń?

Przyjaźń. Jezu! Sheridan miała cholerny talent do przyjaźni. Z tego rodzaju, który działa jak trucizna.

Chwała Bogu, że Jules została w stajni z Wind Dancer i Hannah. Nicholas nie chciał, żeby kuzynka stała się świad-

kiem moralnego upadku przyjaciółki, by ujrzała, jakiego pokroju kobietą Sheridan się okazała.

- Wynoś się do diabła z mojej posiadłości, McDonough! Zwalniam cię!

Ian zasłonił sobą Sheridan.

- I tak żem nie chciał dla ciebie pracować, Sinclair. Jesteś tyran i kanalia. I jedno ci powiem, ostatni raz żeś doprowadził tom dziewczynę do płaczu.

- Ian, nie - poprosiła Sheridan, ściskając go za ramię.

- Chronisz kochasia, moja droga? - wycodził Nicholas, zgrzytając zębami.

Jej piękna twarz stanęła w ogniu.

- „Kochasia”? Jak śmiesz?!

Nicholas w ogóle jej nie słuchał.

- Wyjdź stąd - rozkazał. - Pora, żebyśmy z łanem porozmawiali jak mężczyzna... z nieboszczykiem.

- Ano, dzierlatko. Idź i zamknij za sobą drzwi. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Chcesz się założyć? - warknął Nicholas. - Jeśli stąd wyjdiesz, to tylko nogami do przodu, w świerkowej trumnie.

Sheridan rozdzieliła ich własnym ciałem.

- Przestańcie! Obaj!

- Co mamy przestać, kochanie? - Ton Nicholasa ociekał jadem. - Sądziłem, że właśnie tego chciałaś. Krwawej jatki na swoją cześć. Popatrzeć, jak dwóch mężczyzn bierze się za łby. Aż człowiek dostaje przyjemnego dreszczyku, co? Rozgrzewa mu się krew. No cóż, służę z największą ochotą.

- Nie bądź durniem przez całe swoje życie! Wiesz, że to na tobie mi zależy.

Nicholasowi zacisnęły się szczęki. Nie dopuszczał do siebie jej słów.

-I w ten sposób mi okazujesz, jak bardzo? Drzę na myśl, co robisz ludziom, których nienawidzisz.

- Osądzasz mnie, chociaż nie wiesz wszystkiego, a ja na to nie pozwolę!

- Wiem więcej, niż bym chciał. - Na przykład to, że Sheridan kochała się z nim tamtej pierwszej nocy, oddała mu się bez cienia wahania jak pogańska boginka.

Z iloma innymi spała? Ilu zakosztowało z nią namiętności, którą, jak wierzył do tej pory, zastrzegła wyłącznie dla niego? Na samą myśl Nicholasowi zaczęło się przewracać w żołądku.

- Czemu od razu zakładasz najgorsze? Toć ja wcale nie jestem taka jak twoja matka.

Nie, nie była. Zdrady matki nie odczuł aż tak boleśnie. Raz jeszcze usłyszał cichy, zamierający głos, który mówił, że może jednak Sheridan miała rację, może faktycznie pośpieszył się z podejrzeniami, może się mylił. Ale na widok Sheridan w ramionach McDonougha odczuwał się uśpiony ból i lęk - lęk przed utratą ukochanej osoby.

Lęk, że zatraci samego siebie.

- Och, no przestańże, moja droga. Za jakiego kretyna mnie uważasz? Jeśli masz kłamać, spróbuj wysilić się na więcej inwencji. Bo w kłamstwach i oszustwach jesteś naprawdę znakomita. Mnie nabrałaś, to fakt. I pomyśleć, że zacząłem się zastanawiać, czy się z tobą nie ożenić...

Sheridan pobladała na twarzy.

- Toś ty... toś ty chciał się ze mną żenić?

Nicholas z niesmakiem pokiwał głową; sam nie wiedział, dlaczego się do tego przyznał, dlaczego dobrowolnie wystawił się na kolejny cios.

- Przez chwilę, w porywie szaleństwa, myślałem, żeby ci się oświadczyć. Ale znów jestem przy zdrowych zmysłach.

Nicholas omal nie dopatrył się w twarzy Sheridan rozpaczy, bezbrzeżnego, druzgoczącego bólu. Omal nie uwierzył, że coś do niego czuła, że się pomylił.

Omali mu się nie zdało, że dostrzega w jej oczach łzy. Łzy, którymi opłakiwała jego.

Omali.

Równocześnie jednak ta przeklęta дума - дума, którą Nicholas tak bardzo w Sheridan kochał - otuliła ją niczym

płaszcz, osłoniła przed jego atakami. Sheridan uniosła głowę.

- Ian jest moim przyjacielem. Nikim więcej.

Przyjaciel. To słowo sprawiło, że szewska pasja zaćmiła Nicholasowi wzrok.

- A ja chociażby mogę zaświadczyć, jak *przyjacielskie* stosunki łączą cię z przyjaciółmi.

- Ty bydlaku! - wybuchł Ian i zaciskając pięści, doskoczył do niego.

Sheridan szarpnęła się, żeby zablokować mu drogę, ale jej słowa skierowane były do Nicholasa:

- Nigdy bym cię tak nie zraniła, ja...

- Nic nie mów! Żebyś mi, do diabła, nie śmiała mówić, że mnie kochasz.

Smutne, świetliste oczy świdrowały Nicholasa z siłą, która niemal przyparła go do muru.

- Ja naprawdę ciebie kochałam - powiedziała cicho, niewyraźnie, starając się odegnąć łzy. - Ale już nie Kocham.

- Nie można się ot, tak odkochać, niech cię diabli!

- Żal mi ciebie. Teraz już wiem, że ty najzwyczajniej nie jesteś zdolny do tego, coby kogoś kochać. Za dużo w tobie bólu, a tyś nie umiał się go pozbyć. Tkwisz w pułapce, ino nie rozumiesz, żeś sam ją na siebie zastawił. To cię zaślepią, nie pozwala zobaczyć, jak mogłoby być, gdybyś tylko na to pozwolił.

Wbiła wzrok w ziemię.

- I żal mi samej siebie, bom nie chciała wierzyć, że jesteś, jaki jesteś, bom nie słuchała rozsądku. Za bardzo się od siebie różnimy. Hołubiłam w sercu nadzieję, ale teraz już wiem, że byłam głupia - dokończyła szeptem.

Nicholas próbował nie dopuścić do siebie myśli, że Sheridan mówi samą prawdę, lecz jej słowa były jak kule, atakowały go ze wszystkich stron.

- Co się tu dzieje?

Nicholas zamknął oczy. Jules. Nie czuł się na siłach, by wszystko jej wytłumaczyć, powiedzieć, jak obszedł się z jej najlepszą przyjaciółką.

I wyznać, że nieodwołalnie i po same uszy zakochał się w Sheridan Delaney z tych przeklętych Delaneyów z Bostonu.

Sheridan zrobiła dokładnie to, na co Nicholas nie potrafił się zdobyć. Odezwała się.

- Tak mi przykro, Jules. Tak strasznie żem wszystko pogmatwała. Nie powinnam była przyjeżdżać do Anglii.

- Co ty opowiadasz? Bardzo dobrze, że przyjechałaś. - Jules podeszła do Nicholasa.

- Co się tu dzieje, Nicky?

Nicholas niechętnie odwzajemnił jej spojrzenie, wściekły, że martwiła się z jego winy. Otworzył usta, lecz słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

- Twój kuzyn myśli, że mnie i Iana coś łączy - wyjaśniła za niego Sheridan z bólem w głosie.

- Co? To śmieszne!

- Ano, to samo próbuję mu powiedzieć.

- Daj temu spokój, Jules - poprosił Nicholas głucho. - To ciebie nie dotyczy.

- Nie dotyczy?! Sheridan jest moją najlepszą przyjaciółką. Znam ją równie dobrze, jak ciebie.

- Przyłapałem ich razem. W moim przeklętym gabinecie, na dodatek. Czy to cię przekona?

- Przyłapałeś ich razem? - Jules podniosła oczy na Sheridan. - Nigdy w to nie uwierzę.

Pewność, jaka brzmiała w głosie Jules, wzruszyła Sheridan tak bardzo, że omal się nie rozplakała. Musi być silna. Cokolwiek ją spotkało, nie wyjedzie stąd okryta hańbą, ścigana kłamliwymi pomówieniami.

Ian pośpieszył Sheridan w sukurs.

- Zobaczyłem, że Danny płacze, tom przyszedł spytać, dlaczego. - Gniewnym spojrzeniem poszukał Nicholasa. - To złoto, nie dziewczyna. Nie zasłużyła sobie na takie podłe traktowanie. Otwórz oczy, głupcze, i zobacz, jaki skarb masz przed sobą, zanim będzie za późno.

Jules podeszła do Sheridan i ujęła ją za rękę.

- Dlaczego, płakałaś, Danny?

Sheridan pokręciła głową. Powód jej łez, to, czego się o Nicholasie dowiedziała, jego kłamstwa, jego zdrada - zdrada o wiele prawdziwsza od tej, o którą ją oskarżał - to wszystko stało się bez znaczenia.

- Wybacz mi - poprosiła Sheridan miękko. - Nie chciałam, coby do tego doszło.

Jules ścisnęła jej rękę.

- Nie ma czego wybaczać. To wszystko to jakaś okropna pomyłka. Gdybyście ty i Nicholas usiedli tylko na chwilę i porozmawiali...

- Nie ma o czym - powiedziała Sheridan ze smutkiem i spojrzała na Nicholasa. - Niczego od ciebie nie chcę. Już nie. Ożeń się z Jessicą. Życzę wam wszystkiego najlepszego. Szczerze. Chcę, cobyś był z kimś, kto cię uszczęśliwi i uwolni od twoich demonów. Ale nie wyjdę stąd, dopóki nie powiem wszystkiego, co mam do powiedzenia. I cokolwiek sobie o mnie pomyślisz, wiem, że tak trzeba.

Nieświadomie czekała, żeby jakoś zareagował, liczyła, że coś powie, zażąda wyjaśnień, a równocześnie ogarniała ją dziwna, przemożna drętwota i uświadamiała sobie z całą ostatecznością, że to już koniec.

- Nie mów nic więcej, Sheridan - prosiła Jules. - Nie teraz, kiedy oboje jesteście tacy zdenerwowani. W nerwach każdemu zdarza się powiedzieć coś, czego nie myśli. Za chwilę cała ta sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej.

Sheridan uśmiechnęła się, ale nie był to wesoły uśmiech.

- Nic nie będzie inaczej. - Choć bardzo tego żałowała. - A już na pewno nie zmieni się to, co mam do powiedzenia. - Łza zabłysła jej na rzęsach i spłynęła po policzku. - Kocham cię, Jules. W głowie mi nie powstało, że jak przyjadę do ciebie, ściagnę na ciebie wszystkie moje kłopoty. Ale to chyba krzyż, który przyszło mi dźwigać. I nigdy się od niego nie uwolnię.

- Nie przysporzyłaś żadnych kłopotów.

- Zawsze wołała skłamać, niż zrobić komuś przykrość,

Jules Thornton. Mam nadzieję, że nic i nigdy nie stanie między nami.

- Nic, Danny. Przenigdy.

Sheridan modliła się, by to się nie zmieniło, kiedy powie już, co musiała powiedzieć. Zamknęła oczy i nabrała powietrza do płuc.

- Będę miała dziecko.

- Dziecko? - wykrzyknęła Jules.

- Dziecko? - powtórzył Nicholas jak echo wypranym z uczuć głosem.

Sheridan powoli otworzyła oczy i spojrzała na Nicholasa. Jego ogorzała twarz wyraźnie pobladła.

- Ano. - Sheridan kiwnęła głową. - Dziecko.

Z Nicholasa jakby uszło powietrze. Zmrużył oczy, zagrzytał zębami.

-Jezu, czy ja byłem ślepy? - wycedził ze wściekłością, groźnie. - Powinienem być wiedzieć, że z ciebie zwykła szmata.

Jules odwróciła się jak fryga.

- Mój Boże, Nicholas! Co w ciebie wstąpiło? Czyś ty oszalał? Nie rozumiesz, co to znaczy?

Zimne zielone oczy wbiły się w Jules.

- Wynoś się stąd.

- Nie! A niech cię diabli, Nicky! Otwórz oczy. Sheridan spodziewa się twojego dziecka.

- Mojego albo któregoś z dziesiątki innych.

Ledwie Sheridan usłyszała te słowa, zakręciło się jej w głowie. Niech Bóg ją ma w swojej opiece, to już był ostateczny cios. Druzgoczący. Zabójczy. Dopiero teraz spostrzegła całą głębię pogardy Nicholasa. Miał ją za dziwkę, za pospolitą lafiryndę. Sheridan widziała to teraz jak na dłoni.

Musi być silna i wyjść stąd z podniesioną głową, nie oglądając się za siebie. Dopiero wtedy będzie mogła przestać ukrywać swój ból. Nie pozwoli, by chłód Nicholasa odebrał jej godność, nie padnie przed nim na kolana. Miała czyste sumienie, nawet jeśli dusza w niej wyła i nie ucichnie do końca świata.

Jules podbiegła do Nicholasa i wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Jules, nie! - zawołała Sheridan, ale Jules ją zignorowała.

- A ja myślałam, że jesteś najwrażliwszym z Sinclairów, że rozpoznasz miłość, kiedy zapuka do twego serca. Że choć ty nie będziesz jej oceniał, nie będziesz próbował zamawiać jej jak towar z katalogu, ale przyjmiesz ją i będziesz uważał się za szczęściarza. Boże, jak bardzo się myliłam. Sheridan ciebie nie zhańbiła. Hańbę na siebie ściągnąłeś ty sam. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Obyś tylko umiał żyć z tym, co dzisiaj zrobiłeś.

22

Pijaństwo.

Zbawienie rodzaju ludzkiego. Matka wynalazczości. Ostatnia niezbadana do końca kraina.

- Za moje zdrowie. - Nicholas wpatrzył się w bursztynowy trunek, rozmyślając o gruzach, w które zmieniło się jego życie. Następnie wypił do dna. - Miłość w butelce - wychrypiał; w jego głosie pobrzmiwała jakaś ostra nutka. - Najlepszy rodzaj miłości. Nie zrani człowieka. Ani go nie opuści. - Zacisnął szczękę. - Ani nie okłamie.

Cisnął kieliszkiem w kominek i przyglądał się, jak niebieskie i pomarańczowe płomienie liżą okruchy szkła.

Pniaki zatrzęszczały i uniosły się z nich dziwne, widmowe smugi popiołu, które wzbijały się gwałtownie w powietrze, po czym, kotłując się dziko, sfruwały na ziemię. Nicholas stał tuż przy płomieniach, ale nie czuł ciepła.

Zdradziecki chłód wkradł się do zamku, ledwie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Wiatr nasilał się, dając o so-

bie znać potępieńczym wyciem, zimne powietrze, które wpęzłało szczelinami i pęknięciami w murach, zdawało się szeptać: „Sheridan”...

Sheridan. Kobieta, jaką nietrudno zapomnieć... a którą miał pamiętać już zawsze.

Nicholas zamknął się w swoim gabinecie przed wieloma godzinami, w pełni świadom, że zachował się jak skończony wariat, wyrzucając wszystkich z gabinetu. Nie mógł dłużej znosić oskarżycielskiego wyrazu oczu kuzynki... i widoku pięknej twarzy tej zdrajczyni Sheridan.

Żadna dawka alkoholu nie była w stanie uśmierzyć jego bólu i wściekłości. Nicholas nadal czuł żądzę krwi, potrzebę konfrontacji z McDonoughem i wyrażenia własnego stanowiska prawym hakiem prosto w parszywą gębę ekonomy.

Dlaczego pozwolił, by ten szubrawiec wyszedł z tego cały i zdrowy? Dał mu szansę dożycia nowego dnia, zamiast ucapić kanalię za gardło i trzymać, póki się nie udławi własnym językiem? Przy okazji przepuścił wspaniałą okazję, by pokazać Sheridan, że jak najbardziej rwie się do bitki, choć kiedyś twierdziła co innego.

Dlaczego zatem nie urzeczywistnił swoich gróźb?

Nicholas przegarnął palcami włosy i odepchnął się od kominika; odpowiedź na to pytanie już się skryształizowała. Nie mógł uderzyć McDonougha za coś, co przydarzyło się i jemu samemu. Za zakochanie się w Sheridan. Wiare w pełną słodczy niewinność w jej oczach i zapowiedź nieposkromionej namiętności.

Emanowały z Sheridan energia i pasja życia, które z miejsca podbijały serce każdego mężczyzny i które każdy pragnął pojąć na własność, uchwycić i przyswoić sobie na zawsze. Była nieprzewidywalna jak cicha woda, nieuchwytna jak spadająca gwiazda i kpiła sobie z każdego, kto próbowałby ją zmienić.

Nicholas zdawał sobie sprawę, że nie był od McDonougha lepszy - od niego i Bóg jeden wie, jak wielu innych, którzy stracili dla Sheridan głowę. Bo też i czemu tu się dziwić.

Nicholas chwycił z biurka butelkę szkockiej. Nie przejmując się brakiem kieliszka, przycisnął szyjkę do ust i przechylił ją w nadziei, że trunek uderzy mu do głowy, zagłuszy wspomnienia. Znikną smutne oczy barwy płatków lawendy.

Z butelką w ręku, na sztywnych nogach podszedł do witrażowych drzwi. Chmury płynęły po niebie majestatycznie jak klipry. Nadciągała burza, która nigdy jednak nie zdołałaby dorównać sile tej, która szalała w jego duszy.

Otworzył drzwi na oścież. Do środka wdarł się porywisty wiatr i wtłoczył go do domu, jakby chciał go zmusić do powrotu i stawienia czoła biegowi wydarzeń.

Nicholas nie był w stanie tego uczynić. Musiał wyjść. Wtopić się w burzę.

Może wtedy zdoła wreszcie zgubić diabła, który nieustannie deptał mu po piętach.

Może wtedy zdoła wymazać z myśli jedno uporczywe pytanie. Dlaczego?

- Nie jedź, Danny.

Sheridan dbała, by nie zwrócić się twarzą w stronę Jules. Gdyby się bowiem odwróciła i zobaczyła smutną, błagalną twarz przyjaciółki, mogłaby się złamać i odstąpić od swojej decyzji, a do tego dopuścić nie mogła.

- Muszę. - Sheridan starała się włożyć w to słowo całą De-laneyowską siłę i ogień, ale zdążyła już zużyć wszystkie zapasy siły, jakimi Bóg obdarzył ją i wszystkich Irlandczyków. Ognia zaś pozbawił ją Nicholas, który odebrał jej ducha z taką samą łatwością, z jaką zagarnął jej serce.

Jules podeszła do przyjaciółki i wyjęła jej z rąk bluzkę, którą Sheridan właśnie składała.

- Pusty śmiech człowieka ogarnia. Oboje z Nickym jesteście tacy zaślepieni, tacy nieznośnie uparci, że chce mi się krzyczeć. On kocha ciebie, a ty kochasz jego.

Sheridan zawahała się, ale zmusiła się do tego, by unieść głowę i odwzajemnić spojrzenie Jules.

- Czasem miłość to za mało. Potrzeba również wiary. -
I zaufania.

Ale zaufanie było jedyną rzeczą, na jaką Nicholas po prostu nie potrafił się zdobyć.

Pomyśleć tylko, że naprawdę wierzył, iż nosiła pod sercem dziecko innego mężczyzny, że była tak nikczemna, by wmawiać mu, że to jest ojcem. Sheridan nie wiedziała, czego po Nicholasie oczekiwać, z pewnością jednak nie przewidziała tego, że wszystkiego się wyprze i zacznie rzucać niedorzeczne oskarżenia pod jej adresem.

- Danny. - Jules zawisła na niej oczami, niemo prosząc o przemyślenie decyzji. - Będziesz miała dziecko. Dziecko Nicholas. Jak mogłabyś tak po prostu stąd odejść?

- Tak będzie najlepiej.

Jules potrząsnęła głową.

- Nie, dla dziecka wcale nie będzie najlepiej! Nie pozwól, żeby głupio pojmowana duma skłoniła cię do zrobienia czegoś, czego będziesz żałować.

- Duma? Toś ty myślała, że ja dlatego chcę wyjechać? - Sheridan spojrzała na małą walizkę, w której mieścił się, równo poukładany, cały jej mizerny dobytek. Duma była ostatnim powodem jej decyzji.

Uciekała przed nieodwzajemnioną miłością.

- Danny, proszę cię. Zaraz się zrobi ciemno. Nie jedź dziś wieczorem. Poczekaj do jutra, daj sobie i Nicholasowi trochę czasu na zastanowienie.

Sheridan odsunęła się od Jules, podeszła do okna i wyjrzała. Posępne złowieszcze niebo wydawało się odzwierciedlać stan jej duszy. Jakieś mgliste, nieokreślone wspomnienie zaczęło dobijać się do jej świadomości, lecz w tej samej chwili martwą ciszę rozdarło echo dalekiego grzmotu i wspomnienie pierzchnęło, spłoszone, a w serce Sheridan wkradła się głucha rozpacz.

Kątem oka złowiła jakieś poruszenie. Nicholas. Kołyszącym krokiem, na chwiejnych nogach, przemierzał wybruko-

waną kamieniami ścieżkę, jedną z wielu nیکنących pod baldachimem drzew, z butelką zaciśniętą w ręce.

Sheridan oparła dłoń na szybie. „Żegnaj, mój mroczny aniele”. Zamknęła na chwilę oczy, siłą woli próbując uciszyć tępy ból, który ogniskował się w jej brzuchu. Następnie odetchnęła głęboko i zwróciła się twarzą do przyjaciółki.

- Ja to przemyślałam, Jules, i zdania nie zmienię. Proszę, zrozum.

Jules kiwnęła głową, choć w oczach kręciły się jej łzy. Zrezygnowana wyciągnęła do Sheridan ramiona. Ta bez wahania pomknęła w ramiona przyjaciółki. Pozwoliła, by Jules ją pocieszała, dała ujście całej swojej rozpacz, obnażyła się tak, jak nigdy nie otworzyła się przed żadnym człowiekiem.

Oprócz Nicholasa.

- Och, Jules. Żebyś wiedziała, jak bardzo będzie mi się za tobą cknęło.

- Ja też będę za tobą tęskniła, Danny - zapewniła cicho Jules zdławionym głosem. - Nigdy Nicholasowi nie wybaczę tego, co zrobił.

Sheridan wyrwała się z objęć przyjaciółki i wpatrzyła w zielone oczy tak podobne do oczu jej kuzyna.

- Nawet tak nie mów, Jules. Nie odmawiaj mu swojej miłości. Jesteś mu potrzebna.

- To tobie jestem potrzebna.

- On ciebie potrzebuje bardziej. Jego ból sięga głębiej niż mój. Jego rany jeszcze się nie zablizniły.

- Ale...

- Pamiętasz, jak żeś mi opowiadała o pewnym ciepłym, wrażliwym chłopcu, z którym dorastałaś? Który wszystko odczuwa silniej niż inni. Był dla ciebie bohaterem, kimś, kto walczy w imieniu tych, którzy nie są w stanie toczyć własnych bitew. Ano, ten ciepły i wrażliwy chłopiec nadal mieszka w Nicholasie, ukryty pod twardą skorupą. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Po policzku Jules spłynęła łza.

- Okazałaś mu tyle zrozumienia, choć on tobie wcale.
- Dał mi coś o wiele cenniejszego. - Sheridan położyła rękę na płaskim jeszcze brzuchu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołała Jules głucho.

Wszedł Emery i ryknął od progu:

- Powóz, o który pani prosiła, czeka, milady!

- Dziękuję, Emery, że tak szybko odpowiedziałeś na moje wezwanie.

- Milady chce mi sprawić lanie? - Zapadnięte, pomarszczone policzki Emery'ego pokraśniały. - Nie dostałem lania, od kiedy byłem dwudziestopięcioletnim młokosem. Pamiętam tę noc bardzo dobrze. - Wyraz jego twarzy zmienił się na zamyślony. - Byłem w małej tawernie w Spitafields, aż tu nagle podchodzi do mnie barmanka i...

Jules parsknęła śmiechem. Podeszła do Emery'ego, uniosła rękę, w której trzymał tubę, na wysokość jego ucha, i powiedziała przytykając do niej usta:

- Dziękuję ci, Emery. To wszystko.

Emery skinął głową.

- Tak, milady. - Odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymał się nagle. - Och, byłbym zapomniiał. Ciotka panny Delaney leży zemdlona na kanapie. Wnoszę, iż znów zaniemogła.

Pewne sprawy nigdy się nie zmieniają, pomyślała Sheridan. Ale w tej chwili cieszyła ją myśl, że ma w swoim życiu jakiś pewnik, coś niezmiennego, dzięki czemu łatwiej jej było odgrodzić się od napierających ciemności.

Emery ściągnął brwi i poskrobał się po łysinie.

- Prosiła, żebym przekazał panience wiadomość, ale to bez sensu.

- Jak brzmiała wiadomość? - zachęciła Jules.

- Powiedziała, że chce być przechowana razem z jej utuczonymi berłami i kagańcem zapiętym na pawicy.

- Co?! - wykrzyknęła Jules, oglądając się na Sheridan.

Sheridan uśmiechnęła się. Będzie jej Emery'ego brakowało.

- Myślę, że powiedział, że moja ciocia życzy sobie być pochowana razem z jej sztucznymi perłami i różańcem zaciśniętym w prawicy.

- Sama pani widzi... - Emery potrząsnął ze zdziwieniem głową i poczłapał do wyjścia. Z ręką na klamce odwrócił się jeszcze i zwrócił mętne szare oczy ku Sheridan. - Ogromnie tu będzie panienki brakowało - dodał cicho. - Anglia nie będzie bez panienki taka sama. Z Bogiem, panienko... z Bogiem.

Sheridan już się nie uśmiechała. Zamrugała powiekami, by odegnąć łzy. Przez ostatnich kilka minut odczuwała to ulgę, to żal. Słuchając pożegnalnych słów Emery'ego, uzmysłowiła sobie bolesną prawdę.

Czas ruszać w drogę.

Nicholas wtoczył się do swojego gabinetu w ten sam sposób, w jaki się z niego wydostał: przez witrażowe drzwi, niesiony na obłoku alkoholowych oparów, w stanie przyjemnej drętwoty, w której cięcie nożem w serce odczuwa się raczej jak zabawne łaskotanie niż zabójczy cios.

Zamglonymi oczami rozglądał się po swoim skromnym królestwie, kołysząc się niepewnie na nogach.

- Król Tuman powrócił do Tumanowa - rzekł do pokoju, który zdawał się szydzić z niego niemo. - Pochylmy wszyscy czoła nad jego głupotą.

- Okey, pan szef. Ja chylić. - Nad wysokim oparciem fotela ukazała się czyjaś głowa. Nicholas drgnął, przestraszony, i byłby się z tego powodu potknął, gdyby nie to, że i tak miał to już w planach.

Ho-Sing wstał szybko i pokłonił się w pas.

- Pan szef głupi na potęgę. Cesarz głupota. Arcykapłan, głupota. Numer jeden...

Nicholas uciszył go ruchem ręki.

- Już się orientuję.

Na miękkich nogach potoczył się w kierunku biurka. Wepchnął się na fotel z dziwnym uczuciem, że kręgosłup ma

z gumy. Gdyby nie biurko, rymśnąłby na podłogę jak długi.

- Pan szef zalany.

Nicholas z trudem odemknął ociężałą powiekę.

- T-twój dar dedukcji mnie poraża, Ho - czknął - Sing. Co teraz, zastanawiam się? Lewitacja?

- Pan szef bardzo zabawny. - Ho-Sing pokiwał głową z uśmiechem na ustach. Jego oczy mówiły za to: „Ale czy zdrowy na umyśle?”

- Masz, napij się. Będzie ci się lepiej myślało. - Nicholas uniósł butelkę szkockiej i potrząsnął nią. Pusta. Nie starczyłoby dla spragnionej mrówki.

- Ho-Sing lubić mieć jasną głowa.

- Jak sobie chcesz.

Przenikliwe czarne oczy studiowały Nicholasa.

- Pan szef pić, żeby zgasić ogień do panienki.

Jak zwykle prowokująca uwaga Ho-Singa wyłoniła się z ciemności bez żadnego ostrzeżenia i uderzyła Nicholasa prosto między oczy.

- Każdy musi mieć jakieś hobby, Ho-Sing. Moim jest śmierć. Oto moja szansa na życie pozagrobowe.

Ho-Sing uniósł hebanową brew; z wyrazu jego twarzy Nicholas wyczytał, że majordomus najchętniej usiadłby mu na piersi i zlał go na kwaśne jabłko.

Zamiast tego jednak Ho-Sing splótł dłonie za plecami z miną niezwykle mądrą i uroczystą.

- Matka Ho-Singa mówi, że kobiety być jak zaczyn na chleb. Jak człowiek zostawiać je w spokoju, zastawać więcej, niż zostawiać. Jak czekać za długo, zastawać kleista papka.

- Wieszcie słowa - wymamrotał Nicholas, wiedząc, że przewróciłby oczami, gdyby nie to, że same się przewracały.

- A teraz, gdybyś był łaskaw.... - Zezował znacząco ku drzwiom. - Można by długo mówić o zaletach samotności...

Ho-Sing zignorował tę mało subtelną aluzję.

- Pan szef chce wiedzieć, co jeszcze mówić matka Ho-Sing?

- Nieszczególnie.

Widocznie jednak pytanie Ho-Singa było czysto retoryczne.
- Mówić, że język głupca być dość długi, żeby podciąć mu gardło.

Matka Ho-Singa musiała być Konfucjuszem w przebraniu

- A wiesz, co ja mówię? Treściwość jest duszą mowy*.

- Nie, nie. To Szekspir.

Oczytany majordomus.

- Pozwól zatem, że wyrażę to w terminologii Sinclairów: „Streszczaj się i znikaj”. Muszę oszczędzać energię na kaca... albo na moment, kiedy mi się zamarynuje wątroba, cokolwiek nastąpi pierwsze. - W głowie mu huczało tak donośnie, jakby pod jego czaszką obóz rozbiły sobie tysiące miniaturowych Filistyńczyków.

Dlaczego wypił całą butelkę szkockiej, skoro wystarczyłoby jedno uderzenie pałką w głowę, nigdy tego nie zrozumie.

- Okay, pan szef. Panienska wyjechać.

Ostatnie dwa słowa wystarczyły, by Nicholas poderwał głowę.

- Co? Wyjechała? Co ty wygadujesz? Ale dokąd? Kiedy? Szczegóły, człowieku, szczegóły!

- Pan mówić, żeby ja się streszczać. Ja się streszczać.

- Nie aż tak, do ciężkiej cholery!

- Ho-Sing nie być wróżka.

- Ho-Sing nie pożyje długo, jeśli zaraz nie doczekam się jakichś wyjaśnień. No, dokąd Sheridan wyjechała?

- Do domu. - Ho-Sing potrząsnął głową. - Pan szef złamać jej serce. Bardzo niedobrze. Duża wstyd.

Nicholas zazgrzytał zębami, zastanawiając się, dlaczego wszyscy uwzięli się raczyć go swoimi opiniami, choć o nie wcale nie prosił.

- Kiedy wyjechała?

- Kiedy pan wyjść. Bardzo smutna. W Ho-Sing płakać serce.

* „Treściwość jest duszą mowy”, „Hamlet” Williama Szekspira, akt II, scena 2, tłum. Józefa Paszkowskiego.

Nicholas zaklął pod nosem. Wzbierał w nim niesmak, gniew oraz jeszcze jedno, nienazwane dotąd uczucie, które kiełkowało w nim od pewnego czasu, a rozkwitło w chwili, w której usłyszał o jej wyjeździe.

Opuściła go. Nie, to nie tak. Sam zmusił ją do wyjazdu. Miał przez nią same kłopoty od momentu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy i poczuł, że budzą się w nim uczucia, które lepiej było pozostawić w spokoju.

- Serce pan szef też płakać. - Ho-Sing pokiwał głową. - Tylko że być za duży osioł, żeby to przyznać.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Pan wiedzieć. Ho-Sing bardzo mądry.

Nicholas podniósł się z fotela i parsknął gniewnie.

- Krzyżek jej na drogę, powiadam. Może teraz wszystko będzie po staremu.

Ho-Sing dalej kiwał głową.

- Tak-tak. Po staremu. Pan szef znowu błąkać się po wielki pusty dom z nos na kwinta, przegrywać w karty i warczeć na niewinna służba. Pan szef robić się stary i pomarszczony. Kobiety uciekać od stary zrzęda, co szczypać młode panny w siedzenie. W końcu pan szef błąkać się od pokój do pokój, gadać sam do siebie jak Chung Lee, pradziadek Ho-Sing, opłakiwać dzień, kiedy pozwolić słodka panienska odejść. Potem umrzeć w samotności, poeci pisać o nim smutne historie, pieśniarze opiewać jego głupota.. on cesarz głupota. - Ho-Sing pokłonił się uroczyście.

Nicholas spiorunował wzrokiem czubek jego głowy.

- Dlaczego to ze mnie robisz złoczyńcę? Ja nie zostawiłem jej samej u Puddlebych. Ja nie biłem jej w krzakach. Nie rzuciłem w nią butem. Nie dałem jej trujących kwiatów.

- Ani jej nie kochać.

Nicholas obrócił się do niego plecami i oparł rękę o półkę nad kominkiem. Wpatrzył się w zimną kratkę, za którą tliło się parę dogasających szczap.

- Kochałem ją bardziej niż samo życie.

- No to jechać po panienska. Przywieźć ją z powrotem.

- Niby po co? Najwyraźniej nie mogła się doczekać, żeby się stąd wynieść razem ze swoim kochasiem.

Ho-Sing westchnął. Głośno.

- Tylko obedrzeć pan szef ze skóry i ugotować w oliwie...
Ho-Sing mówić to z szacunek.

- Zdrajca z ciebie, Ho-Sing.

- Uczciwość być dla Ho-Sing jak sztandar. Pan szef zakrywać oczy rękami i pchać wata w uszy.

Nicholas okręcił się na pięcie.

- Ciebie tu nie było. Nie widziałeś tego, co ja.

- Ho-Sing nie musieć widzieć oczami. Ho-Sing widzieć sercem. Pan szef patrzeć tylko oczami. Zamykać umysł na nowe możliwości.

- Jakbym słyszał Jules.

- Okrągła panienska mieć racja. - Ho-Sing poklepał się po piersi. - Ona też widzieć sercem.

Nicholas wolał nie mówić o tym, co działo się w tej chwili w jego sercu. Nawet po tym wszystkim, co z powodu Sheridan przeszedł, dalej ją kochał, chciał, żeby wróciła. Przebaczyłby jej.

Boże, jakież z niego głupiec! Trawiony obsesją, pijany głupiec.

„A jeśli to jest twoje dziecko?” - zaszeptał jakiś przekłety głos z jego wnętrza, podsuwał pytanie, przed którym Nicholas bronił się przez cały dzień. Jakkolwiek usilnie się starał, ta myśl nie chciała zniknąć, czaiła się na obrzeżach umysłu, mozolnie podkopując jego przekonanie o własnej nieomyślności.

„I co pan na to, panie Wrażliwy?” - szczydził głos. - „Co z twoim dzieckiem?”

Ono nie jest moje.

„Skąd ta pewność?”

Ja to po prostu wiem.

„A jeśli twoje? Co wtedy?”

Wtedy ożenię się z Sheridan.

„O? Myślisz, że będzie cię chciała po tym, jak się zach-

wałeś? Taka uparta, dumna Irlandeczka jak Sheridan? Zastanów się jeszcze".

Nie będzie miała wyboru. Nie będzie chciała, żeby nasze dziecko było bękartem.

„A kto mówi, że tak musi się stać? Sheridan jest piękna. Zechce ją kto inny, z wiankiem czy bez wianka".

Po moim trupie.

„Ręczę, że to da się zrobić. Już ona się o to postara".

Nicholas przegarnął palcami rozwichrzone włosy. I co powinien teraz zrobić?

„Jedź za nią. Zanim będzie za późno".

A jeśli już jest za późno?

„Porozmawiaj z nią. Powiedz, co do niej czujesz".

A jeśli ona nic do mnie do czuje?

„Jeśli nie pojedziesz za nią, nigdy się nie dowiesz".

Boję się.

„Kochasz ją?"

Całym sercem i duszą.

„To w drogę".

- Ho-Sing, każ Jeremiahowi osiodłać Narcissusa i za kilka minut podprowadzić go przed dom.

Nicholas pomknął ku drzwiom. Sheridan miała nad nim znaczną przewagę, ale Narcissus był szybki jak wiatr. Dogonią ją.

- Pan szef jechać po panienka?

Nicholas przystanął na chwilę. Potem obejrzał się i potwierdził z uśmiechem:

- Pan szef jechać po panienka.

Sheridan wyjrzała przez okno powozu na pociemniałe niebo. Z każdą milą coraz bardziej ścisnęła ją w piersi, z każdym krokiem, gdy konie niosły ją coraz dalej i dalej od Silver Hills. Od Jules.

Od Nicholasa.

Sheridan wyobrażała sobie, że Nicholas wznosił teraz toasty

dziękczynne, bo wraz z nią znikła z jego domu cała chmara problemów. Gdyby tylko umiała patrzeć na to w ten sam sposób.

Choć wiedziała, że ją oszukał, że był jednym ze zniechęconych obszarników, nie potrafiła wymazać z pamięci wspomnienia chwili, gdy dostrzegła w nim słodkiego małego chłopca, z którego oczu wyzierało bezbrzeżne współczucie, nie potrafiła zapomnieć, jak bardzo czuła się szczęśliwa, kiedy się kochali.

Sheridan poszukała spojrzeniem Iana. Jechał konno obok powozu. Uparł się, że odwiezie ją bezpiecznie do samego Londynu. Nie wspomniał, że sam także musi tam jechać, żeby zacząć szukać nowej pracy. Podsłuchiwała jednak, jak stangret, Nash, podaje łanowi nazwiska kilku dżentelmenów, z którymi warto się skontaktować.

Obserwowała go kilka chwil, gdy siedział w siodle, dumny, wyprostowany. Rozmyślała przy tym, czy nadejdzie taki moment, kiedy nie będzie przysparzać wszystkim naokoło ciągle nowych zgryzot. Jak łanowi, bo to przez nią stracił posadę.

Wuj Finny zachrapał głośno i tak zniechęca, że się obejrzała. Siedział rozwalony na siedzeniu obok niej z ukochaną flaszką w dłoni.

Naprzeciwno, w swojej ulubionej pozycji, czyli na plecach, leżała ciotka Aggie, wyciągnięta w poprzek siedzenia. Chrapała nie mniej donośnie jak wuj Finny. Oboje mieli za sobą pracowity dzień. Obłąd i sianie spustoszeń potrafią porządnie człowieka zmęczyć. Niemniej Sheridan szczerze ich kochała. Byli jej rodziną. Trzymała tylko kciuki, by pokochali jej dziecko równie mocno, jak kochali ją samą.

Delaneyowie byli i będą żarliwymi katolikami, a tu nieślubne dziecko...

Sheridan przypomniała sobie słowa matki. Teraz wydały się jej boleśnie trafne.

„Przez prawie osiemset lat ci przekłęci Anglicy deptali naszą godność”.

Co powie matka o Anglikach w tej sytuacji?

Nagle w powietrzu zatrzeszczało, a przez niebo przebiegła oślepiąco biała błyskawica. Sheridan wzdygnęła się i poderwała głowę. Wydawało się, że niebo raptem przybrało odcień czerni, choć zaledwie parę chwil temu panowała posepna szarówka. W tej samej chwili lunął deszcz, a powozem targnął poryw wiatru.

Latarenka przywiązana sznurkiem do budy powozu wystrzeliła w górę, jakby poderwała ją znienacka mocarna, niewidzialna dłoń, znikając na chwilę w ciemnościach.

Sheridan zerwała panel oddzielający wnętrze powozu od stangreta. Przez powstały otwór zacięło do środka przepojone deszczem powietrze. Wiatr odepchnął ją na tylne siedzenie, rozwiął jej włosy i targał nimi wściekle, upodabniając ją do czarodziejki.

Przytrzymała się ścianki powozu i przyciągnęła głowę do otworu.

- Nash!

Zaniepokojone spojrzenie ciemnych oczu śmignęło ku jej twarzy.

- Niech panienska zatka tę dziurę! - zawołał, usiłując przekrzywić wycie wiatru. - Przeziębi się panienska na śmierć! - Chciał zakryć otwór panelem, ale Sheridan go powstrzymała. - Wszystko będzie dobrze! Tylko niech panienska siedzi w powozie!

- Co się dzieje?

Nash pokręcił głową; krople deszczu uderzały wściekle w jego głowę, z brązowego filcowego kapelusza spływały strugi wody.

- Burza... pojawiła się dosłownie znikąd. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Sheridan także. Jakaś siła, przerażająca i niewidoczna, wyła na wietrze i stapiała się z wszechogarniającym mrokiem, przesłaniającym księżyc w pełni, który tak jasno świecił ubiegłej nocy. Nawet konie rżały i cofały się lekliwie przed naporem nawałnicy.

Nash powiedział coś jeszcze, ale Sheridan go nie słyszała.

W przebłysku pamięci napłynęło wspomnienie, które zmroziło jej krew w żyłach.

Coś się niebawem wydarzy...

Coś, co zaczęło nabierać kształtu pewnego dnia, dawno temu.

Deszcz, zacinający i gwałtowny, lał się z nieba, dudniąc o dach jak tysiące kamyków...

O Boże! Jules!

- Zawróć powóz! - krzyknęła Sheridan, szarpiąc Nasha za rękaw płaszcza.

- Co? - nie dosłyszał Nash, skupiony na powożeniu.

- Musisz natychmiast zawrócić! Musimy wracać do Silver Hills!

- Wracać?

- Ano! Zawracaj, na co czekasz!

Rzucił jej spojrzenie sponad ramienia.

- Nie da rady.

- Musimy wracać!

Nash pokręcił głową.

- Rzeka pod mostem, tym, cośmy niedawno przez niego jechali, wylewa z pierwszymi kroplami deszczu. W takiej ulewie most będzie nieprzejezdny. Woda mogłaby nas znieść w dół rzeki. Za duże ryzyko.

- Ale ja muszę wrócić!

Nash jej nie usłyszał.

- Prrr, panienki! - zawołał na konie, które podniosły łby, gryząc wędzidła. - Prrr! - Do Sheridan zaś zawołał, przekrzykując coraz głośniejszy ryk burzy: - Musimy znaleźć jakieś schronienie!

Teraz Sheridan wiedziała już, dlaczego w wizji o Jules nie dostrzegała samej siebie. W przebłysku przyszłości widziała zaledwie krótką chwilę, ale co potem? Co stanie się z Jules bez jej pomocy? Przyrzekła Jules, że przy niej będzie.

Spojrzenie Sheridan przyłgnęło do okna. Ian walczył z pełnym temperamentu wierzchowcem - szybkonogim ru-

makiem pożyczonym z Nicholasowych stajni. W powozie, który pomieścił ją samą, wuja Finny'ego, ciotkę Aggie i ich rzeczy, zabrakło miejsca. Zabrakło go także na koźle, obok stangreta stała bowiem klatka Scally'ego.

W powietrzu rozległo się głośne skrzeczenie.

Sheridan dopadła do okna na czas, by zobaczyć, jak Nash sięga błyskawicznie po klatkę z gwarkiem w chwili, gdy ta rąbnęła o bok powozu. Sznurek, którym była przytroczona do budy, zdołał się jakoś rozwiązać.

Klatka raz jeszcze uderzyła z łoskotem o ściankę powozu. W tej samej chwili otworzyły się drzwiczki, a z wnętrza niczym pocisk wypadł ku wolności czarny, obły kształt. Jednak mały gwarek nie był dla huraganowego wiatru żadnym przeciwnikiem.

- Scally!! - krzyknęła Sheridan, patrząc, jak wicher porywa ptaka w ciemności, spiralnym lotem ciskając nim w niebo.

Zacisnęła kurczowo powieki. Gdyby tylko zostawiła klatkę ze Scallym w środku, nie doszłoby do tego. Ale wystawiła go na zewnątrz, bo nie mogła znieść jego bezustannego szczebiotu... czy raczej skrzekliwych uwag przypominających jej o Nicholasie.

Nash zatrzymał konie pod gęstym baldachimem bukowych koron. Sheridan kazała sercu umilknąć, przestać lękać się o los Scally'ego. Jemu nie była już w stanie pomóc, wciąż jednak mogła dopomóc Jules.

Obejrzała się i dostrzegła wlepione w siebie przerażone oczy ciotki. Pochyliła się, ujęła ją za ręce i uściśnęła je.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła z nadzieją, że jej głos zabrzmie pewniej, niż się czuła. - Muszę wracać do Silver Hills. Jules mnie potrzebuje. Ty zostaniesz tu z wujem Finnym. Nash się wami zajmie. To dobry człowiek.

Ciotka kiwnęła głową.

- Ino uważaj na siebie, dzierlatko.

- Obiecuję - obiecała Sheridan i wysiadła z powozu, obojętna na strugi deszczu, które sprawiły, że włosy przykleiły

się jej do głowy, a ubranie natychmiast przemokło do suchej nitki. - Ian!

Nash złapał ją za ramię i wciągnął do powozu w chwili, w której koń Iana się cofnął. Potężne kopyta wryły się w ziemię w miejscu, gdzie stała zaledwie chwilę wcześniej.

Zadrzała, uświadamiając sobie, co mogłoby się stać, gdyby nie interwencja Nasha. Zaczepnęła powietrza i obejrzała się przez ramię w niemym podziękowaniu. Następnie podbiegła do Iana.

- Muszę wracać do Silver Hills! Potrzebny mi twój koń!

Ian zawahał się; być może chciał zapytać, dlaczego zmieniła zdanie i zamierza wrócić po wszystkim, co tak niedawno się wydarzyło. Musiał jednak dostrzec w jej oczach rozpaczliwą determinację, ponieważ o nic nie zapytał.

- No dobrze, dziełatko. Zabiorę cię tam.

- To zbyt niebezpieczne. Zostaniesz tu z Nashem.

- Niebezpieczne? - Tubalny śmiech wstrząsnął wichurą. - Dla Szkota z gór? Niewysoko mnie sobie cenisz, dziełatko. - Podał jej rękę z twarzą zastygłą w maskę uporu.

Sheridan nie miała czasu na kłótnie. Ledwie wskoczyła w siodło przed niego, spał konia do galopu. Patrzyła na błoto bryzające spod kopyt, modląc się nieustannie:

„Boże, obym nie przyjechała za późno”.

W całkowitych ciemnościach, w strugach zacinającego deszczu, Nicholas spał Narcissusa do szybszego biegu.

Na szczęście pamięć go nie zawiodła. Czysto instynktownie odnajdywał drogę, unikając wszystkich pułapek i niebezpieczeństw, które się na niej czały, zwielokrotnionych jeszcze przez nawałnicę.

Czy Sheridan znalazła jakieś schronienie? A może błąkała się gdzieś w ciemnościach, zagubiona i przestraszona? Boże, jeśli cokolwiek jej się stało...

Zachował się jak przeklęty dureń. Jego gniew wyгнаł Sheridan w ramiona burzy, kazał jej ryzykować życie swoje i ich

dziecka, byle jak najdalej od jego potępiających spojrzeń.

Ich dziecka. W żołądku mu się ścisnęło. Boże, tak bardzo chciał wierzyć, że Sheridan nosi jego dziecko. Chciał mieć dzieci. Chciał je kochać i rozpieszczać tak, jak jego samego nigdy nie kochano i nie rozpieszczano.

Gdyby jednak był ze sobą szczery, przyznałby się do prawdziwego powodu, dla którego tak zależało mu na tym, by to dziecko było jego: żeby Sheridan z nim została. Żeby mógł jej zapewnić bezpieczeństwo. Znaleźć sposób, by związać ją ze sobą już na zawsze.

Może gdyby została, zdołałby jakimś cudem pokonać dzielącą ich przepaść, sprawić, by go pokochała.

W ciemnościach rozległ się przesywający krzyk.

Nicholas targnął za lejce; zwierzę zatrzymało się tak gwałtownie, że spod kopyt bryznęło błoto. Nasłuchiwał. Nic oprócz wiatru i mokrych plaśnięć kropel deszczu zwielokrotnianych przez echo.

Skąd dobiegł ten krzyk? Wiatr potrafił oszukać ucho: bywało, że odległe wołanie zdawało się rozbrzmiewać tuż obok, innym razem głosy z bliska dochodziły jak z oddali.

- Ian!

Tym razem Nicholas usłyszał rozpaczliwy krzyk zupełnie wyraźnie. Sheridan. Serce zaczęło mu się gorączkowo tłuc o żebra.

Boże drogi. Most.

- Wio! - Nicholas wbił pięty w boki Narcissusa i na złamanie karku popędził po pochyłym brzegu w kierunku mostu.

Nicholas dostrzegł zavalony drewniany most i drobną przemoczoną postać klęczącą nad brzegiem rzeki. W ułamku sekundy pojął, że to Sheridan. Ulga niemalże odarła go z sił.

Zeskoczył z siodła, zanim koń się zatrzymał. Padł na kolana obok Sheridan i zobaczył, że Ian McDonough leży przywalony solidnym, drewnianym przęsłem, wezbrane wody zalewają mu co chwila głowę, a mężczyzna wolną ręką usiłuje dźwignąć przygniatający go ciężar.

Nicholas wiedział, że napór wody na złamane przeszło czyni je jeszcze cięższym. Nawet by nie drgnęło bez pomocy dwojga silnych ramion.

Sheridan rzuciła Nicholasowi nieprzytomne spojrzenie. Przez chwilę wątpił nawet, czy go rozpoznała. Potem wypowiedziała dwa słowa, które rozdarły mu duszę:

- Ocal go.

Przez najkrótszą z chwil Nicholas myślał: *Ona go kocha. Niech się łajdak utopi.* Wiedział jednak, że nie zostawi człowieka na pewną śmierć.

Zerwał się na równe nogi. Na ułamek sekundy jego spojrzenie mocowało się ze wzrokiem McDonougha. W oczach mężczyzny nie wyczytał błagania o pomoc. McDonough nie prosił o zmiłowanie i był gotów umrzeć, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Nicholas wskoczył do lodowatej wody. Płynął, walcząc z porywistym nurtem. Kiedy dotarł do tej części mostu, która runęła do wody, zaczerpnął powietrza do płuc i zanurkował. Prawie nic nie widział, ale to nie miało znaczenia. Wiedział, co trzeba zrobić.

McDonough leżał w wodzie nieruchomo. Czasu było coraz mniej. Gdyby nie utonął, czekała go niechybna śmierć z wyziębienia.

Nicholas zaparł się stopami, w kotłowaniu piasku i mułu szukając oparcia. Następnie popchnął plecami jeden z grubych drewnianych pali, ale nic to nie dało. Końce pali zapadły się głębiej w rzeczny muł.

„No, rusz się, do diabła!” Pchał raz za razem, aż w końcu przeszło poddało się. Wystrzelił ku powierzchni, wychylił nad wodę, gorączkowo łapiąc oddech.

McDonough w dalszym ciągu się nie poruszał. Nicholas złapał go za ramię, zmagając się z rwącym prądem i holując za sobą zwałiste ciało Szkota. Przytrzymał się jakiejś deski, żeby złapać tchu, po czym mozolnie, lecz miarowo zaczął zbliżać się do brzegu.

- Złap mnie za rękę!

Podniósł wzrok i zobaczył Sheridan: jedną ręką oplótła poręcz mostu, drugą wyciągała ku niemu. Nicholas zignorował ten gest; wiedział, że co najwyżej wciągnąby ją do wody.

Dotarł do brzegu i wypchnął McDonougha z wody, potem wypełził za nim, ciężko dysząc.

Ekonomem wstrząsnął skurecz. Chwilę później zaczął wykastywać z siebie wodę. Sheridan oparła na podołku jego głowę, odgarniała mu włosy i zraszała je łzami, które płynęły nieprzerwanie po jej policzkach, nim stopiły się w jedno z kroplami deszczu. Jej piękne lawendowe oczy sięgały w głąb duszy Nicholasa.

- Dziękuję ci - powiedziała zdławionym głosem.

A Nicholas wiedział już, że ją stracił.

23

Wiatr otworzył na oścież drzwi frontowe, ledwie Nicholas przekreślił klamkę. Ciężkie świerkowe skrzydło z hukiem rąbnęło o ścianę. Przestraszony Emery począpał pośpiesznie ku schodom.

- Och, Bogu niech będą dzięki, że jaśnie pan wrócił! - krzyknął Emery wielkim głosem, przyciskając rękę do serca.

Nicholas złapał Sheridan za rękę i wciągnął zastygłą postać do westybulu. Oboje ociekali wodą. Chciał zdjąć jej z ramion cienki płaszcz, ale mu nie pozwoliła.

- Jules - wykrztusiła, szcękając zębami. - Muszę iść do Jules.

- Najpierw przebierz się w suche rzeczy.

Wpatrywała się w niego; dwoje świetlistych fioletowych oczu okolonych mokrą siecią rzęs, wyzierających z bledziut-

kiej twarzy, spoglądało prosto w jego duszę tak, jak nigdy nie wejrzała w nią żadna kobieta. Boże, ależ on ją kochał, Hart jej ducha. Jej ogień.

Chciał ją pocałować, przycisnąć do serca i dziękować Bogu, że jest cała i zdrowa. Ale podejrzewał, że by go odepchnęła. Odrzuciła to, co miał do oferowania. I na nic innego nie zasługiwał po tym, jak ją potraktował.

Nicholas wiedział - wiedział już wtedy, przy moście - że Sheridan kochała McDonougha. Czułość, z jaką trzymała go w ramionach, łzy, to wszystko sprawiało, że słowa stawały się zbędne.

W żołądku mu się przewracało, kiedy patrzył, jak się przed nim cofa z zaszczutym wyrazem twarzy. Odwróciła się gwałtownie i pomknęła ku schodom, potykając się o fałdy przemoczonej spódnicy.

- Danny! - zawołał za nią.

Nie zareagowała.

Nicholas rzucił się za nią, ale zatrzymała go czyjaś ręka, ciężająca mu na ramieniu niczym ołów.

- Niech idzie.

Strząsnął ją z siebie wzruszeniem ramion i odwrócił się szybko, by stanąć twarzą w twarz z łanem McDonoughem.

Nicholas opuścił ręce wzdłuż ciała, ale bezwiednie zacisnął pięści. Była to czysto emocjonalna reakcja. Nadal zżerało go pragnienie walki o ukochaną kobietę, paląca chęć, by zawlec McDonougha z powrotem pod tamten most i zwrócić jego ciało powodzi.

- Może i wyciągnąłem twoje żałosne dupsko z wody - wycedził Nicholas, zgrzytając zębami - ale to nie znaczy, że cokolwiek się zmieniło. Uratowałem cię ze względu na Sheridan, dlatego, że... zależy jej na tobie.

McDonough wpatrywał się w niego równie wściekle.

- Ano, zależy jej na mnie, ale nie tak, jak ci się zdaje.

Nicholas i Ian mierzyli się wzrokiem, niemal tego samego wzrostu i równie silni, a między nimi wyczuwalne napięcie.

Rozdzieliła ich zgarbiona postać Emery'ego.

- Jaśnie panie, muszę...

Nicholas przerwał mu i warknął do McDonougha:

- Jeśli zachciewa ci się bitki, z chęcią ci posłużę.

- A ja z jeszcze większą chęcią zrobię z ciebie mokrą plamę za to, co zrobiłeś Danny. Już ja bym cię wyprawił na tamten świat, gdyby nie to, że Danny urwałaby mi za to głowę.

- Gadaj zdrów, McDonough.

- Jaśnie panie - zdołał wtrącić Emery, kiedy Nicholas przysunął się o krok do ekonomy.

- To nie żadne gadanie, ty głupi szczeniaku! - Ian przysunął się nieco.

Emery utknął pomiędzy dwiema potężnymi sylwetkami.

- Jaśnie panie, proszę! - powtórzył z widocznym zdenerwowaniem.

- Nawet zem jej nie dotknął - warknął McDonough - ale nie dlatego, żebym nie chciał. To piękna dziewczyna, sam żywiół. Idealna kobieta dla górala. Ale nigdy by mnie nie zechciała. Z powodów, których sam Pam Bóg chyba nie rozumie, chce tylko ciebie. - Potrząsnął głową. - Nikt nie pojmie kobiety.

Nicholas cynicznie skrzywił twarz.

- Dlaczego miałbym wierzyć choćby w jedno przekłete słowo z twoich ust?

McDonough łypał na niego ze złością.

- Dlaczego? Dlatego, że z rozkoszą utarłbym ci nosa, ty głupcze. Jakby kochała mnie taka dzierlatka jak Danny, miałbym z dumy tak głośno, że słyhać by mnie było w całym hrabstwie, ty arogancki łajdaku.

- Psiakrew, miarka się przebrała! Chodź no tu, ty sukiny, uderz pierwszy!

McDonough potrząsnął głową.

- Ty pierwszy.

- Świetnie! - Nicholas zamachnął się i z całej siły uderzył go w twarz. Rosły Szkot przewrócił się do tyłu i przejechał kawałek po śliskiej posadzce. - Wstawaj!

McDonough dotknął obolałej szczęki. Upewniwszy się, że nadal jest przytwierdzona, uśmiechnął się szeroko.

- Znaczy się, że ty też kochasz tę dzierlatkę. Od razu żem wiedział.

- Niech cię szlag! Wstań, do ciężkiego diabła, i walcz!

- Nie mogę się bić z kimś, kto kocha kobietę i nie chce jej oddać innemu.

- Sam nie wiesz, co mówisz.

McDonough zarechotał rubasznie.

- Ano, chłopcze, wiem. A nasza Danny kocha nie mnie... ino ciebie.

- Nie, nie kocha. A teraz przestań wykręcać kota ogonem i walcz!

- Nie licz na to.

McDonough z westchnieniem podniósł się z podłogi i otrzepał z kurzu.

- Głupiec z ciebie, ot co. Głupiec i człek zaślepiiony. Tracisz tylko energię, zamiast zrobić, co trzeba. Jak byś miał odrobinę oleju w głowie, to siedziałbyś teraz na górze z tą dzierlatką i próbował naprawić to, coś zepsuł, wykorzystając jeszcze jedną szansę, skoroś już ją dostał, zamiast strzępić język po próżnicy i dopraszać się, żeby ktoś ci utarł nosa... co z chęciom zrobię kiedy indziej.

Nicholas spojrział w kierunku schodów. Chciał wierzyć, że Sheridan nadal na nim zależało, choć w duszy sam śmiał się ze swojej naiwności, powtarzał sobie, że dał się wodzić za nos - zupełnie tak samo, jak ojciec pozwalał matce.

W uszach jednak rozbrzmiewały mu słowa Jules.

„A ja myślałam, że jesteś najwrażliwszym z Sinclairów, że rozpoznasz miłość, kiedy zapuka do twego serca. Że choć ty nie będziesz jej oceniał, nie będziesz próbował zamawiać jej jak towar z katalogu, ale przyjmiesz ją i będziesz uważał się za szczęściarza”.

Nicholas zdawał sobie sprawę z tego, że większa część wywodu kuzynki nie mijała się z prawdą. Istotnie usiłował „zamó-

wić" sobie kobietę jak towar z katalogu, oglądając ją ze wszystkich stron, wkalkulowując wszystkie zmienne, uparcie broniąc się przed tym, by miłość biegła swym naturalnym torem.

Jak mógł potępić Sheridan za to, że spodziewała się dziecka? Niczego jej nie dał, a z całą pewnością już nie dał jej siebie. Teraz, kiedy oczy zaczynały mu się otwierać, spostrzegł, jak wiele razy bez zastrzeżeń podejmowała ryzyko i ofiarowała mu samą siebie, swoją miłość, a on ją od siebie odsunął.

- Na co czekasz, człowieku - powiedział McDonough z nutą rozbawienia w głosie.

Nicholas nie potrzebował pomocy od tego szkockiego tchórza, nawet jeśli łajdak śmiał mieć rację. Nicholas musiał porozmawiać z Sheridan i nie pozwoli jej wyjechać, dopóki tego nie zrobi.

Zamyślony podchodził powoli do schodów... dopóki domem nie wstrząsnął przenikliwy krzyk. Nicholas stanął jak wryty, czując, że włosy mu się jeżą.

Drgnął, kiedy na jego ramieniu zacisnęły się kościste palce. Obejrzał się gwałtownie i spojrzał prosto w oczy Emery'ego.

- Próbowałem jaśnie panu powiedzieć.
- Co powiedzieć? - zirytował się Nicholas.
- Milady.

Nicholas złapał Emery'ego za ramiona, nieświadom, jak mocno go ściska.

- Co z nią?
- Rodzi.

- Słodki Jezu... - Nicholas odepchnął się od Emery'ego i pobiegł na górę, przeskakując po dwa schodki. Nie dotarł jeszcze na półpiętro, kiedy otworzyły się drzwi frontowe, do okrągłego westybulu wdarł się zimny wiatr, a do środka wpadła czarno odziana postać.

- William?
- Gdzie ona jest? - zawołał William od progu. - Gdzie moja żona?

Sheridan przyklekła przy łóżku Jules i wzięła ją za rękę.

- Ciii... - uspokajała. - Jestem tu z tobą.

Półprzytomne oczy zwróciły się ku niej.

- Danny? - głos Jules zabrzmiał słabo. Twarz miała bladą jak opłatek, czoło zroszone potem.

- Ano. To ja. Nie myślałaś chyba, że opuszczę najlepszą przyjaciółkę w godzinie potrzeby, prawda? - Sheridan nie chciała myśleć o tym, że opuściła ją istotnie, że przez swój upór porzuciła Jules, gdy ta potrzebowała jej najbardziej.

Po skrzywionej z bólu twarzy Jules popłynęły łzy.

- Byłam całkiem sama. Wołałam ciebie, ale nie przyszedł. Wołałam Nicky'ego... ale też nie przyszedł. O Boże. - Zaszło chała z rozpaczą. - Tak bardzo się bałam.

Sheridan uśmiechnęła się łagodnie.

- Już dobrze. Jestem tu z tobą. Już nie musisz się bać. Przepraszam, że cię opuściłam. Ale teraz zaopiekuję się tobą, tylko musisz być spokojna, przez wzgląd na dziecko. Zrobisz to dla mnie?

Jules słabo kiwnęła głową.

Sheridan zerknęła na Ho-Singa, który czuwał przy łożu Jules, kiedy nie było przy niej nikogo innego, tak sztywno wyprostowany, że można by było wziąć go za figurę woskową.

Sheridan wiedziała, że tkwił przy Jules jak wrośnięty w ziemię nie za sprawą jakiegoś starożytnego chińskiego obyczaju, lecz z o wiele prostszego powodu. Czystego, nieskażonego lęku. Wydawał się równie przerażony jak Jules.

Sheridan wstała i stanęła przodem do niego.

- Dziękuję ci, że z nią zostałeś.

- Ho-Sing cieszyć się bardzo, że widzieć panienka. - Przeknął ślinę i zerknął na Jules. - Okrągła panienka bardzo cię pieć. Ho-Sing mieć pusto w głowie i dwie lewe ręce. Nie wieć, co robić. Nigdy nie przyjmować poród.

- Byłeś tu z nią. To najważniejsze. A teraz możesz być moim pomocnikiem.

Oczy Ho-Singa zrobiły się wielkie i okrągłe jak talerze.

- Ho-Sing... pomagać przy dziecku? Ho-Sing bardzo ma-

dry Azjata, ale nogi mu się giąć na widok cierpiąca kobieta.

Sheridan potrząsnęła głową. Najwyraźniej wszystkim mężczyznom dokuczała ta choroba, że mdleli na widok brzemiennej. Każ im iść na bitwę i obciąć głowę wrogowi, idą ze śpiewem na ustach. Poproś, żeby pomogli przy porodzie, potykają się jeden o drugiego w panicznej ucieczce.

- Świetnie sobie poradzisz, Ho-Sing.

Ho-Sing nie wyglądał na przekonanego, niemniej kiwnął głową.

- No to świetnie. Posłałeś po doktora?

Ho-Sing smętnie potrząsnął głową.

- Doktor nie przyjdzie.

Sheridan zamierzała pociągnąć Ho-Singa za język, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale zauważyła wlepione w siebie, rozszerzone ze strachu oczy przyjaciółki. Nic chciała bardziej jej niepokoić, więc odciągnęła Ho-Singa na bok, poza zasięg uszu Jules.

- Jak to, nie przyjdzie? - spytała ściszym głosem. - Przecież po niego posłałeś, tak?

- Próbować posłać koniuszy, ale burza odesłać koniuszy z powrotem.

Sheridan zamknęła oczy. Wprawdzie kilka razy asystowała matce, ale nigdy nie odbierała porodu sama. Słodki Boże w niebiesiech, co teraz?

Gorączkowe rozmyślania Sheridan zostały w jednej chwili przerwane, gdy drzwi sypialni otworzyły się z hukiem. Serce skoczyło jej do gardła na widok olbrzymiej, odzianej w czerń postaci. Mężczyzna zamarł w progu, tocząc wokół ołowianym wzrokiem, z groźbą w twarzy.

Bez jednej choćby myśli o własnym bezpieczeństwie, Sheridan przemknęła przez pokój i zablokowała mu przejście, jakby zdolna była własnym ciałem zatrzymać tego przeraźliwego olbrzyma, gdyby zechciał wejść.

- Słuchaj no, ty niewychowany kmiotku, nie wiem, co z ciebie za jeden, ale wynoś mi się stąd w tej chwili!

Przeszywające, czarne jak węgiel oczy wlepiły się w Sheridan.

- A ty kto, do cholery?

Sheridan nastroszyła się tylko, próbując zapanować nad drżeniem.

- Nic ci do tego. Masz się natychmiast stąd wynosić, albo... - Co?

- Albo da ci po głowie butelką wina. - Zza tego „żywego muru” wyłonił się Nicholas, wyraźnie rozbawiony. - A może butem... Szczególnie zręcznie posługuje się kamieniami. Zdarzały się przypadki, kiedy jedno jej spojrzenie patroszyło człowieka skuteczniej niż harakiri. Lepiej uważaj, Williamie. Ta dziewczyna mało mówi, ale robi to aż za dużo.

Sheridan zamrugała oczami. William?

- To ty jesteś...

Mężczyzna uciszył ją spojrzeniem.

- Gdzie jest moja żona?

- William? - zawołała płaczliwie Jules z drugiego końca pokoju.

Olbrzym przebiegł obok Sheridan tak szybko, że jego postać zlała się w jedną czarną plamę, i przypadł do boku żony. Ze słodyczą pocałował ją w usta, po czym porwał jej drobną rękę w swoją ogromną i przycisnął ją do piersi.

Sheridan uśmiechnęła się do swoich myśli. W ciągu najbliższych godzin przyjaciółka będzie potrzebować całego wsparcia, jakie tylko można jej było zapewnić, a nie istniało lepsze lekarstwo dla rodzącej kobiety niż bliskość ukochanego.

Nicholas podszedł do Sheridan z rozradowaną miną.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że ten człowiek ma sześć stóp i pięć cali wzrostu, jeśli nie lepiej, a waży dwa razy tyle co ty, prawda?

Sheridan uniosła brew.

- Do czego zmierzasz?

Nicholas pokręcił głową.

- Znam Williama od dwudziestu lat, ale nie przypominam so-

bie, żeby jakakolwiek kobieta... oprócz Jules, rzecz jasna... miała tupet mówić mu, co może, a czego mu nie wolno. Znaczna większość, nawet chłopiska jak dęby, nie miałyby odwagi. A ty nie dość, że to zrobiłaś, to jeszcze nazwałaś go przy okazji nie- wychowanym kmiotkiem. Ale z ciebie ziółko, dziewczyno.

Sheridan nie zamierzała dać się ugłaskać jego ciepłym uśmiechom i słodkim słówkom. Musiała być silna.

- Doktor nie przyjedzie - zakomunikowała mu rzeczowo.

- Co? - Nicholas zmarszczył czoło. - Dlaczego nie, do diaska?

- Burza. Jeremiaś pojechał po niego, ale nie dotarł na miejsce.

- No cóż, widać, że przekłety dureń nie dość mocno się starał. - Nicholas zawrócił na pięcie, wściekły; martwił się o Jules. - Sam sprowadzę tego cholernego doktora.

Sheridan wiedziała, że nawet jeśli Nicholas nie kochał żadnej innej kobiety, kuzynkę kochał, i to bardzo. W głębi ducha Sheridan była o tę miłość zazdrosna, choć powtarzała sobie, że zazdrość jest czymś złym.

- To niebezpieczna noc.

Nicholas rzucił jej spod oka kwaśne spojrzenie.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie troskę o moje dobro?

Sheridan cisnęła się na usta kąśliwa riposta, ale nie odezwała się słowem. Gdyby coś mu się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Powiedział kiedyś, że nie można się ot, tak odkochać i miał świętą rację.

Pomimo wszystkiego, co przez Nicholasa przeszła, nadal go kochała. Zapewne będzie kochać zawsze. Z czasem nauczy się z tym żyć, traktować uczucia do niego jak część siebie.

Odwróciła się do niego plecami i podeszła do łóżka. Upłynęła chwila, a ona nadal zastanawiała się, czy Nicholas chce coś powiedzieć. W tej samej sekundzie usłyszała, jak drzwi sypialni otwierają się i zamykają cicho. Już go nie było.

- Dziękuję, panno Delaney.

Drgnęła i zwróciła się w kierunku mówiącego. William. Z jego twarzy znikł wyraz groźby. Teraz malowała się na niej troska i niepewność.

Sheridan nie zamierzała zdradzić się z tym, że martwi się o Jules nie mniej niż jej mąż.

- Na imię mi Sheridan. A za co te podziękowania?

- Jules powiedziała mi, że wróciłaś, żeby jej pomóc. - W jego głosie brzmiało wzruszenie. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Teraz rozumiem, dlaczego moja ukochana małżonka zostawiła mnie na wsi, wydane go na pastwę rozpacz, błąkającego się po pustym domu i tęskniącego za nią potwornie.

W oczach Jules zakręciły się łzy.

- Naprawdę za mną tęskniłeś, Williamie?

- Dzień i noc, skarbie. Po twoim wyjeździe uzmysłowiłem sobie, jak niewiele znaczy moje życie, jeśli nie ma w nim ciebie.

Po policzkach Jules popłynęły dwie łzy.

- Och, William. - Objęła go za szyję i pocałowała gorąco.

Sheridan czuła się jak intruz podglądający intymną scenę, równocześnie jednak jak zawsze zamarzyło się jej, by i ją spotkała kiedyś taka miłość, jak uczucie łączące Williama i Jules.

Sheridan chciała zostawić ich samych na parę minut, powstrzymał ją jednak jęk Jules.

- Dziecko? - spytał William.

Jules bez słowa kiwnęła głową.

William podniósł zmartwione oczy na Sheridan.

- Co mam robić?

- To samo, co twoja żona. Postaraj się zachować spokój. - Sheridan zwróciła się twarzą do Ho-Singa, powtarzając sobie, że sama także musi zastosować się do tej rady. W żołądku ją ścisnęło, pociły się jej ręce. - Ho-Sing, proszę, przynieś mi świeże prześcieradło, czyste ręczniki, nóż i dużo ciepłej wody.

Ho-Sing, równie blady jak Jules, skinał głową i wypadł z sypialni.

- Ooo! - jęknęła Jules, przykładając rękę do brzucha, drugą zaciskając na dłoni Williama tak mocno, że posiniały mu palce.

Na chwilę Sheridan poddała się czystej panice. Zamknęła

oczy i przywołała w myślach twarz matki, przypomniała sobie, ile zawsze było w niej spokoju.

- Oddychaj.

Twarz Jules wykrzywiła się z bólu.

- Co?

- Powiedziałam, oddychaj. Głęboki wdech, potem powoli wydech, aż ból zelżeje.

Jules poszła za radą Sheridan. Częstotliwość skurczy malała, Sheridan wiedziała jednak, że ból będzie się z czasem potęgował.

Kiedy Jules się rozluźniła, zwróciła głowę ku mężowi. Na jej czole rysowała się głęboka zmarszczka.

- Dlaczego przyjechałeś tak późno, Williamie? Na dodatek w samym środku burzy?

- Wiedziałem, że będę ci potrzebny.

- Tak?

Skinął głową.

- To przedziwna sprawa. Byłem wykończony, kiedy wreszcie dotarłem do Londynu. Padłem na łóżko, ledwie moje buty dotknęły podłogi. Zamierzałem wyruszyć do Silver Hills z samego rana, ale obudził mnie twój głos.

- Mój głos?

- Tak, słyszałem, jak mnie wołasz. Więc przyjechałem tu na złamanie karku.

Po policzkach Jules spływały kolejne łzy, nieoczekiwanie jednak wymierzyła mu klapsa w pierś.

- A to za co?

Jules pociągnęła nosem.

- Za to, że tak szybko jechałeś. Mogłeś się zabić!

- Damo, nie przestajesz mnie zadziwiać.

Jules zamrugała powiekami, zasłoniła dłońmi twarz i rozpłakała się gorzko.

William natychmiast ją objął.

- Jules, kochanie, nie płacz. Cokolwiek zrobiłem nie tak, przepraszam.

Zaszłochała głośniej.

William rzucił Sheridan spojrzenie **pełne szczerego** prze-
strachu.

- Co ja takiego powiedziałem?

Sheridan odpowiedziała pokrzepiającym uśmiechem.

- Tak to już jest z brzemiennymi. Wszystkie te zmiany,
które zachodzą w jej ciele, powodują, że zachowuje się, no
cóż, troszkę dziwnie.

Jules zamilkła nagle i znieruchomiła.

- Oj, następny! - Prerażonymi oczami zawisła na Willia-
mie. Mąż szeptał kojące słowa, kiedy następny skurcz, sil-
niejszy od ostatniego, targnął drobną sylwetką Jules. Wysi-
łek zebrał swoje żniwo. Jules bladła w oczach, pot zrosił jej
twarz. Kiedy odeszły wody płodowe, Sheridan i William
zmienili natychmiast prześcieradło i przebrali Jules w świe-
żą koszulę nocną.

Mijały godziny. Poród coraz bardziej wyczerpywał Jules.
Sheridan nie przestawała żałować, że nie może zrobić dla
przyjaciółki nic więcej, nie może wziąć części jej bólu na sie-
bie. Najlepsze, co mogła zrobić, to być silna, dla Jules.

Z każdą jedną godziną obwieszczaną melodyjnym kuran-
tem zegara Sheridan coraz bardziej martwiła się o Nichola-
sa. Gdzie się podziewał? Dlaczego to trwa tak długo? Czy
nic mu się nie stało?

Nawałnica szalała z coraz większą furją, zimny wiatr
wdzierał się pod stare gobeliny wiszące na ścianach. Gałęzie
drzew drapały o szyby, jakby domagając się, by je wpusz-
czono. Burza wydawała się dorównywać kroku skurczom
Jules, gwałtowniejszymi z każdym westchnieniem, jękiem
i krzykiem.

- Muszę przeć! - krzyknęła Jules. Włosy lepiły się jej do
czaszki, oczy miała rozszerzone i nieprzytomne. - Proszę,
dobry Boże!

Jej ciałem targnął kolejny skurcz. Wygięła się do tyłu, aż
na szyi pokazały się nabrzmiące żyły.

William nie odrywał oczu od Sheridan z niemym błaganiem, żeby coś zrobiła.

- Jeszcze nie przyj, Jules - instruowała Sheridan cichym, spokojnym głosem. - Oddychaj. Jeszcze kilka minut.

Wiedziała, że drogi rodne Jules muszą się bardziej rozszerzyć, inaczej dziecko rozerwałoby ją na strzępy.

Sheridan oddychała w tym samym tempie co Jules, próbując pomóc jej się skoncentrować.

- Pamiętasz moją opowieść o skrzatach i pukach?

Jules słabo kiwnęła głową.

- Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś w krainie Tier na Nog. Głowa Jules przetoczyła się po poduszce.

- Ja... ja nie mogę. Muszę przeć.

Sheridan usiadła na brzegu łóżka.

- Cśś. Ja wiem. Po prostu musisz się skoncentrować. Pomyśl o błękitnym niebie i bezkresnej białej, piaszczystej plaży, na której aż do nieba wznosi się piękny zamek.

Jules zazgrzytała zębami; Sheridan orientowała się, że przyjaciółka mdleje niemal z wycieńczenia. Dziecko było duże, a Jules niezwykle drobna. Boże drogi, gdzie ten Nicholas?

Ciało Jules wygięło się raptem w łuk, tak silny był następny skurcz, i Sheridan wiedziała już, że nie można dłużej zwlekać. Przeniosła się w nogi łóżka.

- Trzymaj ją mocno za rękę - poleciła Williamowi. - I przypominaj o oddychaniu.

Kiwnął głową, blady jak prześcieradło.

- No dobrze, Jules. Chcę, żebyś zaczęła przeć.

Jules zacisnęła kurczowo powieki i zaczęła przeć, wstrzymując oddech.

- Oddychaj, Jules - rozkazał William.

- Raz, dwa, trzy, cztery... Odpoczynek

Jules wypuściła powietrze z płuc; zabrzmiało to jak przeciągły syk. Kolejny skurcz pojawił się przed upływem minu-

- No, dalej, Jules. Przyj!

Jules musiała jeszcze czterokrotnie się wyteńczyć, nim pokazała się główka dziecka.

- Dzielna dziewczyna, Jules. Już je widać. Jak zacznie się następny skurcz, masz przeć z całej siły.

- Nie mogę - zakwiliła Jules z zamkniętymi oczami. - Nie mogę.

- Możesz przeć i będziesz parła! Słyszysz mnie, Jules? Już prawie po wszystkim. A teraz *przyj!*

Jules wykrzywiła się boleśnie i napała; powietrzem wstrząsnął rozdzierający krzyk, równocześnie zaś ukazały się ramionka dziecka.

W tej samej chwili o okno uderzyła gruba gałąź, tłukąc szybę w drobny mak i miotając gradem szklanych odłamków.

Sheridan osłoniła Jules najlepiej, jak potrafiła, przed zacinającym do środka wiatrem i deszczem. William zerwał się na nogi, zdarł ze ściany jeden z obrazów i zatkał nim otwór w oknie.

Jules krzyknęła kolejny raz. Dziecko szykowało się do przyjścia na ten świat, czy Sheridan tego chciała, czy nie.

Sheridan wpadła w popłoch, widząc pępownię owiniętą wokół szyi dziecka - a dziecko było sine!

O Boże, nie. Nie! Nie to dziecko!

Sheridan błyskawicznie odplątała pępownię i wyciągnęła dziecko na zewnątrz, po czym z pośpiechem oczyściła mu usta.

- Danny? - Głos Jules był ledwie słyszalny. - Moje dziecko?

Proszę, Boże, wznosiła bezgłośnie modły Sheridan. Nie pozwól temu dziecku umrzeć.

Sheridan złapała ręcznik i zaczęła energicznie masować noworodka, modląc się nieprzerwanie. Wiedziała, że William stoi tuż obok, choć się nie odzywał. Podniosła wzrok: minę miał zmartwiałą.

No dalej! Dalej!

Jej prośby zostały niebawem wysłuchane: rozległ się donośny krzyk i dziecko po raz pierwszy zaczerpnęło samodzielnie powietrza.

Sheridan omal nie zemdlała z radości. Z łzami w oczach popatrzyła na przyjaciółkę.

- Masz pięknego i zdrowego synka.

W następnej sekundzie drzwi sypialni otworzyły się z hukiem. W progu stanął Nicholas, przemoczony do suchej nitki, ale, zdaniem Sheridan, po prostu cudowny. Zza niego wyjrzał doktor; okulary miał przekrzywione, mokre, szarawe włosy zwieszały mu się na oczy.

Doktor podbiegł do łóżka Jules i przejął obowiązki Sheridan. W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale była zbyt zmęczona, żeby wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

Odsunęła się, obserwując krzątaninę, jakby zupełnie jej nie dotyczyła. Wzdrygnęła się, kiedy poczuła, że ktoś dotyka jej ręki.

Podniosła spłoszone oczy i napotkała spojrzenie Nicholas. Twarz miał wykrzywioną w grymasie zmęczenia, w jego oczach jednak ujrzała przeblysłk zupełnie innego uczucia. Pociągnął ją za rękę w kierunku drzwi.

- A dokąd to...

- Ciii.

- Nie mogę zostawić Jules.

- Możesz i zostawisz.

- Danny?

Głos Jules zatrzymał Sheridan w pół kroku. Obejrzała się; dziecko spoczywało w czułych objęciach Jules, William tkwił nieruchomo jak kołek obok żony i pierworodnego. Sheridan nigdy nie widziała przyjaciółki tak szczęśliwej, jak w tej właśnie chwili.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho Jules; w jej oczach lśniły łzy. - Ty naprawdę jesteś siostrą mojego serca.

Sheridan uśmiechnęła się tylko, ponieważ nie stać jej było na żadne słowa. Wzruszenie dławiło ją za gardło.

- Twój ojciec ma na imię Joseph, prawda? - spytała Jules. Sheridan skinęła głową.

Jules spojrzała na męża. A potem uniosła w ramionach

główkę dziecka. Ssało malusieńki kciuk, policzki miało jak cherubinek, różowe, pulchne, tryskające zdrowiem.

- Chciałabym cię przedstawić mojemu synowi, Williamowi Josephowi Danielowi Thorntonowi.

24

- Pomyliłaś się, wiesz?

Sheridan otrząsnęła się ze znużenia, które wsączyło się w jej ciało, i stwierdziła, że stoi przed drzwiami sypialni, a obok niej Nicholas.

Nakazała sobie spokój i spojrzała na niego. Miał zarost na twarzy, na policzku smugę błota. Nawet w takim stanie wyglądał cudownie, emanował siłą i męskością. Człowiek, którego miłość byłaby błogosławieństwem dla każdej kobiety... gdyby tylko potrafił kochać.

- Co do czego?

- Dziecka Jules.

Sheridan ściągnęła gniewnie brwi.

- A co ci się w nim nie podoba?

- *Ona* okazała się *nim* - odparł Nicholas, przypominając jej przepowiednię, że dziecko Jules okaże się dziewczynką. - Pięknym, zdrowym chłopaczyskiem na dodatek. Dzięki tobie.

- Sheridan odsunęła się nerwowo, kiedy chciał odgarnąć jej włosy z twarzy. - Spisałaś się nadzwyczajnie. Powinnaś być z siebie dumna. - Ścisząc głos do szeptu, dodał: - Ja jestem.

Sheridan nie zamierzała dać się złapać na gładkie słówka.

- Toż każdy zrobiłby to samo na moim miejscu.

- Ale ty jesteś jedyna w swoim rodzaju. Nareszcie to dostrzegłem.

Sheridan odwróciła się i oparła rękę na klamce.

- Nie chcę tego słuchać.

Nicholas nakrył jej dłoń ciepłymi palcami.

- Nadal wierzysz, że mężczyźni nie mają duszy lwa i serca świętego, Danny?

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, sprawił, że zaschło jej w gardle.

- Jestem zmęczona. - Nie miała siły, żeby stawić mu czoła, żeby się bronić, by go od siebie odepchnąć.

Nicholas przysunął się do niej.

- Nadal w to wierzysz? - nalegał. - A co ze mną? We mnie wierzysz?

Potrząsnęła głową. Nie będzie głupia jak kiedyś, nie wystawi serca na kolejny morderczy cios. Nacisnęła klamkę. Kiedy drzwi się otworzyły, stała wpatrzona w pokój, w którym spędziła tyle bezsennych nocy, rozmyślając o Nicholasie, łudząc się, że do niej przyjdzie, wyzna jej miłość. Powie cokolwiek.

Nigdy tego nie zrobił.

Cicho weszła do środka i nie oglądając się, zamknęła za sobą drzwi. Za sobą... przed Nicholasem.

Zamknęła oczy, z jej rzęs spłynęła jedna jedyna łza, kiedy Sheridan oparła się ciężko o drzwi. „Nadal w niego wierzę”.

Ale było już za późno. Za późno, by zmienić przeszłość. Za późno na cofnięcie słów, które już padły. Za późno na wiarę w dziecięce marzenia.

Wyprostowała się i odsunęła od drzwi. Przez zasłony sączyło się światło wczesnego poranka. Odpocznie sobie z godzinkę, może dwie. A potem wyjedzie i już nigdy nie obejrzy się za siebie.

Odrętwiała, zaczęła rozpinać suknię; palce nie chciały jej słuchać, skóra była lepka od potu. Po powrocie nie zdążyła się nawet przebrać w suche ubrania. Wprawdzie zdążyły już wyschnąć, ale czuła się, jakby ich chłód przeniknął w jej ciało. Chciała tylko wślizgnąć się pod nakrycie i poczekać, aż sen przyniesie upragnione zapomnienie.

Sukienka zsunęła się jej z ramion cicho jak bezgłośnie westchnienie i opadła u stóp. W tej samej chwili drzwi jej pokoju otworzyły się na oścież.

Sheridan obróciła się jak fryga i wydała zdławiony okrzyk. W wejściu stał Nicholas, szerokimi ramionami wypełniając obrys framugi.

- Co ty wypra...

- Chciałaś, żebym walczył? Do diabła, no to będę walczył.

- Wynoś się!

Potrząsnął głową.

- Ja się ciebie nie boję.

- Nigdy się nie bałeś.

- Owszem, bałem. Ale teraz już nie. Teraz jestem gotów do walki.

- Nigdy tego nie chciałam. Coś sobie ubrdałeś.

- Może i nie chciałaś, żebym walczył z twojego powodu, ale na pewno chciałaś, żebym walczył o ciebie, a ja tego nie zrobiłem. Ale teraz nie wyjdę z tego pokoju, dopóki ci nie powiem, co do ciebie czuję.

- No to mów, co masz do powiedzenia, i wyjdź.

- Świetnie. Kocham cię, Danny.

Sheridan oddychała ciężko, gniewnie.

- Och, kochasz mnie, co? Tak sobie myślę, co będzie jutro? Znowu nienawiść?

- Słuchaj...

- Jesteś zadowolony? Kamień spadł ci z serca, żeś to w końcu z siebie wyrzucił?

- Jeśli to dla ciebie nic nie znaczy, to nie. Nie spadł.

Sheridan odwróciła się do niego plecami.

- Dałam ci szansę, żebyś powiedział swoje. A teraz wyjdź.

- A niech to, Danny! Staram się.

- Wyjdź wreszcie.

Drzwi zatrasnęły się tak niespodziewanie, że aż drgnęła. Odwróciła się błyskawicznie, żeby zawołać za Nicholasem, poprosić, żeby wrócił, ale głos uwiązł jej w gardle.

Nicholas bowiem stał kilka stóp za nią.

- Powiedziałaś, żebyś sobie poszedł.

- Kochasz McDonougha?

- Co?

- Czy go kochasz, Danny? Muszę to wiedzieć.

- O nic mnie nie pytaj, nie masz prawa. Straciłeś je, kiedy kazałeś mi się stąd wynosić. Pamiętasz to chyba, prawda?

Nie odrywał od niej oczu.

- Nigdy tego nie zapomnę. Ale to tylko dowodzi, że jesteśmy ludźmi. Popełniamy błędy. Ty także.

- Niby jaki?

- Mówiłaś, że dziecko Jules będzie dziewczynką.

- To nie to samo.

- Może i nie. Ale wtedy w to wierzyłaś, tak samo jak ja wierzyłem, że można wybrać, kogo się kocha, z wyprzedzeniem ułożyć sobie życie, przewidzieć każde zdarzenie. We wszystkie te rzeczy głupio wierzyłem, dopóki nie poznałem ciebie. Wpadłaś w moje życie jak huragan i od tamtej pory nic już nie jest takie samo.

- Możesz mieć swoją bezcenną Jessicę i normalne życie. Zniknę stąd za parę godzin.

- Ale nie tego chcę. Nie rozumiesz?

- Nie obchodzą mnie twoje zachcianki.

Nicholas puścił to mimo uszu.

- Przez ciebie uwierzyłem w czarodziejską krainę, w której spełniają się marzenia.

- To tylko bajka.

- W takim razie pragnę takiej bajki.

- Nie ma takiej krainy.

- Jest Mieści się właśnie tutaj, w tej chwili, między tobą a mną.

- Między nami nic nie ma.

- Od początku wiedziałem, że jesteś uparta, i jestem skłonny to w tobie zaakceptować, ale ty po prostu nie dasz mi szansy. Oцениłem cię zbyt pochopnie. Złość uderzyła mi do głowy...

- Pamiętam, co żeś powiedział. Wiem, co o mnie myślisz, więc nie poklepuj mnie po ramieniu, nie próbuj poprawić mi humoru. Dawałam sobie radę całe osiemnaście lat. Nie trzeba mi twojej skruchy czy żalu, żeby żyć dalej. Po prawdzie, Nicholasie Sinclair, to do niczego mi nie jesteś potrzebny. Ja i moje dziecko świetnie sobie bez ciebie poradzimy.

Nicholas niemiłosiernie ścisnął ją za ramiona.

- Ale ja sobie bez ciebie nie poradzę. Jezu, czy ty nie widzisz, jak bardzo mnie zmieniłaś? W stajni powiedziałaś wtedy, że chcesz mnie zrozumieć. Myślałam, że rozumiałaś.

- Mnie też się tak zdawało.

- Przerazało mnie wszystko, co nieznanne, co może się stać, jeśli się przełamie i zacznie mi na kimś za bardzo zależeć. Teraz boję się tego, co mogłoby się ze mną stać, gdybym nie pozwolił, by ktoś stal się dla mnie ważny, gdybym nie dopuścił do siebie czegoś cennego, a potem żałował tego przez resztę życia. Jeśli mnie kochasz, powiedz mi o tym. Jeśli chcesz, żebyśmy spróbowali coś zmienić, spróbuję. - Nicholas spojrzął na jej brzuch i delikatnie oparł na nim rękę.

Wzruszenie ścisnęło Sheridan za krtań, ledwie poczuła dotyki jego palców. Spoczywały leciutko na jej łonie, gdzie na przyjście na ten świat czekało dziecko, ich dziecko. Wzruszyła się wbrew sobie.

Cofnęła się poza zasięg jego rąk.

- Nie ma żadnego „my”. Może kiedyś snułam naiwne marzenia. Ale przestałam.

- Powiedziałaś, że jesteśmy dwiema splecionymi duszami. Ja w to wierzę.

Sheridan miały gwałtowne emocje, złość, rozgoryczenie. I miłość.

- Ano, teraz wierzysz. Tylko skąd ta zmiana? Bo myślisz, że jesteś mi coś winny? No to wiedz, że nie jesteś. I tak bym nic od ciebie nie przyjęła... ty przekłety *obszarniku!* - Oczy mu się rozszerzyły na ułamek sekundy. - Ano, nie dziw się tak. Ja wiem.

Nicholas uśmiechnął się, a potem roześmiał na całe gardło.

- Uważasz, że to zabawne, co?

- Można pęknąć ze śmiechu.

Sheridan odwróciła się ponownie.

- Po prostu... idź. Wynoś się. Nie chcę cię widzieć.

Nicholas obszedł ją i zajrzał jej w twarz.

- Ja nie jestem żadnym obszarnikiem. Przez krótki czas, może...

- Nie kłam mi w żywe oczy!

- Chciałem ci powiedzieć. Tylko nie wiedziałem, jak.

- To już nieważne.

- Dla mnie ważne. Brat podarował mi tę posiadłość już *po* tym, jak ciebie poznałem.

- Co za różnica. Pracują na ciebie irlandzcy chłopcy, a mnie wmawiasz co innego.

• - Bo to jest co innego. Mam ludzi, którzy dla mnie pracują, ale to już nie są zwykli chłopcy.

- Widziałam pismo od twojego ekonoma! Na własne oczy!

- Ale nie widziałaś listu, który wysłałem w odpowiedzi.

Każdy, kto teraz u mnie pracuje, dostanie udział w zyskach. Sądzę, że można powiedzieć, że zrobiłem z nich swoich wspólników.

Sheridan nie chciała mu wierzyć, ponieważ nowy zawód pozbawiłby jej kolejnej części samej siebie, aż w końcu nic by nie zostało - nic, co mogłaby ofiarować ich dziecku, nic do ofiarowania komukolwiek.

Nicholas objął dłonią jej policzek.

- To dlatego płakałaś, kiedy Ian zobaczył cię w moim gabinecie? Ponieważ widziałaś tamto pismo i myślałaś, że cię okłamałem?

Wyczerpanie, gniew, rozczarowanie, wszystkie te uczucia sprzysięgły się przeciwko Sheridan i w końcu nie wytrzymała. Zaczęła młócić pięściami w pierś Nicholasa.

- Przestań! Zostaw mnie w spokoju! Nienawidzę cię!

Nicholas złapał ją za nadgarstki.

- Wcale mnie nie nienawidzisz - warknął.
- A właśnie, że tak!
- Nie mów tak, Danny!
- Nienawidzę. Nienawidzę cię.

Sheridan poniewczasie pojęła, że odepchnęła go zbyt daleko. Jego oczy wyglądały teraz jak dwa ciemne, migoczące skrawki zieleni.

- Nie pozwolę, żeby McDonough cię miał. Jesteś moja, Danny.

Potrząsnęła głową.

- I dziecko jest moje. Nie pozwolę ci odejść.

Przestraszona, trzęsąc się jak osika, patrzyła, jak Nicholas pochyła się nad nią; rozsądek zniknął z jego oczu, ustępując czemuś twardemu i nieustępliwemu.

Zatoczyła się, byle dalej od niego. Wyciągnął ręce i złapał za jej koszulę. Panicznie szarpnęła się do ucieczki... a wtedy koszula z trzaskiem pękła jej na piersiach. Nogami uderzyła o drewniane obramowanie łóżka, zaczęła gramolić się po materacu, w popłochu cofając przed Nicholasem. Rzucił się za nią.

- Nie! - wymachiwała na oślep pięściami, próbując go odegnąć, ale jej ciosy okazały się zbyt słabe. Wcisnął się między jej uda. - Zostaw mnie w spokoju!

- Już ja ci go wybije z głowy, Danny... Klnę się na Boga, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię. - Unieruchomił jej ręce, wyprostowane nad głową, i przyszpilił swoim ciężarem do materaca.

W Sheridan strach walczył o lepsze z podnieceniem. Tak bardzo go pragnęła, kochała, potrzebowała go. Ale nie zamierzała pozwolić, by ją wziął, by jej klęskę poczytywał sobie za swój sukces.

Wyrwała mu ręce i pchnęła go w pierś, ale nawet nie drgnął. Wpił się wargami w jej usta w pocałunku, który zdawał się przypominać fakt, że należała do niego i tylko do niego.

Nie umiała się zdobyć na obojętność. Zdradziło ją spragnione ciało. Plecy same się wygięły w łuk, kiedy objął war-

gami jej sutek, budząc coraz to nowe fale przyjemności, sprawiając, że na wskroś przeszył ją żar.

- Nie - na poły jęknęła, na poły poprosiła, chociaż wiała się pod nim, gdy zaczął pieścić drugi pulsujący sutek. Następnie powiódł językiem między jej piersiami, całował po żebrach, talii, przesuwając się ku pępкови... i niżej.

Łzy popłynęły jej z oczu.

- Nie... Nicholas. Proszę....

- Boże drogi... - Opamiętał się i oparł czoło o jej brzuch. - Przepraszam, Danny. Ja... a niech to wszyscy diabli! Zupełnie jakbym oszalał. Sam już nie wiem, co robię. Wybacz mi. - Oczami, z których szmaragdowych głębi wyczierała rozpacz, szukał jej spojrzenia. Z trudem podniósł się na kolana. - Tak bardzo się boję, że cię stracę... że stracę jedyną osobę, która kiedykolwiek dotknęła mojego serca, duszy, która sprawiła, że ujrzałem, że przyszedł mój czas na miłość.

Sheridan potrząsnęła głową.

- Nie - błagała. - Nie teraz.

- Jesteś piękna - powiedział niewyraźnie. Na jego twarzy malowała się udręka. Spojrzeniem powiódł powoli po jej nagim ciele, a Sheridan nienawidziła się za to, że nie jest w stanie się opanować. Nagle Nicholas ściągnął brwi, przypatrując się czemuś w okolicy jej talii. - Ten tatuaż... - Nim minęła sekunda, wpatrywał się jej prosto w oczy. - Tamtej nocy, w oberży... Zapamiętałem ten tatuaż, ale myślałem, że to jakieś przywidzenie. - Brwi jeszcze bardziej mu się ściągnęły, kiedy wodził wzrokiem od jej oczu do tatuażu i z powrotem. - Koniczynka.

- To na szczęście, tak mówią.

- A oto co cię spotkało... - Nicholas zerwał się z łóżka, nie odrywając od niej oczu. - Słodki Jezu, byłaś dziewicą. - Krew odpłynęła mu z twarzy. - Pozwoliłaś, żebym się z tobą kochał, choć nigdy nie byłaś z mężczyzną. - Cofał się ze wstrząśniętą miną, wyraźnie zdruzgotany tym, czego się dopuścił. - Boże, Danny... dlaczego? Dlaczego mi się oddałaś?

Jakiś głos w Sheridan błagał, żeby się broniła, żeby skła-

mała, wykręciła się czymkolwiek, ale nie potrafiła już dłużej milczeć.

- Bo już wtedy cię kochałam. Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Pokochałam cię za to, że przyszedłeś mi na ratunek.

- Zebrałem cię.

- Za to, jak na mnie patrzyłeś.

- Spoliczkowałaś mnie.

- Za uśmiech, który mnie zauroczył.

- Zanim dostałem kolanem w pachwinę.

- Wprost z moich marzeń trafiłeś w moje życie. Tak strasznie długo musiałam czekać, coby cię odnaleźć, że nie potrafiłam... - Sheridan umilkła. Napłynęła fala wspomnień, gotowa ją pochłonać.

Nicholas podszedł do niej, podał jej rękę i pomógł wstać. Ostrożnie ściągnął brzegi rozdartej koszuli. A potem uniósł twarz dziewczyny.

- Nie potrafiłaś... czego?

Sheridan zacisnęła kurczowo powieki.

- Nie potrafiłam dłużej czekać, żeby cię kochać. Ja wiedziałam... ja wiedziałam, że jesteś tym jedynym.

Nicholas przycisnął czoło do jej czoła.

- O Boże, Danny - powiedział zdławionym głosem. - Jakież ja byłem głupi. I ślepy. Widziałem krew, ale niczego nie pamiętałem. Whisky. Cios w głowę. Kiedy się obudziłem i okazało się, że odeszłaś z innym, ja po prostu...

Zmarszczyła czoło.

- Myślałeś, że wyszłam z innym?

- Dokładnie to mi powiedział oberżysta.

- A nie mówił, że tym mężczyzną był mój wujek?

Nicholas uświadomił sobie z nieoczekiwaną jasnością, że w swoim zamroczeniu założył najgorsze - błąd, za który mógł zapłacić utratą jedynej kobiety, jaką w życiu kochał.

- Do tego doszła moja duma i strach - tłumaczył się. - Tak mi było źle, kiedy się obudziłem, a ciebie już nie było. Czu-

łem się tak, jakbyś zabrała ze sobą cząstkę mnie samego. A później, kiedy tu przyjechałaś i zobaczyłem cię z łanem... - Uciekł spojrzeniem ku oknu, przez które wpadały promienie słońca, malując na ich ciałach złote smugi. - Nie chciałem skończyć jak mój ojciec.

Sheridan ujęła jego twarz w dłonie i zajrzała mu w oczy.

- Nigdy bym cię tak nie zraniła...

- Teraz już to wiem. - Nicholas ucałował wnętrze jej dłoni. - Danny, proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę, żeby wszystko naprawić. Mówiłaś, że chcesz mnie uleczyć. I to się już zaczęło. Ale jeśli odejdziesz, tyle ciężkiej pracy pójdzie na marne. Bez ciebie będę zgubiony. Proszę... wyjdź za mnie. Kocham cię.

-Ja...

- Wyjdź za niego, moja mała, bo jak nie, to klnę się na wszystkie świętości, że Pan Bóg Wszechmogący za moment mnie przywoła, cobym zasiadła po jego prawicy.

Sheridan drgnęła, słysząc dobiegający znikąd, nabrzmiąły wrzuceniem głos. Ciotka Aggie.

- Ano, moja dzierlatko - poparł ją wuj Finny. - Wyjdź za niego, ino szybko, bo będę musiał wyprawić tego skurczybyka na tamten świat, nim zdąży policzyć do trzech.

Sheridan szybko podniosła z podłogi sukienkę i ubrała się błyskawicznie. Następnie podbiegła do drzwi sypialni i otworzyła je nagłym szarpnięciem.

W progu stał wuj z ciotką z identycznymi uśmiechami na twarzach, co pozwoliło jej zgadnąć, że bezwstydnie podstuchiwali.

Sheridan objęła ich oboje za szyje i uściskała mocno.

- Och, tak się cieszę, że tu jesteście.

- No już. - Wuj kręcił się niespokojnie. - Udusisz mnie, dzierlatko.

Sheridan zarumieniła się; zdała sobie sprawę z tego, że trzymała ich w uścisku zdolnym wycisnąć z nich ducha. Wuj zerknął ponad jej ramieniem w kierunku Nicholasa.

- A nie mówiłem ci, żebyś się nie wychylała, chłopcze?

- To prawda.

- Ale tyś nie posłuchał mojej rady. Musiałeś dziewczynę zdradzić, a przecie wiedziałeś, jaki ma charakter. - Wuj Finny pokręcił głową. - O święty Pietrze, wszystkiego cię muszę uczyć, synu? A tobie się zdaje, że jak przeżyłem te wszystkie lata? - Wyminął Sheridan. - Obłąd, mój chłopcze. Trzeba choć trochę słabować na umyśle, żeby wytrzymać w tej rodzinie. - Zaczekał zniesmaczony. - Z was, Anglików, zawsze był tępy naród.

Sheridan strzeliła ku niemu oczami.

- Wiedziałaś, że wcale nie jesteś taki szalony, za jakiego chciałeś uchodzić!

Wuj Finny przycisnął palec do ust.

- To sekret, który zabiorę ze sobą do grobu. A jeśli piśniesz o tym słówko, moja miła bratanico, to klnę się na wszystko, że będę co noc wył do księżycy, coby ino dowieść, żeś się pomyliła.

Sheridan uśmiechnęła się do niego i położyła rękę na sercu.

- To będzie nasza tajemnica.

- Dobrze. A teraz powiedz temu bidakowi, że przyjmujesz oświadczenia, bo wiesz równie dobrze jak ja, dziecisko, że nie każdy weźmie cię i twoją rodzinę. - Łypnęła na Nicholasa podejrzliwie. - Bo ty bierzesz ją z rodziną, co, chłopcze?

Nicholas parsknął śmiechem.

- Przyjmę was z szeroko otwartymi rękoma.

- No widzisz. Musi cię kochać, dziewczyno. Nie każdy ściągnąłby sobie na głowę cały klan Delaneyów.

Sheridan pragnęła wierzyć wujowi. Bardziej jednak chciała wierzyć Nicholasowi, a to pragnienie nie miało nic wspólnego z dzieckiem, które nosiła pod sercem, za to wszystko z miłością do tego mężczyzny, miłością, od której nie potrafiła się uwolnić.

Zamknęła oczy i pogрузzyła się w modlitwie - modliła się o jakiś znak, o coś, co upewniłoby ją, że postępuje słusznie, że Nicholas jest jej przeznaczony, tak jak podpowiadało jej serce.

Głośne skrzeczenie sprawiło, że gwałtownie rozwarła powieki. Zawisała wzrokiem na zaciekle młóćącym skrzydłami gwarku, którego nie spodziewała się już oglądać.

- Scally!

Scally jakby wisiał przez chwilę w powietrzu, po czym niby strzała śmignął obok Sheridan prosto na ramię Nicholas, gdzie wylądował, strosząc dumnie pióra.

- *Hej, padalcu!*

I wiedziała już, że jej modlitwa została wysłuchana.

scandalous

Epilog

Kilka miesięcy później...

- No dobrze, żono. Otwórz oczy.

Sheridan powoli rozchyliła powieki, by ujrzeć przed sobą śliczny, znajomy domek.

Nicholas przywiózł ją do ojczyzny. Do Irlandii, kraju, w którym się urodziła, a którego nie spodziewała się już nigdy zobaczyć.

W oczach zakreśliły się jej łzy, gdy błądziła spojrzeniem po budynku, w którym dorastała, tak małym w porównaniu z jej nowym domem, lecz nie mniej niż on pełnym miłości.

Sheridan spozierała w przystojną twarz Nicholasa.

- Dlaczegoś mnie tu przywiózł, mężu?

Odpowiedział jej uśmiechem, który zawsze sprawiał, że ugięły się pod nią kolana.

- Mówiłaś, że właśnie tu chcesz wychowywać swoje dzieci.

- Nie rozumiem.

- Odkupiłem wasz dom rodzinny od poprzedniego właściciela. Teraz to twój dom, Danny, i już nikt nie każe ci nigdy z niego wyjechać.

- Przecież podarowałeś mojej rodzinie Mulholland Manor.

- Tamten jest dla nich. Ten będzie nasz.

Wzruszenie ścisnęło Sheridan za krtań.

- A Silver Hills? I Londyn?

- Jak to?

- To twój dom.

Nicholas pokręcił głową.

- Dom jest tam, gdziekolwiek jesteś ty, moja słodka.

Po policzku Sheridan spłynęła łza. Nicholas otarł ją i przygarnął żonę do piersi. Tak bardzo go kochała.

Wskazał ręką dwa bujane fotele, kołyszące się lekko na wietrze.

- Zamierzam siadywać tam każdego wieczora i przysłuchiwać się, jak opowiadasz bajki naszym dzieciom.

Sheridan uniosła brew.

- Co ty powiesz...

- Ano, com powiedział, tom powiedział, żonko luba - odparł, naśladowując żartobliwie jej akcent. - Będem na ciebie zerkał z lubieżnym błyskiem w oku, uśmiechem od ucha do ucha i kogucikiem, co będzie ciągle chciał pisać.

Sheridan szturchnęła go lekko w ramię.

- Bezwstydnik.

- Do usług. - Mrugnął szelmowsko. - Ale, ale. Musisz jeszcze poprawić tamtą ostatnią bajkę.

- O? A dlaczego?

- No, bo mówiłaś, że ta czarodziejska kraina, w której spełniają się wszystkie marzenia, leży gdzieś za wielką wodą. A to przecież nie tam, moja miłości. Ta kraina jest tutaj, bo tutaj jesteś ty.